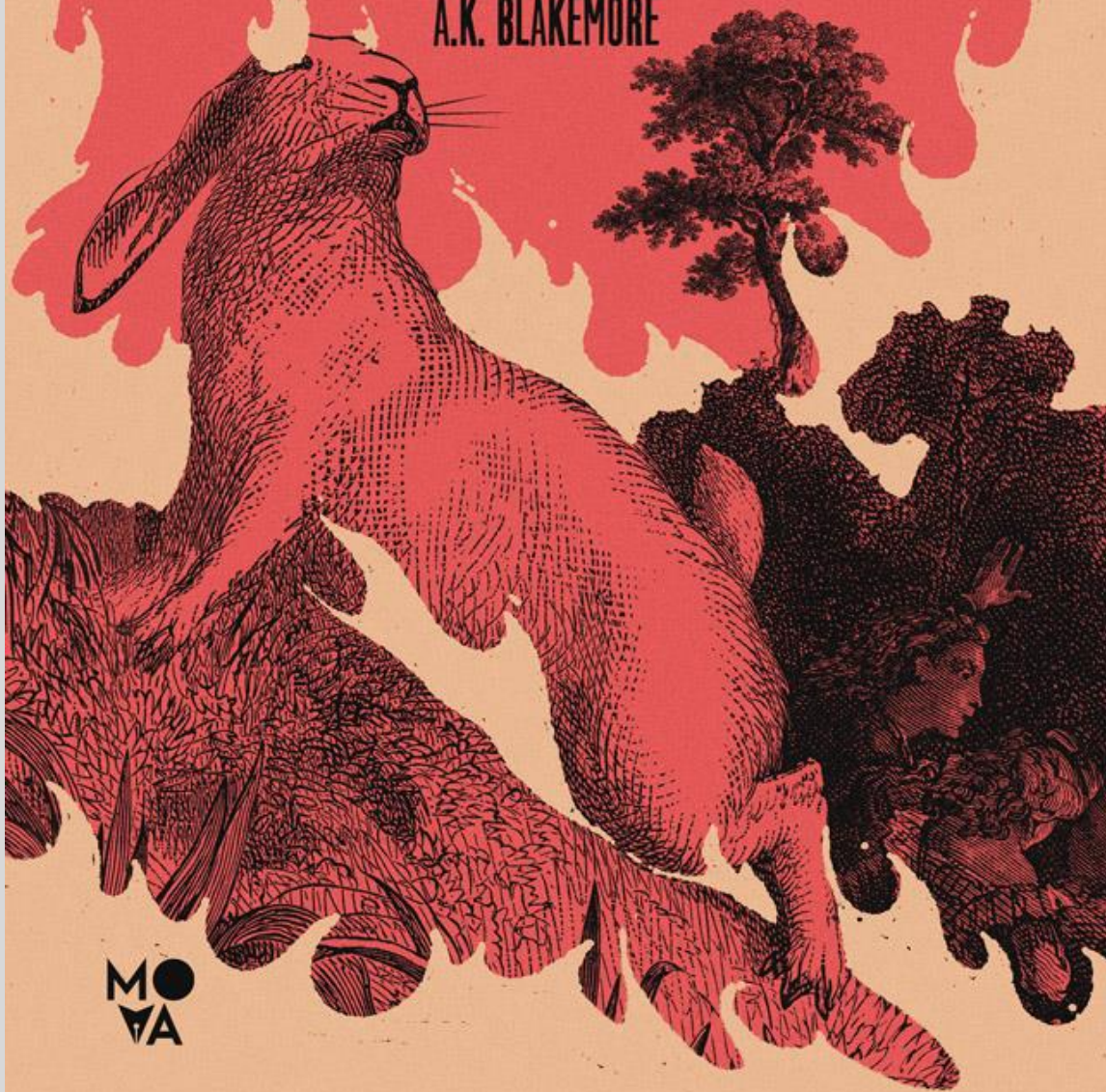


WIEDŹMY Z MANNINGTREE

A.K. BLAKEMORE



MO
VA

WIEDŹMY
Z
MANNINGTREE

A.K. BLAKEMORE

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Gardner



Paulowi Blakemore 'owi

CHOMIKO_WARNIA

...a potem zwracają się do Szatana, iżby je ocalił, Szatan zaś, który tylko na to czeka, powiada: „Mówcie, co mam dla was zrobić, me umiłowane córy, me sabatowe ulubienice, któreście ze mną w czarcim przymierzu przypieczętowanym krwią i ogniem”.

Matthew Hopkins, *The Discovery of Witches*, 1647

1643

Jeśli wyobraźnia czarownic nie była zepsuta ani ich rozum zajęty nie był przez humory, bynajmniej nie tak chętnie i ochoczo by się przyznawały do konszachtów, które podważają ich prawo do życia.

Reginald Scott, *The Discovery of Witchcraft*, 1584

Matka

Szczyt wzgórza dopiero wyłania się z porannej émy, a wciąż wilgotne pąsowiejące kwiaty psiej róży zaczynają rozchyłać płatki. Zdążyłam się już obudzić i teraz oblekam suknię, jedyną, jaką mam. Ona nadal śpi. Wszetecznicza. Ochłajtuska. Matka. Staję w nogach łóżka i przyglądam się jej twarzy. Wpadający przez okno promień słońca przecina jej lewy policzek. Ciemne włosy rozrzucone na poduszce, rozkocudane i tłuste, miejscami siwe.

Pogrążona we śnie rozpacza charakterystyczną woń. Trudną do sprecyzowania, jakby męską. Podobny zapach czułam, gdy jako mała dziewczynka biegła do gospody Red Lion[1], skąd miałam sprowadzić ojca na kolację. W karczmie, gdzie panował gwar i unosiła się kwaskowata nuta cienkusza, wesół ojciec porywał mnie na ręce i całował w czoło, chrząszcząc mokrą od deszczu kapotą, która nie zdążyła wyschnąć, odkąd zszedł z pańskiego. Później wspinaliśmy się razem na wzgórze Lawford, ja z rączką w jego dłoni. Było to piętnaście wiosen temu – tyle, ile nie żyje ojciec.

Od tamtej pory obie z macierzą – która chrapie tak, że obudziłaby zmarłego – śpimy razem w izbie domu wzniesionego dla nas przez mężczyznę martwego od półtorej dekady. Izby są trzy, wszystkie nędznie umeblowane; w tej stoją dwa łóżka, jedno okno wygląda na świat, ściany powleka biały tynk z sinawym nalotem pleśni. Przypuszczam, że wewnątrz ścian coś żyje. Dobrze, a już na pewno nie gorzej aniżeli trudną do sprecyzowania męską matczyną woń znam wszelkie odgłosy, które wydaje jej ciało. Byłam w nim kiedyś, aczkolwiek dziwnie mi o tym myśleć. Ciało z ciała.

Choć chcę uciec wzrokiem, nie robię tego. Wpatruję się w matczyną twarz naprawdę długo. Jest tak nieruchoma, że w pierwszej chwili może się wydawać maską pośmiertną bądź obliczem posągu. Ale nawet w tym bezruchu daleko jej do spokoju typowego dla pomników czy to w kaplicy, czy w kościele w Manningtree bądź w Mistle (co nie znaczy, że w hrabstwie Essex pozostało ich dużo po tym, jak Dowsing[2] i jego zwolennicy zrobili swoje, strącając figury niefrasośliwych świętych z piedestałów u Świętej Marii i wpychając je do ognisk rozpalonych na błoniach). To nic, że śpi; góry i doliny matczynej fizjonomii odmalowują jej charakter niczym odcisk maśniczki imię maślarza na ohydnej osełce. Na chrzcie otrzymała imię Anne, po mężu nazywa się West, a wołają ją Beldam[3] West. Pasuje to do niej, szczerwanej i bezecnej, pasuje do jej dziobatej twarzy, która przypomina zapomniane przez Boga i ludzi miejsce zryte meteorami spadającymi z nieba. Beldam... *Belle dame*[4]... *Belle* to po francusku „piękna” (macierz nie jest piękna, choć krążą słuchy, że kiedyś taka była). *Dame* przywodzi na myśl angielskie przekleństwo *damn*[5]. Czy jest przeklęta? Co do tego wolę się nie wypowiadać.

Póki śpi, mogę się na nią gapić do woli, rozbierać część po części. Nos ma długi, krzywo zrośnięty po złamaniu. Był złamany co najmniej raz – cztery wiosny temu, w wyniku najwspanialszego prawego sierpowego w wykonaniu pani Rawbood, gdy pewnego popołudnia późną wiosną pokłóciły się w herbarium. Nie pamiętam, o co im poszło akurat przy tamtej okazji, ale oczyma wyobraźni wciąż widzę mężczyzn, którzy przy ogrodzeniu pohukiwali i buczeli, zagrzewając obie gospodynie do walki. W pewnym momencie padł cios. Macierz, z dłonią przytkniętą do twarzy, z której lała się lepka krew, zatoczyła się do tyłu na kwitnący niebiesko krzak rozmarynu, rzycią wzbudzając słodkawy zapach. Do dziś, gdy czuję rozmaryn, ledwie potrafię się powstrzymać od śmiechu. Pani Rawbood oczywiście już nie żyje – jak większość ludzi, którzy nieroztropnie weszli macierzy w drogę. Czy to nie dziwne, jak jej zapach i wygląd

przenosi mnie w inne miejsca, inne czasy? A może me rozumienie innych miejsc i innych czasów ściśle się wiąże z jej zapachem i wyglądem; może to właśnie znaczy być córką?

Wystarczy tych dygresji. Matczyne policzki są zapadnięte, skóra na nich napięta i szara. Broda i skroń bieleją w plamie słońca wpadającego przez okno, światło wydobywa też głębię zmarszczek – w kącikach oczu i tych wokół ust, które przypominają kocie wąsy. Czoło macierz ma zaróżowione od opalenizny, szyję zwiotczałą i pokrytą fałdami, jakby chciała się schować przed złym okiem i ciętym językiem nastawionych nieprzychylnie sąsiadek. Ta szyja, workowata, odbarwiona i odrażająca, przywodzi mi na myśl podgardle tłustej maciory.

Najgorsze są usta, rozchylone we śnie. Spierzchnięte wargi, popękane kąciki i zbierająca się w nich wydzielina. Zaglądając do środka przez te czerwone wrota, można zobaczyć aksamitne wnętrze, w którym dominują zęby całe w plamach od żucia tytoniu i wilgotny korzeń języka, poruszający się, jakby śniła jej się rozmowa albo co bardziej prawdopodobne – kłótnia.

Oto jaka nasuwa mi się niechrześcijańska myśl. Szkoda, że nie mam czegoś okropnego, co mogłabym jej włożyć do ust. Wyobrażam sobie, jak upuszczam do nich trzymaną za ogon wijącą się mysz. Albo nie. Wlewam ciepłe siki konia, wrzucam królicze bobki, raczę macierz gorącą świńską krwią, świeżo utoczoną przy biciu...

Macierz otwiera oczy i cicho pyta:

– Rebecca? Becky? To ty?

– Tak, to ja.

Mamroce coś, czego nie jestem w stanie dosłyszeć, i uciska palcami skroń. Wydaje z siebie jęk.

– Nigdy się nie zestarzej, Rebecco – mówi i zwilża wargi. – Spójrz na mnie, dziewczyno. Wszystko mnie boli na samą myśl, że mam wstać i iść do pracy.

Odpowiadam, że wszystko ją boli raczej przez piwo, które wypła u Edwardsów, a nie z powodu czekającej ją uczciwej pracy. Macierz bowiem nie wylewa za kołnierz. Często wręcz mówi, że dobry napitek niesie większą aniżeli Bóg pociechę biedakowi („czy biedaczce, skoro już o tym mowa”, dopowiada z mrugnięciem oka czarnego jak węgiel).

– Bacz, jak się do mnie zwracasz! – odwarkuje, dokładnie tak się wyrażając: „Bacz!”, całkiem jakby była Mojżeszem. Potrafi być rozmemłana i wyniosła w tej samej chwili. – I ani się waż wymieniać tego nazwiska w mym domu!

Pytam, czy nazwisko „Hobday” jest miłe uszom jej i Boga.

– Bo muszę zanieść wypraną pościel do domu Hobdayów.

Macierz już wstała, teraz po omacku szuka nocnika. Kuca nad nim i zadarłszy pomiętą koszulę, próbuje sobie ulżyć. Po nocy spędzonej na picciu jej siki mają zawsze kolor ciemnego żółtka, do tego roztaczają drożdżową woń, która sprawia, że w całej izbie zaczyna śmierdzieć. Kojarzę ten odór z piątkami, a zwykle też z sobotami. Kończy ze stęknieniem, otrzepuje się paroma potrząśnięciami rzyci, po czym gramoli się z powrotem do łóżka. W izbie jest gorąco nie do wytrzymania, okno wychodzi na wschód. Próżniaczka!

– Zabierz dla Bess trochę owsianki – rzuca, ziewając.

To powiedziawszy, kładzie się na wznak i naciąga kołdrę pod brodę. Choć zamknęła już oczy, czekam w nogach łóżka na dalsze polecenia lub przekleństwa, nic więcej jednakowoż od niej nie słyszę.

Vinegar Tom[6] wpada przez otwarte drzwi i wskakuje na łóżko macierzy. Miauknięciem daje mi do zrozumienia, że mogę odejść, po czym opiera się o jej biodro i zaczyna zlizywać z futerka letnią noc. Macierz wyciąga rękę, żeby podrapać kota za uszami. Mamroce przy tym:

– Co za zuchwałę dziewczynisko. Nie dość, że ma dwie lewe ręce, to jeszcze rusza się jak ślimak...

Cieszę się, kiedy zamykam za sobą drzwi, odgradzając się od istoty, która dała mi życie.

Jest wcześnie rano. Na horyzoncie osiada niczym piana z mleka duża ładna chmura. Ledwie znajdę się na podwórku, jedna z kur robi w mą stronę niepewny krok, po czym przekrzywia łepkę zupełnie jak kobieta w przewspaniałej sukni, która musi przystanąć, żeby wytrząsnąć kamyczek z pantofla.

[1] Red Lion – dosł. Czerwony Lew; tu: gospoda Pod Czerwonym Lwem. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Dowsing – właśc. William Dowsing (1596–1668) – działający głównie we wschodniej Anglii purytanin i najbardziej znany ikonoklasta w czasie angielskiej wojny domowej (1642–1651).

[3] *Beldam* (ang.) – babka, starucha, jędza, wiedźma.

[4] *Belle dame* (fr.) – piękna pani. Wymowa identyczna jak ang. „beldam”.

[5] *Damn* (ang.) – cholera (przekleństwo), ale też: przeklęty. Wymowa niemal identyczna jak fr. „dame”.

[6] Vinegar Tom – tu: imię własne kota należącego do matki narratorki; w źródłach zachowało się jako imię rzekomego chowańca w postaci psa należącego do Elizabeth Clarke.

Starucha

Wioski Manningtree i Mistlej tworzą razem coś na kształt miasteczka, dopasowane do siebie jak dwa chodaki, lewy i prawy, przycupnięte skromnie na brzegu rozlewiska w zakolu rzeki Stour. Podczas przyływu błękitna tafla wody kołysze rybackimi łódkami i kupieckimi słupami, sprawiając, że ich takielunek jawi się niebiańskim haftem. Powiadają, że nocami szmuglerzy dostają się tą drogą na ląd, by zostawiać tam francuskie pistolety, puszkę na komunikanty i pozłacane modlitewniki napisane w łacinie, która jest czarną mową papieża. Gdy robi się odpływ i woda odsłania połacie welwetowego srebrzystego mułu, brodźce, kuliki i szlamiki rysują w nim delikatne ślady, szukając robaków. Zapach jest miły albo niemiły, w zależności od gustu – mieszanina woni rzeczno-kożuchowej, ptasiego guana i schnących w słońcu wodorostów. Z niewielkiego portu Manningtree wzdłuż brzegu biegnie długi i wąski błotnisty trakt, który wiedzie do białego krzyża targowego i dalej, do starego kościoła pod wezwaniem Świętej Marii w Mistlej. Wzdłuż traktu ciągną się domy, będzie ich kilkadziesiąt, każdy na innym etapie ruiny, aczkolwiek wszystkie zamieszkane, ze spleśniałą strzechą i z ziemią naznaczoną wylewami, z zapuszczonymi ogródkami i bielizną suszącą się na sznurach rozciągniętych pomiędzy oknami stojących naprzeciwko siebie budynków. Od traktu odchodzą węższe dróżki i ścieżynki prowadzące na polne zbocza, gdzie znaleźć można prawdziwy skarb Esseksu: pasące się krowy o sierści barwy lanego złota i z wymionami tak pełnymi mleka, że od samego patrzenia na nie bołą cycki. Tak jak w dolinie rzeki panuje ptactwo, tak tutaj, wśród tych pofałdowanych pól, królują stada. Otaczają one schludne dworki szlachty zagrodowej[7], której są własnością. Usadowieni na wzniesieniach drobni szlachcice patrzą zaś z góry na ludzi, których karmi i ubiera rzeka, odkąd znaleźli się na samym dnie.

Wśród wzniesień i pól mieszka też Bess Clarke. Przez nią Richard Edwards i John Stearne, dwaj najbogatsi ludzie w Manningtree, po wstaniu rano z łóżka i odciągnięciu adamaszkowych zasłon – zamiast patrzeć na szeroki krajobraz, słodki i zielony niczym zupa ze świeżego groszku – muszą znosić widok wdowiej chałupy, która kole w oczy niczym kawał chrząstki w poza tym czystym mięsie, strasząc krzywymi szczytami i zapadniętą strzechą, a także nędznym ogrodem zarośniętym jeżynami i wyką.

Błękitne niebo zapowiada ładny dzień, co oznacza, że do zachodu słońca nie powinno mi zabraknąć zajęć, nie będę więc skazana na matczyne towarzystwo. To budzi mą radość i zachowuję się jak osoba radosna: idąc, pogwizduję i nieostrożnie macham koszykiem z owsianką. Jałówki na pastwiskach wygrzewają sobie boki, nie poświęcając mi wiele uwagi. Po tym, jak odwiedzę Bess, udam się prosto do Hobdayów, którzy mieszkają nieco dalej w górę zbocza; mam dla nich czystą pościel i zacerowane koszule. Pani Hobday to dobra kobieta, z pewnością wsunie mi w dłoń kilka dodatkowych monet za mój trud. Może dostanę nawet kawałek ciasta ze śliwkami. Liczę, że przysiadziemy na chwilę i pogwarzyemy o nowinkach – który przystojny młodzieniec dołączył albo został wcielony do milicji i czemu ów czarnowłosy męczyzna z hrabstwa Suffolk stara się o dzierżawę oberży Thorn Inn[8] w Mistlej.

Dotarłszy pod dom Bess, zatrzymuję się w furtce. Drzwi frontowe stoją otworem, a na wyświechtanym kamiennym progu siedzi jakby nigdy nic królik. Jest mlecznobiały. Popatruje na mnie z ukosa okiem czerwonym jak rubin. Królików u nas nie brakuje, buszują w wysokiej trawie pastwisk i rozpierzchają się tylko na widok nadchodzącego pastuszka, ale nigdy jeszcze nie widziałam takiego jak ten, całego białego. Nie ma tu nic do roboty, taki nieskazitelny

i zuchwały, a jednakowoż tkwi w najlepsze, nic sobie nie robiąc z otoczenia. Nos mu drga, ale poza tym jest uosobieniem bezruchu, choć nie przestaje mnie przewiercać tym szkarłatnym okiem, przez co nie ruszam się z miejsca. Przez tę biel wydaje się duchem pozbawionym kształtu i wagi. Mierzymy się wzrokiem przez długą chwilę, zanim w końcu pchnę furtkę i niepewnym głosem rzucę „dzień dobry” w stronę domu. Z wnętrza dobiegają odgłosy krzątania, na które królik staje słupka i znika w zaroślach. Wychodząc przed dom, Bess jedną rękę wyciera w brudny fartuch, a drugą chwyta się futryny.

– Rebecca West – mówi, mrużąc oczy przed rażącym słońcem. – Dzień dobry, kochaniutka.

Gdym ją kiedyś spytała, ile ma wiosen, nie umiała powiedzieć dokładnie. Wystarczy jednakowoż na nią spojrzeć, aby się domyślić, że jest bardzo stara. Tak stara, że nie zważa już na upływ czasu i jego większość spędza na robieniu różnych głupstw. Trapią ją chyba wszystkie bolączki, które można spotkać u innych wiekowych mieszkańców Manningtree, choć nie w takim natężeniu. Jej dłonie, które przypominają wiewiórcze łapki, drżą nieustannie, załzawione oczy powleka katarakta, a w ustach brakuje niemal wszystkich zębów. Straciła nawet nogę – gdzieś, kiedyś, jakoś. Widywałam jednonogich mężczyzn spośród tych, którzy walczyli we Francji czy w Szkocji, ale nigdy jednonogiej niewiasty. Przypuszczam, że gdy kobieta nadto się zestarzeje, członki odmawiają jej posłuszeństwa i wypadają jak zęby czy włosy. Możliwe, że lewa noga Bess leży pochowana w nieoznakowanym grobie pod którymś krzakiem w jej nieporządnym ogrodzie. Albo wstając z krzesła pewnego wieczora, stwierdziła, że giczoł trzyma się reszty ciała tylko na aby-aby, co skwitowała wzruszeniem ramion i zaraz się go pozbyła, wyrzucając do ognia razem z kurzymi kosteczkami, hej-ho! Patrząc na Bess, to właśnie widzę: uwiędłą, niechlujną kobietę. Innym musi się jawić odmiennie, bo wielu ma ją za przebiegłą. Młódki ściągają do niej po amulety, talizmany i runy, a także by wróżyć z sita i prosić świętego Pawła o podanie imienia przyszłego męża czy też o przewidzenie płci pierwszego dziecka. Wydaje mi się, że to wszystko przez bielmo na jej oczach. Pomijając niesamowity wygląd, jakiego jej przydaje – zupełnie jakby wróżka podmieniła jej gałki oczne na gotowane jajka – przesądność każe ludziom wierzyć, że dobry Bóg nie odebrałby starowinie wzroku, w ramach przeprosin nie wyposażając jej w zdolność widzenia pozazmysłowego. Można by pomyśleć, że nigdy nie słyszeli o Hiobie. Krąży plotka, że Bess trafił raz piorun we Wszystkich Świętych, ale przeżyła.

– Beldam cię przysłała – stwierdza Bess, jakby to była wiedza, którą obdarzył ją Najwyższy, a nie zwykłe zdarzenie w każdą sobotę.

– Przed chwilą na wschodku siedział królik – mówię jej. – Wyglądał przedziwnie.

– Aha. Naprawdę? – Drapie się obojętnie po twarzy.

– Biały jak śnieg. I miał czerwone oczy.

Bess wzrusza ramionami. Wchodzę za nią do domu, który składa się tylko z jednej izby. Okno zabite jest deskami. Mroczne wnętrze rozjaśnia smuga światła wpadającego przez otwarte drzwi i ogień pełgający w kominku. Wykładam na stół owsiankę i w miarę swych możliwości uprzętam resztki wczorajszego posiłku, wyrzucając garść czerstwych okruchów za próg, do ogrodu. W chatynce cuchnie jak w lisiej norze. Nie zważając na me wysiłki, Bess opada na zydeł. Ma sztuczną nogę z kawałka starego, głęboko pobruźdzonego drewna, ale że jej w tej chwili nie nosi, porusza się niepewnie od podpory do podpory, za które służą jej zniszczone meble.

– Wiele wiosen temu – mówi, a właściwie zaczyna mówić – krótko po narodzinach mego Jamesa, jak mieszkaliśmy jeszcze w Bergholcie, w jedno południe, tak, bez wątplenia, bo słońce było wysoko i rzucało krótkie cienie na podwórku, położyłam dziecko spać i chciałam pójść nakarmić kury, gdym nagle zobaczyła coś przedziwnego. Nie dalej aniżeli jard od progu przycupnęła gaszek. Przyglądałam mu się, jak kica wesoło przez parę chwil. Same długie skoki

i uszy, czarne na końcach. Czarne jak sadza. W środku dnia. Na środku podwórza.

Słuchając jej tylko jednym uchem, zabieram się do wymiatania na dwór brudu za pomocą wiechcia tataraku służącego jej za miotłę.

– Zupełnie jakby tańczył. Nie dalej aniżeli jard od progu – powtarza Bess, bezwiednie skubiąc troczki poplamionego czepka. – Nie mogłam się nadziwić.

– Założę się, że tak.

– Powiadają, że w tych stronach żyła niegdyś wielka królowa i że ruszyła na wojnę z pogańskim najeźdźcą, który ściągnął tu z Francji. Powiadają, że rankiem, kiedy...

Ledwie pada wzmianka o pogańskim najeźdźcy, uznają, że pora na mnie. Prostuję się w progu i wzięwszy się pod boki, rzucam:

– Doprawdy, gospodyni, cóż to za głupstwa pleciecie!

Bess jednakowoż opowiada dalej, jakby w ogóle mnie nie usłyszała.

– Powiadają, że rankiem, kiedy miało dojść do bitwy, gdy królowa ruszyła przed siebie w zbroi ze złota i złotej pelerynie, tuż przed kopytami jej wierzchowca przemknął zając, gaszek taki sam jak ten, co go widziałam. I że... – w tym momencie podnosi głowę, żeby spojrzeć na mnie z tajemniczym uśmiechem – ...i że królowa zginęła tego samego dnia, zabita przez pogan. Bo widzisz – dodaje, na wypadek jeślibym nie zrozumiała – zając to omen.

Odstawiam miotłę i prowadzę Bess do stołu, gdzie czeka na nią miska letniej owsianki.

– Cóż, gospodyni... Królik to nie zając, a z was żadna królowa! – oznajmiam na cały głos, żeby tym razem nie mogła mnie zignorować. – Nie umrzecie dzisiaj. Na pewno nie z głodu. Proszę! – Wciskam łyżkę w jej wątłe palce. – Owsianka! Później Beldam przyniesie wam może parę jajek.

Bess mruga kilkakroć ze smutną miną, potem zanurza łyżkę w owsiance i wkłada ją do ust.

– Zimna – mruczy, mlaskając szarymi jak u trupa dziąsłami.

– Nie ma za co – odpowiadam, dygając w parodii dworskiego ukłonu, i zabieram się do siania przepoconego łóżka.

– Dobra kobieta z niej, z twojej matki – mamroce dalej Bess, jedząc. Krupa lśni w kąciku jej obramowanych zmarszczkami warg.

– Skoro tak mówicie, gospodyni...

– Dobra kobieta – upiera się Bess, drżącą ręką rozchlapując następną łyżkę owsianki. – Miękka w środku, twarda na zewnątrz, jak rak. Poznałyśmy się na pańskim, opodal lasu. Ja zbierałam chrust, a ona stała wsparta o murek, w tej swojej brązowej sukni w grochy. Powiedziała, że mnie obserwuje od pewnego czasu i współczuje mi biedy i kalectwa. Powiedziała, że zna sposób, coby mi się żyło lepiej.

– A czy ten sposób nie nazywa się przypadkiem Rebecca West? – pytam, składając narzutę.

Oglądam się przez ramię, żeby rzucić starowinie uśmiech, i stwierdzam, że cały czas wpatrywała się w me plecy mimo półmroku panującego w izbie. Na jej twarz wypełza teraz pełen zadowolenia uśmiech. Bess może i jest prawie ślepa, ale w tej chwili mam wrażenie, jakby jej pokryte bielmem oczy przewiercały mnie na wskroś. I znów nachodzi mnie chęć, aby jak najprędzej opuścić tę ruderę.

– John Edes, prawda?

– Co? – rzucam zaskoczona, tylko się zdradzając.

– John Edes – powtarza Bess, klepiąc owsiankę wybrzuszeniem łyżki. – Klerk. Plotka głosi, że bardzo go lubisz. Ha! – Wydaje z siebie ironiczny, pobłażliwy dźwięk.

Odkładam narzutę i wyglądam ją rękoma. Czuję przy tym, jak na twarz występuje mi

rumieniec. Tam gdzie przed chwilą byłam blada, jestem teraz zaróżowiona ze skrywanego wstydu i z czegoś w rodzaju urazy. Urazy, że Bess Clarke, ta dziwaczka, ta kaleka – której ze mną i z macierzą nic kompletnie by nie łączyło, jeśliby nie miejsce zamieszkania, i która dzieli jedyne swe zalety, bezradność i ospałość, z każdym niemowlęciem i ochlapusem – ma wgląd w me najsekretniejsze myśli i pragnienia. Skręca mnie w środku z tego, że pcha się w me życie z butami, ale myśl tę osładza mi świadomość trywialności tego naruszenia granic, zupełnie jak w przypadku muszki, która ginie w czyimś oku.

A mój wstyd stąd, że starowina w gruncie rzeczy się nie myli. Istotnie bardzo lubię Johna Edesa. Roją mi się w głowie namiętne myśli na temat jego blond wąsików, które podkrecają się na zewnątrz, dzięki czemu wygląda jak zadowolony kocurek. Zastanawiam się nawet, jak by to było pocałować go tam, gdzie te wąsy stykają się z wargami, i poczuć zarazem ich szorstkość i miękkość. Sprawia mi przyjemność patrzeć na jego zgrabne dłonie, w których trzyma świeżo wydrukowaną Ewangelię Mateusza, by w pewnym momencie zwilżyć palec i przewrócić kartkę. Ogół tych emocji przepływa przeze mnie strumieniem wezbranym w wyniku samej o nim wzmianki, podczas gdy Bess nieruchomym wzrokiem wpatruje się w tył mej głowy.

– Co? – powtarzam, jakbym nie wierzyła własnym uszom. Po czym mówię jej, że chyba zwariowała na starość.

Bess przeżyła wystarczająco wiele, aby wiedzieć, że kłamię – a niech ją! Gdy kwituje me słowa wzruszeniem ramion i bezzębnym uśmiechem, zastanawiam się, czy ona mnie w ogóle widzi. Czy widzi, jak we własnej wyobraźni stoję z Johnem, który zgrabnymi rękoma rozsznurowuje na mnie gorset? Muszę stąd natychmiast wyjść, na wszelki wypadek.

– Moja matka zjawi się później, tak myślę – rzucam, poprawiam czepek na głowie i łapię koszyk.

Wypadam na zewnątrz, prosto w poranne słońce, gdzie witają mnie zapachy wilgotnej trawy i bydła, pośród których Bess Clarke żyje, lecz które do niej nie pasują. Te boże dary, skarby Esseksu, mieniające się złotem zboże i rogacizna.

W miarę jak oddaję się różnym zajęciom dnia, coraz trudniej mi zachować wiarę w talent wróżbiarski Bess Clarke, coraz łatwiej za to uwierzyć, że macierz się przed nią wygadała. Gdy wieczorem zasiadamy do pracy w głównej izbie, jestem mocno rozżalona, ponieważ raz wszczęte plotki mają zwyczaj żyć swym życiem.

Powiedzieć o macierzy czy o mnie, że jesteśmy szwaczkami, byłoby nieco na wyrost, ale nieźle radzę sobie z igłą i mam wycucie, dzięki czemu sznureczki i łańcuszki, które wychodzą spod mej ręki, nadają się do zdobienia tak modnych obecnie białych kryz czy dziecięcych czepeków wiązanych pod brodą. Macierz potrafi cerować, aczkolwiek niezdarnie; nikt jednakowoż, kto ją widział nad rzeką, a konkretnie w miejscu zwanym przez nas Jazem Judasza z uwagi na zdradziecką głębię w zimowych miesiącach, nikt zatem, kto widział macierz nad rzeką, w sukni zakasanej do pasa i w rozsznurowanym gorsecie, namiętnie chłoszczącą poźółkłe giezło o skały, jakby to był kańczug biczący zadek Nowej Anglii, nikt taki by nie zaprzeczył, że jej prawdziwym powołaniem jest robienie prania. „Zapewne wyprałaby wszystko do ostatniej sztuki odzieży każdemu we wsi w zamian za pochwałę, tak zdaje się to lubić”, podsumowała jedna z naszych sąsiadek. Inna zaś stwierdziła: „Tamte skały dobrze wiedzą, co czuję, kiedy George wraca późno z gospody”. Ostatnimi czasy życie w Manningtree płynie wolniej aniżeli kiedykolwiek, dzięki czemu gospodynie odkryły, że mają więcej czasu na frywolności w rodzaju robótek ręcznych, odkąd ich mężowie i synowie są częścią Związku Wschodnich Hrabstw. Jakoś udawało nam się związać koniec z końcem, ale w niektóre dni było ciężko.

Zasiadamy więc z macierzą przy uchylonych drzwiach, jak zawsze latem, w płonnej nadziei, że bezchmurna noc przyniesie choć odrobinę przeciągu. Dąsam się.

Gdzieś niedaleko pohukuje sowa, za audytorium mając niebo usiane gęsto gwiazdami.

– Wreszcie – burczy macierz, odgryzając nitkę i machając igłą w stronę drzwi – ktoś się odezwał.

Patrzę na swój podołek, gdzie na rękawie spodniej koszuli pana Redmonda kształtu nabiera drzewko owocowe. Chrząkam „hm” lub „tak”, a może wydaję z siebie jakiś inny gamoniowaty dźwięk.

– Ma córka, pogrążona w zadumie. – Macierz wzdycha. – Niema na podobieństwo manekina. Tyle dobrego, że nocne ptaki dotrzymują mi towarzystwa.

Podnoszę głowę, aby na nią spojrzeć.

– A o czymże to mogłybyśmy rozmawiać według ciebie? – pytam, przekłuwając len wraz z każdym słowem, dzięki czemu powstaje równy ścieg w kolorze niezapominajek.

Nie spodziewam się odpowiedzi, ale macierz mnie zadziwia. Z nutą insynuacji w głosie mówi:

– Tyle czasu spędzasz u Johna Edesa... Można by pomyśleć, że do tej pory powinnaś być już uczoną niewiastą. Prawdziwą kalumniatorką.

Odkładam robótkę i rzucam macierzy wściekle spojrzenie. Najwścieklejsze, na jakie mnie stać.

– Oratorką, tak nazywają królową Marię i o to słowo ci chodziło. Kalumniatorka znaczy zgoła coś innego. Co do Johna zaś... – Urywam na moment. – To dopiero temat do rozmowy. Przyznaj się, że strzepiłaś język u starej Bess, plotkując o mnie i o nim.

Cóż za łajdaczka! Widzę to po jej oczach, w których kłamstwo się czai niczym pstrąg w strumieniu i tylko patrzy, by wyskoczyć na wierzch. Pierwej łapie się za pierś i rozchyła usta w fałszywym wyrazie oburzenia, jakby z nas dwu to ona była pokrzywdzona, i klnie się: „Honor nigdy by mi nie pozwolił!” głosem przymilnym, lecz ze zranionym obliczem, po czym nagle zmienia taktykę i zarówno jej ton, jak i twarz hardzieją w jednej chwili.

– Jakbym nie miała nic lepszego do roboty, tylko plotkować o Johnie Edesie! Taki jak on – ujmuje kraniec nitki między wargi, by łatwiej ją nawlec na igłę – taki jak on wsadziłby zdechłej rybie, jeśliby biskup mu zakazał.

– Matko! – Twarz mi płonie, nie inaczej jak lędwie.

– Szczerą prawdę mówię – prycha. – Kto dla mnie zacz John Edes? Tchorza poznam na milę, a ten zgina się wpół i pada krzyżem przed każdym grubym kacapem, jaki się nawinie z ciężką sakiewką. Hiena cementarna...

Czuję, jak wzbiera we mnie ogień gniewu – i nienawiści. Nie podoba mi się, że nie mogę mieć nic własnego, nic, czego ona by nie zożydziła swą wstrętną opinią.

– Wstydzilaś się – cedzę przez zęby. – Nie masz najmniejszego pojęcia o...

– Uważaj, dziewucho – wpada mi w słowo, grożąc palcem i przyszpilając mnie wzrokiem. – Znam się na tchorzach i znam się na mężczyznach. A wiadomo, że jak znasz tych drugich, pierwsi też nie stanowią dla ciebie tajemnicy.

– No – potakuję i uśmiechając się do siebie, wracam do haftowania gałęzi drzewka owocowego. – Ty też nie stanowisz tajemnicy dla jednych i drugich, jak słyszałam.

Posunęłam się za daleko. Vinegar Tom fuka i parska, gdy prosząca iskry świeca przelatuje w poprzek izby. Zrywam się na nogi, przewracając krzesło, i wypadam na zewnątrz w tej samej chwili, w której macierz łapie dzban. Żegna mnie nieprzyjemny huk rozbijającej się o nadproże grubej ceramiki.

[7] Tu i niżej w oryginale *yeomen and petty gentry*, gdzie ci pierwsi to „ludzie stanu wolnego, tworzący pośrednią warstwę społeczną między średnim ziemiaństwem a chłopami”, a druga to „nowa szlachta, która porzuciła dawne formy produkcji towarowej, czynnie

uczestnicząc w handlu i przemyśle” – obie warstwy powstały w wyniku przemian społecznych zachodzących w Anglii za panowania Stuartów w pierwszych dekadach XVII wieku (definicje za: J. Wojtczak, *Naseby 1645*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2000).

[8] Thorn Inn – dosł. Ciernista Oberża, tu: oberża Pod Cierniem.

John Banks uważa dzień za udany. Rano sprzedał starą siwą kobyłę bednarzowi z Ipswich, chociaż musiał jej odjąć parę latek. Później poszedł do gospody, gdzie przepił jedną dziesiątą tego, co dostał za klacz, i teraz mimo głowy zmaczonej cydrem bardzo się stara pamiętać, aby przyciąć zarobek o tę sumę, gdy już będzie rozmawiał z żoną, stroniącą od mocniejszych napitków. Wspina się nieśpiesznie na wzgórze Lawford, zmierając ku domowi i gospodarstwu, a po drodze to się drapie po siedzeniu spodni, to znów zachwyca widokami. W pewnym momencie beka solidnie i czuje w ustach perwersyjnie przyjemny smak mieszanki nadtrawionego cydru i żółci. Księżyc i gwiazdy migoczą niczym drobinki unoszące się w czarnej zawieszynie, kiedy czując parcie na pęcherz, przystaje pod płotem, żeby sobie ulżyć – niedaleko domostwa Beldam West.

Z pijackiego zamyślenia wrywa go krzyk i huk. W pośpiechu chowając w spodnie to, co przed chwilą wyciągnął z rozporka, zatacza się do tyłu i potyka o własną laskę. Na ścieżce przed sobą, tej, która biegnie od domu Beldam West, dostrzega widmo, łkające i zawodzące coraz ciszej w miarę zagłębiania się w las porastający wzgórze. John postanawia, że gdy już uwali się na łożku, opowie swej żonie o tym, co zobaczył, aczkolwiek może być pewien, że okaże się mniej skwapliwa aniżeli on dać wiarę w pozagrobowe pochodzenie zjawy. Wszyscy bowiem wiedzą, że w noc z piątku na sobotę odbywają się czarcie msze.

Niezadługo potem John rozpowiada różnym ludziom, co widział, i to samo czyni jego żona. Naturalnie z każdym przekazem historia obrasta w szczegóły, niekoniecznie zgodne z rzeczywistością. Zanim ktoś się spostrzeże, jeziorko zmienia swe położenie, a nad horyzontem wstaje świt, rozprawiając się ze zwodniczą poświatą księżycą. Wkrótce jedna biała postać, którą zoczył John, przeradza się w cztery czarne, a co więcej, on już nie tylko patrzy – on walczy, jak walczył Jakub z aniołem. Jego własna rola ulega rozdmuchaniu, nabierając znamion heroizmu. Wyrazu nabiera Beldam West, która w uwodzicielskiej pozie stoi na wschodku w samej bieliźnie, z rodzącym się na podobieństwo blizny marszem na niewieścim czole. Tak przedstawiona historia znacznie bardziej przykuwa uwagę, a Bóg świadkiem, że John Banks nie ma normalnie wiele do zaferowania jako kompan.

Sir Thomas Bowes, rycerz,

świadczący przeciwko wyżej rzeczonej Anne West,

która przed tymże Sądem stanęła w roku Pańskim 1645

Cny człowiek z Manningtree, o którym wiem, że nie rzecze nigdy nieprawdy, zapewnił mnie, jakoby jednego razu o świtaniu, akurat przechodząc opodal domostwa rzeczonej Anne West, a było to w piątą godzinę po północy, gdy blask księżycy już słabnął, oddając pola dziennej jasności, zoczył rozwarłe drzwi, co o tej porze wprawiło go w takowe zdziwienie, że miał wolę zaglądnąć do środka, i niebawem ujrzał trzy albo cztery niewielkie stworzenia kształtu czarnych królików, które jęły wokół niego drygać a dokazywać, podczas kiedy on trzymaną w ręku laską smagał je z myślą o ich zabiciu, aliści że nie zdołał, wreszcie złapał jedno w dłoń i tłukąc jego łepkiem o kij, zamierzał wytłuc mu mózg; azaliż nie mogąc go uśmiercić w ten sposób, ujął ciało lewą dłonią, a łepkę prawą, coby w ten sposób skręcić kark, atoli gdy próbował, bestyja tylko się wydłużała niczym motek włóczki, on zaś ani myśląc odstąpić od zamierzonego celu, a wiedząc o nieodległym źródle, poszedł ją utopić, tyle iż idąc, co rusz upadał i daremnie się podnosił, by zaraz zlec ponownie, koniec końców popełził przeto przed siebie na czworakach, aż dotarł do wody i mocno trzymając bestyję, zanurzył rękę aż po łokieć i takż długo nie wyciągał, aż uznał, iż istota utonęła, tymczasem ledwie rozwarł palce, ona wyskoczyła z wody w powietrze i zniknęła, ów zaś, kiedy wrócił do drzwi rzeczonej Anne West, zobaczył ją tam dalej stojącą, tyle iż już w sukni, skierował przeto do niej pytanie, dlaczegóż wypuściła nań swe diabliki, coby go niepokoiły i uprzykrzały mu żywot, a na co odparła, iż ich poruczeniem nie było bynajmniej go trapić, jeno czynić zwiad w zupełnie inszej sprawie.

Panna

W niedzielę chodzimy do kościoła, macierz i ja z całą resztą. Przez „resztę” rozumiem pozostałych mieszkańców. Na Boże Narodzenie ktoś wybił witraże u Świętej Marii, ktoś inny w czasie Wielkiego Postu wstawił nowe, ale i je wybito, zanim nastąpiła majówka – mogłoby się wydawać, że ludzie zamiast śpiewać i tańczyć, postanowili się zająć tłuczeniem i szkleniem. Obecnie w miejscu witraży zieją dziury zasłonięte deskami. Ten w nawie głównej przedstawiał uosobioną Miłość z rozpostartymi błękitnymi skrzydłami i Sprawiedliwość z przepaską na oczach, i jeszcze archanioła Gabriela z wysadzonym klejnotami mieczem oraz jagniątkiem u stóp obutych w żółte sandały. Ludzie gadają, że pastor Long[9] nie będzie się więcej starał o przywrócenie tej świąty na witraże, bo skoro wierni nie zgadzają się na wizerunki odzwierciedlające wspaniałość Królestwa Niebieskiego, niech gołe sękate deski, którymi zabito otwory okienne, posłużą za ironiczny hołd dla ich zawziętego purytańskiego ascetyzmu. Abstrahując od sarkastycznego usposobienia pastora, przypuszczam, iż wcale mu się nie podoba, że nawet teraz, w duszne przedpołudnie pod koniec lata, musi odprawiać nabożeństwo przy migocącym blasku świec i tej odrobinie światła słonecznego, które dostaje się do środka przez szpary między dechami. Opinie parafian są podzielone. Jedni nie mogą patrzeć na papistowskie wyobrażenia, drugim sprawia przyjemność oglądanie malowanego szkła. Są też tacy, którzy nie mają zdania i wolą w ogóle o tym nie rozmawiać.

Kościół pod wezwaniem Świętej Marii, choć skromny, służy zarówno mieszkańcom Mistlej, jak i Manningtree. Pastor spogląda z wysokości ambony na zwarte rzędy parafian, którzy siedzą w ławkach mniej więcej tak, jak Pan Bóg przykazał. Po lewej niewiasty z głowami nakrytymi wykrochmalonymi czepkami, po prawej mężczyźni (ci, którzy się uchowali) patrzący posępnie spod kapeluszy z szerokim rondem. Na przedzie ludzie znaczący, z obliczami bladymi i nieruchomymi, jakby wyciosanymi z kamienia, w czarnych jak hiszpańska noc śliskich jedwabnych szatach. Co pobożniejsi robią w trakcie kazania notatki, spisując wątpliwości i kwestie sporne, aby je poruszyć, gdy pastor zejdzie z ambony. Za nimi, w głębi, siedzi pospólstwo o twarzach naznaczonych niesprzyjającą pogodą, kiepskim żywieniem i niesporadyczną bójką; miejsce czepków zajmują wystrzępione chusty, a eleganckie odzienie zastępują stroje uszyte z materii w kolorze wyblakłej zieleni i beżu, do tego całe pokryte wżartymi plamami. Tamże, wśród biedaków w tylnych rzędach, rodzą się szepty i podśmiechy, ilekroć z ust duchownego padnie sprośna uwaga o obrzezaniu czy ladaczniczy, a czasem wystrzeliwuje pocisk – orzech włoski wciąż w łupinie czy czereśnia sercówka nieobrana z mięszu – posłany w stronę pastora przez jedno z umorusanych dzieci, które ze swej natury są sceptyczne i ani myślą siedzieć w bezruchu przez prawie dwie godziny homilii.

Macierz i ja siedzimy z tyłu po lewej, w przedostatniej ławce. Tu i ówdzie widzę satynową wstążkę w barwie szmaragdu albo nawet wyzywającego szkarłatu, która wymyka się z ciasno zaplecionego warkocza Prudence, Rachel czy Esther i spływa po nagiej białej szyi niczym strumyk krwi. W kościele jest duszno, kobiety wachlują się chusteczkami, mieląc mieszaninę woni, wśród której wyczuć można wodę różaną, krew menstruacyjną, pot i rozgrzaną smołę. A ponad tym wszystkim góruje pastor Long, który objął parafię Świętej Marii całkiem niedawno, po tym jak przysłano go z Londynu, aby zastąpił pastora Caldwell'a zabranego przez febrę, co może świadczyć, że Pan nie umiłował tego ostatniego aż tak bardzo, jak ów kazał nam myśleć. Nasz nowy pastor jest bardzo młody i na me oko nie umie taić swych uczuć tak, jak

powinien mężczyzna, a zwłaszcza duchowny. Zdarza się, że rzuca bezradne spojrzenie skrzętnie notującym coś purytanom i ocierając krople potu znad górnej wargi, zastanawia się, jakiejże to kontrowersji dopatrzyli się w jego letnim kazaniu. Nawiasem mówiąc, Long to dość niefortunne nazwisko dla pastora. Żarcik nasuwa się sam przez się.

Siedząc w przedostatniej ławce, nie mam najlepszego widoku na ukochanego, ale wiem, gdzie go szukać: dwa rzędy przede mną po drugiej stronie nawy, między Johnem Stearne'em, drobnym szlachcicem, który czasem daje mu pracę, i ciemnowłosym mężczyzną, którego nie rozpoznaję, a tylko wnoszę, że to niedawno do nas przybyły niejaki pan Hopkins. Teraz, na mych oczach, podczas gdy pastor objaśnia relację między Eliaszem i Achabem, John Edes odwraca się do nieznanego i uciska go syknięciem, przy okazji prezentując mi z profilu swój nos w całej glorii. Pan Hopkins – o ile to faktycznie on – też ma nos. Haczykowaty, nigdy niezłamany, z zaczerwienionymi i rozdętymi nozdrzami, do których co rusz przytyka chusteczkę wykończoną koronką.

Po nabożeństwie wychodzimy wszyscy z mrocznego kościoła na wrześnie słońce, rozmrugani i nastroszeni niczym świeżo wyklute kurczęta. Wokół rozlegają się pozdrowienia i błogosławieństwa, typowe jak skrzywienie starego wschodka. Pobożniejsi spędzą na kościelnym dziedzińcu całe popołudnie, roztrząsając co bardziej finezyjne kwestie poruszone przez pastora w kazaniu, podczas gdy ich nie mniej pobożne żony będą się przemieszczać między grobami niczym funeralne barki, abyśmy wszyscy do woli się napatrzyli na flandryjskie koronki, które zdobią noszone przez nie spódnice. Na szczęście większość z nas ma lepsze rzeczy do roboty.

Trakt wiodący z powrotem do Manningtree wysechł na pieprz, przez co naszą leniwą procesję podążającą w dół kościelnego wzgórza otacza chmura brązowego pyłu. W czasie przypływu rzeka Stour zdaje się pomarszczoną błękitną wstęgą, którą od brzegu odgranicza linia zarośli i chabazi. Dzień jest bezwietrzny, bicie dzwonów niesie się aż z Felixstowe leżącego po drugiej stronie zatoki. Macierz, rosła i krzepka w ciasno zasznurowanej purpurowej niedzielnej sukni z cienkiej przędzy, wysforowała się naprzód i idzie teraz przed Liz Godwin i wdowami Anne Leech[10] oraz Margaret Moone[11]. Ja wlekę się z tyłu z najstarszą córką Margaret, Judith.

Judith to dwie wiosny ode mnie młodsza bladolica fleja z duszą szelmy. Wargi ma wściekle czerwone, objęte otoczką wyprysków, przez co wygląda zawsze, jakby dopiero co skończyła buszować w jeżynach. Te usta to przemyślany, wiele mówiący ozdobnik dany jej przez Stwórcę, jak żółto-czarne paski szerszeniowi – ostrzegają bowiem, że Judith ma niewyparzoną jadaczkę. Cieszy mnie, że znajomość naszych rodziolek stała się zarzewiem naszej przyjaźni, bo nie sądzę, abym chciała mieć w niej wroga. Idziemy pod rękę długim pylistym traktem w stronę domu, gdy nagle Judith odrzuca głowę do tyłu i wykrzykuje nieco obrazoburczo:

– Bożeż ty! Tak ziewałam, że mogłabym połknąć dzieciaka! Na przykład tego najmłodszego od Edwardsów. Apetyczny zeń tłuszczoszek.

Odpowiadam, że nie było tak źle i że podobał mi się ten fragment o umywaniu nóg.

– Me stoopy... są czyyyste – Judith przedrzeźnia akcent naszego nowego pastora – ...jak mogłaabym je teraz skaalać?

Klaszcze w dłonie, a ja wybucham śmiechem, kwitując jej swawolę krótkim „amen”.

Judith mruży oczy i rzuca do mnie konfidencjonalnie:

– Nie ja jedna wynudziłam się za wszystkie czasy. Zauważyłaś, że niektóre osoby – tu biegnie spojrzeniem do naszych matek idących przodem – wychodzą z nabożeństwa, mają takie miny, jakby je coś uwierało w tyłku?

Śmiejemy się jedna przez drugą, gdy wtem zrównuje z nami krok Prudence Hart. Wita nas radośnie ze słodko-podłym uśmieszkiem na ustach i ostentacyjnie splata palce pod

wystającym brzuchem, jakbyśmy mogły go przeoczyć. Jej czas przyjdzie zimą, co nigdy nie wróży najlepiej ani dla położnicy, ani dla mającego przyjść na świat dziecka.

– Co u ciebie? – Judith szczerzy do niej zęby i porusza swymi lisimi brwiami. – Patrzcie no tylko, korpulentnaś jak foka w Harwich!

Prudence się śmieje.

– Thomas powiada, że wyglądam dobrze. – Poklepuje się po brzuchu. – Wielka szkoda, że tylu młodych mężczyzn udało się na wojnę z Antychrystem. Teraz nikt inny, tylko kałuże będą wam wypominać, jakie jesteście przeciętne.

Rywalizacja między Prudence Hart a Judith Moone – sąsiadkami, które dzieli ledwie pół roku i które wychowując się razem, grały w kocią kołyskę przy kominku – straciła na mocy i obecnie jest tylko na pokaz. Służy rozrywce ich dwu i każdego, kto znajduje się w ich towarzystwie. Powód wzajemnej wrogości, o ile jakiś w ogóle istniał, przepadł w latach, zanim zaczęły się walki, kiedy mężczyźni objadali się mięsem co wieczór, mając dzięki temu siły, by powściągać ataki furii swych żon (a przynajmniej tak im się wydawało).

– Och – bąka Judith, machając mi ręką przed nosem, żeby klepnąć naszą towarzyszkę w ramię. – To nic, Prudence. Wiemy, że możemy polegać w tej mierze na twej przyjaźni. Wielka szkoda jest taka – dodaje na jednym wydechu – że wojownicy za wiarę nie znaleźli żadnego zajęcia dla twego ukochanego Thomasa. Powiedz: przeszkodą był jego wiek czy raczej sadło?

Prudence prycha paskudnie i zwalnia kroku, nareszcie, by z więdnącym na ustach uśmiechem zaczekać na swą matkę. Judith rozciąga wargi w tryumfalnym uśmiechu.

– Chyba wygrałam – mówi, w nagrodę obgryzając paznokieć brudnego kciuka. Ogląda się za siebie i dodaje z zadumą: – Ależ glizda z niej...

Po nudzie nabożeństwa plac targowy jawi nam się rozrywką. Maszerujemy dziarsko ramię w ramię i to przyglądamy się rozładowywanym z wozów niecodziennościom, to zaglądamy w zapyziałe okna sklepików, szczególną uwagę poświęcając temu, który należy do kupca bławatnego. Upał jest nieznośny. Czuję klucie potu pod falbaniastym czepkiem na głowie. Obszarpane dzieci bawią się w kurzu, a kilka kobiet, z rodzinami zbyt licznymi, aby mogły sobie pozwolić na luksus święcenia dnia świętego, pomimo niedzieli mozolnie szoruje wschodki. W powietrzu unosi się kwaśnawa woń końskiego łajna zmieszana ze słodyczą cebuli smażonej na słoninie. Judith zniecka obraca się do mnie i zaczyna mnie szczypać po policzkach: „Ach, daj, niech ci zaróżowię trochę te lica, Becky!”. Gdy uświadamiam sobie powód, dla którego to robi, zażenowanie wyposaża mnie w głębszy rumieniec, aniżeli mogłoby sprawić godzinne szczypanie, widzę bowiem Johna Edesa, który opuściwszy piekarnię, zmierza w naszą stronę w kompanii ciemnowłosego nieznajomego z kościoła.

John kłania się nam nisko i odsuwa kapelusz z czoła, odsłaniając urodziwą twarz.

– Panna West, panna Moone... – Rozpromienia się cały. – Dobrego dnia wam życzę.

– Pan Edes... – odpowiadamy unisono i dygamy, czemu towarzyszy szelest naszych ciemnych sukni. Na moment spuszcza też skromnie spojrzenia.

– Bóg pobłogosławił nas kolejnym ładnym dniem. Równie dobrze mógłby być środek lata. – John się uśmiecha, mrużąc oczy uniesione ku bezchmurnemu niebu.

Słońce lśni na sprzączce jego kapelusza, jakby nie wierzyło we własne szczęście, że go sięga – i w sumie kto mógłby je winić?

– Jak dla mnie jest za gorąco – odpowiada Judith zaczepnie.

Znowu wbijam wzrok w spieczoną ziemię pod stopami, ale kątem oka widzę, że przyjaciółka patrzy otwarcie na nieznajomego, pozwalając, aby ciekawość wzięła górę nad skromnością. Zdaje sobie sprawę, że skórę mam powleczoną warstwą potu i że włosy wymykają mi się spod czepka.

– No cóż... Jak Bóg zechce, ześle nam odrobinę deszczu. Zrobiłoby się bardziej rześko – przyznaje dyplomatycznie John, drapiąc się po włosach.

Wtem czuję, jak lewa pończocha opada mi do kolana. Gapię się na swój krzywo zasnurowany gorset, który sam w sobie nie leży na mnie zbyt prosto, i ogarnia mnie jeszcze większy wstyd. Dlaczego nie mogę być taka pewna siebie jak Judith? Mimo że jest chłopczycą z wypryskami wokół ust, wyzywająco zadziera zbyt mały podbródek i sztywna niczym uschnięta topola emanuje pragnieniem. Mam ochotę ją udusić i ucałować w tym samym momencie...

– Panno West? – powtarza John.

Myśli tak mnie pochłonięły, że nie zwracałam uwagi na to, co kto mówi, i teraz przychodzi mi potwierdzić, że panna West to faktycznie ja.

– Ja... Wybacz, panie. – Zginam się w pasie ledwie zauważalnie.

John się uśmiecha – alleluja!

– Pytałem, czy widzimy się podczas cotygodniowej lekcji. W czwartek?

– Tak, przyjdę koło południa.

– Doskonale.

Unoszę spojrzenie na wciąż uśmiechającego się Johna, mając świadomość, że sposób, w jaki nań patrzę, zostanie odebrany jako kokieteryjny przez gospodynie, które tylko udają, że wywieszają pranie, w rzeczywistości bowiem to przypadkowe spotkanie pochłania je w całości. Widujemy się z Johnem raz w tygodniu w jego kwaterze nad karczmą White Hart[12], gdzie uczy mnie czytania i pisania. Przypuszczam, że w zwyczajniejszych czasach bądź wśród pobożniejszej trzódki taki układ zostałby uznany za trącący skandalem. Atoli, jako że jesteśmy w Manningtree i mamy rok Pański 1643, w którym to wielu świątłych mężów spodziewa się upadku społeczeństwa, jakie znamy, ludzie w dużej mierze robią, co im się podoba, pod warunkiem że nazajutrz są gotowi stawić czoło plotkom. W każdym razie uczę się od Johna tego, czego w normalnych okolicznościach nauczyłby mnie ojciec, to jest: czytania i rozumienia Ewangelii, składania podpisu, liczenia w ograniczonym zakresie, potrzebnym niewiedzie do prowadzenia domu oraz tego, by się zorientowała, gdy ktoś chce ją okantować. Ponieważ szybko się uczę, umiem już to wszystko, a nawet więcej, ale nie zamierzam rezygnować z nauk niedouczonego Johna, z którym przez dwie godziny każdego tygodnia sylabizuję co trudniejsze wyrazy – o-szczer-stwo; po-błaż-li-wość – mając jego cudną twarz obok swej.

– Pozwolę sobie przedstawić pana Hopkinsa – ciągnie John, wskazując gestem kompana, który obojętnie uchyla kapelusza.

– Och! – wykrzykuje Judith. – To pan przyjechał z Suffolku i dzierżawi Thorn Inn!

Pod jej spojrzeniem Hopkins nerwowo przestępuje z nogi na nogę, nieco zmieszany, że tyle o nim wiadomo.

– Ja... – zaczyna i na tym kończy. Przytykając do skroni zmiętą w lewej dłoni chusteczkę, spogląda błagalnie na Johna, który wybucha śmiechem.

– W Manningtree wiadomości rozchodzą się szybko. Za dużo kobiet, za mało pracy.

– W rzeczy samej – rzuca Hopkins.

– Panowie, panowie – wtrąca Judith. – Pojawienie się mężczyzny to rzadsza i lepsza wiadomość aniżeli jego zniknięcie.

– Aha. – Hopkins muska opuszkami wargi. Oczy, skrywane pod szerokim rondem kapelusza, ma utkwione gdzieś ponad naszymi głowami. – Niestety – dodaje apatycznie – stan mego zdrowia nie pozwala mi walczyć w słusznej sprawie. Tym bardziej więc mnie cieszy, że znalazłem się pośród tak... bogobojnych osób.

Nie mówi tego z wielkim przekonaniem, a spojrzeniem biegnie ku błękitnemu niebu nad pobliską jatką. W mym odczuciu nie wygląda na kogoś, kto potrafi się cieszyć czymkolwiek.

Znowu przytyka koronkową chusteczkę do skroni, jakby oczekiwał, że szepnie mu wskazówki, jak powinien się zachować w tej rozmowie. Współczuję mu, nie mam wyjścia; sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić, co począć z tym całym istnieniem.

– Pan Hopkins – wyjaśnia John – nie tak dawno ukończył Cambridge...

Matthew Hopkins, szolarz. Jest młody i przystojny. Czy też, jak mówią kobiety, byłby przystojny, jeśliby... Jego sposób bycia ociera się bowiem o zniewieścienie. Do tego te wypięłgunowane wąsy, kręcone włosy spływające aż za łopatki i wąskie, ruchliwe usta. No i strój, jaki rzadko się widzi w Manningtree i który świadczy o dobrym guście noszącego, oraz buty z cholewami wypucowanymi na błysk. Ale jest w tym mężczyźnie coś, co mi nie pasuje do jego zewnętrznego wyglądu, coś, co mi mówi, że w środku kryje się ktoś więcej aniżeli zwykły śmiertelnik. Czarne buty, czarne rękawice, czarny dublet, czarna peleryna, czarne loki – i ta biała twarz zagubiona pośród pogrzebowej odzieży... Ponad jego ramieniem dostrzegam macierz czekającą w wylocie uliczki odchodzącej od placu targowego; stoi tam z rękoma wspartymi na biodrach i obliczem ściągniętym w wyrazie podejrzliwości.

Tłumaczę obu mężczyznom, że czas na mnie. Zarówno Hopkins, jak i John podążają spojrzeniem za mym wzrokiem – ku miejscu, w którym zatrzymała się macierz. Ogorzała, w silnym kontraście z białym krzyżem targowym. John uchyła w jej stronę kapelusza, ale nie zostaje zaszczycony w rewanżu żadnym uprzejmym gestem.

– Na mnie też – oznajmia Judith, z westchnieniem zerkając na Margaret Moone, która niecierpliwie tupie nogą przed sklepikiem. – Żegnaj i powodzenia z Thorn Inn! – dorzuca ze śmiałym uśmiechem w stronę Hopkinsa.

Macierz kroczy przede mną, śpiesząc się, jakby miała coś pilnego do zrobienia. Im wyżej wspinamy się na wzgórze Lawford, tym dalej za sobą zostawiamy śmierzące, lepkie powietrze, które ustępuje świeżej woni trawy i lekkiego wietrzyku. Po prawej aż po horyzont ciągną się pola, dalej leży Kent i morze, i to, co za nim, a teren pomiędzy „tu” i „tam” pstrzą pasące się stada. Po lewej mam widok na pokryte strzechą dachy wiejskich domów, skąpane w żółtawym anielskim świetle wczesnego wieczora, w odleglejszej perspektywie – dymy unoszące się nad Felixstowe. W takiej scenerii miło byłoby się przechadzać z ukochanym, myślę.

– No więc – odzywa się macierz, zerkając przez ramię – może mi powiesz, kim był przyjaciel Johna Edesa, z którym obie z Judith tak zażyłe rozmawialiście?

W jej głosie słyszę nutę smutku, gdyż wiem coś, czego ona nie wie, a tego szczerze nienawidzi, zwłaszcza że musi teraz udawać brak zainteresowania, jakby pytała tylko z czystej uprzejmości.

– Matthew Hopkins – zaspokajam jej ciekawość. – Ten sam, który dzierżawi oberżę Thorn Inn.

– Młokos zeń. W dodatku nosi się cały na czarno.

– Rzeczywiście nie przypomina żadnego oberżysty, jakiego znam. – Smagam laską wiecheć trawy rosnącej wzdłuż krętej ścieżki, podrywając tym jednym ruchem chmarę gzów, które wzbijają się szaleńczo w niebo.

– Tak? A iluż to oberżystów poznałaś, Becky? – Macierz rechoce, a ja czuję, jak twarz mi się wydłuża pod jej spojrzeniem i z powodu przypomnienia, jakie nieatrakcyjne życie prowadzę. – Odmieniec z ciebie – wdycha. – Nie zaszkodziłoby ci, jeślibyś od czasu do czasu wychyliła kapkę. Nabrałabyś dzięki temu kolorów, che, che. – Nagle przystaje, odwraca się do mnie i z dziwnym spojrzeniem unosi szorstką dłoń ku mej twarzy. Kulę się w sobie, ona jednakowoż najwyraźniej chce dotknąć mnie w pieszczocie. – Tylko ty mi zostałaś, Becky – dodaje ciszej.

W tym świetle i kiedy wietrzyk bawi się kosmykami, które wymknęły się jej spod czepka,

zaczynam myśleć, że jest na swój sposób urodziwa – zrujnowaną urodą. Wysoka jak diabli w tej swej falbaniastej niedzielnej sukni. Do głowy nie przychodzi mi żadna odpowiedź, mówię więc:

– Nie chcę być jedynym, co ci zostało.

Odpycham jej rękę i wymijam ją, by podjąć wspinaczkę, co rusz siekąc chwasty wychodzące na ścieżkę.

– To dla ciebie haruję, Becky! – woła za mną macierz. – Bóg w niebie świadkiem, że nikt inny tego nie robi. Mam na ciebie oko. Zbierzesz tylko to, co posiejesz, pamiętaj!

Idę przed siebie i nie myślę o niczym innym aniżeli stawianie jednej nogi przed drugą, aż wreszcie matczyne utyskiwania porywa wiatr. Mijam nasze podwórko, na którym czochoją się kury, mijam furtkę, która ledwie trzyma się na zawiasach, mijam pusty od dawna dom po sąsiedzku, przy którego zachodniej ścianie chyli się ku ziemi chlewik. Wdrapuję się na szczyt wzgórza i później zaczynam schodzić po przeciwnej stronie, pozwalając, by zachodzące słońce raziło mnie w oczy niczym odbłask klejnotu. Nareszcie sama myślę: mój Boże. Co za upokorzenie. Co za beznadzieja. Chce mi się płakać, bo nigdy do niczego nie doszło i zapewne nigdy już nie dojdzie. Zasznurowany ciasno z okazji niedzieli gorset mnie uwiera, zatrzymuję się więc przy płocie Hobdayów, żeby go poluzować, i wciągam głęboko powietrze przesycone intensywną wonią bydła. W tym samym momencie widzę, że na jednej ze sztachet ktoś wyrzezał znak krzyża.

Jestem biedaczką. I co gorsza – dziwaczką. Widzę, że na wyschniętym pastwisku Hobdayów są zieleńsze miejsca, tam gdzie upadły krowie placki, i to sprawia, że zaczynam myśleć o umarłych, opierając się o płot i motając na nowo kokardę. O umarłych, którzy spoczywają pod ziemią, biednych i dziwnych, i wszystkich innych. O ojcu, którego prawie nigdy nie wspominam i dla którego rzadko znajdujemy czas w naszych rozmowach. Czy me życie byłoby lepsze, jeśliby wciąż żył? Pewnie nie. Łajdaczył się, pił i bił, z tego, co pamiętam i co sugerują plotki. Byłybyśmy i tak biedne – może nawet biedniejsze – z tym darmożjadem, mężczyzną bez znaczenia, który przesyypiał kazania i zasypiał przy kominku z ręką w spodniach. Nasza bieda pozostałaby faktem. Ale sytuacja, w której żona miałaby męża, a dziecko ojca, niewątpliwie jawiłaby się jako mniej dziwaczna.

Macierz powiedziała prawdę. Ma na mnie oko. Jak mogłaby nie mieć, skoro pracujemy, śpimy, budzimy się i nawet sikamy razem, jedna obok drugiej, siedząc sobie na głowie? Przypominamy dwa drzewa, które rosną splątane w gęstwie lasu, szarpiące się nawzajem gałęziami w porywach silniejszego wiatru. Czuję się jak w matni. Jedynym wyjściem z niej jest dla mnie – on.

[9] *Long* (ang.) – długi.

[10] *Leech* (ang.) – pijawka.

[11] *Moone* (ang.) – średnioangielska wersja pisowni wyrazu *Moon*; księżyc.

[12] *White Hart* – dosł. biały jelen; tu: karczma Pod Białym Jeleniem.

Dyskurs

Matthew Hopkins odprowadza spojrzeniem młódki, po czym przygląda się dwóm białym czepkom, które podskakując, przemieszczają się w górę wzgórza. Pyta, czy jedna z dziewczek jest niespełna rozumu.

– Ta z ciemnymi włosami – precyzuje.

Jego zdaniem wyglądała dziwnie, jakby bardziej jej odpowiadało miejsce na niebie, przycupniętej na skraju poszarpanej chmury, aniżeli w ławce wiejskiego kościółka. Poza tym te szeroko rozstawione oczy i ich kolor ...

– Rebecca? Skądże – zaprzecza John Edes. – Jest tylko nieśmiała, jak przypuszczam. Za to jej matka... – Śmieje się cicho. – Z Beldam West jest stara zrzęda, mało kto ma odwagę wejść jej w drogę. Kilka wiosen temu trafiła do lochu za zabicie sąsiadowi świni.

– Świni? – powtarza Hopkins, mrugając oczami. Wargi ma zaciśnięte w niewidoczną kreskę ukrytą pod czarnymi wąsami. – Litości. Jak to?

– Nie jestem do końca pewien. To było, zanim przyjechałem tutaj z Londynu. Ponoć doszło do sprzeczki na podwórku. Beldam West wparowała do domu, wypadła z nożem rzeźnickim i poderżnęła nieszczęsnej maciorze podgardle, wprawiając wszystkich w osłupienie. Co ciekawe, nie świnia stanowiła przedmiot sporu.

John wybucha śmiechem, ale Hopkins nie weseleje ani trochę.

– Niewiasty – wzdycha.

– Nazywasz ją niewiastą? Ja bym ją nazwał Lilith. Jeśli szukasz w Manningtree żony, długo ci zejdzie, zanim jakąś znajdziesz.

– Nie szukam żony – odpowiada Hopkins.

Gdy w hrabstwie Berkshire połączone armie parlamentu odnoszą wbrew wszystkiemu zwycięstwo nad rojalistami, w całym Esseksie zapanowuje atmosfera karnawału; mężczyźni piją i strzelają na ślepo z muszkietów, pewni, że Pan Bóg wydał już wyrok na niegodziwców. Relacjonując walki, przywołują byty nadprzyrodzone, tak że wkrótce w ich oszołomionych cydrem umysłach wyrasta nad polem bitwy archanioł Michał, na którego rozkaz galopują zastępy śnieżnobiałych wierzchowców. Wrzesień przechodzi w październik, ten zaś w listopad. Kończą się żniwa, a wraz z nimi wyjątkowo długie lato; malowana figura przedstawiająca papieża staje w płomieniach na błoni.

Matthew Hopkins otwiera podwoje oberży, nie robiąc z tej okazji wiele zamieszania. Na przełomie rok nikt już nie dziwi się jego upodobaniu do ponurych strojów, a wielu je nawet rozumie. Podczas gdy wszyscy starają się załatwiać swe sprawy jak najszybciej, by schronić się przed jesienną mżawką w zaciszu własnego domu, Hopkins niczym posępny długonogi kruk przechadza się ulicami, mając za towarzyszy Johna Edesa i Johna Stearne'a, i jeszcze paru innych w miarę odczytanych jak na Manningtree mężczyzn, z których każdemu się wydaje, że jest Nehemiaszem, co tylko sprawia, iż Hopkins tym bardziej wbija się w purytańską dumę. Jedni nazywają go zacofańcem, drudzy go podziwiają – bez rodziny, za to z mnóstwem pieniędzy, jak się wydaje.

Matthew Hopkins jedzie stępa przez pole o świcie i spostrzega w trawie czarne pióro, lśniące i doskonale. Matthew Hopkins podejmuje gości. Matthew Hopkins objaśnia. Matthew Hopkins prowadzi dyskurs, a najznacniejsze samouki w okolicy spijają z jego ust każde słowo, każdą mądrość głoszonej przezeń radosnej teologii.

– Albowiem to oczywiście Księżę Powietrza – peroruje Hopkins, unosząc skraj peleryny jeździeckiej, aby jego uczeni kompani mogli lepiej się przyjrzeć haftowanemu rąbkowi i gładkości soboli.

W ich uszach brzmi to sensownie, nie widzą niczego niezwykłego w tym, że diabeł potrafi się zmaterializować niczym dobrze ukręcone masło i wślizgnąć pod drzwiami spiżarni, gdzie weźmie w posiadanie gospodynię. Albo gospodarza.

Bez trudu przychodzi im wyobrażenie sobie diabła w postaci wielkiej chmury na niebie albo oparu snującego się od strony rzeki, diabła, który zbiera i gromadzi wszelki dym do późniejszego wykorzystania. Który unosi się miazmatem nad bagnami i torfowiskami, przynosząc febrę. Diabła jako głowę w koronie z delikatnych liści kobyłaka, ćmę z ustami na obu krańcach. Zwieszającego się z jesiennych obłoków niczym pasy odartej z ciała skóry. Diabeł drobi kroczki i tańczy. Tańczy jak dziewczę wąskobiodre, powiewające włosami. W stanie rozpalenia. Teraz, gdy noce są dłuższe, może chodzić od drzwi do drzwi w przebraniu ciemnocygnaka, który na oczach zaciekawionych mężatek i panien rozchyła poły płaszcza, lecz zamiast jedwabnych wstążek i guzików z masy perłowej pokazuje im poronione płody i traszki. „Ten tutaj to Sterczuś, a ci dwaj to Pięknisie”. Czarny kot siedzący na grządce z truskawkami ani na moment nie spuszcza zeń oka.

Diabła można znaleźć w wilgotnych partiach lasu, pod powalonymi kłodami. Rozmawia ze stonogami i ropuchami, które szorując miękkim podbrzuszem po kamieniach i ściółce, wylazą na trakt, aby okuliwić konia szlachcica jadącego wierzchem do Ipswich bądź umościć się między rozłożonymi udami jakiejś młodej wieśniaczki, która akurat marzy o poślubieniu Turka zadowolającego ją językiem. Diabeł pluje tęczę. Wraża ją w ciebie.

– Rzecz jasna moc tworzenia – stwierdza Hopkins, uśmiechając się wyrozumiale, gdy razem z panem Stearne'em siedzą przy kominku – ma tylko Bóg.

Czy nienawiść albo pożądanie lub głód mogą wypiętrzyć wyspę z morza bądź upstrzyć puste nocne niebo gwiazdami? Nie. A jednakowoż i nienawiść, i pożądanie, i głód są równie rzeczywiste jak ty czy ja i nikt tego nie podważa. Taka właśnie jest jego moc, szarpie twymi wnętrznościami niczym głód, aż weźmiesz w usta najohydniejszą rzecz, i delikatnie a mistrzowsko muska różowe zwieńczenia piersi i inne sekretne partie, aż zaczniesz błagać, by wypełnił cię tą mocą. Gniew, który cię ogarnia, gdy patrzysz na śmiejącą się twarz kogoś, kto wyrządził ci krzywdę, który sprawia, że pragniesz zacisnąć na tej twarzy dłoń i rozerwać ją niczym mokry papier.

Nasylenie. Jeślibyśmy je kiedykolwiek osiągnęli, być może zaznalibyśmy czegoś zbliżonego do spokoju. Gonimy za nim. Ale to iluzja, którą on nam obiecał, przesył niemyjący krańca, ciemność dotykająca sedna ciebie, każdego narządu naraz, aż poczujesz korzenie sięgające niżej i niżej, wnikające w ziemię i wszystko inne przez pokryte patyną kości zmarłych, ich marzenia przesuujące się pod twymi stopami niczym podziemna rzeka.

– To odrażająca odwrotność jedności obiecaną bogobojnym u wrót Niebios. Tym, czym księżyc dla słońca, tym niewiasta dla mężczyzny. – Gdy Hopkins mówi, wszyscy słuchają go z natężeniem, ze wzrokiem płonącym w blasku ognia, wśród cieni falujących na ścianach pomieszczenia.

Chłopiec

Minał dzień upamiętniający spiszek prochowy i malowana figura papieża ze szerniałymi policzkami dogasa na błoni. Ranek jest słoneczny, ale bardzo zimny, linia brzegu porośnięta purpurowymi kwiatami astra solnego. Na rzece Stour panuje odpływ, przez powleczony wilgocią muł trudno stwierdzić, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy woda. Przy kei stoi grupka kobiet zakutanych w spłowiałe okrycia, z tanimi, króliczymi mufkami opatulającymi im ręce w obronie przed kęsającym chłodem.

– O, nie pogardziłabym kielonkiem – rzuca Beldam West, kurcząc się pod warstwami odzienia. – Kapką czegoś, co by rozgrzało kości...

Margaret Moone cmoka.

– Nie ma nawet południa, ty glajdo.

Pod względem wieku góruje nad resztą Bess Clarke, zgarbiona nad laską i zdająca się czerpać gadzią przyjemność ze słońca, które pada na jej starczą twarz. Obszarpaną chustę ma odsuniętą z głowy poznaczonej między rzadkimi włosami plamami wątrobowymi. Pod względem wzrostu góruje nad resztą Beldam West, węzłasta i animuszna, w zwędzonej pelerynie okrywającej jej plecy. Margaret przy patykowatej Beldam West sprawia wrażenie pulchnej, z białą twarzą pod koronkowym białym czepkiem zupełnie jak cukrowana bułka w bibulce i z ciałem, które zdaje się rozpierać tanią tkaninę sukni. Dalej stoi Anne Leech, przypominająca pijawkę tak samo jak Margaret księżyc. Co do Anne, mimo że owdowiała, nie zanosi się, aby miała powtórnie wyjść za męża. Wiecznie rozbiegana czarnooka niewiasta z usteczkami w ciup, która nie przestaje nadstawiać ucha na wszystko, co odstępkuje od normy, wywiaduje się, ile może, a następnie przekazuje wszystko dalej, odkąd wysłała w świat trzy córki i nie ma nic lepszego do roboty. Stawkę zamyka Liz Godwin, szczupła zgrabna kobieta o pustym spojrzeniu łagodnych oczu jak u klaczy pożądanej przez szerokie grono. Liz szczerze szasta tytoniem do żucia, co dobrze się składa, bo niewiele innego wnosi.

Rozmawiają o imionach. Dziecięcych imionach. Żadna nie może już marzyć o dziecku, ale są wytrawnymi krytyczkami sąsiedzkich wyborów.

– Free-love[13], tak Edwardsowie nazwali swego najmłodszego syna – prycha Anne Leech. – Słyszał to kto?

– Mnie też to bardziej brzmi jak imię dla dziewczynki – wtrąca Liz Godwin, która rzadko kiedy rozumie ich żarty.

– A mnie w ogóle nie brzmi jak imię – kwituje Beldam West.

– Słyszałam podobne – wyrzywa się Margaret Moone. – I gorsze też. A wiecie, jak Catesowie z Bergholtu nazwali swą córkę? Continnence![14] – informuje ku zachwytowi wszystkich zebranych.

Głowy trzepocą, rozlegają się westchnienia – „nigdy bym nie...”, „za mych czasów to...” – po czym Anne Leech dodaje, że w Thorpe jest dziewczka, która nosi imię... Silence[15], z pewnością nadane po to, by zwracać uwagę na jej zaletę, zważywszy, że diabeł postanowił obdarzyć ją zajęczą wargą.

– Tak powinnam była nazwać mą Becky – stwierdza Beldam.

Margaret Moone oświadcza, że Rebecca wie, czego chce, i dziwuje się, że żaden mężczyzna nie wydaje się gotów wziąć ją za żonę, skoro sam – kimkolwiek by był – nie usłyszałby od niej złego słowa. W ogóle nic by nie usłyszał...

– O, tak myślisz, co, Meg? – kontruje Beldam z niedowierzaniem. – Na Boga – gwizdże – słodkie oblicze pokazuje ma Becky światu, ale pluje jadem, kiedy tylko przyjdzie jej ochota.

Jedynie Liz Godwin się krzywi, gdy Beldam nadaremno wzywa imienia Pana.

Bess Clarke porusza się lekko i otwiera przesłonięte bielmem oczy.

– Ano – potwierdza – tak powinno być. Zbyt wiele niewiast jest tępych albo nieporadnych. Skoro Rebecca ma siłę przebicia i dość oleju w głowie, aby to ukrywać, moim zdaniem jest bardziej aniżeli gotowa do zamążpójścia. – Kończy wypowiedź krótkim, łamiącym się śmiechem.

– Przynajmniej robi, co się jej każe – podsumowuje Margaret. – Ma Judith... nie dalej jak trzy wieczory temu poprosiłam ją, żeby przyniosła z podwórka wiązkę chrustu, a ona na to: „Nie pójdę”, chociaż tylko siedzi przy kominku i grzejąc się, popija me piwo. – To wywołuje wśród zebranych zgodny pomruk dezaprobaty. – „Lepiej dla ciebie, żebyś poszła, dziewczyno... – Margaret urywa i toczy spojrzeniem po wąskim gronie, aby się upewnić, że jej słowa cieszą się należytą uwagą – ...bo jak nie”, mówię. „Bo jak nie, to co?”, rzuca mi bezczelnie w twarz. „Weźmiesz kij i mnie stłuczysz?”

Krąg się zacieśnia w reakcji na wzmiankę o przemocę, która przyciąga niczym ogień. Margaret Moone jednakowoż milczy.

– No i wzięłaś kij i ją stłukłaś? – pyta w końcu niecierpliwie Beldam.

– Nie – odpowiada Margaret ze wzruszeniem ramion. – Narzuciłam chustę i poszłam po drewno sama. Taki los wdowy.

Bess Clarke wzdycha.

– Dziewka w tym wieku chce sprawdzić, jaką władzę posiada. Chce zniszczyć coś w rękach, uśmiechając się przy tym. Mężczyźni jej nie interesują. Bo mężczyzna to w oczach dwudziestolatki nie człowiek, tylko odprysk Boga. Tak przynajmniej wszędzie słyszy. Tak jej się wydaje. Żaden mężczyzna nie kąpię się we własnej krwi.

Przez parę chwil panuje cisza, podczas gdy kobiety zastanawiają się nad słowami Bess, pozwalają im zapaść w duszę.

– Prawda – rzuca Anne Leech. – Powtarzam to od dawna. Są ludzie i są... mężczyźni.

W tym samym momencie z zabudowań portowych naprzeciwko wylania się pan Hopkins i pan Stearne, obaj odziani w gęste futro o włosiu stroszącym się na silnym wietrze. Mijając kobiety, niechętnie uchylają kapelusza ruchem podobnym do tego, który wykonuje kruk, gdy dziobem bada ranę. Rozmowa toczy się dalej, dopiero gdy obydwaj znajdą się poza zasięgiem słuchu.

– Matthew Hopkins był w Cambridge – oznajmia autorytatywnie Beldam.

Liz Godwin mruży oczy.

– I co z tego? – pyta. – Mój Thomas też tam był.

Thomas to jej mąż. Jesienią 1643 roku w Manningtree nie ma praktycznie kobiety, której mąż albo syn nie nosiłby tego imienia.

– Nie mówię o dniu targowym, durnoto – parska Beldam. – W Cambridge jest szkoła. Szkoła filozofii. Jeśli twój Thomas do niej uczęszczał, musi być bardzo skromny.

– Myślałam, że Hopkins to prawnik. – Anne Leech pociąga nosem.

– Te jego czarne wąsy – dodaje pod nosem Margaret. – Przez nie wygląda jak sam diabeł.

Ta uwaga sprowadza złowróżbne milczenie. Podczas odpływu muł zasłany jest cuchnącymi morskoczynami i listownicami, butwiejącymi resztkami lin i połamanych trapów. Dwaj chłopcy – Thomas Briggs i Elias Frost – bosy, po kostki utyłani w błocie, próbują łowić kraby pod czujnym okiem łapczywych mew; od czasu do czasu wrzucają coś do ustawionego pomiędzy nimi wiadra.

Beldam woła do młodego Briggsa:

– Czemu marnujesz dobry bekon na te paskudy?

Thomas zatrzymuje się w pół kroku i rzuca jej niepewne spojrzenie, nie przestaje jednakowoż zwijać linki. Ociera nos rękawem, ale nic nie mówi.

Jego milczenie irytuje Beldam. Woła więc ponownie:

– Słyszałeś mnie? Poza tym czy nie jest za zimno na takie zabawy? Przeziębisz się na śmierć!

Briggs, nadal się nie ruszając ani nic nie mówiąc, czeka. Dolną wargę ma wydetą zaczepnie. Jego kompan także przystanął i przygląda się rozwojowi sytuacji. Margaret Moone marszczy czoło, spoglądając ponad lśniącem szlamem na dwóch cichych młodzików.

– Odpowiadaj, kiedy cię pytają, Thomas! – upomina Briggsa. – I gdzie w ogóle jest twa matka?

Chłopiec unosi wyzywająco brodę i odkrzykuje:

– Mama mówi, że nie wolno mi rozmawiać ani z nią, ani z takimi jak ona!

Niczym pchnięta nadnaturalną siłą, zanim nawet jej towarzyszki zdążą sapnąć z oburzenia na chłopięcą bezczelność, Beldam przeskakuje murek i już mknie na przelaj szlamowatego terenu, powiewając za sobą połami kurtki marynarskiej, jakby to były nietoperze skrzydła. Chłopcy rzucają się do ucieczki, lecz za późno; Thomas Briggs wydaje z siebie nagle pisk i zaczyna wierzgać, gdy Beldam chwytą go za ucho i ciągnąc do brzegu, wyzywa od pyskatych szczeniaków, chamskich nygusów i innych takich. W tym czasie ten drugi, nieścigany, zmyka w stronę wsi, zapomniawszy o trzewikach, które zostawił obok wiadra.

Beldam wreszcie wyciąga Briggsa na brzeg. Machając rękoma, Thomas o mało nie strąca czepka z jej przyprószonej siwizną głowy, noga jednakowoż mu się powija, przez co się potyka i przewraca z głośnym plaśnięciem na nierówny bruk. Ryczy na całego, teraz już nie taki zaczepny ani wyzywający, gdy Beldam szarpnięciem za ramię przywraca go do pionu, nie zwracając uwagi na krwawiącą brodę. Potrząsając nim mocno, zaczyna mu robić wyrzuty.

– Wstyd! Kto to widział tak się zwracać do starszych? Co powiedziałyby twój ojciec?

Nieroztropna wzmianka o starym Briggsie, jednym z drobnych szlachciców od niedawna w Związku Wschodnich Hrabstw, sprawia, że Thomas drze się jeszcze głośniej. Beldam podnosi rękę, żeby go uderzyć, ale osłupiałe dotąd kobiety ją powstrzymują.

– No, no, Anne – sapie Margaret Moone, łapiąc Beldam od tyłu za ramiona. – Wystarczy tego dobrego.

Jej reakcja okazuje się w samą porę, gdyż w wylocie uliczki prowadzącej z placu targowego staje Priscilla Briggs, matka małego Thomasa. Wypuszcza z rąk koszyk pełen ciasteczek, które wysypują się prosto w błoto, i oskarżycielskim gestem wycelowuje drżący palec w pięć złoczyńców zgromadzonych na brzegu rzeki. Pierwej wydaje z siebie pisk, a później rzuca się pędem przed siebie.

Kobiety się cofają, gdy przypada do syna i uklękawszy, zamyka go drżącego w ramionach, potem zaś unosi twarz ku Beldam.

– Dziwka! – wykrzykuje. – Żeby podnieść rękę na dziecko jedenastu wiosen!

Nie wypuszczając chłopca z objęć, czyni niesprecyzowany gest w stronę Beldam, jakby jej groziła.

Przez mgnienie oka Beldam wygląda na zdenerwowaną. Nie chciała, by do tego doszło, i zdaje sobie sprawę, że sytuacja jest niezręczna dla wszystkich. Maskuje zdenerwowanie śmiechem, spoglądając z góry na zapłakaną Priscillę Briggs. Jej śmiech jest nieco anarchiczny, dobywa się z głębi gardła. Unosząc ręce w geście poddania, mówi Priscilli, że na Północy takimi młodzikami karmi się smoki, spodziewała się więc, że ten tutaj zniesie ucziwą reprimendę za

swe grzeszki.

– Ale jeśli wolisz wychować na własnym łonie zuchwałego hultaja – kwituje, biorąc się pod boki – nie będę więcej się wtrącać.

Zdażyło się zrobić zbiegowisko. Przyciągnięci podniesionymi kobiecymi głosami niczym pijawki spełzli się robotnicy portowi, którzy stoją teraz z głupimi minami na kei i mamlą glinowe fajki. Piekarz tkwiący w progu rodzinnego przybytku wyciera umączzone dłonie w fartuch. Panowie Hopkins i Stearne.

– Ani mi się waź! – krzyczy Priscilla Briggs, gramoląc się na nogi. – Ty glajdo! – dorzuca jeszcze na dokładkę.

W tym momencie Hopkins wysuwa się do przodu, odrzuca połę płaszcza i podaje Priscilli ramię – istny dżentelmen z zaświatów.

– Pani... – mruczy do Priscilli cicho, jakby uspokajał przestraszonego konia. – Dobra gospodyni...

Zamiast przyjąć jego ramię, Priscilla Briggs uczepia się go i chowając twarz w jego czarnych lokach, łka:

– Przebrzydłe niewiasty! Wszystkie one... przebrzydłe!

Thomas Briggs gapi się zaczerwienionymi oczyma, z rozdziawioną buzią, najwyraźniej zapomniawszy o całym zajściu i krzywdzie, która go spotkała. Hopkins tymczasem, uroczym mieszanym, poklepuje Priscillę po plecach.

Nagle pan Stearne oczyszcza krtań chrząknięciem i mrugając zażawionymi na wietrze oczyma, powiada:

– Niech zapytam, drogie gospodynie, co też takiego tu się wydarzyło, skąd ten tumult?

Liz Godwin wydaje się ucieszona, że ktoś wreszcie zadał pytanie, na które chyba ma odpowiedź, odpowiada zatem, a idzie to mniej więcej tak:

– No więc, panie... Beldam West zapytała młodego Briggsa, dlaczego marnuje dobry bekon na kraby, bo widzicie, panie, on poławiał kraby, i przestrzegła go, że się przeziębii na śmierć, a młody Briggs jej na to, jak największy pyszałek, że matka mu nie pozwala rozmawiać ani z nią, ani z takimi jak ona. Tak dokładnie powiedział, panie. Aczkolwiek co przez to rozumiał, dalibóg nie wiem, bo nie było z nami Rebekki, i...

Hopkins podnosi rękę, domagając się ciszy. Beldam ma twarz ściągniętą, jakby wciąż powstrzymywała śmiech, a jej obrazu dopełnia przekrzywiony czepek. Liz Godwin przetyka w zdenerwowaniu, po czym podsumowuje:

– ...i złapała go za ucho, Beldam West. A potem chłopak się potknął i wyrznął w błoto. A na koniec pojawiła się gospodyni Briggs.

W zapadłej po tych słowach napiętej ciszy obecni na nabrzeżu ludzie wymieniają spojrzenia i taksują się wzajemnie, ignorując przypominający czkawkę szloch Priscilli Briggs.

– No cóż – przerywa milczenie Hopkins. – Nie jestem żonaty i nie wypada mi rozsądzać uświęconych niewieścich spraw, do których zalicza się wychowanie dzieci. Ale jako uniżony sługa Pana Boga i wasz sąsiad mogę chyba wam przypomnieć o cnotach takich jak pokora, posłuszeństwo, porządność – tu spogląda na utyłane błotem spódnicę Beldam, która trzyma oczy spuszczone, ale nie może zapanować nad drżącymi jej z uciechy ustami, tak samo jak Margaret Moone i Anne Leech zaciskające wargi z całych sił, żeby się nie rozchichotać – oraz powściągliwość...

Pierwsza parska Anne Leech, która za późno sięga ręką do twarzy, aby stłumić śmiech. Druga w kolejności jest Margaret Moone, za nią sama Beldam, a na końcu Bess Clarke – nawet Bess, która poświsztuje przy każdym oddechu, wybucha szczerym śmiechem.

– ...oraz powściągliwość – powtarza Hopkins, chmurniejąc, gdyż jego lekcja zostaje

ewidentnie puszczona mimo uszu – dzięki którym to cnotom mogłybyście stanowić przykład dla młodego pokolenia. – Dokończywszy niejako z rozpędu, podaje ramię Priscilli. – Tędy, gospodyni.

Matthew Hopkins i John Stearne kierują się do karczmy White Hart, ciągnąc za sobą Priscillę Briggs i jej syna. Kobiety stojące przy kei jeszcze długo się zaśmiewają. Ostatecznie rozchodzą się do domów, szykują kolację, czeszą włosy i zapominają o spotkaniu z Hopkinsem. On jednakowoż niczego nie zapomina.

[13] *Free-love* (ang.) – wolna miłość.

[14] *Contenance* (ang.) – powściągliwość.

[15] *Silence* (ang.) – cisza.

Wróżenie

Leżymy obok siebie na łóżku Judith w samych giezłach.

– Posłuchaj jej tylko. – Judith rzuca spojrzenie na zamknięte drzwi, za którymi w przyległej izbie śpi Margaret Moone. – Tylko jej posłuchaj.

Nasłuchujemy chrapania Margaret. Nabiera powietrza potężnie, majestatycznie wręcz, po czym następuje cisza trwająca jedno, dwa, trzy, może nawet cztery uderzenia serca, aż w końcu rozlega się wydatny wydech.

– Trzykroć każdej nocy jestem pewna, że matka wyzionęła ducha – rzecze Judith i ze smutkiem dodaje: – ale nie.

Płomienie dogasły, pozostawiając bałagan w postaci emanującego czerwienią żaru; na szybie okiennej mróz wymalował fantazyjny wzór.

– Co byś zrobiła, jeśliby tak było? – pytam. – Znaczy jeśliby wyzionęła ducha?

Judith zagryza wargę w namyśle.

– Obwiązałam sobie piersi pasami materii i zaciągnęła się na statek. – Wzdycha, gdy widzi me spojrzenie. – Och, sama nie wiem – dorzuca ze sztywnym wzruszeniem ramion, zapatrzona w popękany sufit. – Pewnie poszłabym na służbę. W Colchester albo w Ipswich. Gdzie w sklepach galant może przebierać i gdzie nie brakuje szarości, błękitów i granatów. Czy nie byłoby mi do twarzy w kobaltowym?

– Na służbie nie wytrzymałabyś tygodnia – mówię jej zgodnie z prawdą. – Nie ten temperament. Choć włosy masz takie jak trzeba, rude.

Wyciągam rękę nad poduszką, żeby ich dotknąć – są gładkie i miękkie. I ponownie jej opowiadam o czasie spędzonym jako służąca w Rivenhall, w którym to miasteczku mój pan zwykł mnie tłuc orzechową laską, ilekroć wracał do domu pijany i zastawał jakiś drobiazg nie tam, gdzie by sobie życzył. Judith się uśmiecha. Uwielbia takie historie, jeżące włos na głowie. Im bardziej krwawa opowieść, tym lepiej. W dzieciństwie często przesiadywałyśmy do późna nad należącym do jej ojca tomem Foxe’a zatytułowanym *Księga męczenników*, oglądając poprzekłuwane ciała świętych z podnieconym zachwytem, czego wyrazem był nasz przyspieszony, płytki oddech.

Judith odwraca głowę, aby na mnie spojrzeć.

– Skoro już mowa o biciu... Czy twe stosunki z Beldam się poprawiły?

– To, że spędzam noc tutaj, nic ci nie powiedziało?

Pokazuje w uśmiechu drobne ząbki wyróżniające się na tle bladego w tym świetle oblicza.

– Tylko tyle, że podobają ci się me rude włosy...

– Nie zachowuj się jak jawnogrzesznicą!

– Och! – wykrzykuje zniecka Judith i opiera się na łokciach. – Słyszałaś o drace na nabrzeżu w tamten dzień po paleniu ognisk? Z Priscillą Briggs i jej synalkiem?

– Jak mogłabym nie słyszeć. Cała wieś od tego huczała. „Przebrzydłe niewiasty”...

– Ponoć interweniował pan Hopkins, prawdziwy galant – dodaje swe trzy grosze Judith, jakby nadąsana. – Szkoda, że tego nie widziałam. Beldam West kontra purytanin z Cambridge.

Wyłamując sobie kostki palców złożonych na piersi, czekam, aż jej matka przestanie znowu chrapać. Gdy zapada cisza, pytam wyniosłym głosem, który ma udawać obojętność:

– Wiesz może, czy był z nim John Edes?

– John Edes może iść do diabła! – rzuca Judith z emfazą, opadając z powrotem na poduszkę. – Czy ty nie potrafisz myśleć o niczym innym?

Zastanawiam się przez chwilę z brodą schowaną pod przykryciem.

– Nie, chyba nie.

– No dobra. – Zacinając wargi w wąską kreskę determinacji, Judith gramoli się nade mną, żeby wstać z łóżka, po czym okrywa się chustą i zabiera do zapalania świecy.

– Co ty wyprawiasz?

– Wróćę migiem – odpowiada z ustami zwilżonymi koniuszkiem języka i z czymś na wzór bezeczności w spojrzeniu.

Przewracam się na bok i śledzę przemierzające się po domu kroki Judith. W dół po wschodkach, na wskroś kamiennej posadzki, u drzwi spiżarni, które wydają charakterystyczne piknięcie. Wkrótce jest z powrotem, tryumfalnie niosąc wspartą o biodro kapustę, jakby to była głowa Jana Chrzciciela, a ona nazywała się Salomea. Z udawaną rewerencją kładzie kapustę na deskach przed kominkiem razem z kawałkiem węgla drzewnego i plikiem pomiętych kartek.

– No już – mówi, podszedłszy do łóżka i zerwawszy ze mnie przykrycie – rusz się!

Noce są zimne. Jęczę, gdy Judith wyciąga mnie z ciepłej pościeli i szarpiąc za rękaw, wlecze w stronę kominka.

– Zaraz cię rozgrzejemy lubieżnymi myślami – oznajmia z uśmiechem. – Dalej. Weź węgielek w jedną rękę, a drugą połóż tutaj, na głowie kapusty.

Robię, jak mi każe.

– A teraz – informuje – przewiążę ci oczy. Obmacaj kapustę, czujesz, i odwzoruj ją na papierze...

Jej oddech na mój ucho jest ciepły, kwaśny, piwny. Oczy spowija mi przepaska, którą następnie zaciąga na potylicy i wiąże. Wiem, co za zabawę proponuje. Zabobon, rzecz właściwie zabronioną.

– Jeśli dowie się twa matka... Ktoś mógłby powiedzieć, że wróżymy – mamroczę, ale mój głos protestu jest podszyty podnieceniem jak płaszcz podpinką.

Judith to słyszy i wybucha śmiechem.

– Ów ktoś byłby głupcem – zbywa me obawy, klepiąc mnie po ramieniu. – To żadne wróżenie. To kapusta.

Przez włókna przepaski przesiąka blask świecy. Pod palcami czuję liście – są chłodne, podobne do łyka, całe w prążki i żyły, jak wyrzeźbione. Dotykam językiem podniebienia, jakbym kosztowała gorzkawego soku, który wydziela się z nich przy rozgryzieniu. Błądzą palcami po górnych krągłościach, które odbieram jak brwi zmarszczone w namyśle albo próbie skupienia, i w ten sposób natrafiam na środek warzywa, które chwyta mój palec serdeczny niczym zaciśnięte usta, obdarzając mnie surowym zielonym pocałunkiem. Z każdym ruchem falbanki rozchylają się koliście na zewnątrz, czasem liście czepiają się siebie niechętnie, kiedy indziej znów się poddają, z każdą kolejną warstwą wilgotniejsze. Ta tutaj zwisająca fałdka wydaje się kącikiem ust okolonych zarostem. Ciut wyżej – plecionka żyłek na podobieństwo misternej koronki wewnętrznej strony nadgarstka, a może skroni. Rysuję to, co czuję, dopóki mego karku nie owionie oddech Judith, wtedy zdzieram przepaskę z oczu, nieświadoma, ile czasu minęło, zaskoczona własną raptownością. Upojona urokiem.

Odkładam węgielek, odsuwam głowę kapusty. Teraz, znów na deskach przed kominkiem, wygląda tak niewinnie, tak banalnie, tak... nieszkodliwie. Wtem czuję pomiędzy udami coś jak płaz miecza zionący chłodem i choć w izbie jest zimno, policzki mam zarumienione, kiedy się śmieję. To jeden z tych dziwnych, niezwykłych momentów, które pojawiają się w życiu niczym iskra w powietrzu.

Judith, kucając, zbliża się do mnie i wrywa mi rozmazany rysunek.

– No – rzuca gorliwie. – Popatrzmy...

Unosi kartkę w stronę zarzewia, co sprawia, że zalewa ją pomarańczowy blask, dzięki czemu ciemne kreski i pudrowe mazy zdają się czerwienieć w rytm milczącego migotania drobinek żaru. Judith zaczyna przypisywać zalety poszczególnym partiom rysunku – silne ramiona, które będą mnie trzymać, zdrowe białe zęby i tak dalej – ja jednakowoż nic z tego nie widzę, nie widzę niczego, co ona twierdzi, że zobaczyła. Dostrzegam za to coś, co przypomina naręcze śmiejących się kości. Dostrzegam być może coś podobnego do lamparciego czerwonego oka, wirujący otwór, który wciąż i wciąż się połyka niczym lśnienie światła w wodzie na dnie studni, dzięki któremu ktoś jest w stanie określić głębokość tego, co mogłoby się wydawać nieskończone, a mimo wszystko nawet to nie przynosi nikomu ukojenia. W tym momencie uzmysławiam sobie, że odtąd me życie już nigdy nie będzie zwyczajne. Coś się zaczęło, w coś zostałam wplątana.

– Rebecca?

Głos Judith ściąga mnie z powrotem do izby, w której ma przyjaciółka nadal trzyma rysunek uniesiony ku płomieniom. Przejęta nagłym chłodem, proszę ją, aby cisnęła go do kominka. Mam wrażenie, jakby coś jeszcze znajdowało się z nami w tej izbie albo gdzieś bardzo blisko; jakby coś czaiło się tuż za parapetem okienka, muskając szkło dziwnie wyglądającymi palcami. Judith spełnia mą prośbę i obie się przyglądamy, jak pogrążone we śnie drwa zajmują się silniejszym ogniem i pochłaniają papier.

– Wróżenie. – Judith cmoka lekceważąco. – Można by myśleć, że herezja przynajmniej na coś się przyda.

Gdy spuszczam spojrzenie na dłonie, którymi obejmuję się za kolana, widzę, że całe są czarne od węgla drzewnego. Wstaję i podchodzę do toaletki z wpuszczoną miednicą. Nalewam do niej wody z dzbanka, przyjemnie lodowatej. Wsuwam w nią ręce, wyciągam i wycieram o gieżło, w tej samej chwili dostrzegając odbicie swej zwieszanej głowy i łuk szyi, a obok jakiś inny, ciemniejszy kształt. Jakby szponiastą dłoń sięgającą do mego gardła. Usta zalewa mi metaliczny posmak, jakbym się nałykała krwi.

Chyba się wzdrygam, bo Judith spogląda na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Becky?

Uspokajam ją, że nic się nie stało, że tylko jestem zmęczona. Przykładam wciąż wilgotne ręce do twarzy.

– Nie chciałam cię przestraszyć, Becky – zaczyna ostrożnie Judith.

Poznaję, że się martwi. Gdzie się tego nauczyła? Zapewne od Bess Clarke. To mi wyglądało na jedno z kuchennych zaklęć Bess. Ale czemu Judith w ogóle się zadaje z szeptuchą? Nie ma przecież ukochanego, co do którego żywiłaby wątpliwości.

– Nie przejmuj się – mówię przyjaciółce i wracam do łóżka, gdzie kładę się na boku i podciągam zalatującą stęchlizną poszwę pod sam nos. Judith przygląda mi się przez krótką chwilę, wyraźnie zaintrygowana, ostatecznie jednakowoż idzie w me ślady, gasząc po drodze świecę i nakrywając nas obie narzutą.

Leżę w ciemnościach bezsennie zda się całą wieczność i rozważam, co właściwie zobaczyłam. Zobaczyłam? Czy tylko mi się wydawało? Jaka jest różnica między jednym a drugim? Nie wierzę w przesady – wierzę w użyteczność. Nauczyłam się obserwować i nadstawiać ucha. Naoglądałam się w życiu dość cierpienia, aby wiedzieć, że chory umysł ma skłonność do wymyślania wszelakiej maści zjaw wokół. Zawsze to lepiej obwinić diablika czy duszka o skwaśniałe mleko albo splątaną grzywę konia, aniżeli przyznać, że przyczyniło się do tego własnym lenistwem. Sądzę, że w dużej części chodzi o próżność: wszystkie te Izebele, które

uważają się za tak piękne, że przyciągają uwagę samego diabła, które wymyślają tabuny demonów zlatujących się, aby ssać ich śliczne piersi, a wszystko to dlatego, że ich mężowie – zamiast na nie – gapią się w kufle z piwem. Nie. Nawet nie próbuj myśleć, że jesteś czarownicą. Najlepiej w ogóle nie próbuj myśleć. Odrobina bólu i kapka przyjemności, wilgotne pończochy i zimne łóżka, ale twe ciało żyje, Rebecca, twe oczy widzą wyraźnie; w swym czasie posiadzie cię mężczyzna, a przynajmniej ci nie odmówi...

Tej nocy, skulona obok Judith, mam sen. Otacza mnie w nim blask słońca tak silny, że pod jego wpływem gieżło spływa z mego ciała.

Leżę na polanie. Sama, opodal stawu, którego powierzchnia przypomina lustro. Staw okolony jest tatarakiem i drobnymi dwubarwnymi kwiatami, niebiesko-białymi; są tam też wierzby płaczące, zwieszają gałęzie, sięgając toni pierzastymi listkami. Miejsce jest przepiękne, a ja zadowolona, choć naga. We śnie ma nagość mnie cieszy: odnajduję się w swym ciele, jestem nim, aczkolwiek zarazem jestem też słońcem i patrzę na siebie z góry. To ciało mnie cieszy – takie gładkie i smukłe, i różowe jak wnętrze muszli, tak samo jak cieszy mnie bycie słońcem z takim pięknym ogrodem i takim pięknym dziewczęciem, na które może patrzeć. Ciepło rozlewa się na mej skórze.

Gdzieś z niedaleka dobiega chrypienie. Unoszę się, aby spojrzeć ponad stawem w stronę, z której doleciał ten dziwny odgłos. Po drugiej stronie rozciąga się sad, bujny i gęsty, który jednakowoż rozprasza się z każdą chwilą, aż pozostaje zeń tylko drżenie rozgrzanego powietrza. Na dalszym brzegu stoi Margaret Moone ubrana w białą suknię. Sięga ręką do jabłka, które kołysze się na gałęzi tuż nad jej głową. Margaret się śmieje, muska opuszkami jędrną czerwoną skórkę owocu, sięgając coraz wyżej i wyżej, co za wspaniała poza, aż w końcu podskakuje. Unosi się wolno w powietrze niczym bańka powietrza w gorącym oleju, wyginając stopy w łuk. W radości tego majestatycznego lotu zupełnie zapomniała o jabłku i toruje sobie drogę w powietrzu, tnąc je ramionami. Lecąc, gubi czepek, strącony przez podmuch, mimo że wiatr nie wieje – gałęzie jabłoni pozostają nieruchome. Rozpuszczone włosy płyną za nią niczym żółty strumień. A potem, łagodnie, opada ku ziemi, gdzie pod dotknięciem jej stóp w trawie powstają zagłębienia, co wygląda tak, jakby ktoś okrył pudding muslinowym całunem. Co za dziwny, pełen miękkości ogród. Wtem wzbija się znowu i jeszcze raz, a każdemu jej podskokowi towarzyszy to chrypienie. Sprawia takie wrażenie, jakby się śmiała, ja jednakowoż nie słyszę jej śmiechu. Mimo to sam widok jej eleganckiej żeglugi, tak radosnej, przez rozgrzane powietrze tego wyśnionego sadu przepelnia me serce szczęściem, dlatego też zaczynam się śmiać i opadam na trawę, która roztacza wokół upojną woń.

Dwa motyle tańczą na tle tarczy bezlitośnie palącego słońca. Są ogromne i czarne, a w końcu przysiadają na mym brzuchu, by odpocząć, łaskocząc mnie przy tym nóżkami. Obserwuję je. Ich chude, zwarte ciała zdają się z trudem dźwigać przesadnie wielkie skrzydła, czarne, choć miejscami poznaczone jaśniejszym odcieniem purpury i burgundu, tworzącym nieśmiałe niewidzące oczy na krańcach każdego ze skrzydlisk. Jakie one piękne, myślę. Jak trudno musi im być takimi pięknymi... Trzepocąc nieprzerwanie, zażywają słońca i powoli wędrują w stronę gniazdka z ciemnych kręconych włosów na mym łonie. Tam się zatrzymują baczenie, jakby me sekretne partie były kwiatem niespotykanej słodczy.

Drobny trzepot wprawia mą skórę w drżenie. Odbieram to jako szokujące uczucie spadającego na mnie deszczu, gdy motyle moszczą się pomiędzy moimi udami, nie przestając muskać mnie pieszcząco. Pojawia się trzeci motyl – ten przysiadł mi na piersi i nagle czuję na ciele chłód, gdy niespodziewanie pada na mnie cień. Otwieram oczy, ale nigdzie już nie widzę motyli. Rozwarłszy powieki, patrzę prosto w twarz Matthew Hopkinsowi.

W milczeniu kładzie urękawiczoną dłoń na mym nagim ciele, ponownie wzbudzając

falę rozkoszy, która znienacka mnie zawstydzą; tak zostaje zepsuta dotychczasowa przyjemność przebywania w sady. Łapię Hopkinsa za dłoń, którą próbuje dotknąć mego biodra, i mówię mu, że nie możemy, po czym rzucam spojrzenie na dalszy brzeg, gdzie Margaret Moone znowuż unosi się wysoko, leniwie na tle ciemniejszego nieba ponad czubkami jabłoni.

Hopkins podąża za mną wzrokiem.

– A – rzuca. – Nią nie musimy się przejmować.

Ma rację, bo właśnie Margaret Moone zawisa w powietrzu i odrzuca wszystkie członki jak wylinkę, następnie zaś zaokrąglą się w zimny, twardy gład, nareszcie stając się prawdziwym księżycem.

Wtedy Hopkins obejmuje ciasno mą kibić, przytyka usta do mej szyi i całuje mnie łączywie. Czuję ciepło, czuję błogość, przymykam oczy. Ostatnim, co widzę, jest przypominająca lustro powierzchnia stawu, w której odbijają się drzewa na brzegu. Z gałęzi jednego z nich, srebrzystego, rosnącego koroną do dołu, zwiesza się luźno stryczek.

Budzę się z kwaśnym posmakiem snu w ustach, wargi mnie bolą jak od ugryzienia. Łasicze oczy Judith wpatrują się w mą twarz ponad zmiętą pościelą po jej stronie. W izbie panuje ranny chłód, przez okienko widać skrawek nieba w kolorze płatków barwinka.

– Czy wolno mi zapytać, o czym śniłaś? – pyta mnie przyjaciółka.

Zapewniam ją, że może to zrobić, lecz prędzej trafię do piekła, aniżeli jej opowiem.

– Tve słowa mówią aż za wiele – stwierdza.

Kąciki ust jej drgają tuż nad skrajem przykrycia i chwilę później obie chichoczemy jak szalone.

Katechizm

Katechizm.

– Bóg jest Duchem. Boska nieskończona doskonałość znajduje odzwierciedlenie w słowach takich jak: „Jestem, który jestem. Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, Początek i Koniec”[16]...

Dłonie mam skromnie splecione na podołku. Na sobie spódnice i pończochy, ale pod spodem uda i lędźwie. Jak to szło dalej?

– Bóg jest światłością, a nie ma w Nim żadnej ciemności[17]. – Żadnej ciemności, nic a nic. Trudno mi to sobie wyobrazić.

Siedzę naprzeciwko Johna Edesa, która kiwa zachęcająco głową. Lubię myśleć, że jest ze mnie dumny.

– A ilu mamy bogów? – pyta.

– Bóg jest w Trójcy Jedyny, co oznacza, że występuje w trzech osobach: Ojca, Syna i Ducha Świętego. W ich imieniu odbywa się chrzest. Bóg panuje nad wszystkimi narodami.

John zwilża opuszkę kciuka w kąciuku ust i przewraca kartkę. Czytamy *Krótki katechizm obejmujący fundamentalne zasady religii chrześcijańskiej* napisany przez pastora Williama Gouge’a[18]. W dostępnym nam wydaniu na frontyspisie znajduje się wizerunek autora z włosami krótko przyciętymi, jak na Okrągłogłowego[19] przystało, i z jednym okiem większym od drugiego. Gdy John pokazał mi tę ilustrację po raz pierwszy, odparłam, że pastor przypomina trochę Anne Leech – „z całym szacunkiem dla wielebnego” – co przywiodło Johna do śmiechu, aż uroczo mu się zaróżowiły policzki. Pamiętam wszystko, co się dzieje podczas naszych spotkań, jakby każde zdarzenie było fiołkiem skrzętnie odkładanym przez dziecko między stronice modlitewnika.

– Dobrze, bardzo dobrze – chwali mnie John. – A jak jeszcze daje nam się poznać Pan Bóg?

Powtarzam słowa katechizmu, w głębi ducha czując, jaką nieprzyzwoitą, bezbożną istotą jestem. Jest wczesne popołudnie. Czysty ranek minął wraz z nadciągnięciem szarych chmur, przez które słońce wзира tylko od czasu do czasu. Podoba mi się w skromnej kwaterze Johna nad karczmą White Hart. Dobrze wiedzieć, jak żyją mężczyźni. Kawalerowie. Przekraczam próg tej izdebki, by znaleźć się wśród należących doń nielicznych prostych i niewyszukanych przedmiotów, z większą rewerencją aniżeli przy wejściu do kościoła pod wezwaniem Świętej Marii. W izbie Johna panuje uświęcona pustka, cudowna surowość. Jest tu zupełnie inaczej aniżeli w naszym zabałaganionym domu, gdzie Vinegar Tom ciąga wszędzie swój zapchlony kocyk i drapie parchy z tajemniczą zawziętością i gdzie u powały wiszą wiązki zebranych przez macierz ziół, sypiąc zaopatrzonymi w haczyki drobinkami. Ilekroć wyobrażam sobie niebo, mam przed oczami taki właśnie widok: stół Johna zбитy z drewnianych nieheblowanych desek, na których słońce nie znajdzie ani okruszka, jakkolwiek długo by szukało. Jego czystą koszulę rozłożoną przed kominkiem do wyschnięcia, błękitny glazurowany dzban na toaletce. Nawet woń tłuszczu i tytoniu unoszącą się tutaj z dołu, z karczemnej izby, zalicza się do tych dobrych, zdrowych zapachów, które budzą same pozytywne skojarzenia, jak to jest z tłuszczutkim niemowlęciem. Nocami, leżąc w swym łóżku, oczyma wyobraźni widzę, jak John Edes siedzi przy wyszorowanym do czysta stole w pachnącej świeżością koszuli i czyta – na przykład jedną z prac, które napisał John Dod[20].

Docieramy do rozdziału dwudziestego trzeciego.

– Oto zrobiona jestem w przewinieniu i w grzechu poczęła mnie matka[21].

Coś paskudnego we mnie, co dotąd pozostawało w uśpieniu, podnosi czarny łeb. Bezwiednie zaciskam na podłożu dłonie w pięści.

– Zrodzona – wtrąca John. Podrywam wzrok i nasze spojrzenia krzyżują się nad sfatygowanym egzemplarzem katechizmu. John zwilża wargi. – Zrodzona w przewinieniu. – Chrząka głośno. – Po czym rozpoznajemy tę haniebność?

– Po trzech rzeczach. Raz, jest nasieniem wszelkiego grzechu. Dwa, kała całą ludzkość. Trzy, wodzi człowieka na pokuszenie przez całe życie.

Zaledwie minionej nocy uległam Judith i podjęłam zaproponowaną przez nią głupią zabawę. Lubieżny sen przyśnił mi się tego ranka. A teraz siedzę tu i rozprawiam o grzechu i pokalaniu. Aż muszę wbić paznokcie w wewnętrzną część dłoni, gdy nagle czuję, że coś przesącza się na zewnątrz z mego ciała i zbiera pod spódnicami u mych stóp. Powinnam wstać, myśleć. Podnoszę się jak na rozkaz i przykładam drżące palce do czoła. John Edes podnosi spojrzenie znad księgi.

– Rebecca, coś ci jest?

Nie wiem. Przeniknął mnie strach potężniejszy, aniżeli mógłby spowodować nawet największy szpon w misie z wodą. Serce trzepece mi w piersi i wali na przemian. W tym samym momencie uświadamiam sobie, że miłość – czy to jego, czy jakiegoś innego mężczyzny – jest zgoła niemożliwością. Gdyż nade wszystko w świecie pragnęłabym, aby mnie ujrzał, aby mnie przejrzał. A jeśli tak by się stało, jeśli poznałby prawdę o mnie, zacząłby mną gardzić, zacząłby gardzić tym, jaka jestem w swej istocie. Zastanawiam się, czy prędzej lub później każda kobieta do tego dochodzi, czy każda staje przed tym wyborem: albo ukryje to, kim jest naprawdę, i zazna fałszywego szacunku dobrego mężczyzny, albo raczej będzie sobą i pozostanie jej zadowolona z brutalnym, któremu wszystko jedno, że taki sam z niej beznadziejny przypadek jak z niego. A może to dotyczy wyłącznie mnie? Może coś ze mną nie tak? Może inne kobiety przemykają przez życie w godnej pozadzroszczenia prostocie umysłu, niczym niezbrukane, zawsze ciut ponad chcące je wessać bagno wulgarnych pragnień i bezecnych impulsów? Gdy tak rozmyślam, ogarnia mnie strach – zarówno przed samą sobą, jak o siebie.

– Och – mówię. Tylko to „och”.

– Jesteś blada jak śmierć – informuje mnie John. – Proszę, usiądź tutaj.

Zrywa się z miejsca i delikatnie ująwszy mnie za ramiona, usadza z powrotem na krześle. Tak. Rozpaczliwie pragnę, aby mówił mi, co mam robić, aby dawał mi wskazówki. „Zrobiona w przewinieniu”.

Chyba bym się dobrze bawiła, jeślibym nie czuła się tak nieswojo.

– Proszę, napij się... – dorzuca John. Przynosi butelkę porto i rozlewa je do kubków, z których jeden wciska w mą dłoń. Bezmyślnie upijam łyk; wino rozchodzi się ciepłem i siłą w mych ustach. Kiedy piję następny łyeczek, John się uśmiecha i zajmuje znów swe miejsce. – No już, już – rzecze uspokajającym tonem. – Utop obawy w trunku.

Dziękuję mu za troskę, ale on zbywa mnie lekceważącym gestem i zatrząskuje okładki katechizmu, by samemu sięgnąć po porto. Skubie piaskowe wąsy kciukiem i palcem wskazującym, aż wreszcie wbija błędzące spojrzenie w mą twarz.

– Być może nie powinienem pytać – zaczyna, ewidentnie zmierzając do pytania – i być może nie moja to rzecz służyć pomocą, ale... – Urywa, nie mogąc znaleźć słów. – Czy coś cię trapi, Rebecca?

Oblicze ma przyjazne, a spojrzenie szczere, gdy świdruje mnie wzrokiem. Wysokie piegowate czoło, pod nim – znużone szaroniebieskie oczy. Zęby nieco za duże, obiektywnie

patrzac, ale mnie to nie przeszkadza. Uwielbiam blask jego lwich klów, gdy odchyła głowę do tyłu, aby się roześmiać, co robi dość często jak na półduchownego. Zawsze myślę wtedy o królu Dawidzie, który tańczył w świątyni pogrążony w ekstazie.

Chcę mu powiedzieć. Chcę z nim porozmawiać. Gorączkowo szukam czegoś, od czego mogłabym zacząć. Z mych ust dobywa się mało oryginalne:

– Trapi mnie wiele rzeczy...

John wolno potakuje głową.

– Zaiste. Czasy są ciężkie, łatwo uwierzyć, że diabeł paradytuje po ziemi, siejąc w naszych sercach zepsucie, które przyczynia się do nieszczęść.

Nigdy go nie słyszałam mówiącego w ten sposób o diable.

– Wierzysz w to? – pytam. – Wierzysz, że diabeł krąży wśród nas?

John uśmiecha się z goryczą i zaciska mocniej palce na kubku.

– Czy w to wierzę? Ja to wiem.

– Skąd?

– Stąd, że jestem mężczyzną, jakich wielu. Nawet nasz Pan, Jezus Chrystus padł ofiarą diabelskich pokuszeń. I tylko dzięki wielkiej sile woli zdołał im się oprzeć.

Dzięki temu dostrzegam w nim coś nowego, gdy tak siedzi naprzeciwko mnie przy stole. Spotkała go krzywda. Głowę ma zwieszoną nad zamkniętym katechizmem niczym suplikant. Nos i usta świadczą o młodym wieku, ale czoło ma poznaczone zmarszczkami, a powieki zaczerwienione. Przypominam sobie, że poza naszymi cotygodniowymi spotkaniami wiedzie życie portowego klerka, spędza długie godziny nad pokrytymi kurzem księgami i bezlitosnymi kolumnami cyfr, skrobiąc gęsim piórem w blasku świecy długo po tym, jak wszyscy już dawno poszli do domów. Myśl o tym sprawia, że zalewa mnie niewysłowiona czułość. Pragnę ucałować jego znużone oblicze, ująć jego twarz w dłonie i złożyć ją sobie na ramieniu.

– Chyba go widziałam – mówię cicho, sama nie wiedząc czemu, i natychmiast żałuję wypowiedzenia tych słów.

John rzuca mi chmurne spojrzenie. To pewnie przez wino, bo rzadko kiedy piję. A John albo mi uwierzy i już zawsze będzie mnie uważał za splugawioną tą asocjacją, albo nie uwierzy i uzna, że jestem tylko głupim panniskiem, które zabawia się diabelskimi fantazjami. A może w ogóle nie ma w co wierzyć, a ja tylko dokładam jeszcze jedno oszustwo do tych, które dzielą nasze serca. Która z tych wersji odpowiada mi bardziej? Wyrrywam się w ciemnościach ku niemu.

Po długiej, pełnej napięcia ciszy John w końcu się odzywa:

– Rebecca, wiem, że nie mielesz językiem na próżno...

– Coś jak cień za plecami. Odbicie w wodzie – dodaję. Wyjaśnienie, które wcale nie jest wyjaśnieniem i nie powinno mu nic powiedzieć, a jednak. John zdaje się je akceptować. Akceptować albo ignorować.

Podnosi się z krzesła.

– Dni zrobiły się takie krótkie – stwierdza i zaczyna zapalać świecę.

Rzucam, że muszę wracać do Lawford, zanim macierz zauważy mą przedłużającą się nieobecność, lecz nie wykonuję żadnego ruchu, ponieważ on zniemacka siada i łapie mnie za rękę, którą sięgam po chustę. Przytyka me palce do swych ust. Dłoń ma miękką i chłodną.

– Rebecca, Rebecca... – powtarza raz po raz. – Rebecca! – rzuca z mocą, jakbym próbowała mu przerwać. – Rebecca... – nie przestaje, a ja myślę sobie, jakie to cudowne: słuchać własnego imienia wypowiedzanego na głos przez ukochaną osobę. – Rzekłem, że będąc mężczyzną, wiem, co to pokuszenie...

Jego oczy, które teraz nabrały odcienia chabrów, wpatrują się z natężeniem w mą twarz,

która jak czuję, oblewa się rumieńcem. Wydaje mi się, że wiem, o czym do mnie mówi, ale nie śmiem wierzyć we własne szczęście, nie śmiem odpowiedzieć tym samym. Mam takie wrażenie, jakby słomka drapała mnie w gardło. Łóżko Johna stoi za moimi plecami, w rogu izby, nakryte czystą białą narzutą.

– Czyż Biblia nie uczy, że bardziej narażone na pokuszenie są kobiety, mające słabszego ducha aniżeli mężczyźni? – szczebioczę po próżnicy, w nadziei że uda mi się wypełnić ciszę.

John odbiera to chyba jako zachętę, bo wzmacnia uścisk na mej dłoni. Wydymając wargi, mówi:

– W takim razie oboje musimy pamiętać, że diabeł, ten stary zwodnik, stara się najbardziej, gdy czuje się wzgardzony.

Obraca mą rękę, którą trzyma teraz na podolku, wnętrzem do góry i zaczyna gładzić opuszkami stwardniałą skórę na poduszczyce kciuka. O Boże... Me dłonie, szorstkie od ługu, wypalone wrzątkiem i poprzecinane rysami oparzeń od pogrzebacza. Drobnie i tak bardzo prostackie w porównaniu z jego długopalcymi, elokwentnymi. Przypuszczam, że wszystkie nieprzyjemne prace za Johna wykonuje karczmarz. Albo karczmarka. Bądź karczmareczka. Z nagłą ogarnia mnie silne poczucie własności, które rozciąga się nie tylko na Johna Edesa, ale też na jego izbę, i wymierzone jest przeciwko zdzirowatej córce ludzi prowadzących karczmę White Hart. Czując, że powinnam jakoś zareagować, szepczę jego imię i znów dopada mnie to nieprzyjemne wrażenie, jakby w gardle dyndała mi słomka, która na przemian muska to lewą, to prawą ściankę. Jesteśmy tylko we dwoje, a on mnie dotyka w sposób, do jakiego nie przywykłam. Czy to dlatego, że wszystko wydarza się nazbyt szybko, czy dlatego, że me humory jeszcze się nie ustatkowały po porannym śnie, w każdym razie cofam dłoń i zerkam ku drzwiom, które zawsze zostawiamy uchylone przez wzgląd na przyzwoitość.

John podąża za mną spojrzeniem, po czym także zabiera ręce z podolka i unosi je skierowane w mą stronę wnętrzem w jawnym geście przeprosin.

– Wybacz, Rebecca. – Wzdycha. – Coś cię trapi. Chciałem tylko okazać ci wsparcie. Ale może to nie ma rola.

Wiem, że kłamie, ale jego słowa brzmią wystarczająco prawdziwie, aby kłębek nerwów przestał mnie dławić, za co jestem wdzięczna. Obserwuję, jak dopija porto, następnie wstaje i dolewa sobie do kubka, przez cały czas nie mając pojęcia, jak mogłabym mu wytłumaczyć, czego odeń potrzebuję. To dziwne, że można czegoś tak strasznie chcieć – mężczyzny albo śmierci – a równocześnie tak potwornie się bać nawet samej idei. Doprawdy, myślę sobie, patrząc na jego zgarbioną postać przy kominku, tak mało o nim wiem, a już na pewno nic, co by przede mną zataił. A chciałabym znać jakiś jego sekret. Aczkolwiek jeszcze lepiej byłoby być jego sekretem. Słodka tortura. Wieczny wstyd.

Wstaję i w tym samym momencie rozlega się bicie dzwonów kościelnych – gdzieś pomiędzy chmurami i zalaną błotem ulicą na zewnątrz – wzywając wiernych na wieczorne nabożeństwo i tłamsząc me sybaryckie zapędy. Zamiast podejść doń i dotknąć wargami pulsu na jego wyszorowanej mydłem szyi, co chciałabym zrobić, sterczę jak głupia obok stołu.

– Jak się miewa pan Hopkins z oberży Thorn Inn? – pytam z wymuszoną uprzejmością i o wiele za głośno.

John podrywa na mnie zdziwione spojrzenie.

– Pan Hopkins? Cóż. Interes idzie marnie, co zrozumiałe w tych okolicznościach. Po zmianie pogody na gorsze, znaczy się. Rebecca... – Ponownie na mnie patrzy, a jego głos nabiera leciutko histerycznych tonów. – Najlepiej by chyba było... to znaczy na pewno się ze mną zgodzisz, że nie należy mówić o... o tym, co dzisiaj powiedzieliśmy tu do siebie nawzajem.

Chodzi mu o diabła i kuszenie czy raczej o trzymanie się za ręce? Uznaję, że lepiej nie

pytać, i tylko kiwam posłusznie głową, narzucając chustę na ramiona. Kiedy się krzątam, by zebrać swe rzeczy – koszyk, pelerynę, wystrzępione włóczkowe rękawiczki – ogarnia mnie smutek. Rzucam Johnowi ukradkowe spojrzenia tam, gdzie stoi, przy kominku, najwyraźniej pogrążony głęboko w myślach. Z jakiejś przyczyny się rozminęliśmy jak niewprawnie nawlekana igła z nitką. Igła z nitką, dobre sobie. Cóż, przepadło.

– Dobrej nocy, John – rzucam w drzwiach. – Niech Bóg ma cię w swej opiece.

W odpowiedzi kiwa głową, ale nic nie mówi. Zamykam cicho drzwi.

Plac targowy stanowi jeden wielki rezerwuar błota. Nadal mży – tym rodzajem mżawki, która uwielbia się czepiać rzes. W zasięgu wzroku nie ma żywej duszy; oprócz dźwięków dzwonów rozlega się jedynie szczekliwy śmiech trojga dzieci Wrightów, ubranych niezwykle biednie i zbyt cienko. Pokrzykują i popychają tłustą maciorę, która wydostała się z podupadającego chlewika sąsiadów i przeszła na podwórko Wrightów, jak to świnię mają w zwyczaju, bo są ciekawskie i niczego się nie boją. Gospodyni Wright, osłabiona rozpaczą, ze wschodka przygląda się nieskutecznym staraniom własnego przychówku, podczas gdy maciora jakby nigdy nic dobiera się do szopy z zapasami na zimę. Jakież proste jest życie zwierząt, które nie zostały stworzone na podobieństwo Pana. Cokolwiek widzą i czegokolwiek pragną, biorą to sobie i są szczęśliwe.

Gdy ruszam w długą drogę powrotną do domu, w mej głowie przewijają się ostatnie wersy katechizmu: „Syn Człowieczy pośle aniołów swoich, ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”[22].

[16] Biblia Tysiąclecia, Księga Wyjścia 3,14 i Księga Objawienia 22,13.

[17] Biblia Tysiąclecia, 1 List Jana 1,5.

[18] William Gouge (1575–1653) – angielski purytański duchowny.

[19] Okrągłogłowi – w czasie angielskiej wojny domowej: zwolennicy parlamentu, pozostający w opozycji do Kawalerów, czyli zwolenników króla. (Nazwy wzięły się od sposobu noszenia włosów przez mężczyzn, odpowiednio krótko przyciętych na modłę purytańską oraz długich na modłę szlachecką).

[20] John Dod (1549–1645) – angielski purytański duchowny noszący przydomek Dod Dekalog.

[21] Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 51,7.

[22] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Mateusza 13,41–42.

Ogień

Zimą bywam czasem zadowolona, że wracam do domu, choć czeka w nim macierz. Zadowolona z palącego się ognia i stawy pyrkocącej na kuchni, o ile tak jest, zadowolona z worków z cebulą w szeleszczących złotych ubrankach i uspokajającej woni tymianku suszącego się u powały. Traktuję dom jak przystań, na której mogę się ukryć, gdzie nie zobaczy mnie nikt, na czym zdaniu by mi zależało. Tego wieczora jednakowoż macierz, pogrążona w niemrawej melancholii, popada w dodatku w typowy dla siebie filozoficzny nastrój, z którym wiąże się chęć dokuczania mi. Chodzi wokół stołu zakutana w blaknącą chustę, z rozkocudanymi włosami i zdenerwowaniem wymalowanym na poznaczonej zmarszczkami twarzy, gdy pochyla się nad kociołkiem. Podnosi wzrok, kiedy przestępuję próg i zabieram się do wycierania chodaków z błota. Pyta, czy jestem głodna. Mówi, że dostała na krechę kawałek baraniej łopatki.

Kłamię, że zjadłam u Moone'ów. I dodaję, że nie powinna kupować na kredyt, bo zima będzie chuda, a wiosna jeszcze chudsza, zważywszy na toczącą się wojnę, która wiadomo, jaka jest (choć na razie przynajmniej daleko, gdzieś w połowie kraju).

Macierz mi się przygląda, trzymając kurczowo chochlę w jednej szczupłej ręce, a palcami drugiej zaczepiwszy o mankiet brudnego rękawa.

– A skąd to panna wraca tak późno?

– Od Johna Edesa – odpowiadam zwięźle tonem, który mam nadzieję, wskazuje, że nie zamierzam się rozwodzić nad poruszonym tematem, szczególnie iż bardziej mnie absorbuje ogrzewanie zmarzniętych stóp przy kominku.

– Widziałaś Margaret? – dopytuje.

– Margaret Moone trudno jest przegapić. – Dowcip mi się udał, macierz jednakowoż tylko cmoka i przenosi znów uwagę na kociołek, mamrocąc coś pod nosem o tym, jaka jestem niemila.

Jej ruchom, jej słowom, nawet jej reprimendam brakuje przekonania – snuje się po kuchni niczym zmokły duch, skazany na odtwarzanie porządku dnia codziennego w życiu, które uległo tragicznemu skróceniu. Do diabła, działa mi tym na nerwy! Siedząc przy płonącym ogniu, rozważam w myślach wszystkie te okropne rzeczy, które mogłabym jej teraz rzucić w twarz, a ona w swym stuporze nawet nie mrugnęłaby okiem. Zupełnie jakby ledwie tu była. „Chyba zakochałam się w Johnie – mogłabym na przykład powiedzieć. – Gotowa jestem jeść ścinki włosów z jego brody, jeśli mnie o to poprosi”. Albo: „Zeszłej nocy u Judith chyba zoczyłam diabła w misce z wodą”. Zamiast tego pytam tylko:

– Gdzie się podział koszyk z mą robótką?

I rozwiązuję troczki czepka przemokniętego do suchej nitki.

Macierz podaje mi koszyk z robótką i stwierdza apatycznie, że jej zdaniem przez jakiś czas nie powinnyśmy rozpalać kominka w głównej izbie. Tym kominkiem zajmuję się wyłącznie ja – i nie rozpalam go już od tygodni – nie mam jednakowoż sił kłócić się z nią.

– Jeden rozpalony kominek w zupełności wystarczy – zgadzam się, wzdychając, i odwijam z motka ciemnożółtą włóczkę.

Vinegar Tom wyslizguje się spod ławy z wielkim, zmysłowym ziewnięciem. Siada obok drzwi i poruszając żywo uszami, nasłuchuje dźwięków rodzącej się dopiero nocy, pisków i skrzeków, które rozlegają się po drugiej stronie drewnianego skrzydła. Wiele jestem w stanie znieść, ale nie cierpię, jak macierz nabzdyczona pozwala, by jej prawdziwy charakter abdykował.

Budzi to we mnie większą nienawiść aniżeli to, gdy w stronę mej głowy lecą dzbany, ilekroć odwiedzam sąsiednie Tendring. Odbieram jej zachowanie jako zdradę.

Na zewnątrz chmury zamiatają rzekę Stour ciężkimi spódnicami wiatru, a głośnie wycie w kominie zagłusza stukanie mych drutów do dziergania. Macierz siedzi naprzeciwko mnie, milcząca i żabioka, skubiąc się próżniaczymi palcami po obwisłej skórze na szyi. Mimowolnie żuje wewnętrzną stronę policzka. I w pewnym momencie się odzywa. Z początku mówi bardzo cicho, jakby do siebie.

– Było to niezadługo po twych narodzinach. Twój ojciec, niech Bóg ma go... pojechał gdzieś, zdaje się, że do Flushing, a ja siedziałam przy kominku, huśtając cię na kolanie. Śliczna przysłaś na świat, z tyłoma włoskami miękkimi jak puch. Nie uwierzyłybyś... – Jej głos przesyca smutny, nieobecny uśmiech. – Wieczór niczym się nie różnił od tego, tak samo upiornie wiało w kominie – dodaje, przestając się uśmiechać, i rzuca spojrzenie na sprawcę hałasu – gdy pojawił się mężczyzna cały w czerni. Pojawił się i stanął, o tam... – Unosi palec i celuje nim w miejsce tuż przed kominkiem, na skraju tkanego dywanika. – Mężczyzna w czerni i w wysoko sklepionym kapeluszu. W jednej chwili byłam sama, a w drugiej...

Przestaję dziergać, żeby spojrzeć na macierz. Widzę, że ma tamtego człowieka przed sobą, że przekrwionymi oczyma śledzi przemieszczanie się nieznajomego po izbie, tak jak czasami kot śledzi płatki łupieżu unoszące się w przeciągu.

– Nikt ci nie powie, zanim wydasz małe – podejmuje ledwie słyszalnie i z pustym wzrokiem – że w jednej chwili jesteś sama, a w drugiej... dalej jesteś sama. W młodości człowiek myśli, że dziecko jest jak węzeł marynarski albo spinka... tyle że zamiast je wepchnąć, raczej je wypychasz. – Robi żalostną minę. – Że kiedy się pojawi, utrzyma wszystko w kupie, wreszcie na swym miejscu. Ale tak nie jest. Znaczy się – nareszcie patrzy na mnie – przynajmniej w twym przypadku tak nie było.

Co niby mam jej odpowiedzieć? Słucham więc, trzymając druty w gotowości.

– I stoi tam mężczyzna w czerni – kontynuuje macierz. – W długim płaszczu, jakie noszą prezbiterzy. A ja siedzę nieruchomo, kompletnie oniemiała. I ów mężczyzna mówi do mnie, że dobrze bym zrobiła... „Dobrze byś zrobiła, Anne West”, tak dokładnie powiedział, „jeślibyś wrzuciła to dziecko do ognia”. Ot tak. Ucałowałam więc twe pulchne policzki i zdjęłam cię z kolan na ziemię, na ten tam dywanik przed kominkiem, zanim nawet się zorientowałam, co czynię... Widząc, że idę za jego radą, mężczyzna w czerni zniknął.

Mam w pamięci historię pewnej młodej żony z Maine w Nowej Anglii, o której usłyszałam w tylnych ławkach kościoła jedną czy dwie wiosny temu. Była to jedna z wielu historii, które docierają do Esseksu z nawiedzanych puszczy Nowego Świata i na które natychmiast rzuca się niczym stado brudnych czarnych gołębi nasza wyobraźnia, doszukująca się w nich skrawków prawdy. Mówiono, że dziewczka była bardzo młoda, a do tego nie całkiem zdrowa na umyśle. Ponoć tak się przejęła naukami miejscowego kaznodziei, że postanowiła wrzucić swe nowo narodzone dziecię do studni, i to w świetle dnia. Oskarżona o zabicie noworodka, odparła, że skoro i tak jest potępiona, jako jej potomstwo, na co w ogóle zwracać sobie głowę życiem doczesnym. Tłumaczyła, że przezornie oszczędziła dziecku okrucieństw wmontowanych w boży plan, własnoręcznie kładąc wcześniej kres jego życiu, co powinno się spodobać Stwórcy. Sędziom pozostało tylko dokończenie dzieła, o co dziewczka ich błagała, ponagłając do działania. Spełnili jej prośbę. Zawisła na szubienicy przed domem modlitwy, na polance wśród świerków, a smutna o niej opowieść stała się umoralniającym traktatem, który trafił na karty pamfletu zakupionego przez wędrownego moralistę i odczytanego przezeń głośno ku podnieceniu niewiast z Esseksu. A w rzeczywistości jako lekcja przeciwko ludzkiemu zadufaniu.

Macierz mówi dalej:

– Żar był okrutny i szybko zaczęłaś popiskiwać i wiercić się jak robak na haczyku. Przyglądałam się temu, ale czułam taką ociężałość, jakbym nie mogła nic zupełnie uczynić, chociażbym nawet chciała. Twe włoski, twe czarniutkie włoski zaczęły się smalić, a ja nogi miałam jak w pętach. Wtem – uśmiecha się – rozległo się pukanie do drzwi. I w progu stanęła Anne Leech, która wtedy oczywiście nie była jeszcze wdową. Obrzuciła izbę spojrzeniem, dopadła kominka i porwała cię na ręce z wrzaskiem.

Vinegar Tom przerywa jej nieprzystojnym miauknięciem, wzbudzonym chyba przez tę całą gadkę o dzieciobójstwie, po czym chcąc wrócić do tyranizowania okolicznych gryzoni, drapnięciem łapy w futrynę daje znać, aby go wypuścić. Macierz wstaje ze swego miejsca i otwiera drzwi. Kot się wyslizguje na zewnątrz, a do środka zakrada się wietrzysko. Zaczynam od nowa poruszać drutami. Przemoc kryjąca się w matczynej opowieści – dziecko oddane na pożarcie płomieniom, dziecko będące mną – bynajmniej mnie nie porusza. Skwiercząca skóra na tłustych ramionkach. Nic. To mnie nie dotyczy. Mimo wszystko jednak... Nie mogę się opędzić od myśli. Mężczyzna w czerni, dziewczka w Maine, niemowlęta w ogniu i w studni. Jest w tym jakiś wzór, niby oczka w ściegu, jest w tym podtekst – niewieści, sekretny, szaroróżowy na podobieństwo flaków.

– Anne Leech wymierzyła mi policzek, potem złapała mnie za ręce – ciągnie macierz, zamknawszy drzwi i usiadłszy na powrót. – Modliłyśmy się. – Milknie na chwilę, po czym dodaje: – Od tamtej pory mężczyzna w czerni więcej się nie pokazał.

– Mężczyzna w czerni – powtarzam.

Zabrzmiało to tak, jakbym ją przedrzeźniała. I dobrze, mam nadzieję, że czuje się wyśmiana, ona i jej mężczyzna w czerni.

Rzuca mi kose spojrzenie.

– Uważasz, że to był diabeł.

Wzruszam ramionami.

– Do Abrahama przyszedł Bóg, a kazał mu uśmiercić rodzonego syna.

– Bóg, diabeł. Jak ciemna niewiasta, która kreśli krzyżyk zamiast podpisu, miałyby dostrzec różnicę, zwłaszcza że ich metody są takie podobne? – Wzdycha. – Zresztą to pewnie tylko me wymysły.

Mówię jej, by to zostawiła za sobą, w przeciwnym razie nie będzie w stanie myśleć o niczym innym, a tak się nie da, wzięwszy pod uwagę, że w kociołku pyrka baranina, za którą trzeba będzie dopiero zapłacić. Macierz odpowiada, że zakupy robiła u Rivetta, który jest pijakiem i wkrótce zapomni, że dał jej coś na krechę. A potem, zwracając się do mnie per Króliczku, dorzuca, że jeśliby miała mnie nauczyć jednej rzeczy, byłaby to rada, że na kredyt kupuje się wyłącznie od mężczyzn o czerwonych, pożyłkowanych nosach. I puszcza do mnie oko.

– Jedenaste przykazanie – kwituję z uśmiechem, aby pomyślała, że jest coś, co nas łączy.

Łopatka barania smakuje wybornie i starcza nam na prawie tydzień, podczas którego między mną a macierzą nie dochodzi do większej awantury.

Maleficium

Jest sobotni wieczór. Thomas Briggs, goły jak go Pan Bóg stworzył, tkwi w stojącej przed kominkiem cynowej balii napełnionej letnią wodą na dwa palce. Przyciąga chude nogi do piersi i łączy się nad kościstymi kolanami. Priscilla Briggs, jego matka, w głębi ducha się cieszy, że chłopak przejawia typowo męską niechęć do ablucji, choć jej zadowolenie nie rozciąga się na to, aby pozwolić mu iść do kościoła z rzeczonym mułem za paznokciami.

Sama udaje się na pięterko, gdzie przed jutrzejszym nabożeństwem wyłoży wdziwaną tylko w niedziele najlepszą czarną suknię i kołnierz z pudrowanej koronki. Każe swej służącej, Helen, przewietrzyć wierzchnie okrycie i idzie do kuchni po kubek ciepłego mleka, które da Thomasowi do wypicia przed snem.

– Mam nadzieję, że tym razem nie zapomniłeś o miejscu za uszami. Czystość jest jedną z największych... – Nie kończy.

Pchnąwszy drzwi do izby, zastaje balię wywróconą do góry nogami, Thomasa zaś rozciągniętego na kamiennej podłodze twarzą do dołu i z szeroko rozłożonymi rękoma jak u szmacianej lalki. Chłopak dryga i podskakuje.

Priscilla i Helen wspólnymi siłami zanoszą go na górę do łóżka, podczas gdy on syczy i wierzga, agresywny jak lis pojmany w sidła, z oczyma uciekającymi w głąb głowy. „O Boże, me dziecko, mój Thomas...” Sapiąc ciężko, pochylona nad łóżkiem i chłopcem Priscilla stara się odgarnąć włosy ze spoconej twarzy i równocześnie zapanować nad wściekłymi drgawkami.

Helen przygląda się wszystkiemu od progu.

– Głupiaś jak but! – krzyczy na nią piskliwie Priscilla. – Nie stój jak ten słup! Poślij Michaela po doktora Croke’a...

Helen biegnie, potykając się o własne spódnice.

– I pastora! – woła za nią jeszcze gospodyni.

Doktor Croke zjawia się dobrze po północy, okazały w swym grubym płaszczu, z długimi wiotkimi siwymi włosami i pękatą torbą pełną pęset i szpatulek, kolców jeżowców i saletry. Priscilla zostawiła syna tylko na moment, żeby się uczesać i włożyć dzienną suknię, ale ma wyrzuty sumienia z powodu nawet tak krótkiej nieobecności, aczkolwiek tłumaczy sobie, że w gruncie rzeczy działa w interesie Thomasa, ponieważ doktor Croke jest wdowcem, a ona sama spodziewa się zostać wdową niebawem, którą to okoliczność postara się zmienić w możliwie najkrótszym, choć przyzwoitym czasie.

Thomas przestał się szaleńczo miotać, teraz już tylko drży na całym ciele, spojrzenie ma niewiele przytomniejsze, skórę nadal rozgrzaną i zlaną potem.

– Laleczki – dyszy. – W koszach. I do tego trzymają w domu ptaki.

Lekarz unosi koszulę chłopca i przykładą dłoń do jego rozedrganego brzucha. Thomas usiłuje wydostać się spod przykrycia i stanąć o własnych siłach. Priscilla łagodnie protestuje, stara się przytrzymać syna w łóżku, ale doktor Croke daje jej gestem znak, aby pozwoliła mu się podnieść.

Thomas Briggs wstaje. Przez moment stoi, cały drżący, obok łóżka, później zaczyna krążyć po izbie – z martwym wzrokiem ciągnie za sobą lewą nogę, sapiąc ciężko przy każdym kroku. Wcześniej nigdy nie kulał. Priscilla załamuje ręce i mamroce coś do siebie, widząc syna w takim stanie. Ma wrażenie, że kiedy zostawiła go w kąpielu, diabły dokonały podmiany na podstarzałego pijaka: postać z niepokojącym porażeniem, która teraz zatacza się bez celu.

W progu pojawia się Helen z informacją, że pastor przyjdzie, kiedy zdoła. Służąca miętosi fartuch w dłoniach i nerwowo popatruje na Thomasa, który wlecze za sobą lewą stopę, jakby mu zgniła i zaraz miała odpaść.

– Ha! – krzyczy Thomas, okręcając się na pięcie i celując palcem w Helen. – Siostry i pieszczenie sady! Widziałem, jak raz... – obwieszcza z dziwnym lubieżnym uśmiechem. – Cudne były, mimo iż lewa nieco większa od prawej. Karmi mnie szpilkami!

Wydaje z siebie nagły charkot i upada na podłogę, zupełnie jakby ktoś położył mu dłonie na ramionach i popchnął go.

Doktor Croke wreszcie się rusza, podnosi chłopca i kładzie go z powrotem na łóżku, gdzie Thomas znów jest tylko kłębowiskiem telepiących się członków.

– Kapitan daruje królowi małpkę, mimo iż czerwonoskóry zginął, kapitan daruje królowi małpkę, mimo iż czerwonoskóry zginął – mruczy śpiewnie bez końca, przerywając tylko po to, by zawyc i zaraz wrócić do mamrotania.

Helen cofa się z wyrazem tępego przerażenia na twarzy.

Bogobojna Priscilla zachowuje kamienną minę. Zasłania usta dłonią i szepce:

– ...nie bądźcie gadatliwi jak poganie[23]...

Podjmując przerwane oględziny, lekarz odciąga dolną powiekę Thomasa, by sprawdzić wywrócone wciąż oczy chłopca, który pokazuje same białka pożyłkowane na czerwono, chwytając Thomasa za żuchwę i przytrzymawszy ją nieruchomo, zagląda chłopcu do gardła, by zbadać migdałki.

– Na pewno nigdy wcześniej nie doświadczył podobnych konwulsji? – pyta.

Priscilla kręci głową.

– Nie, nigdy.

– Hmmm – przeciąga doktor Croke, po czym prosi, aby mu przynieść płaskie naczynie i wilgotną szmatkę.

– I nie zapomnij Pisma Świętego, Helen – dorzuca leżący wciąż na łóżku Thomas głosem cienkim i wysokim jak nie jego ani nikogo, kogo obecni by znali – bo zamierzam je przekąsić dziś wieczorem.

Wybuch dzikim śmiechem i przytknąwszy pięść do piersi, gniecie się nią kolistym ruchem.

Priscilla pstryka palcami na służącą, która z radością korzysta z tej wymówki, by zniknąć. Kiedy po jakimś czasie Helen wraca, stan Thomasa znowu zdążył się zmienić; lekarz i matka chłopca przyglądają mu się z milczącą troską, jak galopuje i wiruje po izbie, tak że można by pomyśleć, iż dosiadł konika na patyku i zaciska dłonie na widmowych lejcach. O ile jednakowoż dziecko bawiące się w ten sposób kłaskałoby językiem, naśladowując odgłos końskich kopyt, o tyle Thomas szczeka niczym rozgniewany terier. To rażące odstępstwo od spodziewanej dramaturgii budzi niepokój wszystkich. Z wielkim trudem – a po stronie Helen także z wielką niechęcią – całej trójce udaje się wreszcie zdjąć chłopca z niewidzialnego rumaka i usadzić go na krześle. Chwilę później ma już głowę nakrytą moką szmatką, a doktor Croke przymierza się do tego, by okadzić go oparem wody amoniakalnej. Izbę przesyca gryzący odór ciepłych sików. Priscilla, choć dławi się i dusi, pomaga lekarzowi utrzymać twarz chłopca bezpośrednio nad parującą misą. Ledwie ściągną Thomasowi z głowy moką szmatkę, dopadają go wymioty, które trwają zadziwiająco długo, w ich trakcie zrzuca misę z krzesła i dygocący na całym ciele zostaje znów zaciągnięty do łóżka, gdzie wręcz pływa we własnym pocie i wydzielinach. Przypomina to koszmar na jawie.

– Na rzucawkę dobrze robi oskubana i wypatroszona sójka – dzieli się śmiało tajnikami swego fachu doktor Croke, ocierając czoło chusteczką – aczkolwiek przyznaję, że o tej porze

dnia i roku może być trudno jakąś znaleźć.

Czarny humor nie znajduje uznania Priscilli Briggs. Na szczęście (choć nie dla Thomasa Briggsa) sposobów leczenia jest więcej. Po kolei więc jest nacinany i wykrwawiany, podgrzewany i schładzany, posypywany pudrami, smarowany maściami i roślinnym śluzem z nasion piwonii i kociej skoagulowanej krwi.

Pastor Long pojawia się zbyt późno, aby potwierdzić cudowną naturę torsji, i niemal od razu żałuje, że w ogóle się ruszał z plebanii. Na poczekaniu wymyśla garść duchowych testów, co jednakowoż prowadzi tylko do ogólnej zgody, że w swym obecnym stanie znany z pobożności Thomas nie ma szans zmówić Modlitwy Pańskiej bez szczekania, co samo w sobie jest wiele mówiące. Widząc, ku czemu zmierza cała sprawa, pastor wzdraga się przez odprawieniem rytuału, który w oczach lekarza i matki chłopca nazbyt by przypominał papistowskie egzorcyzmy. (W głębi ducha żałuje, że nie ma z nimi papieża, który miałby chyba najlepsze pojęcie, co zrobić w tej sytuacji).

Zanim nastanie świt, wszyscy są przekonani, że za dziwną przypadłością Thomasa Briggsa muszą stać czary. *Maleficium*[24]. Przed południem dowiaduje się o tym połowa wsi.

[23] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Mateusza 6,7.

[24] *Maleficium* (łac.) – zbrodnia, przestępstwo; złośliwe szkody, czynione przez czarownice, którym przypisywano dokuczliwe robienie naprzekór szkód, jak: sprowadzanie chorób na ludzi i zwierzęta, zaczarowanie bydła i inne krzywdy. Źródło: Słowniczek wiedzy duchowej, oprac. A. Espero, [w:] „Hejnał. Miesięcznik poświęcony wiedzy duchowej” 1935, R. 7, Z. 4, s. 122 (hasło zacytowane bez zmian w stosunku do oryginału), <http://www.tradycjaezoteryczna.ug.edu.pl/node/2254>, dostęp: 13 sierpnia 2022 r.

Grace Glascock, żona Richarda z Manningtree,

przed wspomnianym Sądem zeznaje w roku Pańskim 1645

Świadkini rzekła, iż doszło do kłótni pomiędzy Mary Parsley, żoną Edwarda z Manningtree, a niejaką Helen Clarke, żoną Thomasa (której to Helen rodzicielką jest Anne Leech), a na własne uszy słyszała, jako rzeczona Helen, mijając dom jej, znaczy świadkini, powiedziała, iż Mary, córka rzeczonych Edwarda i Mary Parsleyów, pożałuje jeszcze srodze, po czym rzeczona Mary w istocie rychło zapadła na zdrowiu i wyzionęła ducha sześć niedziel później.

Kazanie

Niedziela wstaje isticie zimowa, przejmujaco zimna i pochmurna, z padajacym z nieba deszczem ze sniegiem drobnym jak puder. Macierzy wystarczy, ze spojrzy z kuchennego wschodka na brzuchata chmure barwy zwiru, by z miejsca oznajmic, iz nigdzie sie z domu nie ruszy chociazby za cale zloto swiata, lecz ja – napędzana ciekawoscia, ktora oczywiscie stanowi glowny grzech niewiedzi – uznaje, ze mimo wszystko wyprawie sie do Mistle.

Lawki sa tak zimne, ze mozna sie nabawic odmrozen nawet przez wiele warstw spodnic, co jednakowoz nie przeszkadza klebic sie w kościele wiernym, ktorzy wygnala na mróz obietnica swiezych plotek. Niemajaca precedensu nieobecność Priscilli Briggs we frontowej lawie tylko potwierdza niestworzone pogloski, ktore kraza od wczesnego przedpoludnia, przekazywane od drzwi do drzwi przez chlopcow na posylki i z ust do ust przez zarumienione od chlodu i podniecenia gospodynie (pomiedzy nimi Anne Leech) opróżniajace wiadra z popiołu na gnojowiska. Z zachowania pastora mozna wnosić, ze zaranny udzial w pandemonium przydal mu w oczach owieczek pewnego prestiżu (Frances Hockett, machajac dlonia na wysokosci piersi, oznajmia, ze moglaby go „schrupac z kosteczkami”, co mnie osobiscie wydaje sie wyznaniem nieco nazbyt libertyńskim), a w kazdym razie wydaje sie on czerpac zadowolenie z faktu, ze z nagla wszyscy zaczeli go darzyc wiekszym szacunkiem. Zmienia sie nie do poznania. Nie stoi juz na ambonie zgarbiony, tylko prostuje sie na cala swa wysokość i zawadiacko odrzuca sprzed oczu grzywe szatynowych wlosow, przy czym przekrzywia mu sie zabot.

Jego kazanie przykuwa uwage nawet zwykle narowistych tylnych rzędow. Jak wszystkim wiadomo, powiada... „Jak wszystkim wiadomo”, boze dzieło na ziemi dobiega końca. Sprawy zmierzaja ku swemu rozwiązaniu. A gdy ta niebiańska strzala zbliza sie do celu, diabel podwaja wysilki, aby stracic ja z kursu i zepchnac swiat w objecia chaosu. Mym zdaniem metafora jest nieco przesadzona, ale parafianie chloną kazde slowo z oczyma wielkimi jak spodki. Najczcigodniejsi mieszkancy obu wsi, zajmujacy miejsca w pierwszym rzędzie, łapią sie za ziemiste gardla.

– Kroczy my po omacku ciemna aleja, osaczeni przez fanatykow. – Pastor uzywa intonacji wznoszacej dla wzmozenia efektu. – Z mroku siegaja ku nam ich rozcapierzone rece. Skad jednakowoż mamy wiedziec, czy poprowadza nas przez cienie ku swiatłu, czy raczej zwioda nas na manowce z drogi do odkupienia, wpychajac prosto w paszcze Bestii?

Gdy pada imie Ksiecicia Piekiele, szczesliwym zbiegiem okolicznosci silniejszy powiew szarpie deskami w oknach. Widze, ze siedzaca w trzecim rzędzie Mary Parlsey chwyta za ramie siostry.

Nawet tutaj, wyjasnia pastor, nawet tutaj w Manningtree i w Mistle nie brak slug Szatana, ktore niczym ropuchy na dnie worka po zbozu klebia sie zajadle i nurzaja we wlasnym sluzie. Wkrotce ich pan przywola je do dzialania przeciwko sasiodom, ktorzy od dawna oferuja im schronienie i wsparcie, przeciwko calej spolecznosci, parlamentowi, a nawet samej Anglii.

– Swiat powstanie od nowa – ogłasza pastor, toczac wzrokiem wzdluz pierwszej lawy, jakby sledzil lot niewidzialnego ptaka. – Bez dwuch zdań, albowiem napisano, ze dzien Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy[25], a niebo ze swistem przeminie, gwiazdy sie w ogniu rozsypia[26]... – Wciaga gwałtownie powietrze do płuc i mruga. – Nowy swiat... Ale czy bedzie to swiat prawych?

Zwilza wargi i milknie, strzela oczyma w rózne strony pod przymknietymi powiekami,

dyskretnie zapraszając wiernych, aby wyobrazili sobie alternatywę: żywopłoty stojące w ogniu, sroki dziobiące pyski martwych jagniąt, psy i świnie chodzące na tylnych nogach i dzierżące zardzewiałe tasaki.

– I głosem potężnym tak zawołał: upadł, upadł Babilon, stolica[27]... – W tym momencie co bardziej pobożni i zaznajomieni z Objawieniem Jana poruszają bezgłośnie wargami, recytując wykuty na pamięć fragment: – I stała się siedliskiem demonów i kryjówką wszelkiego ducha nieczystego, i kryjówką wszelkiego ptaka nieczystego i budzącego wstręt[28]. – Pastor unosi ręce ku sklepieniu. – Ile się wstawiała i osiągnęła przepychu, tyle jej zadajcie katuszy i smutku! Ponieważ mówi w swym sercu: „Zasiadam jak królowa i nie jestem wdową, i z pewnością nie zaznam żałoby!”[29] – wykrzykuje, plaskając dłońmi o pulpit ambony.

Wiernych przebiega dreszcz.

O kimże może mówić pastor? W Manningtree i w Mistley mieszka wiele wdów, a ich liczba ciągle rośnie. Obiegowa opinia o nich jest taka, że gdy czas już stępi ostre krawędzie żalu, zaczynają marudzić i domagać się nadzwyczajnych względów. Osełki masła tu, bochenka chleba tam – „dopóki nie stanę na nogach”. Niektóre nie podnoszą się z łóżka i pozwalają swym gospodarstwom popadać w ruinę, podczas gdy niepilnowane przez nich dzieci dokazują i dają się wszystkim we znaki. Niektóre po stracie własnego męża zaczynają łypać na mężów innych, nadymając pierś i robiąc maślane oczy – „Tylko mnie przytul, George, tak dawno nie zaznałam dotyku mężczyzny”. Tak, lewa strona audytorium jest sobie w stanie wyobrazić, że dręczona pustką kobieta może się poddać. Może zacząć szukać, czym by ją tu wypełnić. Może się wręcz zadowolić upiornymi strzępami, które nocą czepiają się jej ramion. Powiadają, że diabeł to przebiegły oszust, dwulicowy kochanek. Równie chętnie słucha, jak mamy. A kobiety nienawidzą wdów jeszcze i z tego powodu, że same są o włos od stania się jedną z nich. O włos, o stryczek, o sztorm, o kulę...

– Czujność. Czujność i wiara – rzecze z naciskiem pastor. – Ten, co przeoczył grzech bliźniego swego, sam zgrzeszył. Szatan pojawia się wśród nas we wszelkiej maści przebraniu, zarówno niespodziewanym, jak i takim, którego możemy się spodziewać: ladacznicy, magika, Kawalera w kapeluszu z piórkiem, który zawsze myśli tylko o profanacji i grabieży. Ale może też się pokazać jako coś niepozornego... jako królik przy twych drzwiach, jako pies odprowadzający cię do domu po zmroku... Jego dominium wiecznie się powiększa i puchnie: ze wschodu na zachód, z północy na południe, a on sam szczerze wierzy, że będzie nazywany królem świata! Musimy dopilnować – unosi drżący palec, celując nim w niebo – że nie znajdzie schronienia wśród prawych. „Czuwajcie”, powiada Piotr, „przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć”[30].

Tymi słowy kończy i dotyka dłonią swej kurzej klatki piersiowej. W kościele panuje cisza, jeśli nie liczyć zbiorowego świstu wciąganych oddechów. Czuję na sobie spojrzenia – czuję na sobie spojrzenia! Spod białych czepków, rzucane z ukosa albo ukradkiem przez ramię. Aż muszę się mocno uszczyptać w nadgarstek.

[25] Biblia Tysiąclecia, 1 List do Tesaloniczan 5,2.

[26] Biblia Tysiąclecia, 2 List Piotra 3,10.

[27] Biblia Tysiąclecia, Objawienie Jana 18,2.

[28] Tamże.

[29] Biblia Tysiąclecia, Objawienie Jana 18,7.

[30] Biblia Tysiąclecia, 1 List Piotra 5,8.

Przed kościołem leży masa spadłych liści, odcienie skórzastego brązu i wątrobowej żółci sprawiają, że ziemia pokazuje trędowną twarz. Niewiasty pośpieszyły do domów i kuchni, na wpeł oczekując, że zastaną na miejscu powywracane kociołki i pokalane pranie, czemu winni byłiby oczywiście widmowi włamywacze pozostawiający odciski swych ohydnych dłoni na sztukach bielizny należącej do gospodyń. Mężczyźni jednakowoż pozostali i teraz przestępując z nogi na nogę, gratulują pastorowi jego kazania i z posępnymi minami rozmawiają o wydarzeniach minionej nocy.

– Czary? – dopytuje pastora John Edes, brwi ma uniesione. – Czy chłopak aby na pewno nie udaje dla zabawy? Nie robi kawału matce, aby ją wystraszyć? Może to zwykła kolka? Priscilla Briggs lubi przesadzać.

Pastor kręci głową.

– Jeśli chłopak gra, napytał sobie nieprzyjemności ponad miarę. Nie. Mym zdaniem... i zdaniem doktora Croke'a... przypadłość jest jak najbardziej prawdziwa. A co do przyczyny...

– Przyczyny należy szukać w tym, co nadprzyrodzone – wtrąca Matthew Hopkins z kołnierzem zadartym po samą brodę. Ostatnie słowo wymawia ostrożnie, ale z zachwytem, jakby to była najlepsza porcelana.

W odpowiedzi pastor Long potakuje skinieniem. Jego twarz, teraz, gdy zszedł z ambony i rozstał się z wywyższoną pozycją, którą jej zawdzięczał, nabrała miękkości, uległości, ale też czegoś, co lekko przypomina desperację. W swym zadufaniu rzucił zarzewie, opowiadając o lwach i profanacji, i wstrętnych brudnych ptakach. Jest niczym dziecko, które radośnie odwróciwszy woreczek z kamykami, musi teraz gonić je na czworakach, zanim rozpierzchną się w ciemnościach.

– Aliści. Aliści doradzałbym umiar w osądach...

– Czy ciało chłopca przebadano pod kątem piętn?

– Piętn? – Pastor mruga.

– Czarcich piętn. Szatan znakuje nimi swych wyznawców dla przypomnienia o pakcie, który zawarli. Tak przynajmniej czytałem – dodaje Hopkins, rozdymając zaczerwienione nozdrza.

Duchowny zerka nań. Wszyscy zerkają.

– Mam rozumieć, że Thomas Briggs sam się napiętnował?

Hopkins wzrusza ramionami.

– Nie, ale może być pilnym uczniem. Energiczny, łatwowierny młodzian, w przypadku kogoś takiego nietrudno przekierować rodzącą się witalność i spożytkować ją w złym celu. – Przechyla z namysłem głowę. – Kto jeszcze mieszka pod tym dachem?

Sprawia wrażenie opanowanego i władczego, lecz sposób, w jaki wymawia trudniejsze słowa, wydaje się wręcz zmysłowy.

Z odpowiedzią wyrywa się jeden z sąsiadów, Richard Edwards.

– Oprócz chłopca i jego matki... dwoje służących, jeśli się nie mylę. Michael Wright z Clacton i Helen Clarke, od niedawna zamężna.

– Ach tak – stwierdza Hopkins. – Ufam, wielebny, że przyjrzesz się tej sprawie bliżej? Twe kazanie upewniło mnie co do ciebie, każąc wierzyć, iż nade wszystko pragniesz chronić mieszkańców przed czarownictwem, aczkolwiek zarazem stanowiło dosadne przypomnienie, z jakiego rodzaju deprawacją mamy do czynienia.

Long poprawia na sobie żabot i zapalczywie kiwa głową.

– Oczywiście, oczywiście. Udzielę gospodyni Briggs wszelkiego możliwego wsparcia.

– Jako my wszyscy – dopowiada Edwards przy wtórze chóralnych potakiwań.

Stoją tam jeszcze jakiś czas, mrużąc oczy w obronie przed niosącym sól wiatrem, każdy

pochłonięty przez własne myśli, kalkulujący po cichu, jak dużo powinien zaryzykować w obliczu konwulsji dorastającego chłopca, obaw samotnej matki oraz zawodowych domysłów pozbawionego kręgosłupa duchownego i lekarza dypsomana (który w dodatku sympatyzuje z papistami). W końcu się rozchodzą, a zakrystianin gasi jedna po drugiej kilkadziesiąt świec, bacząc, aby nie stać zbyt długo plecami do gęstniejącego mroku.

Ciemności zapadają wcześniej, a deszcz ze śniegiem sublimuje w jedwabną mgiełkę, która diabelską siecią obejmuje krzywe dachy, tłumiąc blask gwiazd.

Inkub

Mija tydzień, a we wsi słyhać tylko o tym, że na Thomasa Briggsa ktoś rzucił urok – oraz o tym, czym się ten urok przejawia, jaka jest jego natura i czy znajdzie się sposób, aby go odczytać, nade wszystko jednakowoż: kto za nim stoi. Odcytani mężczyźni zaglądają do ksiąg, wśród których znajduje się *Prawdziwa opowieść o dziwnej i bolesnej udręce z ręki diabła snuta przez siedmioro mieszkańców Lancashire Darrella czy Najwspanialsza i najprawdziwsza historia pewnej wiedźmy noszącej miano Alse Goodridge ze Stapenhill Denisona*. Utrzymane w podobnej tematyce pamflety krążą po oberżach i nie schodzą z ust zwykłych ludzi, nawet gdy te są pełne wieprzowiny. Tymczasem stan młodego Briggsa, jak pogoda, ani się nie polepsza, ani nie pogarsza. Zęby chłopcu dalej dzwonią w czaszce, a oczy wywracają się białkami do przodu, ciało zaś wije się i skręca, przybierając trwożne pozy, o jakich wszyscy myśleli, że człowiek nie jest do nich zdolny.

– Jada kleik na wodzie dwa razy dziennie – donosi Grace Glascock.

– Zwraca zakurzone piórka i miniaturowe zęby – twierdzi Mary Phillips – zupełnie jak sobie wypluwki.

Doktor Croke nawiedza Thomasa, by wcierać weń różne rzeczy. Nic dobrego jednakowoż z tego nie wynika.

Początkowo plotki utrzymane są w poważnym tonie i znacznie się od siebie różnią, co nie dziwi, zważywszy, że pochodzą od osób obeznanych z okultyzmem. Ale wkrótce do siedziby Briggsów, która stoi z dala od traktu, mniej więcej w połowie drogi między Manningtree i Mistley, zaczynają ścigać tłumy. Niosą ciasta, duszone w rosole gołębie, gotowane gruszki, kaszankę i lepkie egzotyczne figi. Łupy te w niczym nie pomagają Priscilli, która musi pościć, aby przebłagać Pana Boga za występki, jakiego się dopuściła, ścigając na własne domostwo tę kłatwę. Ale przynajmniej wystawność i skromność znoszonych jej darów daje nam powód do dalszych plotek. Woda na brutalny młyn, gdzie między żarna trafia reputacja. Nawet to sobie wyobrażam. Kobiety otaczają kręgiem Priscillę Briggs i modlą się żarliwie o wyzdrowienie jej syna albo fałszując, śpiewają psalmy (*Dlaczego z dala stoisz, o Panie*[31] jest faworytem, z tego co słyszałam). Większość mężczyzn ma odwagę co najwyżej zerknąć za próg izby Thomasa, chociaż co dzielniejsi być może wchodzi do środka, aby odczytać parę wersów Pisma nad chłopcem, i potrząsając głową, dają wyraz swemu ubolewaniu, co za bezbożności się wyczyniają na ich ziemi. W tym czasie młody Briggs znad skraju narzuty świdruje niepokojącym spojrzeniem czarnych oczu tego, kto ma śmiałość go odwiedzić.

Pierwej goście pojawiają się pojedynczo, stopniowo jednakowoż ich wizyty zaczynają na siebie nachodzić i dolną kondygnację domostwa Briggsów bierze w posiadanie katafalkowy korowód. Tu stoi pan Hobday z żoną, oboje sztywno wyprostowani i urodziwi, którzy przynieśli całego pstrąga, odfiletowanego i gotowego do rzucenia na wrzątek (teraz są niezwykle stateczni, choć wszystkim wiadomo, że pani Hobday przyłapała męża z młeczką i w zemście wrzuciła bezcenny wisior z wizerunkiem jego matki w sam środek obornika, kiedy on sam był w Ipswich). Tam pastor Long częstuje się trzecim owsianym ciasteczkiem upieczonym przez Mary Parlsey i komplementuje przy tym haft na jej kołnierzu, wyrażając uprzejme zdumienie, że wyszedł spod jej własnej ręki, której opuchlizna jest aż nadto widoczna (w rzeczywistości to wcale nie jej dzieło, tylko me). Nie ruszając się sprzed kominka, Matthew Hopkins spogląda groźnie na trzymaną w dłoniach otwartą książkę. Richard Edwards wyprowadza młodziczkę

Prudence Hart do ogrodu na tyłach i bynajmniej się nie kryje z tym, że chciałby dotknąć jej poduszek w dole pleców, od których dzieli go może palec. Ludzie rozmawiają o odwiedzinach u mieszkających po sąsiedzku Briggsów, jakby to było wyjście na majówkę (choć wiza u marniejącego dziecka jest rozrywką znacznie bliższą sercu purytanów aniżeli coś równie pogańskiego jak harce z okazji nadejścia lata). Nie mija wiele czasu, a ci, którzy jeszcze nie pojawili się w domu Briggsów, stają się nagle bardziej widoczni przez swą przedłużającą się nieobecność.

W powietrzu wisi desperacja. Poczucie, że teraz bardziej aniżeli kiedykolwiek należy zachować pozory. Na dole gawędzi się jakby nigdy nic, podczas gdy z górnej kondygnacji dolatują hałasy. Priscilla Briggs postarzała się tak znacznie, że samo to można by złożyć na karb uroku (jak posłyszałam, mijając ciasno zbitą w obronie przed chłodem grupkę kobiet pod krzyżem targowym). Policzki ma ponoć zapadnięte i pozbawione wszelkiego koloru, a jej oczy zdają się nieproporcjonalnie duże na tle ściągniętej frasunkiem twarzy. Pewnego popołudnia pani Edwards widzi, jak obrączka Priscilli zsuwa się z wychudzonego palca i toczy po dywaniku przed kominkiem, co bez wątpienia – wszyscy zgadzają się w tej kwestii, ledwie gospodyni pójdzie na górę, aby sprawdzić, jak miewa się jej syn – jest złą wróżbą.

– Nawet tego nie zauważyła – raportuje też będąca świadkiem zdarzenia Mary Parsley zaopatrującemu domostwo Briggsów w artykuły spożywcze Robertowi Taylorowi, który ma wstęp tylko od kuchni. – Pozwoliła obrączce leżeć na podłodze. Diabeł zamieszkał w tym domu, bez dwóch zdań.

Jeśli diabeł faktycznie zadomowił się u Briggsów, przejawia swą obecność na żmudne, przestarzałe i raczej przypadkowe sposoby. John Stearne klnie się, że gdy tuż po zmroku wyszedł na zewnątrz, aby ulżyć pęcherzowi, zobaczył w krzakach dokazujące stworzenie dziwnie podobne do skrzydlatej mały. Posłaniec wiozący wiadomość spadł z konia zaraz za bramą. Michael Wright, pomywacz, dostał szkaradnej wysypki, którą stara się maskować, zapuszczając rzadką (i jeszcze szkaradniejszą) brodę. Krążą słuchy, że co rano Priscilla znajduje u Thomasa wbitą za lewe ucho nową szpilkę. Część ludzi daje temu wiarę, większość nie.

Chciałabym chyba, żeby coś takiego przytrafiło się mnie: chciałabym zobaczyć skrzata w czerwonym kubraczku, jak maszeruje przez pokryty rosą trawnik. Chciałabym zacząć kuleć. Cokolwiek, byle mieć pewność, że Pan Bóg nie odwrócił się ode mnie. Właśnie dlatego w pierwszy dzień grudnia z samego rana staję w progu kuchni Briggsów z koszykiem pełnym jabłek, żółtych i pomarszczonych, mających swój najlepszy czas za sobą, i powtarzam w duchu: „Diabło, skrzywdź mnie, pokaż, że mnie nienawidzisz, bo to będzie znaczyło, że zaliczam się do prawych”.

Od paru tygodni nie potrafię myśleć o niczym innym poza ciągiem zdarzeń, który – jak się obawiam – wywołała ma rozwiązłość i który – mam nadzieję – przestanie na chorym dziecku i pogrążonej w żalobie matce. Przeprowadzając z nogi na nogę na najwyższym wschodku Briggsów, mam silne wrażenie, że to wszystko ma wina. Nie w tym sensie, że coś złego uczyniłam czy sprawiłam, lecz z tego względu, że dołożyłam swe grzechy na szczyt niewidzialnej grzesznej sterty, która sieje wokół zgnilizną i stanowi podłoże dla wzrostu czarnych diabelskich kwiatów. Królik pod drzwiami, przepaska na oczy i kapusta, cień w wodzie do mycia, sen o sadzie, dziecko w ogniu... osobne wątki w pomysłowym wzorze, którego nie potrafię objąć rozumem. Oczywiście, że wierzę w diabła, ale wierzę też, że się mną nie interesuje – a przynajmniej dotąd tak uważałam. Skoro jednakowoż... skoro potrafi być w więcej aniżeli dwóch miejscach naraz, ba, w więcej aniżeli dziesięciu, co stoi na przeszkodzie, aby wisiał nade mną wtedy u Bess Clarke czy u Judith Moone, nawet gdyby w tym samym czasie – jak się twierdzi – sączył kuszące podszepty w wypchnione włosy księcia Cumberlandii[32] na

drugim krańcu kraju?

Pomijając wszystko, może jest też we mnie trochę radości. Spostrzegam bowiem u siebie zmianę, która nie przeszła niezauważona, choć nikt nie znajduje dla niej wyjaśnienia. Mrużąc oczy w szparki, macierz rzuciła, że wyglądam nader dobrze. Nie da się wykluczyć, że kolorów na twarzy dodaje mi zimowa suknia z rudobrunatnej włóczki. Jest ciut za krótka i jeszcze rok temu jej skąpość przyprawiała mnie o wstyd. Obecnie jednakowoż kroczę w niej dumnie przez wieś, acz istnieje zagrożenie, że przy którymś ruchu obnażę smukłość kostek, co każe mi myśleć, że piekarz, mydlarz czy kowal bądź ktokolwiek, kogo minę, ujrzy biel mych pończoch i uzna się za szczęściarza. Wieczorem, uwalniając włosy z czepka, dotykam własnej szyi i znajduję ją isticie łabędzią. Czuję się elegancka jak nowe trzewiki, jak kobieta wybrana przez Szatana. Wszelako być wybraną przez Boga jest znacznie lepiej, gdyż wtedy nie ma znaczenia wzajemność. Albowiem Bóg swym uczuciem przytłacza wszystko. Tak przynajmniej piszą w księgach paskudni mężczyźni – brzydcy szpetotą, która czyni z nich obiekt wyłącznie bożej miłości. Takie mam myśli. Pragnę wszystkiego, nie zasługuję na nic.

Stoję więc pod drzwiami Briggsów, kurczowo trzymając uchwyt koszyka z jabłkami i wydychając małe obłoczki rozgrzanego powietrza. Jeżeli faktycznie ktoś rzucił urok na Thomasa, zamierzam się o tym przekonać osobiście. Onieśmiela mnie jednakowoż siedziba Briggsów – wzniesiona z porządnej czerwonej cegły i z prostymi bielonymi belkami. Mają nawet pięterko, razem osiem izb co najmniej, a pewnie więcej. Zaczynam liczyć okna, czekając, aż ktoś mi otworzy, i jestem przy dziesiątym, gdy w progu pojawia się Helen Clarke w brudnym fartuchu i turbanie na głowie, spod którego po bokach wymykają się czarne loki. Nie do końca rozumiem spojrzenie, jakim mnie obdarza – przeciągłe, zimne i pełne niechęci, co stoi w sprzeczności z łączącą nas na co dzień przyjazną relacją (Helen to najmłodsza córka Anne Leech, co oznacza, że obie jesteśmy swego rodzaju wyrzutkami, choć ja jestem od niej ładniejsza, nawet pomimo dziobów po ospie, a coś takiego potrafi wzbudzić wrogość w dziewczce, której nie stać na zakup wstążki czy rózu, by jakoś zatuszować swe niedostatki).

– Helen – rzucam na powitanie, skłaniając lekko głowę. – Pomyślałam, że odwiedzę panią Briggs i przekażę jej swe i macierzy najlepsze życzenia.

Choć ćwiczyłam te słowa przez całą drogę tutaj, wypadają nie tak, jak bym chciała. Helen chrząka, ale odstepuje na bok, wpuszczając mnie do kuchni. W środku jest ciepło od rozpalonego ognia. Miedziane kociołki i cynowe dzbanki, kubki i miski wiszą na bocznych ściankach kredensu, pieszcząc oczy swym lśnieniem. Rzeczy tanie, lecz piękne. Z głównej izby dolatują głosy – trzy, a może cztery?

– Niepotrzebnie – stwierdza naburmuszona wciąż Helen, odbierając z mych rąk koszyk, aby przyjrzeć się jabłkom.

Helen Clarke nie jest urodziwa urodą, jakiej pożąda większość dziewcząt, ale ma krągłości, gdzie powinna, gładką cerę i przyjemnie chropawe obycie, a wszystko to sprawia, że aż się prosi, by ją całować. Jeśli nie liczyć ciemnych włosów, niezbyt wrodziła się w matkę – choć odziedziczyła po Anne Leech tendencję do wtrącania się w nie swe sprawy i meszek nad górną wargą.

Przytupuję wciąż zmarzniętymi stopami.

– Dlaczego? – pytam.

Helen odstawia koszyk i rzuca mi wyzywające spojrzenie

– Kim jesteśmy my – syczy, pukając się w pierś palcem wskazującym – i kim są oni?

Wybucham śmiechem – dziewczynskim, perlistym, niemądrym.

– Nie wiem, nie miałam okazji ich poznać.

Surowy wzrok Helen sprawia, że śmiech gaśnie mi na ustach.

– Boże... – mówi, wydechając powietrze przez nos – nikt nigdy nie powie, że kobietom noszącym nazwisko West brak tupetu. Krążą plotki – sama zaczyna plotkować – którym niedaleko do oskarżeń. Matthew Hopkins bywa tu częściej aniżeli inni. – Wzdryga się. – Ten człowiek jest jak garść zimnego śniegu za dekoltem sukni, zgodzisz się ze mną? To, w jaki sposób patrzy na ludzi...

Milknie, gdy otwierają się drzwi prowadzące do kuchni z głównej izby. W progu staje John Edes w twarowym, wyciętym w talii ciemnogrnatowym dublecie, zaaferowany zapinką peleryny pod szyją. Lubię te sytuacje, w których widzę go pierwsza, zanim on zobaczy mnie – wydaje się wtedy naturalny i nieporadny niczym szczenię, jak teraz, gdy z marszem na czole manipuluje przy zapince. Wreszcie podnosi oczy i spostrzegłszy mnie, maskuje zdziwienie ukłonem.

– Rebecca – rzecze uprzejmie w swym zmieszaniu.

– John. Co za niespodzianka... – Nie, nie możesz tak mówić, nie jesteś londyńską kokietką. Zaczynaj od nowa. – John. Pomyślałam, że odwiedzę panią Briggs i przekażę jej swe i macierzy najlepsze życzenia. I... jabłka – dodaję, czując, że na twarz występuje mi rumieniec.

Przyglądająca się nam Helen uśmiecha się krzywo i odwraca do paleniska, aby dołożyć do ognia.

– Ach tak. Jestem... jestem pewien, że pani Briggs będzie wdzięczna. – Jego uśmiech wypada blade. – Wybacz, właśnie wychodziłem... – Gestem wskazuje drzwi, przez które dopiero co dostałam się do środka.

Dygam, ale on zdążył już opuścić kuchnię, nie mówiąc chociażby „Bóg z wami”. Ktoś mógłby pomyśleć, że śpieszno mu było rozstać się ze mną. I wiem już, że tylko o tym będę w stanie myśleć przez co najmniej dwie godziny, gdy już położę się spać wieczorem, przez co bez wątpienia ucierpi mój odpoczynek. Zastanawiam się też, czy jakkolwiek rodzaj intymności nie wiąże się z upokorzeniem, czy też wszyscy raczej nie mają nic przeciwko niemu, a może tylko tak udają.

Przez wciąż otwarte drzwi do głównej izby widzę parę skrzyżowanych nóg na krześle przed kominkiem. Nogi są obute w trzewiki z wysokimi cholewami i ostrogami przy piętach; ostrogi pobłyskują, ilekroć odbije się w nich światło. Buty pana Hopkinsa. A zatem przyszli we dwóch, Edes i Hopkins...

Widząc, na co patrzę, Helen prychnęła:

– Gotowa na spotkanie ze Stwórcą?

Rozplaskuje kulę ciasta na stolnicy i zaczyna ją brutalnie ugniatać.

Biorę głęboki wdech i poprawiam na sobie odzienie. Następnie pytam Helen, jak wyglądam.

Podnosi na mnie wzrok znad stolnicy i parska:

– A co ci za różnica? Twój ukochany właśnie wyszedł.

Ma rację. Co mi za różnica? A jednakowoż stoję tam, uśmiechając się wyczekująco, aż Helen przewróci oczyma i powie:

– Nieźle. Chyba... A teraz sio!

Wchodzę do głównej izby ze spuszczonego wzrokiem, co ma być oznaką szacunku, ale że wśród ludzi nigdy nie zachowuję się inaczej, bez trudu rozpoznaję obecnych po ich strojach od pasa w dół. Na niskiej ławie pod przeciwległą ścianą – w obfitych czarnych spódnicach – siedzą: Prudence Hart (jak zwykle trzymająca dłonie na napęczniałym brzuchu, jakby mogła w ten sposób ochronić rosnące w niej dziecko), Priscilla Briggs i Mary Parsley, tworzące żalobny tryptyk. Przed kominkiem, na krześle z wysokim oparciem, rozpiera się Matthew Hopkins – ten z kolei trzyma na brzuchu dłonie złożone w piramidkę. Przy drzwiach stoją pastor Long i Richard

Edwards, który zawsze nosi miecz, chociaż wszyscy wiedzą, że nie zabił własnoręcznie nawet kurczaka na obiad. Na mój widok towarzystwo milknie.

Dygam z dłońmi splecionymi za plecami i zwracam się do Priscilli Briggs, a raczej do jej aksamitów:

– Dzień dobry, niech wam Bóg błogosławi, gospodyni. Przychodzę złożyć uszanowanie. Wraz z macierzą modlimy się gorąco o zdrowie dla Thomasa. I też... przyniosłam nieco jabłek. Helen... Helen wzięła je ode mnie.

Zanim Priscilla zdąży odpowiedzieć, z góry dobiega zduszony swarny okrzyk, po czym na wschodkach rozlegają się szybkie kroki, którym towarzyszy głośnie trzaśnięcie.

– Oho! – woła pastor radośnie jak urwis wypatrujący burzy nad zatoką.

Nikt nie podziela jego podniecenia. Kobiety unoszą niespokojnie wzrok ku krokwiom, lecz wygląda na to, że okultystyczne peregrynacje Thomasa tymczasowo dobiegły końca.

– Czy ktoś pilnuje chłopca? – rzuca w powietrze Hopkins.

– Tak – odpowiada Priscilla. – Dogląda go doktor Croke.

Jakby czując na sobie jej spojrzenie, podrywam głowę i faktycznie widzę, że wbija we mnie roziskrzony oczy. Chcę się do niej uśmiechnąć, lecz zdobywam się w najlepszym razie na grymas. Mary Parsley odruchowo ściska ją za dłoń. Od zawsze różniłam się od innych dziewcząt, stałam się więc wyczulona na ich konspiracyjne zachowania: obosieczny śmiech, okropieństwa wbijane niczym szpile w woskowe laleczki, podrzucane do pantofelka pająki... Doskonale wiem, jaką minę ma kobieta, która dopiero co o tobie mówiła, tak samo jak mężczyzna, który dopiero co wyobrażał sobie siebie nagą. We trzy przed chwilą o mnie rozmawiały. Teraz Prudence Hart nachyla się do ucha Mary Parsley, aby jej coś szepnąć.

– Myślałam – mówię, usiłując zapanować nad drżącym głosem – myślałam, że będę mogła zobaczyć Thomasa. Chciałabym... chciałabym przekazać mu życzenia zdrowia osobiście. – Zagryzam wargę.

– Nie pozwo... – wybucha Priscilla, a ja się domyślam, co chciała powiedzieć: „Nie pozwolę ci się doń zbliżyć!”, tylko że mocniejszy uścisk Mary Parsley przypomina jej o wymogach grzeczności. Opanowuje się więc i prostuje tułów ujęty w gorset. – To znaczy... Thomas w tej chwili odpoczywa. Nie sądzę, aby...

– Zaprowadzę pannę West do jego izby – przerywa jej Hopkins, wstając ze swego miejsca przy kominku.

Priscilla Briggs wodzi spojrzeniem ode mnie do Hopkinsa i z powrotem, mając usta ułożone w duże zdziwione O. Widzę, że bardzo chciałaby zaprotestować, lecz nie wda się – nie może się wdać – w otwarty spór z mężczyzną. Tym bardziej że Hopkins to nie zwykły mężczyzna. To „ten człowiek”, o którym wiadomo, że był w Cambridge i hołduje europejskim obyczajom. Ponoć zna nawet francuski. Jego sposób bycia sugeruje sekretną znajomość rzeczy, jeśli nie wszechrzeczy. Nagle przed oczyma staje mi następujący obraz. Hopkins unosi wysoko sklepiony kapelusz, a pod spodem na jego głowie spoczywa misterna miniaturowa mechaniczna replika całego świata, coś jak wnętrze zegara, tylko że razem z otoczką chmur nad karłowatymi oceanami, co przywodzi na myśl widok pleśni na skórcie brzoskwini. Hopkins rzecze i słowo ciałem się staje.

Pięć par oczu śledzi każdy krok Matthew Hopkinsa, gdy ten – zgrzytając ostrogami o kamienną posadzkę – zbliża się do mnie stojącej na środku pomieszczenia i wyciągniętym ramieniem wskazuje wschodki.

– Panno West – zaprasza z zimnym uśmiechem – proszę za mną.

W izbie Thomasa panuje nikły blask, a snujący się tam odór przyprawia o mdłości. Nad wezgłowiem łóżka wisi kawałek płótna z wyhaftowanym napisem: „Źródłem życia jest bojaźń

Pańska”[33]. Siedzący przy kominku na niskim krześle doktor Croke najwyraźniej śpi, ale Thomas unosi głowę z poduszki na odgłos naszych kroków. Oczy ma błyszczące jak grzbiet żuka gnojaka.

– Och – szepce. – Przyprowadziłeś jedną z nich.

Hopkins kładzie mi dłoń na ramieniu stanowczym gestem, w ten sposób zmuszając mnie do przestąpienia progu.

– Znasz tę dziewczkę, Thomasie? – pyta.

– Tak – odpowiada chłopak. – Jej ojciec zginął na morzu.

Usta mu drgają jakby w uśmiechu, przez co można pomyśleć, że jego duch raduje się przelotnie na myśl o żeglarskich przygodach. Czyli gdzieś tam, w głębi, czai się wciąż mały chłopiec.

– A później? – dopytuje Hopkins, obejmując me ramię ciaśniej.

Zaczynam mówić, że przychodzę, aby życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia z obecnej niedyspozycji, lecz Thomas wydaje się czegoś niespokojny. Skamle pierwej, a potem uderza potylicą w poduszki w rytm mych słów. Unosi chude ramiona w powietrze, trzęsie nimi i wymachuje, jakby próbował zrzucić z własnej piersi niewidzialnego napastnika. Oddycha przy tym ciężko.

– Każ jej przestać! – chrypi. – To boli!

Chcę się cofnąć, ale urękawiczniona dłoń Hopkinsa oplata mnie mocniej, utrzymując w miejscu.

– Powiedz, co widzisz, Thomasie. Co cię napastuje?

Cokolwiek to jest, dręczy go w takim stopniu, że ledwie potrafi formułować słowa; jego ręce spazmatycznie drżą, z twarzy odpłynęła cała krew.

– To... to siedzi na mnie – wyrzuca z siebie zduszonym głosem. – Jest jak cień. Czarne!

– Dobry Boże! – Zawodzenie chłopca w końcu wyrywa z drzemki lekarza, który przypada natychmiast do łóżka pacjenta.

Zanim się spostrzegę, co się dzieje, Hopkins szarpnięciem cofa mnie na korytarz, po czym wpycha do izby obok, zatraskując za nami drzwi. Boję się. Ledwie puści me ramię, odskakuję odeń jak najdalej i obrzucam spojrzeniem wnętrze. Ława, zepsuty kołowrotek, pusta biblioteczka. Hopkins blokuje ramieniem drzwi, na jego mrocznym obliczu maluje się wyraz tryumfu. Na ciele wciąż czuję ucisk jego palców. Dotykam tego miejsca, pewna, że będę mieć siniaka.

– Jak to zrobiłaś? – pyta. Uśmiecha się.

– Jak co zrobiłam?

– Inkuba – odpowiada zwięźle.

Odpowiadam, że nie mam pojęcia, czym jest ten... inkub, tym bardziej więc nie mogę wiedzieć, jak się go przywołuje. Na jednej z półek nieopodal okna stoi zaśniedziały świecznik – jeślibym tylko mogła go dosięgnąć... To co byś zrobiła, Rebecca? Słukła mu nim głowę?

– Inkub to demon, panno West – wyjaśnia przez ściśniętą krtań Hopkins i zaraz zwilża wargi. – Demon rodem z piekła, który przybywa na wezwanie czarownicy, aby jej służyć na mocy cyrografu, który zawarła z diabłem.

Jest podniecony. Mężczyźni tak mają, podnieca ich czytanie o wojnach i tureckich tancerkach. Widzę dobrze jego rozszerzone źrenice i pojedynczy czarny loczek, który klei się do wilgotnego kącika ust. Promień słońca musiał wyjść zza chmury i wpaść przez okno za moimi plecami, ponieważ przede mną rodzi się cień, przesuwając się po deskach i dotyka czubków jego butów.

– Nic nawet nie widziałam – tłumaczę – a co dopiero mówić o przywoływaniu demonów.

Hopkins robi krok w mą stronę.

– Twa matka to Beldam West, tak? Rzuciła klątwę na Thomasa Briggsa, gdy bawił się opodal kei. Powiedziały mi o tym jej towarzyszkę.

Wyrywa się ze mnie dźwięk będący skrzyżowaniem przestachu i wesołości. Matthew Hopkins nic nie wie o mych duchowych transgresjach. Interesuje go macierz, Beldam. Anne West jak zwykle jest w centrum uwagi niczym piasta w kole. Ja stanowię tylko dodatek do niej, narośl na podobieństwo guza.

Odnajdując w sobie głos, odzywam się jasno i wyraźnie:

– Jeśliby słowa macierzy niosły jakąś moc, galopowałabym na niewidzialnym koniu do Maldon i z powrotem.

Krzyżuję ręce na piersi.

– Matka i córka – rzuca Hopkins ochryple, stawiając kolejny krok w mą stronę, czym zmniejsza dystans między nami – mieszkające samotnie w domu na wzgórzu. – Znowu ten uśmiech. – Kobieta gdy sama rozmyśla, o złych rzeczach rozmyśla[34], jak powiadają.

– Jeśli naprawdę uważasz, panie, że mam umysł i ciało sprawne do czynienia krzywdy, powinieneś chyba być ostrożniejszy w mej obecności. A teraz pozwól, że stąd wyjdę.

Co też czynię. Zanim Hopkins zdąży mnie powstrzymać, mijam go i wypadam za drzwi. W korytarzu panuje małe zamieszanie; zaniepokojone kwileniem Thomasa kobiety z dołu przyszyły tu i teraz stoją w zadumie. Przemykam obok nich, po drodze odtrącając na bok Prudence Hart, i dopadam wschodków. W uszach tętni mi krew. Porywam chustę rzuconą w kuchni i pośpiesznie wychodzę na zewnątrz – zostawiam za sobą osłupiałą Helen Clarke i koszyk zwiędniętych jabłek.

[31] Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 10,1.

[32] Książę Cumberlandii – właśc. Rupert Reński (1619–1682), w czasie angielskiej wojny domowej dowódca kawalerii rojalistów od 1642 r., a w latach 1644–1645 naczelny wódz armii rojalistów.

[33] Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 14,27.

[34] H. Krammer, J. Sprenger, *Młot na czarownice* t. 1, przeł. Jakub Zielonka, Wydawnictwo Graf_ika, Warszawa 2021, s. 144.

Przesłuchanie Helen Clarke

przed wspomnianym Sądem w roku Pańskim 1645

Przesłuchiwana zeznała, iż circa sześciu niedziel temu w jej domu objawił się Szatan pod postacią białego psa, iż nazwała tegoż chowańca Elimanzer, a iż częstokroć go karmiła owsianką na mleku i ów przemawiał do niej słyszalnie, każąc jej się wyprzeć Jezusa Chrystusa i nigdy nie powrócić na Jego łono, azaliż to uczynisz?, na co odparła zgodnie, równako zaprzeczając, jakoby przyłożyła rękę do skonania córki rzeczzonego Edwarda Parsleya.

Msza

Ostrożnie wyjmując z koszyka kolejne jabłka, jedno po drugim, każdemu uważnie się przyglądając. Jest ich w sumie sześć. Ogonki mają łamliwe, są chłodne w dotyku, a pomarszczona porowata zażółcona skórka lekko ustępuje pod naciskiem palca. W ramach eksperymentu wrzuca pierwsze z brzegu do ognia i kuca przy kominku, aby patrzeć, jak płonie. Czuje smród, ale ledwie, ledwie – słodki i gryzący zarazem, jak końskiego łajna. Skórka marszczy się i pęka, uwalniając soki, i po paru chwilach z całego owocu zostaje tylko szerniawy ogryzek z dwoma przypalonymi falbankami skórki, podobnymi do łuków brwiowych trupiej czaszki.

Drugie jabłko nakłuwa długim żelaznym gwoździem. Przy wyciąganiu słyszy satysfakcjonujący mlask, po czym unosi wilgotny metal ku świecy. Wącha sok. Dotyka go językiem, lecz żelazisty smak bierze górę nad owocową słodyczą, przywołując na myśl krew. Trzecie kroi na dwie połówki. Czarne pestki wyzierają z białego miąższu niczym karykaturalne sowsie twarze (we wszystkim widzi twarze – w sinych wodach rzeki, w kwiatkach, a nawet w cieniach). Czwarte odkłada na parapet w swym gabinecie w celu dalszej obserwacji. Piąte grzebie w płytkim dołku w swym ogrodzie.

Szóste przykłada do ust, leżąc na drewnianej ławie tego samego wieczora, ale w owym momencie John Stearne, który leniwie wertuje karty tandetnego traktatu Johna Milтона, pyta:

– Co słyszać u Briggsów?

Matthew Hopkins wzdycha.

– U chłopca praktycznie bez zmian.

– Tak, cóż. Skoro wciąż przejawia te same symptomy, mało prawdopodobne, aby udawał. – Stearne drapie się po skrzydełku nosa.

Jest zeń błady wymoczkowaty mężczyzna po trzydziestce, gapowaty i gafowaty, całym sobą zaprzeczający tezie, jakoby człowiek przed czterdziestką był w kwiecie wieku lub czegokolwiek innego. Puchnie i cieknie, byle zapełnić przestrzeń, którą kupił mu pieniądze. Jego pospolitość budzi u Hopkinsa wstręt, przypomina bowiem pęcherz napęczniały od mleka, błoniasty i niemal przezroczysty, kolebiący się na wszystkie strony. Nikt jednakowoż nie kwestionuje jego koligacji, których nie poskapił nowo przybyłemu na etapie instalowania się w Mistle. Oberża Thorn Inn stoi tuż przy ostrym zakręcie na trakcie wiodącym do Harwich, gdzie rozlewisko pogłębia się i poszerza. Świeżo wybielona zdaje się najczystszy widokiem w promieniu wielu mil, jeśli nie liczyć łabędzi, które krążą nad wodami Gamekeeper's Pond. Dziś wieczór przybytek świeci pustkami, gdyż mało kto jest chętny opuścić domowe pielesze i zamienić je na kęsający chłód na zewnątrz. Gospodarz i jego gość przesiadują w izbie na tyłach niższego piętra.

– Nawet jeśli udaje, nie ma to znaczenia. Nie da się podrobić czegoś, co nie istnieje – wyjaśnia Hopkins.

Stearne odkłada traktat i marszczy czoło, usiłując dopatrzeć się zarysów podstaw tego twierdzenia, które jak wie, muszą być solidne, nawet jeśli do końca ich nie pojmuje. Hopkins z westchnieniem kontynuuje:

– Nawet jeśli chłopiec tylko małpuje zachowanie kogoś, na kogo rzucono urok, mówi to nam o dwu rzeczach. Po pierwsze, coś go wystarczająco mocno przeraziło, aby zapoczątkować takie zachowanie. Po drugie, skądś ma wiedzę, jak taki urok się manifestuje. Manningtree jest

prześnięte zepsuciem, aczkolwiek nie widać tego na pierwszy rzut oka ani nikt z nim nie walczy. Trzeba niewiniątka, żeby prawda wyszła na jaw. „Usta dzieci i niemowląt...”[35].

– Księga Psalmów, rozdział ósmy, werset czwarty – wypala Stearne z nadgorliwością prymusa.

– Rozdział ósmy, werset trzeci.

Stearne się rumieni.

– Zgadza się – przyznaje i przeczystcza gardło chrząknięciem. – Nie umiem sobie wyobrazić, jak chłopiec pokroju Briggsa mógłby się inaczej dowiedzieć o tych sprawach. Urok, nawiedzenie... Ta okolica nie pamięta żadnej czarownicy co najmniej od pokolenia. Na pewno od starej Mary Clarke... Była jeszcze ta sprawa w St Osyth, ale...

Hopkins się ożywia.

– Clarke, powiadasz? Chodzi o kogoś spokrewnionego z tą służką Briggsów? Zdaje się, że ma na imię Helen...

Właściwie Hopkins jest pewien, że dziewczka ma tak na imię, ponieważ Hopkins nigdy niczego nie zapomina, na razie jednakowoż nie widzi powodu, aby zdradzać się ze swymi podejrzeniami. Nastraszona wiedźma może zemknąć albo uczynić coś gorszego, zakładając, że nadarzyłaby się sposobność.

Stearne pociera policzek dłonią i upija łyk wina.

– Nie, nie. Mówię o matce Bess Clarke, jeśli uwierzysz, że ta stara szkapa była kiedyś czymś dzieckiem. – Śmieje się cicho. – Sam byłem wtedy chłopcem. Próby wody dokonaliśmy w tutejszym stawiku, niedaleko. – Przez chwilę błądzi spojrzeniem wśród krokwi jakby z nostalgią, zanim doda: – Helen jest najstarszą córką Anne Leech, półsierotą.

Hopkins kiwa głową, przyciskając jabłko do zarośniętego policzka.

– Leech. Wierzy się powszechnie, że heretyckie ciągotki są dziedziczone w linii żeńskiej. Właściwie panuje co do tego zgoda wśród uczonych. Czy to dlatego, że matki kuszą córki, aby podjęły konszachty z diabłem, czy z powodu jakiegoś łączącego je upośledzenia duszy silniejszego aniżeli u innych przedstawicielek słabej płci... jedno i drugie czyni je bezradnymi w obliczu takiego bałamuta, jakim jest Szatan.

Stearne podnosi się z mruknięciem i narzuca pelerynę na plecy, straciwszy cierpliwość do tajemniczych wywodów Hopkinsa.

– Cóż, w przypadku tej starej dziwaczki Bess Clarke może to być nawet prawda. – Sięga po kapelusz z szerokim rondem. – Późno już, Matthew. Lepiej wróć do domu, zanim ma Agnes zacnie podejrzewać, że sam wpadłem w diabelskie szpony. – Odchyła głowę do tyłu i wybucha śmiechem, po czym dopija resztkę clareta, unosząc brwi. – Mmm... Dzięki za poczęstunek.

Na pożegnanie Hopkins macha mu ręką z roztargnieniem, po czym słucha oddalających się chwiejnych kroków – stawianych pierwaj na posadzce oberży, a następnie za progiem. Po dłuższej chwili, gdy już jest pewien, że został sam, podnosi się ze swego miejsca na ławie i podchodzi do szafy w rogu pomieszczenia. Górne drzwiczki kryją prywatną biblioteczkę gospodarza: obok *Demonologii* króla Jakuba i *Młota na czarownice* stoją tomiszczka o spękanych grzbietach, takie jak *Disquisitionum Magicarum* Martina Delrio, *Tractatus de hereticis et sortilegiis* Paolo Grillandiego, dzieła Jeana Bodina i Nicholasa Rémy’ego oraz oczywiście imponująca kolekcja rzeczy nowszych: niezastąpiony *Dyskurs o przekłętym sztuce czarownictwa* Perkinsa, *Astronomia Karolińska* Streete’a, *Efemerydy*... Poza nimi niezliczone zaczytane pamflety i traktaty opisujące przebieg procesów wybranek Szatana w Warboys, Berwick, Pendle i St Osyth, a także w Jutlandii, Kopenhadze, Carrickfergus i innych miejscach. Hopkins zna na pamięć historie kobiet, które wiją się na ich kartach. Imiona, ciała rozkładające się w nieoznakowanych grobach bądź unoszące się w powietrzu czy na wodzie jako pył. Dobrze

poznał ich metody. Ostatecznie jednakowoż sięga po własny pamiętnik.

Za oknem pada pierwszy prawdziwy śnieg tej zimy. Ogromne, piękne płatki zapadają się pod własnym ciężarem, gdy przylegają do szyby, ze spodnią stroną rozjaśnioną przez blask świecy. Noc jest bezksiężycowa, zatem widać niewiele więcej. Hopkins instynktownie podmienia trzymane w dłoni jabłko na to zdjęte z parapetu, z jedną półkulą stwardniałą i zziębniętą od mrozu panującego na zewnątrz.

Wraca na ławę z jabłkiem i butelką clareta. Rozpina górne guziki dubletu. Zjada szóste jabłko.

Kiedy się budzi, spostrzega, że w rogu izby wyrosło ogromne drzewo, a przeciwległa ściana rozpada się pod wpływem kłębowiska korzeni, dzięki czemu do środka może wpadać liliowy blask księżycy i gwiazd, który sięga swymi palcami aż do tureckiego dywanika. Panuje idealna cisza, jeśli nie liczyć kapania śniegu topniejącego na rozdartym sklepieniu. Ogień w kominku dawno dogasł. Rozchełstany Hopkins podnosi się z ławy, czując drętwość członków. Drzewo jest olbrzymie, z grubą popękaną korą, którą na podobieństwo dymu porasta bluszcz. Matthew spogląda w górę, na koronę, po czym zatknawszy palce w korowych szczelinach, zaczyna się piąć, aż dociera do dziury w strzesze i przybliża się ku nocnemu niebu upstrzonemu szaleństwem gwiazd. Ze swego wyniesienia na górnych gałęziach drzewa spogląda w dół, na mroczne trzęsawiska i pastwiska Esseksu, które ciągną się w stronę horyzontu niczym adamaszek zarzucony na zgarbione plecy Anglii.

Nagle pojawiają się wiedźmy. Ładują kolejno i odrzucając peleryny, wystawiają nagie ciała na srebrzysty blask księżycy. Niektóre są młode, niektóre stare, te jasnowłose, tamte ciemnowłose, jedne grube, drugie chude, a wszystkie piękne, wszystkie ohydne. Część z nich unosi się w powietrzu, część dosiada dziwnych ociężałych bestii, które gdy przyjrzy się bliżej, okazują się mężczyznami – mężczyznami kroczącymi na czworakach i z twarzami ujętymi w uzdy.

Przyszykowano wspaniałą ucztę nie z jednym, lecz z dwoma daniami, na które składają się nadziewane sobą nawzajem ptaki od największego do najmniejszego, odpowiednio w liczbie pięciu i dwunastu, z jeszcze parującymi chlebami buraczanymi i ze srebrną zastawą, która ugina się od łakoci, czereśni i ciemnych winogron. Są nawet ananasy. Faktura wielu potraw przypomina cukier puder, a cukierki są lukrowane w ciemne znaki. W pyskach trzech pulchnych prosiąt tkwią skurczone ludzkie głowy w miejsce jabłek. Clou tej osobliwej uczyty stanowi wykrzywiony ryj dzika w koronie z kandyzowanych koników polnych, które przemyślnie ustawiono tak, jakby się szykowały do lotu. Powierzchnię stołu zaścieniają dziecięce uszka udające płatki róż.

Pierwsza zasiada stara Bess Clarke – zajmuje miejsce u szczytu stołu, podpierając się laską z wypolerowanej kości, słaba tak, że niemal opalizująco przezroczysta. Przywołując Księcia Powietrza, unosi oburącz wielki kielich z ciemną zawartością. Gdy przykłada go do ust i pije, z kącików wylewa się jej krew, która następnie spływa czerwonymi strużkami po obwisłych piersiach. Pozostałe czarownice przystępują do zainicjowanego przez nią bezbożnego sakramentu, także wyciągając blade ramiona ku czarnemu niebu.

Ale gdzie ich gospodarz? Nie trzeba wiele czasu, by wszelkie robactwo zaczęło wypełzać spod kamieni i z zarośli i kierować się przez wilgotną trawę w stronę zastawionego stołu, zuchwał w swej ohydzie. Żmija chłodzi brzuch w płytkiej misie z wodą różaną. Cztery króliczki moszczą się na miękkim podółku Rebekki West, która pieści je słodko, uczując. Wielka brązowa stonoga owija swe upancerzone ciało wokół pomarszczonej szyi Bess Clarke, tak jak naszyjnik z drobnych perełek mógłby zakryć gardło damy. Hopkins doznaje coraz większego przerażenia, lecz nie potrafi odwrócić wzroku. Czuje, że nie może tego zrobić. Właśnie zaczęły sobie

przekazywać z rąk do rąk księgę, a każda dziabie jej stronice ostrym paznokciem, stawiając swój podpis. Bess Clarke podniesionym głosem obwieszcza, że każda, która zerwie pakt przypieczętowany krwią, będzie rozdarta na strzępy obcęgami i skończy w palenisku. I pyta, co obiecał im Szatan. Wiedźmy jedna przez drugą wykrzykują w odpowiedzi: szkarłatną suknię, śpiewającego ptaka, męża, dostatnie i spokojne życie, to, że nieszczęścia dotkną każdego, kto by postąpił wbrew...

Nagle pojawia się diabeł we własnej osobie, a one hurmem się doń zlatują, padają przed nim na kolana, nie bacząc na masę robactwa u jego stóp, pośród którego są owady, pająki, żuki, karakany, dżdżownice, ćmy pomiędzy innym drobnym stworzeniem, tak że ziemia przypomina kotłującą się rozgrzaną smołę, gdy zamiatając połami surduta, diabeł stawia rozszczipione kopytko to tu, to tam, a one pochylają się i całują je, i nad nim się rozplývają. Gdy wyciąga przed siebie śniadą dłoń, wszystkie palce ma upierścienione, dotyka nimi ciemienia każdej z niewiast jakby w geście błogosławieństwa, a jeśli tego nie robi, to bawi się ich piersiami. Wreszcie się prostuje, kiedy coś zwróciło jego uwagę, i zwraca twarz ku górze, próbując przepatrzyć gęstwinę gałęzi, wśród których chowa się Hopkins z dwojgiem czarnych oczu niczym pestki w miąższu. Matthew czuje, że traci moc w rękach, którymi trzyma się konaru, i zaczyna spadać...

Gdy się budzi, ma sucho w ustach, a w skroniach czuje tętniący ból. Promienie słońca wpadające przez okno kłują go w oczy niczym rozgrzane szpikulce, na jakie nadziewa się mięsa, i wrzynają się głębiej, w miękką, bezbronną tkankę mózgu. Z jękiem rozgląda się wokół siebie. Obok ławy leży pusta butelka po clarecie (według jego wiedzy trzecia) i jabłko, którego miąższ zdążył ściemnieć wokół śladów jego zębów.

Podnosi się niepewnie i podchodzi do okna. Na ziemi widzi nieskalaną biel, a w górze czyste niebo, w którym nie ostał się ani jeden płatek śniegu. Zapominając o włożeniu płaszcza, wypada na zewnątrz, nigdzie jednakowoż nie ma śladu po bezbożnej ceremonii, tylko drobne tropy lisa wiodą na szczyt zbocza. Stoi tam, drżący i gołogłowy, pozwalając, by wydechana para osiadała mu na zmierzwionej brodzie. Wszechobecny śnieg kamufluje wszelkie zrozumienie, unicestwia każdą myśl, rażący tak, że aż oślepia, odbiera zdolność widzenia. Hopkins pada jak długi, nie zważając, że przemoknie i zmarznie, i zaczyna się zaciekle modlić.

Mężczyzna w samej koszuli leżący twarzą do ziemi wydał się Williamowi Calfillowi tak niecodziennym widokiem, że jak tylko wrócił ze spaceru po polach ze swym owczarkiem, natychmiast wypaplał połowie wsi o niepojętym zachowaniu sąsiada.

[35] Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 8,3.

Zima zamyka świat w mroźnym uścisku, szkląc trakty i dachy, wymuszając samotność i post. Wieprzki zamarzają w chlewikach. Przepływ wiadomości niemal całkiem zamiera. Listy zbaczają z drogi i są przechwytywane, a dotyczy to zarówno liścików miłosnych, które przesyłają sobie zakochani, jak i poważnych raportów, które wychodzą spod ręki generałów. Plotka głosi, że obie armie wróciły do koszar na czas Bożego Narodzenia, nie wiadomo jednakowoż w tej kwestii nic pewnego. Zgubić całą armię to nie lada sztuka; zgubić dwie – prawdziwy wyczyn. Podczas gdy zimowe wichury porywają rozkazy do wymarszu i wytyczne na temat strategii, nad skutym lodem horyzontem – tak samo jak zawsze – różowieje świt wstającej apokalipsy. W Ipswich daje się ujrzyć czarownica lecąca nad rzeką Orwell i miotająca błyskawice. W Brentfordzie ktoś trafia na rozczłonkowane ciało kobiety zamęczonej na śmierć.

W samym Manningtree dochodzi do przedziwnych i niewytłumaczalnych zdarzeń, które można przypisać tylko diabelskiej sile. Piwowar William Rawbood donosi o zdumiewającym incydencie. Jego świeżo poślubiona druga żona siedziała w kuchni w mroźny niedzielny poranek, tuż przed tym, zanim poszli do kościoła. Ni z tego, ni z owego stwierdziła, że w jej spódnicach roi się od wszy – „w takiej ilości, że można by je zmiatać na podłogę szczotką”. Było to tym dziwniejsze, że pani Rawbood znana jest z zamiłowania do czystości i powszechnie uważana za osobę rozsądną. Złapawszy jedno z tych ohydnych stworzeń pod szklane naczynie, pan Rawbood odkrył, że nie przypomina ono żadnej wszy, z jaką kiedykolwiek miał nieprzyjemność zawrzeć znajomość – długie i smukłe niczym niewieści palec.

Nadwerężone zostają także relacje rodzinne. Odkąd sroga zima uwięziła ludzi w domach, siostra zwraca się przeciwko siostrze, brat przeciwko bratu, służąca przeciw swej pani, a mąż przeciw żonie. Dzieci szczypią się pod stołem, podkradają sobie kluski z talerzy, grają na nosie w czasie zmagania modlitwy dziękczynnej, najmłodsze zaś dobierają się nawet do ksiąg rachunkowych. Ta sama szara suknia wyłożona na pościel, ta sama sina mgła unosząca się nad rzeką Stour, ten sam drewniany krucyfiks na białej ścianie. Przychodzi moment, że człowiek chce wydlubać gwóźdź i powiesić go do góry nogami, żeby wreszcie popatrzeć na coś innego. Wszyscy wiemy, co się mówi o diable i próżniaczych rękach.

Dzień świąteczny upływa ponuro – choć sama jego nazwa zawiera w sobie ten najbardziej papistowski z leksemów: msza[36], większość bogobożnych mieszkańców udaje, że umknęło to ich uwadze. Kościół pod wezwaniem Świętej Marii pozostaje zamknięty, sklepy natomiast stoją otworem (choć żaden nie ma wiele do sprzedania). Niecałe dwa tygodnie później, w lodowaty poranek Epifanii, objawia się wieść z ust agitatora, który przyjechał aż z Weeley i stanawszy u krzyża targowego, wymachuje przemokniętym egzemplarzem cotygodniowej broszury noszącej tytuł *Mercurius Civicus* i wyrzaskuje coś o hrabstwie Cheshire do tłumu zdumionych gapiów. Otóż w tamtejszej wsi Barthomley królewscy pod wodzą barona Johna Byrona naszli zwolenników parlamentu w liczbie dwunastu, a może dwudziestu bądź stu dwudziestu, zaleźnie, kogo pytać – wszystkich skromnych purytanów szukających schronienia w kościele. Kawalerowie podłożyli ogień pod świątynię, aby ich wykurzyć. Zaczadzeni, dusząc się i cierpiąc od oparzeń, wypadli na zewnątrz prosto w rażącą biel Wigilii, gdzie zostali brutalnie napadnięci przez ludzi lorda Byrona. Zdarto z nich odzienie, pobito ich i każdego przekłuto tysiąc razy w tysiącu miejsc lśnącymi królewskimi mieczami.

Wieść ta jest miła, w pewnym sensie, mężczyznom i chłopcom, którzy przymierający głodem i umierający z nudów, dostają powód, aby wrócić do – trwającego z przerwami od mniej więcej roku – szabrowania doliny rzeki Stour. Ponieważ już od pewnego czasu nie uświadczyli żadnego rekuzanta[37], przynajmniej w dogodnej odległości wierzchem, teraz wystarcza im samo podejrzenie papistowskich skłonności, w efekcie czego nawet nieczyniący nikomu krzywdy doktor Croke budzi się na dźwięk wybijanej w jego gabinecie szyby, aby później stwierdzić, że

ze spiżarni zginęły trzy słoiki kwaszonej kapusty.

Rezydencje są plądrowane, pokryte pajęczynami stare obrazy olejne wyrzucane przez okna wprost do idealnie utrzymanych ogrodów i tam płoną stertami, podczas gdy widniejące na nich postaci przyglądają się ze stoickim spokojem sponad wykrochmalonych koronkowych kryz temu aktowi wandalizmu. Chłopcy wracają do domów w spodniach przesiąkniętych na wylot i lepkich od dobrego porto ze złupionych winnych piwniczek, sprawiając takie wrażenie, jakby dopiero co brodzili we krwi. Jakiś chłystek galopuje na swej klaczy wzdłuż South Street, powiewając przytroczoną do siodła poszarpaną żółtą jedwabną suknią i wykrzykując gromko: „Śmierć królowej Marii i do diabła z biskupami!”. Jedni wiwatują, drudzy mówią, że tacy jak on nie są lepsi od lewellerów[38]. Ci zaś, którzy wciąż mają jakieś kosztowności albo chociaż lepszą zastawę, nocą wykradają się na pole i zakopują wszystko, co cenne, w ziemi zmarzniętej na kość. Nie da się bowiem wykluczyć, że grabieże będą się odbywać regularnie przez wiele nadchodzących wiosen.

Nie mogą pochować Thomasa Briggsa, którego w drugim tygodniu stycznia zabiera nieustępująca gorączka. I za życia nie było go wiele, a choroba wycieńczyła go w takim stopniu, że zaczął posturą przypominać witkę, lecz nawet taki nie ma co liczyć na odpowiednio głęboki dół przed nastaniem odwilży. Zwłoki gniją więc w nieogrzewanej przybudówce. Dowiedziawszy się o tym, dzieci Wrightów zakradają się pewnej nocy do szopy i podpuszczając się wzajemnie, na bezdechu wyciągają ręce, aby dotknąć ciała chłopca, którego diabeł ze swymi wybrankami zabrał do piekła.

[36] W języku angielskim „Boże Narodzenie” to *Christmas*, wywodzące się od *Christ's Mass*, gdzie *mass* znaczy „msza”.

[37] *Recusant* (ang.) – rekuzant, Anglik katolik bezwarunkowo odrzucający jakąkolwiek formę ugody między Kościołem katolickim a Kościołem anglikańskim, odmawiający udziału w nabożeństwach według obrządku anglikańskiego, w czasach gdy anglikanizm był w Anglii religią państwową.

[38] Lewellerzy – republikańsko-demokratyczne stronnictwo polityczne w Anglii w połowie XVII wieku, zrzeszało radykalnych zwolenników Parlamentu.

1644

A mimo to niektórzy są zdania, iż żyją na świecie, a spośród nich część nawet w Anglii, tacy, co wiedzą więcej, aniżeli mówią, czy to za sprawą wizji, czy ustnej konwersacji, i mają wiedzę o przyszłych zdarzeniach, a jakże, nawet od błogosławionych bytów takich jak aniołowie.

William Lilly, *The Starry Messenger*, 1647

Włóczegostwo

Wyobraźcie sobie zgarbioną starowinę odzianą w łachmany, która grzęźnie w głębokim śniegu, całkiem sama. Widzicie wystrzępiony rąbek jej sukni, mokry od roztopów? Widzicie przetartą włóczkową chustę na jej łysiejącej głowie? Cuchnie – czuć ją nawet z odległości ramienia; roztacza woń zjełczałego tłuszczu i kurzego łajna, pleśni i wstydu. Te żółciejące siwe kosmyki, które jej zostały, w myślach przymatowcie i szochrajcie, aż się potworzą kołtuny. Błękit jej oczu przytłumcie szumowiną katarakty. Zgarbcie ją dodatkowo nad patykiem służącym za łaskę i kaźcie jej iść z mozołem. Powoli, jeszcze wolniej. W okolicy może klóci się para kruków przysiadłych na żywopłocie pokrytym glazurą zmrożonej odwilży, poza tym jednakowoż panuje cisza. Starowina jest sama na otwartej, lekko pofałdowanej przestrzeni mało obiecującej bieli. Do tego wszystkiego opróżnijcie jej brzuch. A teraz zdecydujcie. Zechcecie jej pomóc? Czy w ogóle uśmiecha się wam jej dotknąć?

Bess Clarke słynie ze swej miłości do kur. Śpiewa im – stare piosenki, marynarskie piosenki. W pierwszych dniach zimy zagoniła je do domu i z radością się przyglądała, jak nieśmiało dziobią wokół nowego posłania i kociołka, z błyszczącymi piórami i gadzimi oczyma. Nie przeszkadzały jej białe strugi ekskrementów pod stołem ani smród zrzuconego pierza. Gdy zaczęły umierać, nie miała serca ich zjeść, dlatego wynosiła je, takie lekkie w jej dłoniach, na przydomową stertę śmieci, gdzie z wdzięcznością zajmowały się nimi lisy. Nikt nie przychodził do niej przez tydzień, może dłużej. Ani żadna jasnooka brzuchata młódka, ani zapominalska matrona szukająca pomocy świętych Piotra i Pawła w odnalezieniu zagubionego pamiątkowego pierścionka czy bransolety. Ani Beldam West, ani Margaret Moone, ani Anne Leech. Ani nawet ja. Bess Clarke musi myśleć, że nas dokumentnie zasypało. Albo że wszyscy o niej zapomnieli. Albo że umarła, a ta wszechobecna otaczająca ją biel to milczące terytorium czyszcza.

Nie potrafię sobie wyobrazić, co też ją mogło zajmować, samą i głodną, i uwięzioną w tej jej ruderze, w długie zimowe tygodnie. Teraz jednakowoż pokonuje zbocze wzgórza Wormwood. Może jej się wydaje, że tylko ona jedna ostała się w tej okolicy. Że przespała dźwięki trąb i że aniołowie, którzy wyciągali resztę mieszkańców z łóżek i wlekl ich do nieba, jakimś cudem ją przeoczyli. Może sobie roi, że gdy dotrze do gospodarstwa Millerów, zastanie dom pusty, a w środku na kuchennym stole parujący kawał pieczonego mięsa.

No więc weź starowinę. Obetnij jej nogę i opróżnij brzuch. Zostaw ją na łasce sąsiadów. Spraw, by pomyślała o pieczystym i piwie. Poczuj ślinkę, która napływa jej do ust.

Pokonawszy szczyt, Bess dostrzega smuzkę dymu ulatującego z komina Millerów. Widzi rąbiącego drwa na podwórku ich parobka, Jamesa Hocketta. Chłopak się prostuje i ocieniając oczy przed rażącym słońcem zbliżającego się południa, patrzy na zgarbioną postać zmierzającą wyraźnie do domostwa jego państwa. Starowina na jego oczach wolno schodzi ze zbocza, otwiera furtkę i kuśtykając, wkracza na ścieżkę, z której tego ranka uprzątął śnieg. Zanim jednakowoż intruzka zdąży dojść do drzwi, w progu staje Leah Miller – jego pani, urodziwa niewiasta licząca dwadzieścia pięć wiosen – z dzieckiem śpiącym na rękę i drugim ewidentnie rosnącym w brzuchu. Gospodyni przygląda się starowinie uważnie, tak samo jak jej ssąca teraz kciuk córka, urocza kędzierzawa blondyneczka, dokładnie taka, jaka przychodzi na myśl, gdy słyszy się cudowne opowieści z kolonii o czerwonoskórych, którzy kradną maleństwa nocą z domów białych ludzi i podają je swym upierzonym królom do zjedzenia.

– Dzień dobry, gospodyni. – Bess Clarke unosi drżącą rękę, aby przesłonić zdrowe oko.

Leah Miller zasłania się skrzydłem drzwi, zostawiając tylko szparę, przez którą bez entuzjazmu odpowiada:

– Dzień dobry, Bess.

– Ależ urosła! – zachwyca się Bess Clarke, wskazując uroczą blondyneczkę, która odwzajemnia spojrzenie rozszerzonymi oczyma, ledwie zdolna odróżnić tę wiekową osobę od zawodzącego ducha z wieczornych opowieści.

Leah Miller pozwala sobie na wspaniałomyślny uśmiech.

– Ano. W tym roku skończy czwartą wiosnę, jak Bóg da. – „Jak Bóg da”, gdyż wiadomo, że uroczym dzieciom przytrafiają się rzeczy nieraz okropne.

– Niech Pan Bóg ma w opiece was obydwie. – Chwila ciszy. Bess Clarke przytupuje sztuczną nogą, jakby chciała usunąć z drogi kamyk. Stojący opodal James Hockett widzi, jak postać kolebie się nad kijem. – Chciałabym zapytać... – Bess zwiesza głowę, aczkolwiek raczej ze zmęczenia aniżeli korności – ...to znaczy przyszłam, żeby poprosić o kawałek chleba, może nawet z masłem.

Uśmiech spelza z twarzy gospodyni. Leah Miller rzuca spojrzenie za siebie, w głąb domu.

– No nie wiem, Bess, sami nie mamy za wiele... Dzieci – dodaje ciszej, jakby ta inwokacja mogła posłużyć za wyjaśnienie panującej w ich domu biedy.

Zresztą to może być prawda. W całym Esseksie rodziny głodują. Nikt nie wie, kiedy znów zobaczy odrobinę cukru czy świeży chleb. Truskawka gotowa osiągnąć wartość rubinu.

Bess Clarke drży i siąka nosem. Z trudem przychodzi jej nawet utrzymanie się na nogach – tyle widać wyraźnie.

– Cokolwiek, byle co, czym mogłabyś się ze mną podzielić, gospodyni. Nie mam choćby suchej piętki, a nie dostanę się między domy, bo jak? Niech Bóg cię błogosławi. Niech Bóg cię błogosławi – powtarza i mówi to samo jeszcze raz, tylko szeptem.

Leah Miller porusza wargami i ponownie rzuca spojrzenie za ramię. Gdy się odwraca, powoli kręci głową.

– Przykro mi, Bess. Nie mogę nic dla ciebie zrobić.

Taka jest – bieda. Życie zaciska się wokół człowieka niczym ruchome ściany grobowca. Pierwej masz wszystko, potem wszystko zaczyna się rozpadać, pustoszeje nawet twe ciało i umysł. Marzenia, sny opuszczają cię. Zostaje tylko głód. Dziura o strzępiących się brzegach, z każdą chwilą większa.

Zachrypniętym głosem Bess pyta:

– A czy mogłabym... chociażby... ogrzać się przy ogniu... przez moment? Nie chcę sprawiać problemu, ale byłabym taka wdzięczna...

– Zaczekaj tu. – Leah wzdycha i zamyka za sobą drzwi.

„Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego”[39], naucza Pan. Ale też: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”[40]. Czy Bess Clarke jest czarownicą? Na pewno jest przebiegła, a jedno od drugiego trudno odróżnić nawet w najlepszych okolicznościach. Tymczasem Leah Miller bez wątpienia wspomina nieszczęsnego Thomasa Briggsa, niech Bóg ma w opiece jego duszę. Zatem czarownica czy nie? Pewni ludzie twierdzą, że tak. Jej matka nią była – bez dwóch zdań. A ona sama roztacza taką aurę, że... Pomijając niemoc, bije od niej przebiegłość, wyziera z jej zmatowiałych oczu. Ciągnie się za nią osobliwy głęboki odór, zupełnie jakby – biorąc przykład z Łazarza – powstała niedawno z grobu, na wpół przegniła. Przede wszystkim to nie przystoi, aby ktoś równie stary i biedny trzymał się życia tak kurczowo. Z jakiego innego powodu tak się uczepliła tego padołu, jeśli nie z obawy przed wiecznym cierpieniem?

Do drzwi wraca nie Leah Miller, ale jej mąż Richard. Podgardle mu się trzęsie ze wzburzenia, gdy wychodzi na pierwszy wschodek.

– Bess – grzmi z góry na telepiącą się w swych szmatach starowinę. – Nie mamy nic do jedzenia, czym moglibyśmy się z tobą podzielić, a poza tym nie pozwolę, aby niepokojono mą żonę w jej delikatnym stanie. – Kładzie pięść na biodrze, pod takim jest wrażeniem własnej przemowy. – A teraz, proszę, idź już, w przeciwnym razie zawiadomię konstabla o tym, że w okolicy ktoś się włóczy.

Jak wiele kobiet w określonym wieku Bess ucieka się do własnej dumy, widząc w niej lek na wszystko. Podpiera się mocniej kijem. Wysuwając spod sukni sztuczną nogę, wyjaśnia powoli, jak dziecku, swą sytuację.

– Wolisz, żebym umarła z głodu, gospodarzu? Nie mam stawy ani nie jestem w stanie zdobyć jej inaczej. Okaż odrobinę dobroci kulawej starowinie.

– Od tego – odpowiada jej Richard Miller – jest kościelna jałmużna. Wiedziałybyś o tym, jeślibyś uczęszczała na nabożeństwa.

Co do tego, jakie słowa padły następnie, wszyscy się zgadzają.

– A niech cię choroba! A niech cię choroba, gospodarzu! – Bess Clarke trzyma głowę przechyloną jak bury ptak i świdruje Richarda zdrowym okiem, jakby to było niebezpieczne narzędzie. – Zresztą nie prosiłam o nic ciebie, tylko twą trzecią żonę. Bardzo urodziwą, trzeba przyznać, ale czy nie czujesz rogów, które rosną ci na czole? Boś tak szybko wziął sobie ciepłą wdówkę, że ta piłka pod jej gorsetem nie może być twym dziełem.

James Hockett, który przez cały czas stoi przy pieńku z siekierą w dłoni, dusi w sobie śmiech. Leah wypada z za męża, zasłaniając rękoma nabrzmiały brzuch, czerwona na twarzy tak, że nikną przy tym jej piegi.

– Ty stara kobyło! – syczy niegdysiejsza Leah Wright, znana z bojowego ducha i długich złocistych włosów oraz z tego, że ponoć całowała się z łodźcami na rzece Stour, jeśli dali jej się napić słodzonego rumu.

– Cichaj, gospodyni – odpowiada podobnym tonem Bess. – Do ciebie nic nie mam. Każdy musi jeść. Ale jeślibym wiedziała, czym się za to płaci, włożyłabym niedzielną suknię.

Unosi rąbek tej codziennej, obszarpanej, którą ma na sobie, i drobiąc w miejscu, odstawia uwodzicielską pantomimę kanciastymi ruchami, jakby była kukielką. W pewnym momencie łapie się za zwiędłą lewą pierś i śmieje szyderczo.

Parobek i oboje gospodarze przyglądają się jej wstrętnemu tańcowi z rosnącym obrzydzeniem. Faktycznie jest w nim coś diabelskiego, coś niesamowitego, gdy Bess tak stroi kusicielskie wygibasy, parodiując chyba kozła o zgrabnych dziewczęcych kostkach dokazującego na marginesie grymuaru. W końcu Leah nie wytrzymuje i ze szlochem wycofuje się w głąb domu, poruszona. Jej mąż, stojąc dalej w progu, kręci powoli głową.

– Już rozumiem – mówi. – Zakradłabyś się do mego domu pod pretekstem, że chcesz się ogrzać przy ogniu, a tak naprawdę w jakim to przeklętym celu? Żeby zdobyć kosmyk włosów mej żony i wykorzystać go w jednej z tych waszych laleczek? A może żeby wypuścić diabliki, które potem żywiłyby się naszą krwią po nocach? Już ja znam wasze wiedźmie sposoby! Boże w niebiesiech – wdycha, przykładając mięsistą dłoń do serca – jakżebym chciał być niczego nieświadom. Ale w tych mrocznych czasach nikt nie pozostał całkiem niewinny.

– Diabliki? – Bess Clarke się śmieje. – One nie potrzebują pomocy, gospodarzu. Idą tam, gdzie im każe. Wleżą w każdą szparę, czy to ciasną jak u zakonnic, czy rozlazłą jak u twej żony.

Miller przełyka wonne zimowe powietrze. I zanim Hockett się zdecyduje, czy powinien pomóc, czy raczej przeszkodzić swemu panu w przepędzaniu tej wulgarnej intruzki – a także jak najlepiej poradzić sobie z jednym albo drugim – gospodarz chwytając laskę i stawia krok w stronę Bess Clarke, która aż się zatacza do tyłu. Gdy Miller unosi laskę nad głowę, starowina wyje potępieńczo i upada na plecy, zamieniając się w kupkę nieszczęścia na śniegu.

Tak przynajmniej opowiadał macierzy James Hockett, gdy pojawił się bez tchu na naszym progu, prosząc, abyśmy przyszyli do Millerów tak szybko, jak się da, ponieważ doszło do wypadku. Droga w obie strony zajmuje godzinę, a do tego szybko się ściemnia, na niebie zaś nie ma księżyca, gdy na wół niesiemy, a na wół wlecemy z powrotem Bess Clarke i jej sztuczną nogę. Millerowie zostawili ją leżącą w śniegu, jak zwierzę. W domu wywiązuje się sprzeczka, w czyim łóżku ją położyć; rzecz jasna staje na tym, że w wym. Wyrażam niezadowolenie z tego rozwiązania, biorąc pod uwagę, że starowina śmierdzi jak stado tchórzy, ale macierz mówi tylko, że to wszy bać się powinnam. Chwilę później każe mi rozpalić ogień w izbie.

Rozdziewamy kalekę z przemokniętych, powalanych ubrań, które następnie wynoszę na podwórko do spalenia. Vinegar Tom spaceruje dostojnie między główną izbą a izdebką, w której śpimy, obserwując wszystko, co się dzieje, z taką miną, jakby ktoś wyrządził mu osobistą przykrość. Zachowuje się całkiem jak mężczyzna, tyle że na uroczą modłę. Wkrótce ogień już płonie. Macierz ujmuje wiotkie, brudne dłonie Bess swymi obiema i zaczyna je energicznie rozcierać. Próbuje też wlać nieco cienkiej zupy w obwisłe, nieruchome usta. Przyglądam się temu od progu zdumiona, z jaką troską zajęła się sąsiadką, nie dość, że pomyłona, to jeszcze niemal całkowicie pozbawioną przyjaciół i wyrzuconą poza margines naszej społeczności. Może się to wydać absurdalne, ale na myśl przychodzi mi Maria Magdalena – Maria Magdalena wycierająca stopy naszego Pana Jezusa Chrystusa własnymi pięknymi włosami. I przez moment mam jasność. Wszystko nagle nabiera sensu. Znaczący Bóg. Wreszcie jawi mi się nie zadufanym w siebie okrutnikiem, jaki to obraz stara się nam wpoić pastor Long, lecz jako tak zwany Duch – rozgrzewanie zeszywniałych dłoni kaleki, scałowywanie łez, dawanie jałmużny i tak dalej. Urywany oddech Bess wygładza się i wydłuża. Na jej pobrużdżone lica występuje lekki rumieniec. Starowina zawraca z rozstajów, których jedna odnoga prowadzi na tamten świat, i zapada w zwykły sen, niespokojny, ale bezpieczny.

Macierz odchyła się na oparcie krzesła przy łóżku i pociera kułakami swędzące oczy. Przyciągam sobie zydel, by usiąść obok niej. Pewne słowa muszą paść, aczkolwiek nie mam pojęcia, jak je ułożyć, by brzmiały sensownie.

– Uważają ją za czarownicę – oznajmiam w końcu. – I ciebie też, i mnie, jak przypuszczam. Matthew Hopkins i inni bogobojni ludzie.

Macierz się uśmiecha z wysiłkiem, ściąga czepek z siwiejących włosów.

– Czarownica – mruczy. – Za dużą wagę przywiązujesz do plotek, Króliczku. Nazywają tak osoby, które mają siłę sprawczą, które popychają ten wątek do przodu. Mężczyźni tacy jak Hopkins czy ten głupiec Miller modlą się każdego dnia o to, aby Bóg pokarał ich rywali albo żeby jakieś śliczne dziewczę spojrzało w ich stronę, a gdy tak się dzieje, mówią, że stał się cud, dowiedzione zostało, iż znajdują się pomiędzy prawymi. Tymczasem jedyna różnica jest taka, że czarownice mają przyzwoitość i wyrażają swe życzenia na głos i przy ludziach.

– A spełnia je diabeł – dopowiadam.

– Jeśli diabeł patrzy przyjaznym okiem na taką biedną staruchę jak Bess Clarke, chyba rzeczywiście zasługuje na to, aby go zczcić.

Wiem, że muszę przemówić macierzy do rozumu. Ale jest poirytowana, nieprzewidywalna. Jeślibym jej opowiedziała o incydencie z Hopkinsem, jak by zareagowała? Nie mam wątpliwości, że wystawiłaby nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Tak, nas. Łączy nas nazwisko, los i krew, nic więcej, ale tyle wystarczy. Zaciskam palce na jej nadgarstku. Przypominam jej, że czarownictwo to zbrodnia. Zbrodnia karana gardłem. Maleficium. Jeden trup już jest, znaleźć drugiego nie będzie trudno.

– Uspokój się, Becky – obrusza się macierz. – To nie te czasy. Może za królowej spławiano kobiety w stawie, spętawszy im wcześniej kciuki i paluchy. Nie mogą już nikogo

podwiesić za kostki do góry nogami. Jeśliby się zaczęli pozbywać każdego, kto nadepnął na odcisk purytaninowi, toby przed żniwami wykosili połowę hrabstwa. Wierz mi, przeżyłam już coś takiego. – Kiwa głową raz i drugi. Pociera o siebie stwardniałe opuszki kciuków. – Nie. Sędziowie chcą dowodów. Dowodów lub zeznań. W naszym przypadku nie doczekają się ani jednego, ani drugiego. Prawda, Becky? – Spogląda prosto na mnie. – Prawda, Becky? – powtarza ze zmarszczonymi brwiami.

Do oczu napływają mi łzy frustracji, zupełnie jakby puściła tama na wezbranym powodzią strumieniu, opuszczam więc głowę i patrzę w kieszeń na fartuchu, żeby macierz niczego nie zauważyła, po czym mówię, że zwyczajnie nie rozumiem, dlaczego takie jesteśmy, dlaczego ludzie muszą o nas plotkować i nazywać nas czarownicami. Dla pewności zbieram fałdy spódnicy garściami i przytykam je do twarzy, a widząc ciemność i czując woń wilgoci od godzinnego spaceru, który mamy za sobą, zaczynam się uspokajać, jak uspokaja się młode wtulone w matczyne futro, które pachnie znajomo, piżmowo. Łzy palą mnie w policzki. Nagle macierz kładzie mi dłoń na krzyżu. Klepie mnie z wahaniem.

– A chciałabyś, żebyśmy byli jakie? – pyta, cmokając z dezaprobatą. – Może powinnam cię była wydać za Richarda Millera, ledwie się nauczyłaś podcierać sobie tyłek?

– Nie – protestuję potulnie. – Ale John Edes...

Wymawiam jego imię i zniechęta czuję się tak bezwartościowa, że aż mnie dławi w środku.

– No, no. Nie płacz. – Wzdychając, macierz bierze mnie w niezdarne objęcia. – Biedactwo. Po prostu napaliłaś się nań. O ile dziewica może się na kogokolwiek napalić.

Śmieję się cicho wbrew sobie, po czym szepczę:

– Nie chcę umierać.

Ledwie te słowa opuszczają me usta, uzmysławiam sobie, że istotnie tego boję się najbardziej – śmierci. Stąd ten płacz.

Macierz przewraca zmęczonymi oczyma.

– No to masz pecha – rzuca. – Bo wszyscy umrzemy, prędzej czy później. Na ciebie też przyjdzie pora... daleko od tego miejsca, za wiele wiosen. Wierz mi, znam się na tym.

Macierz jest... osobliwa. Ta jej chęć przeżycia za wszelką cenę, upodabniająca ją do dzikiego zwierzęcia, które nie poznało ręki człowieka. Ta jej duma, której pokłady są nieprzebrane i którą chce mi przekazać, tak jak inne matki przekazują córkom najlepszą pościel i kolczyki z perłami. Ona chce mi ją dać, ale ja jej od niej nie wezmę, widzę bowiem, jak rozpaczliwie musi walczyć, aby ją utrzymać. Co do chęci przeżycia jednakowoż... to znacznie bardziej obiecujące dziedzictwo. A jeśli mamy przeżyć, to tylko razem.

Spowalnim oddech i gdy znów jest w stanie mówić, wyrzucam z siebie:

– Powiedziałam Johnowi, że widziałam diabła.

Czuję, jak sztywnieją jej ramiona, którymi mnie obejmuje. Przez moment się nie odzywa, w izbie słychać tylko ciche posapywanie Bess Clarke.

– Gdzie go widziałaś?

– W wodzie. W izdebce Judith Moone, w jej misie do mycia.

– Diabeł w wodzie... – mamroce z brodą przyciśniętą do mego ciemienia. – Diabeł w wodzie oznacza zło czające się w głębi serca.

Zaczynam znowu kwilić i macierz ponownie obejmuje mnie mocniej.

– Sza, Króliczku, sza... Nie chodzi o twe serce, dziecko. Szatan włada tym światem za Bożą zgodą, to prawda, lecz jego wizerunek nie niesie większego znaczenia. W dzisiejszych czasach nie sposób powiedzieć, kim jest król, a co dopiero diabeł. To, co miałyby być wieczne, znika w ogniu męskich serc. Ano tak – wzdycha – i niewieścich także. Twe życie będzie inne od

mego. Inne od życia wszystkich, którzy byli przed tobą. Dobrze to wiem. A ty się przekonasz sama, bo tego dożyjesz. Zęby i pazury, Becky. Tylko tego potrzebujemy.

Pozostajemy zamknięte we wzajemnych objęciach, siedząc tam, przy łóżku, na którym leży śpiąca starowina. Słyszymy jedynie nasze myśli i trzask w kominku. Uważam, że macierz się myli, ale kocham ją za to.

[39] Biblia Tysiąclecia, Księga Kapłańska 19,18.

[40] Biblia Tysiąclecia, Księga Wyjścia 22,17.

Zeznania

Nazajutrz rano John Stearne każe parobkowi osiodłać najlepszego wierzchowca – zgrabną kasztanową klacz imieniem Cassandra – ponieważ wybiera się do komnat Bradfield Hall. Sama nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że baronet trzyma białe pawie i że budynek ma nie mniej aniżeli sześć kominów.

Usilnie pada drobna mżawka, która roztopia resztki śniegu, tak że Stearne jest przemoczony do suchej nitki, gdy dociera na miejsce. Cassandra idzie stępą szeroką aleją wysadzaną dębami, kierując się do rozległych stajni baroneta. Koń zostaje rozsiodłany, a strojny w liberię lokaj prowadzi jeźdźca do gabinetu, w którym zasiada sir Harbottle Grimston, drugi baronet na tych włościach, a przy tym zastępca lorda namiestnika. Stearne musi jednakowoż uzbroić się w cierpliwość. Skórzane podeszwy jego mokrych butów wydają pisk przy każdym kroku na lśniącej marmurowej posadzce. Siada więc, ale zaraz wstaje. Zdejmuje kapelusz. Może sobie być drugim najbogatszym człowiekiem w Manningtree, ale i tak pozostanie zwykłym wieśniakiem w oczach tak wyniosłej osobistości, jaką jest baronet ze swymi sześcioma kominami i niezliczonymi pawiami.

Czekając, Stearne przygląda się bliżej zakurzonej tapiserii, która wisi obok drzwi: samotny lis przemyka między srebrzystymi źdźbłami, uchodząc przed pogonią grupki myśliwych w staromodnych nogawicach i dubletach, podczas gdy w błękitne aksamitne niebo wzbija się stadko spłoszonych kaczek o skrzydłach zwieńczonych złotymi koniuszkami. Podoba mi się myśl, że John Stearne uświadamia sobie – w tej samej chwili, gdy drzwi gabinetu się uchylają i zostaje zaproszony do środka – iż rozpaczliwie chce mu się sikać, po czym przez całą audiencję u baroneta, zaciskając uda, kiwa się w przód i w tył na wyściełanym adamaszkiem krześle stojącym przed ogromnym mahoniowym biurkiem. Atoli, jako że spotkanie to odbywa się sam na sam, nie ma nikogo, kto by mógł potwierdzić me wyobrażenie. Stearne opuszcza gabinet z nakazem aresztowania Bess Clarke oraz przeszukania jej sadyby, a także w miarę możliwości wydobywania z niej przyznania się do czarów (w obliczu nie mniej aniżeli dwóch szacownych świadków, jak nakazuje Księga Powtórzonego Prawa).

W oczekiwaniu na powrót aresztowanej cały dzień spędzam na kolanach, zeskrobując kurze łajno z kamiennej podłogi jej domu. Jestem tu sama, ale wolę nie dotykać pewnych rzeczy, takich jak wydzielający kwaskową woń skurczony przedmiot podobny do suszonej śliwki, nadziany gwoździami i schowany pod poduszką, czy fiołki pełne mętnej cieczy. Jakoś po południu mżawka ustępuje, a przez nisko wiszące szare chmury prześwieca nareszcie mdły blask słońca. Wracając do domu wierzchem, John Stearne musiał się znaleźć na szczycie błoni, skąd mógł oglądać zawilgocone strzechy domostw w Manningtree oraz rozciągające się dalej błotniska, które mają to do siebie, że przy takiej aurze lśnią magicznie. W oddali widać nawet maszty statków stojących na kotwicy w zadymionej zatoce Felixstowe i nigdy niegasnące płomienie tamtejszych stoczniowców. Topniejący śnieg kapie z rynien i parapetów wzdłuż całej South Street. Może się zdawać, że wiosna przepędza zimę, że w roślinach zaczynają znów krążyć soki.

Pozwólcie, że popuszczę wodze wyobraźni. Stearne jest z siebie bardzo zadowolony, zachwycony z przebiegu spotkania z baronetem i z tego, co zeń wynikło. Wie, że czeka go w tym tygodniu wiele pracy. Musi zgromadzić zeznania, nadać im formę pisemną, znaleźć świadków. Kiedy Cassandra mija stępą gospodę Red Lion, Stearne uśmiecha się wielkodusznie do

skupionych pod daszkiem prostaków z fajkami i kuflami w dłoniach, do pomocnika masarza szorującego zaróżowione wschodki przed sklepikiem swego pana, do słodkiej filigranowej Prudence Hart, która niezdarnie stacza się ze zbrocza, dźwigając koszyk z ciastkami i brzuch z dzieckiem. Ich niewinność go wzrusza. Nie słyszą porośniętych sierścią diablików obgryzających pazury pod warstwą gipsu na ścianach, nie widzą wiedźm śmigających w eterze nad ich głowami. Ale on, John Stearne z Manningtree, słyszy i widzi wszystko.

John i Matthew[41]. Przypuszczam, że mają się za apostołów, którzy oblekają pełną zbroję bożą[42] i wysoko unoszą połyskujące ostrze miecza[43].

Mężczyźni kręcą się po wsi większą grupą i z poczuciem celu – wszystkim wiadomo, jaki to cel. Są inkwizytorami. Na czele Matthew Hopkins, wysoki, spowity w biblijną czerń, skrobie ostrogami po mokrych kocich łbach. Za nim przysadzisty John Stearne w podbitej futrem pelerynie i z szerokim uśmiechem bogacza. Parę kroków w tyle postępuje mój słodki John Edes, kapelusz ma naciągnięty nisko na oczy, pod pachą niesie steraną skórzaną teczkę wypełnioną osobnymi kartkami. Jest kilka adresów, pod które muszą się udać. Niektóre osoby wzywają za pośrednictwem parobka Wrightów, który wspiałby się na Górę Świętej Katarzyny, jeśliby mu zaoferować wystarczająco błyszczącą monetę. Inni, usłyszawszy o słusznym przedsięwzięciu, którego ci trzej się podjęli, zgłaszają się na ochotnika – ostrożni lub wyzywający, pobożni lub mściwi, Hopkinsowi nie robi to większej różnicy. Wszyscy zgadzają się co do jednego: ostatnimi czasy nic nie jest tak, jak być powinno. Wieść niesie, że każdego dotknęło jakieś nieszczęście. Dzieci rodzą się chorowite, ciasta wychodzą z zakalcem, koty drą się w zaułkach całymi nocami, a masła nie sposób ukrećć mimo najszczerzych chęci. Świat pierwaj zamarżł, a teraz psuje się w środku.

Matthew Hopkins zyskuje miano Łowcy Czarownic. Urwisy i mali oberwańcy uganiają się za nim po ulicach, aby się wykazać przed sobą nawzajem, bądź też wyśpiewując zwrotki rymowanek o Babci Gąsce, szczególnie te z Gąsiorem w roli głównej, rozpryskują błoto, po którym właśnie przeszedł z zaciętą determinacją. Są tacy, co powiadają, że Hopkins nosi przy sobie książkę z wypisanymi nazwiskami wszystkich sług Szatana na całym świecie, co oznacza, że albo to wielkich rozmiarów księga, albo druk w niej jest tygi. Drudzy perswadują, że to oczywista nieprawda – Hopkins nosi nazwiska wszystkich sług Księcia Powietrza w głowie i nie potrzebuje takich banalnych pomocy.

Biegły w swym fachu John Edes ponoć niczego nie pomija w robionych notatkach. Czy to w oberży Thorn Inn, czy to przy nędznym kuchennym stole, czy wręcz na stolarskiej ławie, rozkłada skórzaną teczkę, zapala ogarek, ostrzy gęsie pióro, rozstawia we właściwym miejscach inkaust i puszkę z piaskiem. Ciekawa jestem, czy ten rytuał koi jego nerwy. Ciekawam, czy w ogóle czuje zdenerwowanie. Schludnym pismem datuje i tytułuje czystą kartkę dla każdej kolejnej wizyty: 1 marca 1644, 2 marca 1644, 3 marca 1644. Zeznanie_____. Tymczasem zachowanie Hopkinsa, które wydaje się niekonsekwentne, konsekwentnie zdumiewa. Zresztą nie musi być w nim żadnej metody. Jedni bowiem doskonale wiedzą, co mają powiedzieć, jakie nazwiska wymienić i które frapujące szczegóły podać. Drudzy wymagają podpowiedzi i brania pod włos jak dzieciarnia przed paciorkiem – innymi słowy, trzeba rozwiązać im języki, ostrożnie pociągnąć czarną wstążkę z ich ust. Powiedzieć im dokładnie, co im się przydarzyło. Niektórych należy zapewnić, że będą chronieni przed dalszą krzywdą, lecz bynajmniej nie dotyczy to każdej osoby; nie brakuje ludzi gotowych przeżyć wszystko, byle nie zostać pominiętymi, chociażby i przez samego diabła. Dwoje ponoć się rozplakało. Łatwiej mi zgadnąć, kto emanował gniewem, kto się wściekł i kto walił pięściami w blat, sprawiając, że ręka Johnowi Edesowi zadrżała i jego pismo straciło idealne kształty. Przypuszczam, że część osób czuła zażenowanie z powodu tego, co przyszło opowiedzieć. Inna część zmyślała na bieżąco. Nie umiem wymazać sprzed oczu

obrazu dziewcząt. Takich jak ja. Tych, co mnie znają. Bładolicych, z szyjami ujętymi w kołnierze z delikatnej koronki. Jak sama bym się zachowała w obliczu gorliwego zainteresowania trzech mężczyzn, z czego dwóch jest młodych i nieżonatych? Zaczzerwieniłabym się i rozchichotała czy raczej popadła w zawstydzone milczenie? Żadna z nas nie chce mówić o cielesnych wrażeniach, opisywać tego, co siedziało nam na piersi bądź gładziło nas po podbrzuszu. Stąd uważam, że wyciągnięcie odpowiedzi z dziewczek nie było łatwe. Że robiły one wszystko, aby ci mężczyźni przeoczyli fakt posiadania przez nie ciała. A może starały się aż nadto? Może wcześniej luzowały gorsety i smarowały policzki krwią kurczęcia, aby dodać sobie kolorów? Nikt by na to nie wpadł, patrząc tylko na nas, ale wbrew naszemu zewnętrznemu podobieństwu pod tymi wykrochmalonymi białymi czepeczkami kryje się wiele różnych kobiet, wiele różnych myśli.

Jednym z pierwszych ochotników jest pastor Long. Wyobrażam go sobie, jak siedzi drżący na drewnianej ławie pod kawałkiem haftowanego płótna, które wyszło spod ręki kaprawej żony jego poprzednika. Opowiada o tym, jak nieco ponad rok temu wracał z Colchesteru. W lewej kieszeni miał egzemplarz Owidiuszowskich *Metamorphoseon, to jest Przeobrażenia ksiąg piętnastu* w świeżym przekładzie Sandysa (który to detal go zawstydza, gdyż na frontyśpisie zamieszczono dwie nagopiersne boginie, ale Hopkins śpieszy zapewnić stremowanego młodego pastora, że sam też jest miłośnikiem tego pogańskiego poety, aczkolwiek w normalnych okolicznościach nigdy by się z tym rzecz jasna nie afiszował).

Pastor dalej opowiada, że jadąc wierzchem, w pewnej odległości minął przy rozstajach, tych z rozłożystym dębem, psa. Wielkiego jak chart szkocki, o ciemnym futrze. Stwór biegł truchtem przed siebie, nie bacząc ani na wierzchowca, ani na jeźdźca.

– Jakby miał sprawę do załatwienia w Colchesterze – stwierdza pastor z nerwowym śmiechem i zaraz oblizuje wargi.

Wspomina, że naszło go w tamtej chwili dziwaczne uczucie; ciarki przebiegły mu po karku. Widząc, że za kosmatym psiskiem nie idzie żaden człowiek, pastor ściągnął wodze i zawrócił, aby je zawołać, a wtedy zobaczył, że stwór wpatruje się weń, przystanąwszy na rozstajach. Pastor zauważył wtedy, że ślepie tego psiska nie przypominają oczu żadnego psa ani innego zwierzęcia. Zarazem płonęły czerwienią i ociekały czernią, osadzone w długim pysku niewiele się różniącym od kawałka wystrzępionej szmaty. Nawet jego klacz, spokojna jak rzadko, zerwała się do galopu. Pastor runął z siodła na ziemię pół mili od złowróżbnych rozstajów i chyba stracił przytomność na pewien czas. Stwór rodem z piekła niechybnie byłby mu rozszarpał wnętrzności, jeśliby moc Boga nie była większa od mocy Szatana. Atoli klacz schudła i zmarniała do szczętu w mniej aniżeli miesiąc.

Robert Taylor, sklepikarz dostarczający artykuły spożywcze co poniektórym mieszkańcom Manningtree i Mistle, snuje swą opowieść na pięterku własnego domu nieopodal placu targowego, gdzie zdrowy gryzący zapach cebuli maskuje odór rynsztoka biegnącego ulicą pod oknami. Taylor jest beczułkowatym ogorzałym mężczyzną, który jak sobie wyobrażam, dzieli się szczegółami z pewną dozą sceptycyzmu i jedną krzaczastą brwią uniesioną przez cały czas rozmowy. Jego opowieść dotyczy Liz Godwin, o której nikt wcześniej nawet nie myślał, choć gdy się zastanowić, wzmianka o niej nie powinna dziwić. Taylor mówi więc, że Liz przyszła do jego sklepu przed paroma tygodniami z pytaniem, czy sprzeda jej na kredyt funt masła. Odmówił jej wtedy, gdyż nie ma w zwyczaju rozciągać zaufania na najuboższych.

– Poszła sobie – dodaje, w namyśle przygryzając wargę – mamrocąc coś i mrucząc osobliwie.

Niezadługo potem wróciła z pieniędzmi, odważył jej więc kawał masła i zapomniał o sprawie. Tego samego wieczora, uklęknąwszy przy łóżku, aby zmówić modlitwę, usłyszał z dołu dziwny hałas.

– Jakiś tumult – marszczy czoło i w celu demonstracji wali pokrytą odciskami dłonią w blat, wzburzając inkaust w kałamarzu Johna Edesa – jakieś drzenie w ścianach.

Z latarnią w dłoni wyszedł więc w samej koszuli nocnej i śladem odgłosów dotarł aż do stajni, gdzie znalazł swą mulicę w stanie niezrozumiałego pobudzenia. Pograżona w szale stawała dęba i tłukła bokami o przegrody boksu, aż po jej sierści spływały strumyki krwi. Nie dało się jej uspokoić, a Taylor nie miał pojęcia, co mogło ją tak przestraszyć. Wezwał więc podkuwacza, potem drugiego, ale żaden nie widział innego sposobu, jak tylko ją spętać w nadziei, że stan pobudzenia minie. Tak też uczynili. Mulica jednakowoż rżała przeraźliwie do białego rana i wywracała rozpaczliwie gałami, jakby atakował ją niewidzialny rój albo jakby iskry buchające na wszystkie strony wypalały jej siwiejącą skórę. Taylor klnie się, że nigdy czegoś podobnego nie widział, przynajmniej u muła...

– ...choć już u... – bąka i zaraz przełyka, a jego oczy zaczynają podejrzanie lśnić.

– Chociaż już u człowieka tak – dokańcza zań Hopkins. – Thomas Briggs, wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie.

Taylor potakuje skinieniem, który to ruch wyzwala spod jego powiek odrobinę wilgoci.

– Nasłuchałem się kazań w swym życiu, panowie. – Wzdycha. – Wszyscy duchowni straszą grzeszników potępieńczym ogniem w piekle. Ale nigdy jeszcze... nigdy nie widziałem... – Ociera ciekący nos rękawem koszuli i oczyszcza krtań chrząknięciem. – Dobrze mi służyła przez tyle wiosen...

Pastor stracił klacz, a sklepikarz mulicę. Richard Edwards jednakowoż, swym zwyczajem chcąc przebić wszystkich, roztacza wizję istnej jatki. Gładząc się po wąsach, opowiada, jak w pewne słoneczne niedzielne popołudnie pędził stado na pastwisko za wzgórzem Wormwood, nieopodal sadyby Bess Clarke. Znienacka jedna biała jałówka się potknęła, jakby okulała, i fiknąwszy koziołka przez płaski łeb, szczała, zanim zdążył mrugnąć. W kolejną środę w tym samym miejscu i o tym samym czasie identyczny los spotkał czarną jałówkę. Ofiary szły w tuziny, powalane jak rażeniem niewidocznego pioruna. Kazał je parobkom rozcinać, przeszukiwać trzewia, ale żaden nie natknął się na skręt kiszek ani cokolwiek innego, co mogłoby je przywieść do momentalnej śmierci. Edwards nie był w stanie wyjaśnić tej zagadkowej – i kosztownej – plagi, przynajmniej aż do teraz. Jest człowiekiem bogobożnym i prawym, spłodził czterech zdrowych synów. Pan Bóg uznał za stosowne zesłać nań całą masę dobrodziejstw. Czemu miałyby nagle odwrócić się odeń, rzucić klątwę na jego rodzinę? Jako mężczyzna czuje się manipulowany, a to w przypadku kogoś o jego znaczeniu przynosi tylko wstyd.

Słuchając Edwardsa, John Edes czuje ukłucie wątpliwości.

– Ze sposobu, w jaki to opowiada – szepce do Stearne'a – można by wnosić, że Bess Clarke przyczała się w oknie swej kuchni z muszkietem.

Utrata zdrowego wołu czy dającej dużo mleka krowy w oczach większości mieszkańców Manningtree zalicza się do najcięższych nieszczęść. W porównaniu z tym utrata niemowlęcia, zwłaszcza płci żeńskiej, to tylko pomniejsza niedogodność. Oczywiście ludzie płaczą i poszczą, ale nie mówią głośno na ten temat, ponieważ jest to nagminne, a poza tym wynika z woli Bożej. W całej wsi nie znalazłby się dom, w którego ogrodzie pod rzędem malin nie rzucałaby się w oczy nie tak znów dawno wzruszona niepoświęcona ziemia czy w którego głównej izbie nie leżałby modlitewnik z wypisanym na wewnętrznej stronie okładki jednym dziecięcym imieniem. Albo trzema. Obecnie jednakowoż ta tendencja jakby przybrała na sile – w Manningtree rodzi się coraz mniej zdrowych dzieci i tylko co poniektóre osiągają wiek, w jakim odstawia się oseska od piersi. Domyślam się, że ta trójca – Matthew Hopkins, John Stearne i John Edes – odbywając spotkania z akuszerkami i mamkami, wysłuchuje od nich historii o tajemniczych potach

i członkach rosnących krzywo w kołysce. Zupełnie jakby Anioł Śmierci przemknął się nieproszony nocą, jak miało to miejsce dawno temu w Egipcie. Coś, co opuściło łono matki z trzema zwiędłymi martwymi nóżkami przy każdym biodrze. Chłopczyk z wylupianymi oczkami, którego rodzice znaleźli zimnego w kolebce. Malec, który się potknął, przechodząc przez strumyk. Nie wątpię, że nasłuchali się też niewieściego płaczu. Ale czy uznali go za nieprzyzwoity w tej sytuacji? Czy Hopkins, zawsze taki opanowany i wspaniałomyślny, zaproponował, że pomodli się z osieroconymi matkami? Czy ujął ich dłonie i wyrecytował: „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do mnie; do takich bowiem należy Królestwo Niebieskie”[44] bądź: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Jeśliby tak nie było, tobym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce”[45]?

A jeśli, po zmówionej już modlitwie, zapytał przybitą niewiastę, gdzie zmarło jej dziecko i kto mieszka po sąsiedzku, i kto je mamczył, kto go dotknął, kto je nazwał uroczym, kto dotknął jego policzka? I jaką odpowiedź otrzymał – West, Moone, Godwin, Clarke, Leech?

[41] John i Matthew – angielskie imiona będące odpowiednikami polskich imion: Jan i Mateusz, które przypisuje się dwóm ewangelistom.

[42] Biblia Tysiąclecia, List do Efezjan 6,11.

[43] Biblia Tysiąclecia, Księga Rodzaju 3,24.

[44] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Mateusza 19,14.

[45] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Jana 14,2.

Spółkowanie

Jestem w domu sama, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Może ono oznaczać wyłącznie kłopoty, ponieważ dochodzi północ, a jeśli by to macierz wracała z karczmy, znacznie wcześniej by się wydarła, żebym jej otworzyła, zamiast pukać w ten sposób, delikatnie. Dlatego łapię żelazny pogrzebacz z paleniska i uchylam skrzydło drzwi na nieledwie włos. Na zewnątrz stoi zdyszany John Edes, kołnierz ma postawiony wysoko, tak że zakrywa mu twarz, a na rondzie jego kapelusza lśnią krople deszczu. Oczyma wodzi od mej głowy – która nie jest niczym osłonięta, co uświadamiam sobie ze wstydem – do pogrzebacza w mym ręku.

– Jestem sam – wyrzuca z siebie. – Nie masz się czego obawiać, Rebecca.

Ano, myślę. Tylko po coś przylazł? Nie widziałam go od prawie dwóch tygodni. Po prawdzie celowo trzymałam się odeń z dala, ponieważ tam gdzie John Edes, tam Matthew Hopkins. Uchylam drzwi nieco szerzej i wyglądam za nie. Wilgotne powietrze jest zdumiewająco czyste – księżyc wyziera zza ramienia chmury. W jednym kierunku rozlewisko aksamici się od nocnego deszczu, w drugim ciągnie się goła przestrzeń z rozległymi zmokłymi niezasianymi polami, nad którymi karliki urządzają sobie zawody. John faktycznie jest sam. Wracam spojrzeniem do jego oblicza. Bynajmniej nie taka nagła ostrożność skłania mnie do zastanowienia się, czy me wcześniejsze uczucie doń – z obezwładniającą wiarą w piękno jego osoby – było szczere, czy raczej wynikało z ograniczonego zakresu kontaktów z nim; może w swej ulotnej fantazji sięgnęłam po najniżej wiszący owoc i uniosłam go w ręku ku słońcu, aby zakwitł kolorami. John dalej stoi przede mną, dysząc ciężko, z zatkniętymi za pasek kciukami i niebieskimi oczyma wbitymi we mnie, dzięki czemu me przywiązanie do idei Johna Edesa zdaje się całkowicie usprawiedliwione. Do tego wszystkiego coś mnie lekko szczypie między udami. Jak dotąd nawet się nie odezwałam. Co począć? Co ja wyprawiam? Pośpiesznie łapię czepek i chustę z pobliskiej ławy i ukrywam się pod nimi najlepiej, jak umiem.

– Macierz jest w gospodzie Red Lion – wyjaśniam, opierając pogrzebacz o framugę.

– Przyszedłem się zobaczyć z tobą – odpowiada John, najwyraźniej nie zrozumiawszy aluzji, niech Bóg ma go w swej opiece.

Wychodzę za próg, prosto w mżawkę, i wtedy dostrzegam, że twarz Johna jest nie tylko poważna, ale też pobladła. Coś się stało, uzmysławiam sobie. Coś niezwykłego. Tak wygląda człowiek, który zawiódł zaufanie.

– Byłeś w oberży Thorn Inn? – pytam. – Z Hopkinsem?

Kiwa znacząco głową.

A więc. Nie mamy wiele czasu. Każę Johnowi zaczekać, po czym zatraskuję mu drzwi przed nosem, znajduję pelerynę i ogarek i wracam do progu, osłaniając wąty płomyk dłonią.

– Czy on wie, że tu jesteś? – dopytuję, wsuwając w chodaki stopy obleczone pończochami. Zerkam ponownie w stronę połyskującej powierzchni rzeki Stour oraz ku kłębiącym się nad rozlewiskiem dachom i kominom.

– Nie – mówi John. – Ale wkrótce zauważy mą nieobecność. Posłał mnie po pastora...

– Chodź.

Ujmuję go pod ramię i prowadzę na tyły domu, a stamtąd w górę zbocza po wąskiej ścieżynce, na której tupot mych chodaków cichnie, gdy zbełtana ziemia ustępuje ściółce leśnej. Nie wiem, co robię – do pewnego stopnia. Me zachowanie wydaje mi się mechaniczne, instynktowne jak u kota, który szorując brzuchem po podłodze, wpęła pod łóżko, gdy

w odwiedzinie przyjdzie ktoś obcy. W domu nie czuję się dobrze, jestem zbyt odsłonięta, muszę udać się w miejsce, gdzie będę mogła pomyśleć. Gdzie coś się wydarzy, jeśli tego zapragnę. Wchodzimy między drzewa. Ich korony zamykają się nad naszymi głowami; idąc, trącamy dolne gałązki, z których spada dźwięczna srebrna kaskada kropel. Wreszcie docieramy do polanki – tam się zatrzymuję. John przystaje jard za mną. Do tej pory zdążył już uspokoić oddech, ale twarz ma nadal bladą w blasku płomyka utrzymanego przeze mnie ogarka.

Od czego tu zacząć? Ale John mnie ubiega; zaczyna mówić szybko i ponuro:

– John Stearne wystarał się o nakaz aresztowania Bess Clarke i teraz zbiera dowody przeciwko twojej matce i Margaret Moone, i...

– Judith?

– Judith Moone jest w oberży Thorn Inn. Najwyraźniej pod wpływem uroku.

Patrzę nań tępo, czując, jak zimny deszcz spływa mi za kołnierzem. John zaczyna opowiadać. Kiedy wieczorem wszyscy trzej – Hopkins, Stearne i on, Edes – siedzieli przy kominku w oberży Thorn Inn, porównując odebrane tego dnia świadectwa, nieoczekiwanie rozległo się bojaźliwe pukanie do drzwi. Pojawiła się Judith Moone czy – jak nazywa ją Stearne – „ta mała ruda o popękanych wargach”. Już u progu złożyła oświadczenie, które zdumiało Hopkinsa.

– Przychodzę wyznać grzechy mej matki Margaret Moone, których jest bez liku, a każdy ciężki.

Matthew Hopkins wpuszcza ją dalej i usadza na krześle przy kominku nieopodal masującego nadwierzony nadgarstek Edesa, który zauważa, że dziewczka skubie rękaw bardziej nerwowo aniżeli zwykle (ponieważ nie wybiegła myślą na tyle do przodu i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że będzie musiała improwizować, dopowiadam sobie w duchu gorzko). Trzej mężczyźni zajmują miejsca za stołem po przeciwnej stronie pomieszczenia. Hopkins gestem nakazuje Johnowi sięgnąć po czystą kartkę oraz pokazuje Judith, kiedy może zeznawać.

Judith mówi, że kilka miesięcy temu matka poprosiła ją, aby przyniosła drwa z podwórza, ale że był to czas jej krwawienia i wnętrzości miała obolałe (relacjonując słowa mej przyjaciółki, John się rumieni), odparła, że tego nie uczyni.

– Wtedy matka zaczęła mi grozić. Powiedziała, że albo pójdę po te drwa, albo... albo przydarzy mi się coś strasznego.

Hopkins dopytuje, czy Margaret Moone sprecyzowała, cóż to za straszna rzecz przydarzy się jej córce, a Judith odpowiada, że nie, matka wyrażała się tylko ogólnikowo. Ale już następnej nocy, leżąc w łóżku, poczuła jakowyś ogromny ciężar na nogach. Złapała więc świecę i dokładnie obejrzała całe łóżko, strzepując nawet pościel, lecz niczego nie znalazła. Hopkins mruga. John widzi, że Łowca Czarownic jest zawiedziony (spodziewał się ogłuszającego huku towarzyszącego krwistym rozbłyskom piekielnych fajerwerków, tymczasem usłyszał tylko cichy syk i zobaczył garść zimnych ogni).

Judith jednakowoż twierdzi, że to nie wszystko. Jej matka rzuca takie przekleństwa i często mówi o sprawach tak zdrożnych, że ona przez swą skromność nie waży się ich tutaj powtórzyć. Margaret każe diabłom porwać tego to a tego i żeby w pięty poszło tej a tej. Poza tym trzyma w domu diablika. Na to Hopkins podrywa się z miejsca. John podkreśla ten wyraz – DIABLIK – dwakroć. Czy Judith mogłaby go bliżej opisać?

Jest mały, szary i „bardzo podobny do myszy”. Ale to nie mysz? Dziewka tylko wzrusza ramionami.

– Czy ten diablik nosi jakieś imię?

Judith drapie się w kąciку ust.

– Jack – odpowiada w końcu.

A co ze złotami czarownic? Hopkins przechodzi do dalszych pytań, które dotyczą konszachtów Margaret Moone z Bess Clarke i Beldam West. Czy Judith wiadomo, jakoby te trzy kobiety spotykały się o dziwnej porze na przykład wśród łąk albo drzew? Odpowiedź dziewczki jest mało pomocna: nie pamięta, aby kiedykolwiek padło słowo na temat takiego sabatu.

Na tym etapie swej dziwnej relacji John zniża głos i wpatruje się we własne buty, jakby zażenowany. Muszę zrobić krok w jego stronę, aby usłyszeć, jak mówi, że Hopkins następnie zapytał Judith, czy jej matka nosi na ciele jakieś czarcie znamiona albo wiedźmi sutek, względnie czy ma zniekształcone partie intymne. Judith ponoć się skrzywiła i odpowiedziała – w tym momencie John aż purpurowieje – mu tak:

– Nie widziałam jej intymnych partii, odkąd je opuściłam, mój panie, ale jeśli byś zechciał sam się przekonać...

I wybucha śmiechem, a jej oczy przepelnia bezecny blask. Odrzuciwszy głowę do tyłu i uniósłszy wąskie biodra, zaczyna podciągać suknię na udzie, stopniowo odsłaniając łydki i nie przestając chichotać. John Edes odwraca wzrok od tego osobliwie ohydneho spektaklu. Hopkins jednakowoż wykonuje ruch, aby upomnieć dziewczkę, sięga palcami do jej podrygującego ramienia, w którym to momencie Judith przewraca się wraz z krzesłem do tyłu i wyjąc przeraźliwie, upada na podłogę przed kominkiem. Następnie zdiera z siebie czepek i szarpie paznokciami gorset.

Matthew Hopkins wykrzykuje, że dziewczkę opętało, i przyciska jej barki do ziemi, podczas gdy John Stearne usiłuje zapanować nad jej wierzgającymi nogami.

– Zanadto zbliżyliśmy się do prawdy i Szatan splątał jej język! – stwierdza Hopkins z podnieceniem i każe Edesowi sprowadzić pastora.

John zrywa się na nogi i pyta, czy powinien też wezwać doktora Croke'a, ale Hopkins jest zdania, że lekarz nie na wiele się przyda, i poleca mu się pośpieszyć, po drodze zachodząc po jedną z bogobojnych niewiast, takich jak Priscilla Briggs bądź Mary Parlsey, bo trzeba będzie przeszukać opętaną i sprawdzić, czy nie ma na ciele czarcich znamion. Kiedy z jego ust padają szczegółowe instrukcje, Judith Moone wije się i skręca na podłodze między nimi, twarz mając wykrzywioną i pokrytą lśniąca warstewką potu.

– Boże, ocal mnie! – skrzeczy. – Ocal mnie od złego! Wpycha mi aż do gardła swój... swój...

Zaczyna się krztusić i charczy obleśnie. Szatan jest tu z nimi, w tej oberży. Hopkins nie mógłby być bardziej zadowolony – wreszcie udało mu się ściągnąć Księcia Powietrza z barykady.

John opisuje, jak Matthew Hopkins przyszpilał drżącą dziewczkę do podłogi, aż na czoło wystąpiły mu krople potu, i przyznaje, że sam poczuł przerażenie. Hopkins się nie mylił. W tamtej izbie niezaprzeczalnie czaiło się coś nienazwanego, coś przepelnionego na wskroś złem, jakiś cień z wywalonym na zewnątrz rozwidlonym jęzorem. W pewnej chwili Łowca Czarownic wstał i rozejrzał się wokół, spokojny i opanowany zupełnie jak pies gończy, który zaraz wypłoszy królika.

– Wiem, żeś przyszedł – rzecze w próżnię. – Wiem, żeś przyszedł – powtarza głośnie, aby jego słów nie zagłuszyło przenikliwe skomlenie Judith – ale wtrąć cię do czeluści. Boś mówił: „Powyżej gwiazd bożych postawię mój tron... podobny będę do Najwyższego!”[46]. – I pada na kolana obok Judith, i chwyta ją za barki, po czym uderza z całych sił jej głową o ziemię. Potrząsa nią. – „Straconyś do Szeolu, na samo dno Otchłani!”[47] Zgiń, przepadnij, fałszywy proroku. Zgiń, przepadnij! – woła.

Na to Judith zadrżała, jakby prąd ją przeszedł, i zaczęły nią targać torsje. To wtedy John Edes dał susa za próg, wciąż słysząc w uszach potępieńcze wycie dziewczki, przed oczyma zaś

mając fioletową plamę wypaloną przez ogień kominka. I pobiegł – ale nie na południe ku plebanii, jak kazał mu Hopkins, tylko do Manningtree. Minął pustą teraz siedzibę Briggsów, z ogrodem zarośniętym chwastami, minął stojący nad wodą domek Parsleyów, minął wejście na ścieżynkę prowadzącą w górę wzgórza Wormwood. Dotarł prosto tutaj, do mnie.

Opowiada to wszystko z wyraźnym przestraczem, gotów czmychnąć na pierwszy lepszy leśny odgłos, niezdolny spojrzeć mi w oczy zza dopalającego się ogarka. Gdy kończy, bierze głęboki świszczący oddech i prostuje się, jakby szykując się na przyjęcie ciosu. Ale ja tylko się śmieję. Nie mogę się powstrzymać. Rzę na całego i przytupuję chodakiem pomimo błota. Oczywiście! To właśnie powinnam była zrobić. Tak mogłam się ochronić. Cwana Judith wyczuła, z której strony wieje wiatr. Zastanawiam się, czy okazja przeszła mi koło nosa, czy jest już za późno, abym postąpiła tak samo. Stawić się u Hopkinsa i zdać się na jego łaskę. Odegrać ofiarę podstępnego Szatana? John wyraźnie nic nie rozumie.

– Nie martw się – zapewnia niepotrzebnie. – Judith... Judith ma się dobrze.

– O, nie wątpię.

Zauważam, że dolna warga mu drży. Zdaje się, że nie tego się spodziewał. Założył, że ujrzę w nim bohatera, który zrzucił kajdany lojalności wobec Hopkinsa. Założył, że będę mu wdzięczna za to ostrzeżenie, tymczasem tak nie jest. I został w rozkroku swych oczekiwań.

– Rebecca... – mamroce bezradnie.

– Ona udaje, rozumiesz? Udaje, żeby ocalić siebie i skazać matkę.

– Ja... – John mruży oczy i pociąga koniuszek zmokłego wąsa. – Ta myśl przemknęła mi przez głowę, ale nie chciałem oczerniać twej przyjaciółki...

Znów wybucham pustym śmiechem.

– Och, doskonale wiem, że z Judith jest kłamczucha. I aktorka. Wysłałam na głupią, nie wpadłszy na to pierwsza.

Zaczynam się przechadzać tam i z powrotem w poprzek polanki, przyciskając dłoń do czoła. Ogarek skwierczy tuż pod mą brodą.

– Może... – bąka John – ...może powinnaś wyjechać. Przynajmniej na jakiś czas. Dopóki ich zapal nie ostygnie. Kupcy wybierają się do Colchesteru, mogłabyś...

– Do Colchesteru? – przerywam mu. – Dziesięć mil nie wystarczy, aby zwieść Matthew Hopkinsa, który było nie było ma wsparcie aniołów. – Zmieniam nagle temat: – Kiedy po nią przyjdą?

John odpowiada, że nakaz zastępcy lorda namiestnika zostanie wypełniony nazajutrz. Przeszukają jej domek na wzgórzu Wormwood i tam ją pojماją.

Zbieram się w sobie. Staję raptownie.

– Dlaczego mi pomagasz? – pytam, mimo że chyba już znam powód. Decyduję jednakowoż, że nie pozwolę mu dłużej milczeć, koniec z tym przywilejem. Niech wreszcie przemówi.

John Edes zwilża wargi.

– Dlatego że... do jakichkolwiek konszachtów doszło... ty jesteś niewinna. Względnie wciągnięta w nie nieświadomie, być może nawet wbrew swej woli, niewykłuczone, że przez rodzoną matkę. – Z jego głosu przebija gorączkowość. Znienacka robi krok w mą stronę i ujmuje mnie za rękę, tak że nasze twarze dzieli co najwyżej szerokość dłoni. W tym samym momencie płomień ogarka chyboce się i gaśnie, zdmuchnięty powiewem wiatru, przez co tracę z oczu oblicze Johna ukryte w cieniu rzucanym przez szerokie rondo jego kapelusza. – Jestem prawym człowiekiem, Rebecca – dodaje chropawo, mocniej zaciskając palce na mej dłoni.

„Niewinna jakichkolwiek konszachtów...” Nie mogę się opanować, znowu wybucham szaleńczym śmiechem. Wiem, że go irytuję. Obejmuje mnie w pasie, a ja czuję, jak nogi pode

mną miękną. Ale nagle dopada mnie złość, całkiem niespodziewanie mam wrażenie, że zostałam zapędzona w kozi róg. Myślę: jak on śmie, jak śmie?!

– Tak sądzisz? – pytam nieoczekiwanie dla samej siebie. – Że jestem niewinna? Nie czuję się niewinna. Recytuję katechizm i śpiewam psalmy, ale w środku jestem pusta, nie spływa na mnie żadna łaska. Zimna i sucha jak kamień – dopowiadam – taka jestem. Może taki jest też Szatan? Nie lew ryczący ani Francuz w kapeluszu. Jak uważasz, John? Skoroś taki prawy?

Drzę w jego objęciach i jestem bliska szlochowi, gdy wtem postanawia mnie pocałować; brodę ma zimną i mokłą, a mnie krew się burzy pod powierzchnią skóry. Kiedy odrywamy się od siebie, drżymy już oboje. Mimo że nic nie widzę, wyczuwam Johna całą sobą – jego serce tłucze się pod wełnianym dubletem, pod cienką tkaniną mej nocnej koszuli, pod gładką i śliską ścianą deszczu. Ogarek wypada mi z dłoni i ta sama dłoń sięga do cienkiego paska odsłoniętej skóry na jego szyi, pod którym czuję puls, ciepły i rozedrgany, wzmagający słodkawą woń mydła. Jak dziwnie znajdować się tak blisko drugiego zwierzęcego ciała, słyszeć szum jego krwi. Przełykam ciężko ślinę. Mówię mu, że pragnę, aby ktoś mi powiedział, jak to jest... że muszę poczuć, jak to jest być kochaną... kochaną przez Boga.

Oczywiście zaraz osuwamy się na leśną ściółkę. Chodak zsuwa mi się z jednej stopy, gdy John uwala się na mnie, gmera przy swym pasku, knykciami gniotąc mnie w biodro, i z nagłą już jest w środku, co za dziwne uczucie, pierwaj jakby pieczenie, ale po chwili przyjemność zmieszana z bólem. Przymykam oczy, aby lepiej utrwalić to wrażenie w pamięci. Gorąc w podbrzuszu, tamte rejony złączone i związane karmazynową kokardą. John ciska się w przód i w tył, dysząc w mą szyję. Jestem deflorowana, myślę, aby poczuć, że to się dzieje naprawdę. Właśnie przestałam być dziewicą. Popelniam grzech. Grzeszę, i to jak. Odbywam stosunek cielesny z Johnem Edesem, klerkiem. Dociera do mnie, że wzrok trzymam wbity w czubki drzew, których delikatność podziwiam. Między nagie palce stóp dostało się błoto, zimne i ziarniste. Jedno pchnięcie, drugie pchnięcie. Ciekawi mnie, czy John robił to już wcześniej. Chcę go zapytać: robiłeś to już wcześniej, w innym lesie, w inną mokłą klimakteryczną noc? Czy pozytywna odpowiedź by mnie zabolala? Zapewne. Czy te nieregularne pchnięcia wynikają z praktyki? Stanowią dowód doświadczenia? Nie umiem stwierdzić. A tak w ogóle to gdzie i jak mężczyźni uczą się tych rzeczy? Czyżby była to wiedza, z którą się rodzą? Staram się bardzo usilnie pozostać obecna tu i teraz, rozkoszować się wypełniającą mnie męską siłą, ciężarem mnie przytłaczającym, coraz bliższym granicy mego strachu. Żałuję, że nie umiem się rozsmakować w grzechu. Jakkolwiek spojrzeć, grzeszenie do woli to prerogatywa skazanych na potępienie. Przed oczyma staje mi pewien obraz... Niemowlę wpada do studni, gdzie rozpuszcza się w nicość jak bryłka cukru... Smukłe ciało kołysze się na szafocie pośród nowoangielskiej świerczyny. Coś ze mną nie tak. Sami widzicie, że coś ze mną bardzo nie tak. Szatan łypie do mnie znacząco okiem. Taka się urodziłam, takie jest me dziedzictwo, zrób sobie dobrze, panie, i rozetrzyj mnie w proch. Przestań.

Staram się myśleć o Johnie, wyłącznie o Johnie; o tym, jak się śmieje, o kosmyku jego włosów rozwianych przez wiatr znad rozlewiska, o Johnie radosnym i życzliwym, klęczącym w ogrodzie Wrightów przy pracy. O jego karku zaróżowionym od słońca, o nim siedzącym na ławie i skąpanym w łagodnym blasku południa, przewracającym stronicę książki zatytułowanej *Zwykłego człowieka droga do nieba*. Wszystko na nic. John jęczy, podryguje jeszcze raz, drugi i trzeci, po czym opada na mnie – wycieńczony, jak sądzę – wysuwa się ze mnie i zamiera. Spostrzegam, że piersi mam obnażone, a jego zarośnięty policzek spoczywa w wilgotnym zagłębieniu pomiędzy nimi. Dane mi jest poczuć po raz pierwszy lekkość spływającą po udach, rozkocudaną koszulę pod nami. Próbuje usunąć z umysłu wszystko poza tym uczuciem bliskości, poza wrażeniem, którego mi przysparza strumyk płynący ku zagłębieniu obojczyka. Nie, to nie

działa. Opuszczam więc rękę i dotknąwszy płatka jego ucha ukrytego pod mokrymi włosami, sama nie wiem dlaczego szepczę:

– John... John, kocham cię.

Wzdryga się na mój dotyk jak człowiek przebudzony z koszmaru. W ciemnościach nie widzę jego twarzy, tylko zarys i obłoczek wydychanej przezeń pary. Przyglądam się nicości, która jest nim, a on – nicości, która jest mną. Gdy coś trzepece w koronach drzew, John się podrywa na nogi i poprawia na sobie pasek. Bez słowa owija się ciaśniej peleryną i rusza w stronę wsi w takim pośpiechu, że zapomina kapelusza. Patrzę na porzucony przezeń przedmiot, wydobywany z mroku tylko mdłym blaskiem księżycy przedzierającym się teraz przez gęste chmury. Obracam go w rękach. Zakrywam nim sobie twarz i wciągam zapach włosów Johna pomieszany z wonią steranej skóry. Przez moment w ramach próby przytykam go sobie do serca, ale zaraz myślę: nie! i odrzucam kapelusz precz. Leżę w błocie dalej sama, wyciągnięta jak długa, z ramionami rozrzuconymi na boki, w nastroju nader spokojnym, aż chmury wreszcie rzednieją i na firmamencie nade mną zawisa księżyc niby srebrna patera. Wokół panuje cisza, czerń nieba przetykają tylko punkciki gwiazd. Jest tak, jak mogłabym sobie wymarzyć. Wydaje mi się, że pragnę, aby pochłonęło mnie błoto, by zamknęło się nad moją twarzą, takie miękkie i duszące. Stało się. Było i minęło, a mnie brak energii, aby nadać temu wydarzeniu znaczenie. Wstaję, zsuwam uwalane pończochy z pokrytych gęsią skórą łydek i nagle ze zdumieniem stwierdzam, że płaczę – paląca łza rozpryskuje się o me nagie kolano. Przestań. Opieram się plecami o najbliższy pień.

– Czy mnie słyszycie? – dopytuję ciemności i drzewa, ale nie dostaję odpowiedzi. – Mówi się, że gdy wezwać diabła, zawsze przyjdzie. W niezłe tarapaty mnie wpakowałeś, John. Mam nadzieję, że cię to bawi. Biedaczka, wiedzma, a teraz jeszcze ladacznica.

Powiew skłania gałęzie do cichego śmiechu, który okazuje się jedyną reakcją na me słowa.

[46] Biblia Tysiąclecia, Księga Izajasza 14,13–14.

[47] Tamże 14,15.

Matthew Hopkins nie może zasnąć po ekscytacji wiążącej się ze spotkaniem z Księciem Ciemności. Przewraca się z boku na bok w ogromnym wyściełanym pierzem łożu, podczas gdy ciężkie zasłony baldachimu zdają się nadymać i falować pod wpływem tchnień nadprzyrodzonych istot. Niepokoi go także zniknięcie Johna Edesa. Klerk nie powrócił do oberży Thorn Inn, co wskazywałoby, że zagrożenia ostatnio depcą po piętach każdemu prawemu człowiekowi. Po paru takich niespokojnych godzinach spędzonych na granicy snu i jawy Hopkins znajduje się na South Street, spięty i nakręcony, skąpany w zimnym brzasku dnia. Wstające dopiero słońce przegania mgłę znad zatoki, kiedy Hopkins maszeruje w stronę Manningtree, nie wiedząc dokładnie, dokąd ani dlaczego akurat tam się udaje.

Opatrzność i intuicja zawodzą go na wzgórzu Lawford. Już na pierwszy rzut oka poznaje dom Anne West, który został mu opisany jako nędzny, niski i ciasny budynek z wyblakłego czerwonego piaskowca, z krzywym dachem i kolcolistym rozsadzającym liche fundamenty oraz z krzakiem dzikiej róży rosnącym przed oknem kuchni, w której dzięki temu jest cień. Hopkins zaczyna się w pewnej odległości, na wpół się chowając za chlewikiem opuszczonego sąsiedzkiego domostwa. Domyśla się, że właśnie tu mieszkała świnia, o której wiele miesięcy temu opowiedział mu John Edes. Ta sama, której Beldam West poderżnęła gardło. Obserwując domek, wyobraża sobie śpiącą w nim Rebecę. Pierwej przywoicie, przykrytą kołdrą i oddychającą równo i miarowo. Później w tajemniczy sposób podwieszoną pod krokwiami niczym nietoperz. W końcu zaś wtuloną jak kleszcz swą ładniutką plamistą twarzą w mroczną pachę diabła porośniętą gęstym czarnym futrem i obejmującą jego szyję ramionami. Hopkins czeka, ale z komina nie unosi się ani smużka dymu. Okienka pozostają zasłonięte okiennicami. Upewniony, że nikt go nie obserwuje, ostrożnie idzie kawałek gruntową drogą, przecina podwórko i zachodzi na tyły domu.

Pianie koguta przerywa ciszę poranka, a Łowca Czarownic przypada plecami do muru, poza tym jednakowoż nic się nie dzieje, nadal panuje spokój, jeśli nie liczyć krzątający gnojaków uwijających się przy kupce kurzego łajna. Wodząc bacznie wzrokiem, Hopkins dostrzega ślady stóp, konkretnie dwu par stóp, które prowadzą ku laskowi. Co zrozumiałe, podąża za nimi i nieuniknienie wychodzi na polankę.

Pierwszym, co zauważa, jest dopalony do samego krańca ogarek wystający ze zbełtanego błota niczym ułamany ząb. Podnosi go, lustruje i odkłada do kieszeni. W drugiej kolejności jego wzrok pada na brązowy kształt, który bierze za zwłoki jakiegoś zwierzęcia, lecz gdy się doń zbliża, stwierdza, że to nie truchło, lecz kapelusz. Schyla się poń i przeciera go połą płaszczą. Kanciasta sprzączka pozwala zidentyfikować właściciela w osobie Johna Edesa. Hopkinsa nachodzi uczucie... takie uczucie, jakby ktoś zaciskał mu pięść na trzewiach. Obraca kapelusz w dłoniach. To samo nakrycie głowy, które minionego wieczora nosił John Edes, nie może być co do tego wątpliwości. Hopkins kontynuuje inspekcję, bada grząski grunt pod nogami, wciąga do płuc petrykorę i kątem oka spostrzega coś u dołu pnia pobliskiego jaworu, gdzie zamglone wciąż słońce wydobywa spomiędzy splątanych korzeni jakąś bladą rzecz. Nie, nie rzecz – rzeczy. Parę zmokłych pończoch. Bierze jedną do rąk i napręża, przezroczyście i chrupką od zaschniętego błota na podobieństwo żmijowej wylinki. Mogłyby należeć do kogokolwiek, ale nie są czyjekolwiek – są Rebekki West. Chowa kapelusz i pończochy za pazuchę, po czym się oddala. Pończochy... Dobrze wie, co tu zaszło. Ohydny obraz rodzi się w jego głowie powoli i z każdą chwilą bardziej przypomina chimerę – wijącą się bestię, która jest na poły Johnem, na poły Rebecą. Hopkins maszeruje przed siebie przez budzącą się wieś, ignorując kolejne wypowiedane doń „dzień dobry”. Wraca do oberży Thorn Inn, gdzie Judith Moone odsypia opętanie w wygodnej komnatce gościnnej na piętrze.

Znów u siebie, Hopkins kładzie się do łóżka i zaciąga szczelnie jaskrawe zasłony. Śni

o smukłych kostkach i białych szyjach. O młódkach, które zrzucają skórę niczym wąż. Dostaje od tego erekcji. Dostaje od tego mdłości. „Mówcie, co mam dla was zrobić, me umiłowane córy, me sabatowe ulubienice, któreście ze mną w czarcim przymierzu przypieczętowanym krwią i ogniem”...

Pojmanie

Oto, co zostanie powszechnie uznane za początek: wzgórze Wormwood, pewien wieczór pod koniec marca, gdy niebo nad rozlewiskiem całe pokryte jest krwistoczerwonymi, jakby wyżarzonymi chmurami. Ociężałe krowy na pastwiskach wyczekują burzy. Ścieżkę przemierza kilka osób. Na przedzie kroczy John Stearne z nakazem i kajdanami ukrytymi pomiędzy fałdami peleryny. Matthew Hopkins, jego przyboczny, idzie za nim sztywno wyprostowany, tuż-tuż, w scholastycznej czerni. Za nimi postępuje konstabl, dalej Priscilla Briggs i jej powinowata Abigail, tak samo wyniosła w swej sukni z wysokim kołnierzem i nakrochmalonym czepkiem. John Edes jakby się zapadł pod ziemię – nadal nigdzie go nie ma – lecz obecność klerka jest zbędna. Wydarzenia, które się rozegrają w nadchodzącą noc, i bez ich spisania zapadną w pamięć każdemu, kto przy nich był.

Gdy Stearne puka do drzwi, Bess Clarke otwiera je z wahaniem. Wróciła do domu w ostatnich dniach i jeszcze nie czuje się tu u siebie. Rebecca wyszorowała wszystko, przepędziła znajome wonie. Podnosząc głos, by przekrzywić świszczanie wiatru, Stearne oznajmia jej, że na mocy uchwały parlamentu, którego jest przedstawicielem jako zastępca lorda namiestnika hrabstwa Essex, aresztuje ją pod podejrzeniem maleficium – jej osoba i własność zostaną przeszukane pod kątem dowodów na popełnione przez nią zbrodnie. Jego słowom wtóruje syczenie i błyski pochodni trzymany przez resztę całkiem niepotrzebnie w obliczu krwistej poświaty na niebie.

– Ilu was przyniosło? – pyta go, mrużąc niedowidzące oczy.

Stearne odpowiada, że pięcioro, ale pozostali są już w drodze.

– Takż jest – kwituje Bess i kuśtyka w głąb izby, wpuszczając ich do środka.

Wkrótce przybywają zapowiedziani pozostali. Na miejscu zastają drobną starowinę siedzącą przed kominkiem ze spętanymi rękoma i przyglądającą się, jak mężczyźni wywracają jej posłanie, jej kociołek. Przetrasają jej pościel i worki z mąką. Niuchają zaszuszone zioła i zardzewiałe spinki do włosów. Szczególną konsternację czują na widok łojowego ogarka, który zastygł w antropoidalnej formie. Sterta śmieci za domem ujawnia mnóstwo pogryzionych kości. Starowina jest znużona, a metal boleśnie wpija się jej w zwiotczone ciało. Ponoć co rusz przywołuje miano niejakiego Williama Bedingfielda, o którym nikt z obecnych nie słyszał. Proponuje, że pomoże w rewizji, byle jej powiedzieli, czego szukają. Prosi o podanie fajki, lecz zostaje zignorowana.

Narobiwszy bałaganu w nędznej sadybie, mężczyźni wychodzą. Teraz kolej na Priscillę Briggs i Abigail Hobbs, które są świadome, jakiej odwagi się od nich wymaga, świadome tego, że muszą przywdziać bożą zbroję. Mają dokładne wytyczne. Zostały pouczone, by nie patrzeć wiedzmię w twarz ani nie słuchać jej protestów. Szatan, jak wiadomo, nie ma sobie równych w mamieniu; potrafi sprawić, że jego oczy stają się okrągłe i wilgotne jak u kocięcia złapanego przez deszcz.

Oto jak się poznaje czarownicę. Podejrzaną kładzie się na wznak. Później należy rozsznurować jej gorset i przerzucić spódnice za głowę, tak aby nic nie widziała. W przypadku Bess Clarke ich oczom ukazuje się ciało blade, pomarszczone i drobne ponad wszelkie wyobrażenie, mimo czego ich zadanie jest mozolne. Muszą znaleźć abscesy, czyraki, furunkuły, krosty, kurzajki, lezje, liszaje, pieprzyki, plamy, pryszczki, pypcie, ropnie, siniaki, skazy, strupy, stwardnienia, wrzody, wypryski, zgorzele, skuły, szankry, zachciewajki, znamiona. Każde z nich

trzeba zbadać z bliska. A ludzie mają na sobie takich rzeczy więcej, aniżeli można by przypuszczać. Każde trzeba nakłuć igłą. Najlepiej jest zacząć od góry i metodycznie posuwać się w dół. Mimo że krew Bess Clarke krąży wolno, z czasem wypływa na wierzch, przez co na jej obwisłych piersiach i sflaczałym brzuchu tworzą się rubinowe konstelacje, Węża i Małej Niedźwiedzicy. Obydwie kobiety poczynają sobie z ciałem starowiny sprawnie niczym akuszerki. Bez cienia wstydu zaglądną jej pod pachy i w zwiędłe sine fałdy sromu. Poczytują to sobie za przywilej, za przejaw zaufania. Oglądają niewieście ciało zgodnie z przykazaniem Stwórcy. Składają ręce i modlą się nad Bess, podczas gdy szkarłatne wykwity przesączają się przez włóczkę sukni.

– Zamiast służyć Panu, Bogu twemu, w radości i dobrym sercem, mając obfitość wszystkiego, w głodzie, w pragnieniu, w nagości i w największej nędzy będziesz służył swym wrogom, których Pan naśle na ciebie. On położy na twój kark żelazne jarzmo, aż do zupełnej twej zagłady. On zje przychówek twego bydła, zbiory z twego pola, aż cię wytępi[48].

Szydło napotyka ciało. Nie ma bowiem nic ukrytego[49] i wiedza wypływa. Priscilla i Abigail donoszą, że Bess Clarke ma znamię w zgięciu uda, znamię, z którego nie sposób dobrać ani kropli krwi, czerwone i napuchłe jakby pod wpływem ssania. Raportują, że Bess Clarke – nic nie czując – nawet się nie skrzywiła, gdyż wiadomo, że czarownice są z drewna i dlatego się unoszą na wodzie, co usprawiedliwia odzianie ich z odzienia i klucie szpilami. Inna plotka, okrutniejsza w wymowie, mówi, że Bess szlochała.

Gdy mężczyźni wracają do izby, jest już ciemno. Bess Clarke, ponownie ubrana w poplamioną teraz suknię, siedzi w nogach swego posłania i kołysze się w przód i w tył. Hopkins przysuwa sobie zydeł i zajmuje miejsce naprzeciwko niej.

– Trzymacie diabliki, gospodyni? – pyta rzeczowo łagodnym tonem. – W jakiegokolwiek postaci, czy to pszczoły, czy motyla, tchórza, czerwonego kura, białego psa, czy mężczyzny odzianego na czarno. Trzymacie jakież? Trzymaliście kiedykolwiek? Wiecie w ogóle, co to diabliki?

Bess nie przestaje się kołysać. Odpowiada, że czasami nawiedza ją królik.

A czy stwór ten się nią żywi? Czy żywi się jej krwią?

Wybucho tylko śmiechem i nic nie mówi. Wkrótce staje w obliczu faktów. Przekląła Richarda Millera i groziła mu, że napuści nań swe diabliki. Na jej ciele znaleziono sutki, przez które odżywia się Szatan. Czy temu zaprzecza? W ciasnej chacie roi się od mężczyzn odzianych w czerń od stóp do głów. Nie byłaby w stanie ich zliczyć ani nie wie, jak się który nazywa. Ich kapelusze sięgają niemal krokwi, a cienie kładą się chybotliwie jak płomień świec na wyszorowane ściany. Bess jest głodna i zmęczona.

– Zaprzeczam – mówi niewyraźnie, ponieważ język staje jej kołkiem z pragnienia – jakobym zadawała się z diabłem czy jego sługami w jakiej bądź formie.

I prosi o łyk wody, ale słyszy, że jeśli chce się jej pić, woda stoi w dzbanie na stole, niech się śmiało częstuje. Stearne i konstabl rechoczą, gdy starowina niepewnie podchodzi do stołu, po czym niezdarne próbuje ująć dzban spętanymi rękoma. Naczynie wyslizguje się jej z palców i upada na ziemię, rozchlapując dookoła wodę, na której stopa jej się ślizga, i wkrótce Bess także leży jak długa na podłodze.

Powieka Hopkinsa lekko drży.

– Gospodyni. Dlaczegoście grozili Millerowi, że naślecie nań swe diabliki, skoro twierdzicie, że ich nie macie? Gdzie są? Gdzie wasi chowańcy?

Bess Clarke wybucho szeleszczącym śmiechem i zaczyna żuć dolną wargę,

Hopkins macha rękami w geście pozornej kapitulacji.

– Skoro nie odpowiadacie, zaczekam.

W przeciwieństwie do gróźb Bess jego mają swój ciężar. Czeka. Czeka godzinami. Wszyscy oni czekają całą długą ciepłą noc. Ilekroć Bess zdaje się zasypiać, a jej głowa opada i oczy się zamykają, Hopkins mówi:

– Nie śpijcie, gospodyni. Trzeba wam być czujną na wypadek nadejścia waszych diablików.

I dwie pary rąk brutalnie ją ściągają z posłania, i każą jej chodzić, chodzić wkoło stołu, zataczać kręgi, a każdy następny w większych majakach. Wstaje świt, kreśląc na podłodze izby brudne różane wzory. Stearne drzemie w rogu nieopodal pieca. Niestrudzony w śledztwie Hopkins zasiada wciąż naprzeciwko Bess.

Starowina zwilża spękane wargi. Pyta go, czy przyglądanie się jej nigdy mu się nie znudzi.

Hopkins się uśmiecha i cytuje z Księgi Psalmów:

– Nie użyję snu mym oczom, powiekom mym spoczynku, póki nie znajdę miejsca dla Pana, mieszkania Mocnemu Jakuba[50].

Blade światło poranka wędruje powoli po chaosie uczynionym przez śledczych, roztrzaskanych naczyń i rozrzuconych plewach. Wkrótce nabiera złocistego blasku i zaczyna się wspinać po ścianach. Świat skurczył się do tej jednej izby. Bess Clarke i Matthew Hopkins nadal nie śpią. Ten drugi siedzi odchylony na oparcie krzesła, z rękoma splecionymi na piersi, i kręci kółka kciukami, tak otwarcie nienawistny, aczkolwiek roztacza aurę pomocnika murarza, który leniuchuje w słońcu po ciężkim dniu pracy. Ale nie, sięga po następny sposób ze swego arsenału i zaczyna skrobać ostrogą o kamień. Metal chrypi i popiskuje. Bess ma takie wrażenie, jakby coś zgrzytało jej w mózgu.

– Proszę, przestańcie, panie...

Kwiląc i jęcząc, przyciska spętane dłonie do czoła, cała zgarbiona w wyrazie upodlenia. Hopkins ponawia pytanie o imiona diablików.

– Prędzej czy później mi to powiecie, gospodyni.

Bess Clarke się zaklina, że nie ma żadnego chowańca ani że nie przeklęła Richarda Millera.

– Czy w takim razie Szatan przyszedł do ciebie w ludzkiej postaci?

Starowina śmieje się cicho i w swej bezradności kpi:

– A jakże, istny zeń dżentelmen, nie gorszy aniżeli inni w Anglii, nosi koszule z koronkowymi wstawkami.

– Dobrze – chwali ją Hopkins w napięciu. – Bardzo dobrze. Może teraz powiecie mi też, jak wołacie swe diabliki?

Akurat mu powie! Z chrapliwym szlochom drobna starowina zgina się wpół i przejeżdża po głowie paznokciami, rwąc rzadkie siwe włosy. Widok jest żałosny. Hopkins wraca do skrobania kamienia ostrogą.

Priscilla Briggs i Abigails Hobbs przynoszą nieustraszonym śledczym skromny posiłek (chleb, ser, piwo). Konstabl i Stearne ostatni raz ciągną wkoło stołu wycieńczoną starowinę, której jedyna stopa, obtarta do krwi i obrzmiała, zostawia czerwony ślad na brudnej podłodze. Och, jakże jej się kręci w głowie, która zdaje się unosić lekko niczym puch z ostu pomiędzy cieniami i na wpół zoczonymi zjawami, z pobłyskiem mirry gromadzącej się na skraju widzenia. Jeślibyż tylko ktoś jej dotknął, z miłością (miała kiedyś synów). Czuje ukłucie w karku, myśli, że przysiądzie znowu na posłaniu. Słowa pączkują w jej umyśle nieproszone, samowolne, takie jak „węgorz” i „proch”. Wspomina też matkę: związali jej razem kciuki i paluchy, otoczyli sznurem w pasie i w kroczu, pociągnęli przez bladozielony tatarak – żegnaj. Bess spogląda na własne ręce, takie skurczone, takie chude; spoczywają na brzuchu, a brzuch pod suknią splamioną krwią, co

jest dla niej wstrząsem. Nie pamięta, jak to się stało, że zaczęła krwawić.

– Skąd to? – pyta cicho, ze zdziwieniem.

Hopkins gorliwie pochyla się w przód. Nie śpi już drugą dobę, co musi być po nim widać – oczy ma podkrążone, włosy tłuste i rozkocudane – ale nie stracił ani uncji czujności.

– Powiedzcie, gospodyni, jak się nazywają wasze diabliki.

Pytanie o to sprawia mu rozkosz. Mógłby to robić co godzinę do wtóru bijących dzwonów, aż po zapusty albo i dłużej. Tyle mówi jego zawołany uśmiech, jego palec nonszalancko zatknięty za pas z pistoletem.

Bess Clarke patrzy na swe dłonie, głowę trzyma pod dziwnym kątem, jakby ją dopadł skurcz szyi albo miała zaraz zwymiotować.

– Mój mąż nosił imię William – oznajmia w końcu, prostując i zginając palce na podolku. – Wybaczcie, panie. Jestem uboga jak Hiob.

Robi to od pewnego czasu. Opowiada bzdury – ledwie przytomna, zawieszona pomiędzy tu i teraz a tam i wtedy, które jawi się jej ważniejsze. Konstabl, wyszedłszy właśnie na zewnątrz, rzuca do Stearne'a, że jeśli Szatan miał w niej współniczkę, czy nie interweniowałby do tej pory?

– A wasze diabliki, gospodyni? – ponawia pytanie Hopkins.

Stearne wzdycha.

– Matthew – mamroce, wracając za próg. – To beznadziejne...

W tym momencie Bess Clarke, która znów kołysze się w przód i w tył, w przód i w tył, wydaje z siebie przeciągły, ostry gwizd. Świadkiem tego jest tuzin osób. Co można więcej powiedzieć? Pierwszy pojawił się pies albo coś do psa podobne, stworzenie pulchne, białe w beżowe łaty, o imieniu Jarmara. Drugi był stwór przypominający ledwie, ledwie ogara, chudy z długimi łapami, noszący miano Pyewackett. Wszystkimi obecnymi wstrząsa piekielna ohyda tych dziwnych onomastycznych określeń, tych nazw, których żaden śmiertelnik nijak by nie wymyślił. Bess przewiduje, że następny będzie czarny diablik, który przyjdzie po Johna Stearne'a – wymieniony mężczyzna łapie za pistolet i okręca się w miejscu, gotów stawić czoło niewidzialnemu napastnikowi. Nic więcej jednakowoż się nie zjawia, a i to, co przybyło, znika, lecz Priscilla Briggs i tak zadziera spódnicę i wskakuje na zydel, a Abigail Hobbs, wrzeszcząc, obejmuje się ramionami. Kilka osób może poświadczyć każdy szczegół dotyczący obu diablików, jak również to, że wedle Bess Clarke ona sama i macierz mają wiele innych takich istot poza tymi dwiema, co pozwala myśleć, iż niezliczonym stworom przyszło walczyć o dostęp do wiedźnich znamion, zupełnie jak czynią to prosięta przyssane do cyczków maciory. Pośród tego chaosu rozlega się wyznanie Bess, niepotrzebne, odkąd wszyscy na własne oczy zobaczyli jej obrzydliwe chowańce.

Matthew Hopkins gromko domaga się ciszy, chwyta starowinę za spętane dłonie, podciąga ją do góry i każe się nieszczęsnej przyznać, czy konspirowała z Anne West i czy rzeczona Anne West, zwana Beldam, tak samo jest służebnicą Szatana.

– Anne West – powtarza starowina, jakby było to miano, które poznała w innym życiu. – Anne West mówiła, że współczuje mi biedy i kalectwa. Mówiła, że zna sposób, coby mi się żyło lepiej.

Tylko tyle mówi o Beldam West, ale to wystarcza. Nikt nie ma już wątpliwości, kłamka zapadła. Pierwsza wiedźma, przekłete nasienie. Wyprowadzają ją na zewnątrz, nie bacząc, że nastał znów wieczór i że zerwał się wiatr. Chmury zasnuwają zachodzące słońce, sine, zapowiadające deszcz. Spętana wciąż Bess Clarke przekracza próg swego domu po raz ostatni.

Gdy Hopkins ujmuje ją delikatnie pod łokieć, zwraca nań spojrzenie pustych szarych oczu.

– James, jest za zimno, aby iść nad rzekę. Obejrzymy łódki jutro po kościele, jeśli

będziesz grzecznym chłopcem i w milczeniu wysłuchasz całego kazania.

Po tych słowach następuje chwila zdumiewającej i cudownej czułości, o której mówi się później tygodniami i która sprawia, że Hopkins znajduje miejsce w sercu każdego zarobaczywiałego purytanina. A wszystko dlatego, że Łowca Czarownic w tym momencie schyla głowę, aby skrzyżować spojrzenia z Bess, i delikatnie kładzie dłonie na jej ramionach.

– Będę się modlił, aby Pan Bóg ci przebaczył, gospodyni – zwraca się do niej. – Twa doczesna powłoka wiele się wycierpiała na tym padole, obyś zatem okazała skruchę i żałowała za swe grzechy, bo tylko dzięki temu duszy twej zostaną oszczędzone męki w życiu przyszłym.

Ujmuje jej policzki w urękawiczone dłonie, delikatnie jak nigdy. Stearne i konstabl przyglądają się temu osłupiali.

– Nawet teraz – szepce Hopkins – Pan Bóg sięga ku tobie przepełniony łaską i miłością. Jak powiedział Jan: „Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg jako wierny i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości”[51].

Na koniec składa uroczysty pocałunek na czole starowiny. *Quo modo deum*[52].

Bess Clarke patrzy w jego twarz nierozumiejącym wzrokiem. W jej pokrytych zaćmą oczach nie ma ani krzty złych zamiarów. Czy jest w nich w ogóle życie? Kołysząc się na piętach, pyta, czy teraz już wolno jej będzie zasnąć.

Hopkins się uśmiecha. Odpowiada starowinie, że pojedzie teraz z lordem namiestnikiem i że później wyśpi się za wszystkie czasy.

[48] Biblia Tysiąclecia, Księga Powtórzonego Prawa 28,47–48, tamże 28,51.

[49] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Łukasza 8,17.

[50] Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 132,4–5.

[51] Biblia Tysiąclecia, 1 List Jana 1,9.

[52] *Quo modo deum* (łac.) – jak Bóg.

Sabat

Ucieczka wydaje się najrozsądniejszym rozwiązaniem, gdy jest już na nią za późno. Zresztą dokąd miałabym uciekać? Słyszę, jak zbliżają się do naszego domu, wcale się nie kryją ze swą obecnością. Ich grupa urosła, odkąd John Stearne wjechał tryumfalnie do miasta, trzymając się w siodle prosto, jakby kij połknął, i mając za plecami drżącą Bess Clarke ze spętanymi rękoma. Czarownica pozbawiona swej mocy. Pozostali mężczyźni wyszli z domów, żeby się przyłączyć do Matthew Hopkinsa, Łowcy Czarownic, który prowadzi ich niczym jakiś nawiedzony chorąży, z uniesioną wysoko pochodnią. Inni niosą a to piki, a to miecze, a to strugi czy siekiery zabrane z drewni. Nie mają pojęcia, do czego mogliby ich użyć, po prostu czuli, że powinni być odpowiednio wyposażeni. Ich zadaniem jest patrzeć, widzieć. Co jednakowoż spodziewają się ujrzeć? Kobiętę odlatującą w stronę zachodzącego słońca na skórzastych skrzydłach? Czarnego psa wijącego się na krańcu sznura?

Hałas potężnieje z każdą chwilą, sędzę nawet, że zobaczyłabym ich – zobaczyłabym rząd ogników kroczących przed siebie niczym mrówki w górę wzgórze Lawford – jeślibym tylko zdobyła się na to, aby stanąć bliżej okna. Nie jestem jednakowoż w stanie. Zbyt się boję. Tkwią nieruchomo z plecami przyciśniętymi do zimnej ściany głównej izby. Mam wrażenie, że ciąży mi każdy narząd w ciele. Wtem okno zalewa czerwony blask, dolatuje mnie gwar może tuzina głosów, ujadanie podekscytowanego kundla. Są już przy ogrodowym płocie. Oczyma wyobraźni widzę, jak tuż przed furtką konstabl i jego przybocznicy odsuwają od Hopkinsa rozentuzjasmowany tłumek, który posłusznie się cofa i milknie w nastroju wyczekiwania – jakby nie chodziło o nasze błotniste podwórko, o nasz kurnik, o nasze zaniedbane grządki zaduszone przez ognicę, tylko co najmniej o rozpalony piec Nabuchodonozora[53], żywioł, z którego jedynie Łowca Czarownic może ująć cało. Z ust wszystkich wyrwa się kolektywne sapnięcie, gdy Hopkins otwiera furtkę. Jego krokom wtóruje dudniący ryk podziwu, gdy idzie nieustraszony w powiewającym połami czarnym płaszczu po diabelskiej ogrodowej ścieżce.

Wyobraźnia ustępuje rzeczywistości w momencie, gdy Hopkins pięścią w rękawicze puka do kuchennych drzwi raz i drugi, a ja muszę zdecydować, co zrobić. Nie kiedyś, kiedy będę miała czas na zastanowienie, ale teraz, w tej chwili. Widzę przed sobą gąszcz rozgałęziających się możliwości i ich prawdopodobnych konsekwencji. Czy uda mi się przecisnąć przez tylne okienko i zbiec do lasu? Ale zdaje się, że mają – tak, mają na pewno – ogary. Otworzyć drzwi? Drzwi. W ziejącej u dołu szparze widzę słaby blask ognia. Otwórz je, mówię sobie. Dobrze. Chyba że wolisz stać tu jak słup i czekać, aż je wyważą. Za oknem przemyka jakiś cień. Ktoś zagląda do środka. Wolno, wolno i drżąc, znajduję w sobie siły, aby się poruszyć. Ruch dobrze mi robi. Nagle zachciewa mi się świeżego powietrza. Łaknę go, jeśli mam być szczerą. Nie byłam na zewnątrz, odkąd aresztowali Bess Clarke.

Otwieram drzwi. Owiewa mnie powietrze, chłodne, rześkie, ale nagle czuję na prawym policzku ciepło. Matthew Hopkins staje w progu, tak jak przed czterema dniami stanął w nim John Edes, tyle że Łowca Czarownic trzyma zapaloną pochodnię.

– Na mocy uchwały parlamentu – oznajmia – i za pozwoleniem zastępcy lorda namiestnika hrabstwa Essex...

– Odeszła – mówię szybko, mając na myśli macierz. – To znaczy... nie ma jej tutaj, panie.

Hopkins zamiera. Iskra strzela z pochodni i niknie na wilgotnym kamieniu wschodka.

Zdażył spaść deszcz? Kiedy? Jak długo stałam z plecami przyciśniętymi do ściany głównej izby? Spoglądam ponad ramieniem Hopkinsa na ogorzałe twarze stojących za nim mężczyzn, które przypominają mi brudne pensówki próbujące świecić odbitym światłem. Jest wśród nich Joshua Norman, któremu raz wymierzono grzywnę i zakuto go w dyby za to, że pojawił się w kościele pijany. Jest, co stwierdzam z ukłuciem rozczarowania, pan Hobday; opiera się o widły do siana. Jest młody James Hockett, którego przy jakiejś okazji wysmialiśmy, kiedy powiedział, że Bóg nie może zesłać nieboszczyka do piekła, jeśli pochować go w szkaplerzu – i nieważne, jak bardzo grzeszył za życia. Jest też oczywiście Matthew Hopkins. Spogląda na mnie, rozciągając wargi w uśmiechu. Chcę zerwać mu ten grymas z twarzy i pokazać reszcie. „Widzicie? – zapytałabym. – Widzicie? Jemu to sprawia przyjemność!” Trzymając w garści ten uśmiech, czerwony niczym cygański jedwab, krzyknęłabym ile sił w płucach: „Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem, którzy zamieniają ciemności na światło, a światło na ciemności”[54], ponieważ ja także uczyłam się Pisma i eżże, ależby wszyscy zadrżeli, ależby się rzucili w dół zbocza. Matthew Hopkins, Łowca Czarownic. Oczy ma ukryte w cieniu szerokiego ronda kapelusza. W tej chwili cały jest tylko uśmiechem, takim intymnym, osobliwym. Czuję, że drzę. Gdy zaczyna odpowiadać, wymierzam mu siarczysty policzek.

Z ust zgromadzonych wrywa się chóralny jęk. Przyboczni konstabla starają się zapanować nad tłumem. Hopkins opuszcza głowę, żeby potrzeć pulsujące miejsce; widzę, jak napinają mu się wszystkie żyły. Już się nie uśmiecha.

– Mogę wejść? – pyta, choć to tak naprawdę znaczy: „Wchodzę”.

Przepycha się obok mnie i wkracza do głównej izby, po piętach depce mu konstabl, który – zdaję sobie z tego sprawę poniewczasie – pęta mi ręce, zanim zdążę zaprotestować, oraz dwaj przyboczni. Ci ostatni z miejsca zabierają się do przeszukania domu. Ogłuszający hałas rozdiera mi uszy, gdy jeden z nich szarpie obrus i z kłamorem zrzuca na podłogę cynową zastawę – jestem pewna, że czyni to z myślą, aby mnie rozstroić, i rzeczywiście, cała aż zaczynam się trząść. Dziwnie jest widzieć w tym domu, w mym domu, mężczyzn. Patrząc, jak wszystko niszczy. Słyszeć ich krzyki. Są wszędzie. Męska stopa nie powstała pod tym dachem od śmierci ojca, a dziś przyszło czterech naraz. Zataczam się do tyłu, ale Hopkins prowadzi mnie do ławy.

– Gdzie Beldam West? – pyta.

– W gospodzie Red Lion – odpowiadam bez zastanowienia. – A przynajmniej twierdziła, że tam idzie.

W następnej kolejności zadaję pytanie, czy będę musiała stawić się przed sądem. Hopkins mnie ignoruje. Potępieńcze wycie przecina harmider rewizji, potem rozlega się przekleństwo i paskudne plaśnięcie. Chcę wstać, lecz Hopkins usadza mnie z powrotem na ławie. Z izby, w której śpimy z macierzą, dobiega tryumfalny okrzyk konstabla:

– Utkłem go na śmierć!

Konstabl pojawia się w głównej izbie lekko zdyszany, z dobytą pałką, w wolnej ręce trzymając luźny worek kości i zakrwawionego futra.

– Rozwaliłem mu łeb – melduje, postępując zawiadackim krokiem w stronę Hopkinsa. – Wspaniałe uczucie.

Z jego garści zwisa Vinegar Tom. Czy też to, co do niedawna nim było, bo teraz to już tylko futro, z którego wylazi mięso i wylewa się krew. Nachodzi mnie myśl: jak mało trzyma nas wszystkich przy życiu, daje nam ciepło wewnątrz i siłę na zewnątrz. Zakrywam dłonią usta, odmawiając tym intruzom satysfakcji z tajonego szloch. Konstabl przekazuje zwłoki Hopkinsowi, który przygląda się im ze zmarszczonym czołem.

– Jest ich tam więcej?

– Widziałem tylko tego – odpowiada konstabl, wycierając wielką łapę o spodnie. – Ale na tyłach jest pełen kurnik – dodaje z nadzieją w głosie.

– To tylko kot! – wyrывa mi się razem z kolejnym szlochem. Swe słowa kieruję do konstabla. – Zwyczajny kot...

Hopkins wzdycha.

– Tak, to kot – dobija konstabla, oddając mu zakrwawione ciało trzymane za kark. – Wyrzucić go na kupę śmieci.

Przednia łapka Vinegar Toma drży spazmatycznie. Trzy krople krwi spadają na gołe deski stołu. Nie patrzę na wklęsnięty łepok, z całych sił staram się nie patrzeć na wklęsnięty łepok. W gardle niczym zimny palec czuję podnoszącą się żółć, me usta wypełnia kielzno... Robi mi się słabo. Następnym, co czuję, jest deszcz na odsłoniętym karku i miarowe chybotanie końskiego grzbietu pode mną. Leżę rozciągnięta na kolanach obcego mężczyzny, przed oczyma wszystko mi pływa. Domyślam się, że zostałam zabrana z domu, jestem wieziona w dół zbocza. „Marność nad marnościami...”[55] Chociaż do góry nogami, walczę, by przełknąć żółć zbierającą mi się wciąż w ustach. „W tym, co złe – pomysłowi[56]... dla zniszczenia grzesznego ciała[57]...” Dom za naszymi plecami maleje, niknie, ostatecznie zamienia się w niewyraźną czarną plamę w oddali, która podaje tyły, nadal otoczona wieńcem pochodni z iskrami sypiącymi się w niebo.

Ci, którzy nie dołączyli do ponurego orszaku Łowcy Czarownic w górę wzgórze Lawford, dla odmiany ruszyli w miasto, żeby pić i rozprawiać o jego dokonaniach. Tłoczą się na targu, tonąc w błocie, sterczą na skrawku bruku przed karczmą White Hart, gdzie nad ich głowami kołysze się szyld przedstawiający jelenia spowitego w złote łańcuchy. Zastanawiają się, która z nas potrafi latać. Gdybają, którą Szatan najbardziej lubi chędożyć. Noc jest w sam raz na walkę kogutów, lepsza nawet na dyskusję o dwu czarownicach.

Gospoda Red Lion, przycupnięta w rogu błoni, pęka w szwach. Nerwowy człowieczek w szarej czapce zakrywającej mu uszy chodzi od stolika do stolika, oferując duże jak dłoń kawałki szkła pomalowanego na szmaragdowo i szkarłatno, które to kawałki – jak twierdzi – zwolennicy parlamentu wybili z witrażowych okien katedry w Winchesterze, aczkolwiek nie potrafi wyjaśnić, jak on sam wszedł w ich posiadanie. Szynek, identycznie jak kościół, pokazuje w Manningtree przynależność człowieka do grupy społecznej, a Red Lion to najpodlejsze miejsce w okolicy, przyciąga najgorszych szubrawców, niepiśmiennych, bezzębnych, czujących się pewnie tylko w masie. Atoli gdy jakieś pacholę przekrzykuje rejwach i ogłasza, że Łowca Czarownic z bojącymi się Boga pomocnikami pojmał mnie – „Westównę” – odpowiada mu nie tryumfalny ryk cnotliwych, lecz pomruk ogólnego zdumienia. Żeglarze, przemysłowcy, trzebiciele, domokrażcy, parobcy... nikt z nich nie ma interesu w tej intrydze, śledzą ją co najwyżej z umiarkowanym pobocznym zainteresowaniem, jak menonicy pochwyceni w dwa ognie bójkę na pięści. Nieszczęście i cierpienie są dla nich chlebem powszednim, nie przypisują więc ani jednego, ani drugiego ni wyższej sile, ni sile piekielnej, a polowanie na czarownice – jak polowanie na wszystko inne – zostawiają szlachcie ku rozrywce.

– Przyndź i pedź, jak dziewczka zadyndo – woła jakiś wyrówny z kąta. – To bendziem mieć ucieche.

Lubię myśleć, że w tamtej chwili krew zamarła w żyłach macierzy. Musiała wiedzieć, co się szykuje, nie wiedziała tylko, jak szybko. Lubię sobie wyobrażać, że stoi tam, nieopodal drzwi na tylny dziedziniec, trzyma w ręce na wpół opróżniony kufel piwa i gdy słyszy, że jej jedynaczkę pojmał stróż prawa, uświadamia sobie, że została z tym, co ma na grzbiecie i co zabrała z domu wcześniej tego wieczora, żegnając się ze mną i nie mogąc się doczekać tych kilku godzin spędzonych na picciu. Co za pech. Przetrasając kieszenie fartucha, odkrywa, że jej majątek skurczył się do napatka, igły, połamanej glinianej fajki i paru monet jednopensowych.

Być może się zastanawia, dlaczego nie salwowałam się ucieczką. Prawdopodobnie przez moment rozważa, czy sama nie powinna dać nogi. Zamiast tego jednakowoż głośno pyta:

– Mów, dokąd ją zabrali!

I przepycha się na przód izby, gdzie pacholę wciąż stoi w podartych portkach i z twarzą zarumienioną od długiego biegu ze wzgórza Lawford. Gdy odzywa się budząca respekt Beldam West, w gospodzie zapada cisza.

– No, no – mamroce tylko Moses Stepkin, domokrażca. – Toż to królowa piekieł we własnej osobie!

– A Księżę Powietrza jej zapalczywy kochanek! – dodaje z lubieżną miną ktoś inny, poruszając wymownie łędwiami na zydlu.

– Do diabła, panowie! – odpowiada macierz warknięciem. Rozstawia szerzej nogi i kładzie dłonie na biodrach. – Świetnie wiecie, że to purytańskie szaleństwo ociera się o bezprawie. Ale co was to obchodzi? Same łotry i hultaje, nikt wam nic nie odbierze, chyba że życie, ale i ono niewiele warte. – Inwektywy witane są wybuchami śmiechu, przy każdym stuknięciu kubków na stoły chlusta berbelucha. – A teraz – Anne przekrzykuje tumult – może ktoś mi powie, dokąd ten tak zwany Łowca Czarownic zabrał mą córkę?

– Do łóżka, jeśli ma odrobinę oleju w głowie! – ryczy John Banks, wywołując nowe salwy śmiechu.

Boże, chroń nas przed mężczyznami, którzy się spiją... Macierz z frustracji tupie nogą.

– Czemu jego nie spytasz? – rzuca od progu nowo przybyły cwaniaczek, ściągając kapelusz i przyglądając włosy. – Właśnie go minąłem, jak zmierzał na błonia, Matthew Hopkins i konstabl ze swymi ludźmi.

Wzmianka o stróżach porządku ucina ogólną wesołość. Przemytnicy i oszuści karciani, wszyscy odziani na czarno, wycofują się ku tylnym drzwiom, mamrocąc coś nieprzychylnie pod nosem, sprzedawca kolorowych szkiełek wyrzuca swój towar za otwarte okno prosto w krzaki. Macierz pochyla głowę w podzięce.

– Tak też uczynię – mówi, prostuje ramiona i wychodzi na zewnątrz.

To powoduje, że wszyscy się zrywają ze swych miejsc, łapią kapelusze i peleryny, po czym w stanie najwyższego podniecenia wysypują się za drzwi jej śladem. Czy ku przeznaczeniu Beldam West, czy Matthew Hopkinsa, tego nie umieją powiedzieć, nie mają też w tej kwestii preferencji, ale wiedzą, że niewątpliwie będzie to rzecz warta obejrzenia.

Ich marsz nie trwa długo. Deszcz przybrał na sile – można odnieść wrażenie, że z nieba pada pionowo ściana wody. Macierz staje u wylotu South Street na szczycie wzgórza akurat wtedy, gdy Hopkins z ferajną skręca za róg w dole i zaczyna się wspinać ku gospodzie Red Lion. Orszak ten oświeśla tylko blask żarzących się pochodni, które muszą z sykiem gasnąć. Na czele jedzie Łowca Czarownic.

– Matthew Hopkins! – wykrzykuje macierz, na co wszyscy się zatrzymują. Widać wśród nich poruszenie, które prowodyr uspokaja podniesieniem ręki. – Czekaj nas rozmowa!

Dzieli ich dobre dwadzieścia jardów zalanej pochyłej drogi. U szczytu zwiera szyki hołota, która jeszcze przed chwilą piła w najlepsze w gospodzie; teraz rwie się do bitki, wyczulona na najmniejszy ruch. W dole u boku Hopkinsa zacieśniają pozycje ostrożni purytanie, mamrocący modlitwy i wymachujący widłami. Rzuciwszy Stearne'owi spojrzenie z ukosa, Hopkins cmoka na swego konia i podjeżdża kawałek, czując się niczym dowódca wychodzący na spotkanie posłańca czy w tym przypadku – ofiary. Przystając, ironicznie uchyla zmokłego kapelusza.

– Anne West, na mocy uchwały parlamentu i za pozwoleniem zastępcy lorda namiestnika hrabstwa Essex aresztuję cię...

Macierz prycha niezrażona.

– Hopkins, gdzieżeś wywiózł mą córkę?

– Do oberży Thorn Inn – odpowiada Łowca Czarownic. – Celem przesłuchania w sprawie Bess Clarke i twej. Obieście znanymi jawno grzesznicami i sekutnicami, i służkami Szatana.

Tłumek za plecami macierzy zaczyna szemrać.

– Hopkins, oddaj mi córkę!

– Rebecca jest córką Boga – przypomina jej ze śmiechem Łowca Czarownic, nie bacząc, że woda leje mu się strumieniem z ronda kapelusza. – Jak powiada ewangelista Mateusz: „Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie”[58].

– Ano – przytakuje macierz ze splunięciem. – Tyle że ma córka nie uczyniła nic złego w Jego oczach, a wychowana została na wystarczająco bogobojną. Ty zaś nie masz prawa jej przetrzymywać.

Hopkins unosi brew, po czym znacząco patrzy za siebie na ustawionych w szeregu purytanów w ciężkich czarnych płaszczach i członków milicji wspierających się nerwowo na pikach. Nie musi nic mówić, jego spojrzenie jest aż nadto wymowne: „Nikt cię nie poratuje”. Większość kobiet to wie, reszta musi się o tym dopiero przekonać.

Beldam West omiata wzrokiem najbliższą okolicę. Spuszcza z tonu.

– Dwie biedaczki z nas, panie... Ale w swej biedzie zostałyśmy obdarzone przez Boga duchowym bogactwem...

Nie spuszczać z niej oka, Hopkins wpada jej w słowo:

– Módl się, żeby to smutne doświadczenie odkryło przed tobą sposób, co by ci się żyło lepiej.

W jej uszach także brzmi to znajomo.

– Bess Clarke.

Hopkins z uciechą się przygląda, jak na twarzy Anne West pojawia się wyraz zrozumienia.

– Bess Clarke przyznała się – kontynuuje Łowca Czarownic – do najohydniejszej zbrodni, jaką jest maleficium, i wymieniła ciebie jako swą współniczkę.

– Bess Clarke kłamie – odpowiada macierz, nie tracąc rezonu.

Tłoczący się za jej plecami mężczyźni cichną, wyczuwszy, że gra toczy się o wyższą stawkę, aniżeli przypuszczali. Każdy lubi sobie pożartować, ale mało kto ma ochotę patrzeć, jak powieszona kobieta popuszcza i charczy krwią, kalając worek pokutny, który kazano jej ubrać rankiem w dzień egzekucji. To zbyt straszny widok. I wcale nie śmieszny. A może jednak? Dziwna jest ludzka natura. Nawet w sprawach ważkich, jak życie i śmierć, każe potakiwać rozmówcy. Łowca Czarownic i jego drapieżny uśmiech, macierz przemoczona na wskroś i wyraźnie drżąca pomimo całej swej zaciekłości – w ich obliczu szeregi się przeredzają po obu stronach. Ludzie wymykają się z ciżby ciał i rozchodzą do domów przez błonia, uznawszy, że sprawy przybierają nieciekawy obrót. Pozostali mruczą między sobą gniewnie. Być może uważają, że kobiety te – sekutnice – są traktowane zbyt ostro, niesprawiedliwie. Było nie było, Bess Clarke, Anne West i Margaret Moone wiodą żywot na obrzeżach społeczności Manningtree od wielu już wiosen, a kimże jest ten purytański nuworysz z Suffolku, żeby zaburzać z takim trudem osiągnięty spokój w tej okolicy, spokój bynajmniej nie dany na stałe? Wystarczy, że w kraju toczy się bratobójcza wojna. Nie będziemy jeszcze mordować naszych sióstr.

– Ano, stara Bess Clarke kłamie – odzywa się nieoczekiwanie jeden z mężczyzn.

Hopkins unosi głowę i obrzuca spojrzeniem zebranych, których twarze zlewają się z padającym deszczem.

– Jeśliś niewinna, jak twierdzisz, nie masz się czego obawiać i możesz śmiało pójść z nami. Tylko szacunek dla twej – w tym momencie wykonuje w powietrzu ruch smukłą urękawiczoną dłonią, jakby szukał właściwego słowa – dla twej nader delikatnej niewieściości – teraz przychodzi pora na śmiech purytanów – wzbrania nam cię wziąć siłą.

Jego ton nabiera żelaznych nutek.

Próbuję sobie wyobrazić matczyne oblicze zastygłe w masce rzucanych przez pochodnie cieni. Beldam West drży. Nie trzyma już zadziornie uniesionej brody, ale zwracając się do Łowcy Czarownic, mówi:

– Bóg osądzi nas wszystkich, Hopkins. – Zmartwiała od deszczu, w końcu wyciąga przed siebie ręce do spętania. – Bóg osądzi nas wszystkich, a ty – podrywa spojrzenie na skrytą pod rondem kapelusza twarz Hopkinsa – poznasz, co to smak krwi.

– Amen – odpowiada Łowca Czarownic i zawraca wierzchowca, pozostawiając Anne West przybocznym konstabla, którzy za nim ją pociągną.

[53] Aluzja do Księgi Daniela 3,15 (Biblia Tysiąclecia).

[54] Biblia Tysiąclecia, Księga Izajasza 5,20.

[55] Biblia Tysiąclecia, Księga Koheleta 1,2.

[56] Biblia Tysiąclecia, List do Rzymian 1,30.

[57] Tamże 6,6.

[58] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Mateusza 23,9.

Obrazoburstwo

Budzę się w pełni odziana w obcym, twardym łóżku. Wiem, że jestem w oberży Thorn Inn, tej lśniącej kościaną bielą, niemiłą dla oka bryle wetkniętej w gardło rozlewiska. Przetrzymują mnie gdzieś na piętrze. Drzwi izby są zamknięte od zewnątrz – to ustaliłam jeszcze minionego wieczora, zanim ustąpiła panika. Zdążył nastać mokry ranek. Ze wstrzymanym oddechem nasłuchuję męskich barytonów poniżej, trzeszczenia desek, jęku wschodków. Zwykle bez trudu rozumiem język domostwa, co dla niektórych jest nie lada sztuką, aliści ta oberża stanowi dla mnie kompletną zagadkę. Kto może wiedzieć, czy ten szmer albo pisk dolatuje z przyległej izby, gdzie przebywa więziona niewiasta jak ja, czy może ze ścian, gdzie gnieźdzą się szczury? Kto może wiedzieć, co ze mną będzie...

Pianie koguta obwieszcza nowy dzień. Podnoszę się i podchodzę do okna, za którym słońce złoci swym blaskiem widoczny fragment zatoki. Wygląda na to, że padało przez całą noc; niebo niczym kratownica odbija się w powleczonych warstwą wilgoci kocich łbach. Mężczyzna w czerni opuszcza właśnie podwórze i kieruje się na zachód, odwrócony do mnie tyłem. Obrzucam wzrokiem izbę. Świecznik, pusta komoda, toaletka z wpuszczoną miednicą, cienkie poźółkłe firanki sztywne od krochmalu. Nagle ktoś uchyla drzwi. John Stearne, z przerzuconym przez ramię płaszczem i z bladym obliczem, pierwiej odchrząknawszy, pyta cicho:

– Rebecca?

Nie odpowiadam.

– Wysłano... wysłaliśmy jeźdźca do Colchesteru – informuje. – Ciebie zabieramy do karczmy White Hart i tam będziemy oczekiwać na pojawienie się członków milicji.

Karczma White Hart – John Edes. Żołądek fika mi koziołka, ale nie w znajomy miły sposób.

Spoglądam w dół na bose stopy w samych pończochach.

– Nie mam butów.

– Pojedziesz konno – ucina Stearne, lekceważąc kwestię obuwia.

Zdaje się, że cieszy go ma pozorna uległość, myślał pewnie, że rzucę mu się do wodnistych oczu jak rozwścieczony kot. Wkracza do środka i zaczyna pętać mi ręce, nucąc pod nosem dziarską balladę Okrągłogłowych. Z izby obok dobiega smutny niewieści śmiech. Zatem jest nas tu więcej. Stearne obcesowym ruchem wiąże mi pod brodą troczki peleryny, która nie dość, że za duża, to jeszcze cuchnie tytoniem. Moment później mój strażnik popycha mnie za drzwi, prosto na inną postać w czerni. Unoszę spojrzenie i patrzę na... macierz. Oczy ma przekrwione, głowę i ramiona odsłonięte i zgarbione; na mój widok szepce: „Becky...” z ulgą podszytą zwątpieniem, bo oto jestem tutaj, cała i zdrowa, jednakowoż... jestem tutaj. Myślę, że złapiemy się w objęcia, lecz ze spętanymi rękoma możemy co najwyżej wpaść na siebie niezdarnie i przelotnie, zanim Stearne i konstabl nas znowu nie rozdziela.

– Proszę, proszę – komentuje ze wschodków Helen Clarke.

Wygląda tak, jakby została pojmana w czasie snu, wciąż ma na sobie wymiętą suknię. Ze spętanymi rękoma może tylko się skrzywić, gdy jeden z członków milicji kładzie jej dłoń na karku.

Chcę ją zapytać, kiedy tu trafiła, lecz Stearne popycha mnie znowu, tym razem w stronę wschodków, i już po chwili wszystkie trzy znajdujemy się na dole w głównej izbie, gdzie jeszcze więcej mężczyzn siedzi przy kontuarze, co poniektórzy z nich palą gliniane fajki, każdy trzyma

na kolanach pistolet albo miecz – Hobday, Hockett, Edwards, Norman, Wright, nawet pastor Long. Zleciał się cały rój purytanów, zmęczonych po wydarzeniach nocy, ale też wyraźnie z siebie zadowolonych. O dziwo, nie ma wśród nich Johna Edesa ani – co jeszcze ciekawsze – Matthew Hopkinsa.

– Mają też Bess Clarke! – woła przez ramię Helen, kiedy prowadzą ją do drzwi. – Widziałam. To wszystko jej sprawka, wiecie? Wygadała się! – Wybuchła śmiechem, z którego przebija gorycz i pogarda. – Mówię wam, uduszę tę starą szmatę gołymi rękami!

– Dlaczego nie pozwolisz się wykazać tym dżentelmenom? – mamroce macierz, wiodąc szyderczym spojrzeniem po zebranych w izbie mężczyznach.

Co odważniejsi spoglądają na nią z nietajonym zainteresowaniem i poprawiają leżącą na kolanach broń, większość jednakowoż unika wzrokiem służebnic Szatana – czy to z poczucia winy, czy to pod wpływem przesądów. Było nie było, czarownica potrafi rzucić urok nawet na odległość, samymi oczyma.

Na zewnątrz panuje jasność i chłód. Niosący słony posmak wiatr uderza mnie w twarz mocno, jakby chcąc dać do zrozumienia, że świat stęsknił się za możliwością czynienia mi krzywdy, odkąd zajęli się tym mężczyźni. Konie już czekają, osiodłane, parskające, drobią w miejscu. Stearne bez ceregieli podrywa mnie w powietrze, po czym sam wskakuje na siodło. To wszystko wydaje mi się takie nierealne – koń pode mną, wiatr we włosach, podczas gdy w każdy inny dzień dopiero otwierałabym oczy i pozbywała się z nich śpiochów. Nad rozlewiskiem na tle zamglonego poranka unoszą się białe ptaki. Obserwuję je ponad ramieniem Stearne'a, kiedy kołują i zbijają się w stado, gdy on cmoka i rusza stępa w stronę Manningtree na czele naszego małego orszaku. Odległa wieża kościoła pod wezwaniem Świętej Marii i okoliczne kominy zdają się różowieć pod wpływem wilgoci i mrozu, można by pomyśleć, że pokrywa je warstwa zaprawionego sokiem lukru. Uświadamiam sobie, że kwiecień za pasem, długi i mokry miesiąc, w którym mnożą się króliki. Me dwudzieste urodziny wypadają za niecały tydzień od dziś.

Droga nie zajmuje wiele czasu. Kłębiące się nocą tłumy, zamiast się do tej pory rozproszyć, wciąż okupują ulice – czujne i zmierzwione od bliskości Szatana, który w każdej chwili może wypaść zza rogu i dać się pojmać w sieć jak motyl (z obietnicą nagrody dla pierwszego śmiałka, któremu uda się ta sztuka). Bardziej lub mniej przypadkowa zbieranina wypełnia po brzegi High Street i tłoczy się pod krzyżem targowym, choć słońce ledwie wstało. Kiedy pierwsze pary oczu nas wypatrzą, rozlegają się krzyki i pijackie wiwaty.

Robotnik portowy z wielkim siniakiem na prawym policzku odrywa się od grupki stojącej u wylotu South Street i zrównuje się z wierzchowcem Stearne'a.

– Mój brat – powiada – mój brat Joshua Turner zaginął na morzu... – Mówiąc, wyciąga rękę, aby złapać rąbek mej sukni. – Rzeknijcie, czy diabeł maczał palce w jego utonięciu. W imię Boga, gadajcie!

Przykłada do ust niesiony dzbanek i przechyła go do góry dnem, rozchlapując zalatującego kwasem cienkusa.

– Z drogi! – krzyczy nań Stearne i daje koniowi ostrogę, żeby przeszedł w kłusa, ale Turner nie odpuszcza, teraz już trzyma całą garść materiału. Wierzgam nogą, lecz nic to nie daje.

– Joshua Turner! – powtarza donośnie. – Mój brat! Miał się żenić w letnie przesilenie.

– Turner, dobrze słyszysz? – woła doń z siodła konstabla Beldam West jadąca z tyłu. – To była ma robota! – Macierz wybuchła szczekliwym śmiechem i tak jak sobie bez wątpienia zamierzyła, robotnik portowy daje mi spokój, za to okręca się na pięcie w jej stronę. – Ten, któremu służę, miał chrapkę na jego duszę, chłopcze. Wywołałam więc burzę i wezwałam morze, aby połknęło kryptę twego brata. Módl się, żeby pastor zdążył mu udzielić rozgrzeszenia wśród

błyskawic i gromów, bo w przeciwnym razie spłonie w piekle!

Z mnogich ust gęstniejącego tłumu wyrwa się gromkie sapnięcie, a George Turner z wyciem rzuca się na macierz, wyzywając ją od szatańskich kurew i chlapiąc cienkuszem na wszystkie strony. Gdy konstabl sięga po pistolet, widzę w oknach blade twarze tych mieszkańców, których z łóżek wyciągnął hałas i przeraźliwe wycie George'a Turnera.

– Spokój! – drze się Stearne nadaremno, w tym momencie bowiem wszyscy mają w głębokim poważaniu jego bogactwo i autorytet. – Spokój!

Na oścież otwiera się jedno z okien.

– Morderczyni! – rzuca wrzaskliwie żona piekarza, któż jednakowoż może wiedzieć, o którą z nas jej chodzi. Wykrzykuje jeszcze: – Czarownica! Sama się przyznała! – i tym podobne, aż wreszcie podpira się jakże adekwatnym cytatem z Księgi Wyjścia: – Nie pozwolisz żyć czarownicy!

Z głębi South Street nadciągają inni, szydzą i wytykają nas palcami, niektórzy przejeżdżają sobie palcem po szyi w wymownym geście podrzynania gardła, ale macierz tylko się śmieje i macha im, beztroska i niemal majestatyczna, przynajmniej dopóki mały Edward Wright nie schyli się po rozmokłą grudę łajna z rynsztoka i nie podbiegnie do wierzchowca konstabla, by rzucić nią prosto w Anne West, na co podnosi się radosna wrzawa. Koń staje dęba, po czym w wąskiej uliczce rozlega się suchy trzask – to konstabl wystrzelił z pistoletu prosto w rzadniejącą mgłę. W powietrze wzbija się obłok dymu, biały kamień krzyża targowego odbija pierwszy promień słońca, mnie zaś czyjeś ręce łapią bezceremonialnie od tyłu i ciągną do wnętrza karczmy White Hart.

Siedzimy rządkiem na ławie w górnej izbie karczmy, drżąc z zimna w różnych stadiach rozdiania: oprócz mnie jest tu Bess Clarke, którą sprowadzono jako pierwszą, Helen Clarke, Liz Godwin i wreszcie – Beldam West, dumna i najeżona, chociaż ze spętanymi rękoma, tak samo jak my wszystkie. Na zewnątrz gromadzi się tłum. Rozochocony, rozkrzyczany. Hopkins i Stearne konferują z konstablem, konstabl się upiera, że nad motłochem da się zapanować, dopóki nie nadciągną posiłki z Colchesteru.

Hopkins ma chmurną minę.

– Pod drzwiami wykłóca się połowa mieszkańców, a nam tutaj brakuje jeszcze dwu...

Wymieniamy spojrzenia.

– Jeszcze dwie. – Macierz wzdycha. – Pewnie przerwali czarną mszę w pałacu i aresztowali królową Marię.

Próbuję ją uciszyć. Zimne oczy Hopkinsa zwracają się w naszą stronę.

– Baronet – wtrąca Stearne, osuszając połyskującą górną wargę – baronet by tego nie pochwalił. Złazą się tutaj z całej okolicy... Co za zamęt... Kompletne bezhołowie...

Urywa i z jękiem desperacji wygląda przez okno. Jeśliby znany z upodobania do powiedzonek baronet miał opisać ich obecną sytuację, powiedziałby zapewne, że znaleźli się między młotem a kowadłem. Tymczasem żeby nie stracić jego poparcia, Stearne udaje, że panuje nad ludnością w większym stopniu aniżeli faktycznie, co stwarza ryzyko utraty tegoż poparcia, w razie gdy miejscowi uczynią coś, co baronetowi się nie spodoba, a czemu Stearne nie zdołałby zapobiec, nawet gdyby chciał. Cóż jednakowoż znaczy wypadnięcie z łask baroneta dla człowieka takiego jak on? Z wielkim, bogato wyposażonym domem, w którym znajduje się jedno z dwóch lusterek w całym Manningtree? Z pewnością nie równa się śmierci. Skądże, nic podobnego. A mimo to John Stearne poci się jak świnia.

Klamor na zewnątrz przybiera na sile, gdy do karczmy zbliża się niewielki oddział milicji prowadzący Anne Leech i Margaret Moone. Obie kobiety są obrzucane przekleństwami i gnijącymi produktami, zanim nareszcie dołączą do nas. Na wydatnym biuście Margaret Moone

spoczywa liść zgniłej sałaty. Ściągnięte w grymasie twarze obydwu wydają się bielsze aniżeli ściana w kontraście z ciemnymi chustami, którymi zdążyły zakryć sobie głowy.

– Witaj, mamó – rzuca Helen z westchnieniem.

Anne Leech potrzasa głową, mamrocąc: „O słodki Jezu... O córciu złota...”, podczas gdy my przesuwamy się na ławie, robiąc miejsce nowo przybyłym.

– Nie mogę mówić za resztę, ale ze mnie jest taka czarownica jak z ciebie czarodziej, panie – zwraca się nagle Liz Godwin do pleców Hopkinsa.

– Na miłość Boga – syczy do niej Anne Leech. – Daruj sobie i oszczędź nam kolejnych razów.

Następnie w izbie pojawia się Mary Parsley, Priscilla Briggs i Abigail Hobbs – każda od niedawna uważana za autorytet w dziedzinie rozpoznawania czarownic za pomocą nakłuć, każda z rękoma cnotliwie splecionymi na upstrzonym płamkami czerwieni fartuchu.

– Anne Leech i Margaret Moone obie mają znamiona – informuje Mary, kierując te słowa do Hopkinsa. – Z czego u pierwszej stwierdziłyśmy aż trzy w rejonach intymnych i nie są to skrofuły, panie, bo sama na nie cierpiąc, wiem dobrze, jak wyglądają – dodaje z powagą.

Hopkins chrząka i dziękuje pocziwym niewiastom za ich oddanie, nie omieszkując przy tym wyrazić wdzięczności także w imieniu Stwórcy. Wreszcie wychodzą, żeby zlec we własnych twardych, nieskazitelnych łózkach. Helen śmieje się cicho. Mnie boli głowa, kiszki grają mi marsza – nie jadłam nic ani nie piłam od minionego wieczora, a teraz chyba zbliża się południe.

Margaret Moone poprawia się na ławie i rzuca mi spojrzenie z ukosa.

– Co się dzieje? Gdzie ma Judith?

Szeptem odpowiadam, że Judith znajduje się pod wpływem uroku.

– Och, naprawdę? Co za dziwka... – Margaret garbi się i odchyła na oparcie, ze świstem wypuszczając powietrze z płuc. Zaraz się jednakowoż wzdryga, prostuje plecy i spanikowana naskakuje na mnie: – Bardzo żałuję, że mi to powiedziałaś.

Uznawszy to za impertynencję, tłumaczę, że powiedziałam tylko to, o co sama mnie zapytała, ona zaś zaczyna gorączkowo wyjaśniać:

– Teraz wyjdzie na to, że to ja rzuciłam na nią urok, bo jak inaczej mogłabym wiedzieć, co ją spotkało? Chyba że udam zdziwienie, kiedy mi powiedzą – zastanawia się na głos, wykręcając spętane w nadgarstkach ręce. – Ale udawanie mi nie wychodzi... Och, litości...

I tak dalej w ten deseń. Do tego twarz jej się trzęsie w najżałośniejszy sposób.

Macierz przewraca oczyma i stwierdza, że nie ma żadnego znaczenia, co która z nas zrobiła czy nie zrobiła, i dodaje, że nie możemy tracić głowy oraz powinniśmy uważać na to, co mówimy. W tym momencie, mając serdecznie dość rodzicielki myślącej, że pozjadała wszystkie rozumy, każę się jej zamknąć i zarzucam jej, że tylko pogorszyła położenie nas wszystkich, opowiadając o wywoływaniu diabelskiej burzy, i że motłoch by nas najchętniej powiesił na miejscu, jeśliby nie...

Właśnie się rozkręcam i przechodzę do tego, że nie ma wśród nas jednej, która by się nie bała o życie, kiedy Hopkins zniemacka rzuca pistolet na stół i krzyczy:

– Będzie tu w końcu cisza czy nie?

Milknę natychmiast. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby Matthew Hopkins stracił panowanie nad sobą. Jego smukłe ciało emanuje groźbą niczym bicz w rękach Boga. Nawet John Stearne popatruje podejrzliwie na swego kompana. Żadna z nas nie mówi ani słowa, ale z zewnątrz nadal dolatują hałasy. Z ogólnego harmideru wybijają się pojedyncze okrzyki i skargi: szarlatanstwo, papież, geniusze. Nie mogłoby być głośniejsze nawet podczas jarmarku ani pożaru obory.

Hopkins tymczasem nabiera powietrza do płuc, jakby miało mu to przydać sił, po czym

poprawia dublet i kapelusz.

– Wyjdę do nich, John – rzuca z dziwnym błyskiem w oku. – Gdy Pan uspokoił sztorm na jeziorze Genezaret, Jego uczniowie zlekli się bardzo i mówili jeden do drugiego: „Kim właściwie On jest, że nawet wichry i jezioro są Mu posłuszne?”[59]. Niech one... – pokazuje nas gestem – ...niech one będą cicho.

Stearne wyciąga rękę, by złapać Hopkinsa, zapytać go, czy to na pewno roztropne, ale Łowca Czarownic zdążył już wyjść.

Na widok postaci w czerni wyłaniającej się z karczmy zalega cisza. Cisza napięta, wyteżona, obejmująca kolejne szeregi z co najmniej tuzina. Ci, którzy przybyli z okolicznych siół, wykręcają sobie szyje, by lepiej widzieć tego rycerza Pana Boga. Ciekawi mnie, czy jest w ich oczach taki, jakiego się spodziewali. Raczej młodszy, w wieku dwudziestu pięciu wiosen. Z chudą zapadniętą piersią, jak to szkolarz, z czarnymi rozkocudanymi włosami opadającymi mu za ramiona. Patykowata sztywna sylwetka w wystudiowanej wdzięcznej pozie zdaje się sugerować niemal pajęczą czujność. Hopkins sprawia wrażenie kogoś, komu serce pękło co najmniej o jeden raz za dużo. Sprawia wrażenie, jakby spowite w czarne aksamity, w absolutnej ciszy pękało mu w tej właśnie chwili. Oto Matthew Hopkins, Naczelny Łowca Czarownic, z twardą duszą wojownika i wychudzoną twarzą świętego.

Zuchwała niewiasta stojąca na przedzie sięga ponad splecionymi ramionami członków milicji, którzy strzegą wejścia do karczmy, i palcami skubie koronkę przy rękawie Hopkinsa.

– Powiadają – przełyka ciężko, lecz głos nadal jej drży – że więdźmy urządziły mszę w lesie...

Hopkins odwraca się wolnym ruchem, aby na nią spojrzeć, ujmuje jej dłoń w swą na podobieństwo Chrystusa.

– Nie lękajcie się, gospodyni – mówi. – To kres ich szarłataństwa.

Gdy wypowiada te słowa, tama pęka, po czym następuje zalew skarg, insynuacji, wątpliwości i najzwyklejszych obaw. Jakaś kobieta wyraża żal, że nie ostał się ani jeden żołnierz, że nie ma komu bronić Esseksu.

– Ano – potakuje jej sąsiad. – A kiedy Londyn wpadnie w ręce króla...

– Nie chciałabyś tu widzieć żołnierzy, kochaniutka, wierz mi – wtrąca zgryźliwie okrętowy cieśla.

Inny agitator utrzymuje, że papiści przybijają do portu w Harwich każdej nocy, słani przez królową Marię. Zarzeka się, że widział ich na własne oczy.

– Bracia... – zaczyna Hopkins, lecz jego słowa giną w zgiełku.

Ludzie gardłują, miażdżąc się wzajemnie, jedna wielka masa szmat, krost i strachu skarży się a to na pleśniejące zboże, a to na skołowaciałe bydło, a to na swe życie wypaczone z ram przez wojnę i głód.

– Bracia i siostry... – próbuje ponownie Hopkins, lecz dopada go gwałtowny atak kaszlu.

Czuje smak krwi. Przyciska chusteczkę do ust, a gdy ją odsuwa, len jest cały upstrzony szkarłatnymi kropkami. Widzi je wyraźnie. Szkarłatne kropki. Zwinnie zgniata materię i zamyka ją w pięści, ukrywa. Nie dość zwinnie jednakowoż. Ile osób zobaczyło to, co on? Wystarczająco wiele, abym potem o tym usłyszała. Ci stojący najbliżej, w tym kobieta, która dotknęła jego rękawa, milkną wstrząśnięci. Na krew Baranka, zwiędnięte jabłka... Przełykając krwistą ślinę, ociera wargi mankietem. Wreszcie odnajduje znów głos, zachrypnięty i załzawiony.

– Bracia i siostry, sąsiedzi... – odwołuje się do nich ponownie. – Nie mam wątpliwości, że prawi z was ludzie. Jak to mówią, gdzie Pan Bóg kościół buduje, tam Szatan kaplicę stawia. Nazywam się Matthew Hopkins...

Przez tłum przechodzi dreszcz, przebiega pomruk, narasta zrozumienie tego nowego,

złowrogiego określenia: Łowca Czarownic, Łowca Czarownic. Matthew Hopkins, Łowca Czarownic.

Odnalazłszy znów w sobie siły, przybrawszy oblicze w skromny uśmiech, wypowiada następane zdania przez kielzno czerwonej flegmy zalewającej mu gardło.

– Łowca Czarownic, tak niektórzy mnie nazywają. Ale mym prawem jest wyłącznie Słowo Boże, kieruję się tylko tym, co Pan zechciał przede mną ujawnić. Minionej nocy pojmałiśmy siedem niewiast – ciągnie, gestykulując zamasyście w stronę przyczaponej za nim karczmy.

Zamasyście i nieroztropnie, ponieważ motłoch raz jeszcze doznaje pobudzenia. Teraz rozlegają się okrzyki: „Śmierć czarownicom!”, ku karczmi leci kamień, uderza w białoną facjatę, podnosi się histeryczne: „Szatan nie zagrzeje tu miejsca!”. Ktoś miota kolejny pocisk. Tłum napiera, członkowie milicji starają się utrzymać pozycje, spleceni klną i plują; dobry Bóg istotnie powstał, jak wrzące mleko, które grozi wykipieniem w każdej chwili...

– Dobrzy ludzie! – woła zdesperowany już Hopkins. – Nie lękajcie się, bo Pan udzielił mocy swemu ludowi, Pan błogosławi swój lud, darząc go pokojem[60]. Niewiasty te zostaną osądzone zgodnie z prawem naszej ziemi. Bo czyż nie gardzą nami jako pożądanymi buntownikami, mimo iż w gruncie rzeczy boimy się Boga? Bo czyż nie nazywają nas miłośnikami anarchii? Twierdzą, że stanowimy kompanię szewców i rzeźników, i sklepikarzy, którzy potrafią się tylko chędożyć i siać zamęt! Ale to nie tak! Nasz nowy i uświęcony naród będzie...

Podjęta przez Hopkinsa próba zapanowania nad motłochem spełza na niczym, a on sam musi się salwować ucieczką za drzwi karczmy.

– I nic dziwnego, że Księżę Ciemności jął czynić swe podłe sztuczki tutaj, gdzie nie ostał się żaden święty, żaden krucyfiks, który mógłby go odstraszyć! – wrzeszczy jakaś nieszczęsna nędzarka na tyłach tej ludzkiej ciżby, a przywołane przez nią papistowskie sentymenty będące sednem reformy zaprowadzonej przez arcybiskupa Williama Lauda[61] powodują jeszcze głośniejsze wycie, jeszcze zacieklesze złorzeczenia.

– Precz z biskupami!

– Precz z rzeźbami i obrazami!

Słowa przeistaczają się w rękoczyn, w ruch idą nogi i zanim się ktokolwiek obejrzy, trwa kotłowanina, z której tylko gospodynie uchodzą we wszystkich kierunkach, gęgając jak gęsi, a jeśli nie, zostają z garściami włosów swych siostr w dłoniach i tłuką drobnymi piąstkami w obleczone pelerynami plecy tych, którzy akurat stoją obok. Z mroczkami przed oczyma, warcząc przez zaciśnięte zęby, na wpół przywiedzione do buntu, nie zauważyłyby samego diabła, jeśliby przeszedł obok nich, takie są zajęte. Jakiś mężczyzna z Bergholtu, wielkolud niemieszczący się w obszarpanym dublecie, przyniósł ze sobą młot kowalski. Unosi go teraz ku niezapominajkowemu niebu i opuszcza oburącz na porośnięty mchem stary krzyż targowy (który stoi w tym miejscu, jak twierdzą niektórzy, od czasów Edwarda Wyznawcy).

Możemy się tylko przysłuchiwać odgłosom burdy rozgrywającej się w dole. Nie spuszcza my oka ze Stearne'a, który cały czas wygląda przez okno, i staramy się odczytać drgnienia mięśni na jego twarzy – jak żeglarz odczytuje ledwie zauważalne wychylenia igły kompasu – oceniając w ten sposób, jakie jest prawdopodobieństwo, że zostaniemy rozdarte żywcem na sztuki w słonecznym blasku tego marcowego popołudnia, podczas gdy młode ptaszki będą skutecznie śmiały swe trele pod strzechą. Wszystko się rozpada, ot tak. Oto przyszło Jego królestwo.

[59] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Marka 4,41.

[60] Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 29,11–12.

[61] William Laud (1573–1645) – anglikański duchowny, od 1633 r. arcybiskup Canterbury, zwolennik episkopalizmu, autor liturgicznej reformy postrzeganej przez purytanów jako powrót do papizmu.

Podejrzane

Dzień mija powoli. Tłum się przersedza i traci parę. Część ludzi, lekko podpita, rusza na przełaj przez mokradła, kierując się do swych sadyb. Inni udają się do gospody Red Lion, by posilić się pasztecikami. Co poniektórzy towarzyszą najbardziej wyrzwanym w drodze na dziedziniec Świętej Marii, gdzie kamienne anioły tracą lica. Zanim nadjedzie wóz, który ma nas zabrać do Colchesteru, wstyd, wyczerpanie i przelotna wiosenna ulewa, zawiązawszy spisek, oczyszczają ulice z motłochu, dzięki czemu John Stearne może nas bezpiecznie wyprowadzić w zapadający mrok. W miejscu krzyża targowego ostał się tylko postument, a błotnista ziemia wokół usiana jest odpryskami białawego kamienia. Stopy mamy nadal bose, dłonie spętane, odzienie brudne, a miny skwaśniałe pod czepkami dzielnie trzymającymi się naszych głów. Wszystkie nas trapi głód, ale tylko Liz Godwin niemądrze daje temu przejaw, gdy jeden z członków milicji, złapawszy ją pod pachy, wsadza ją na wóz. Jękliwie żali się Hopkinsowi, że nie miałyśmy nic w ustach przez cały dzień. Jesteś głodna? I co z tego, prychem w myślach. Cała Anglia jest głodna.

Hopkins oczywiście ignoruje Liz. Właściwie wydaje się ignorować wszystko. Zapatrzony w pustkę sinoniebieskiego nieba siedzi w siodle prosto, jakby kij połknął, bez śladu euforii na twarzy, kiedy ruszamy. Zastanawiam się, czy nie czuje wyrzutów sumienia, ponieważ musimy przedstawiać sobą żaloszny widok – Margaret Moone, Anne Leech, Bess Clarke, macierz i ja, wszystkie mniej lub bardziej rozchełstane, ogarnięte niemocą i słabowite. Ale nie, nie w tym rzecz. Hopkins nie ma powodów do radości, gdyż to zaledwie początek, nie koniec. Sprawy nie rozwiąże ani spętanie nam rąk, ani zamknięcie naszych ciał w celi. Nie. Wyszło szydło z worka, jak to się mówi. Ba, nie tylko wyszło z worka, ale kłuje teraz w rzyć. Ciekawa jestem, czy Hopkins czuje się głupio przez to, że umiera. Czyż każde przedsięwzięcie nie zyskuje na trywialności w obliczu dowodu śmiertelności równie oczywistego jak własna krew na chusteczce przytkniętej do ust? Wszystkie ją widziałyśmy, wetkniętą nie całkiem do kieszeni, gdy dywagował ze Stearne'em i konstabłem. Wszystkie go słyszałyśmy, kiedy kaszał w dole, pod otwartym oknem. Krew. Miejsce krwi jest w ciele. Co do tego zgadzają się wszyscy chrześcijanie, czy są papistami, czy purytanami. O ile mi wiadomo.

Wsiadam na wóz ostatnia, obserwowana przez Hopkinsa.

– Czeka cię wiele pracy, panie – mówię.

– Boże, daj mi siłę – odpowiada cicho i zawraca konia.

Gdy nakryty brezentem brek opuszcza Manningtree, wzorem Helen opieram brodę na złączonych rękach i spoglądam na malejące zabudowania skąpane w ostatnich tego dnia promieniach słońca, aż w końcu dachy zamieniają się w miedziane kropki w zakolu rzeki Stour.

– Co za bałagan. – Helen wzdycha, drapiąc się po brodzie. Czując na sobie kose spojrzenie jej czarnych oczu, nie odrywam wzroku od horyzontu, nie jestem bowiem w nastroju do rozmowy. To jednakowoż nie ma dla niej znaczenia. – Już tęsknisz za swym ukochanym, co?

– Słucham? Nie – zaprzeczam nieszczerze.

Potrafię myśleć tylko o tym, że John Edes się nie pojawił. I o tym, że gdyśmy zlegli razem, powiedziałam mu, że go kocham, a on wstał i poszedł sobie. Zostawił mnie na pastwę Hopkinsa i Stearne'a. Zostawił mnie na pewną śmierć, musiał o tym wiedzieć. Odwracam się lekko, by zerknąć na Helen. Jest ode mnie kilka wiosen starsza, bardziej bywała – na tyle, na ile można być bardziej bywałą w Manningtree. Mogłabym ją zapytać, co oznacza jego zachowanie,

czy według niej wróci. Ale nie, pytam tylko o to, czy ma jakieś wieści od swego męża Thomasa, który walczy po stronie parlamentu. W moim pytaniu ukrywa się inne: „Przekażesz mu wiadomość? I Thomas wróci, nie pozwoli śmierci nas dopaść?”.

– Ostatnio przesłał mi słowo tuż przed Bożym Narodzeniem – odpowiada Helen z ziewnięciem. – Stacjonował wtedy w Taunton.

– Gdzie to jest?

– Skąd, u licha, miałabym wiedzieć? Pewnie gdzieś na zachodzie.

Pytam, czy nie myślała o tym, by towarzyszyć mu w wojsku, jak to robią inne żony. Helen tylko się krzywi pogardliwie.

– Co? Miałabym się wlec w ogonie z ladacznicami i łachmaniarzami? W życiu. Poza tym nie słyszałaś, jak ludzie króla się obchodzą z żonami zwolenników parlamentu? – Nieoczekiwanie jej spojrzenie się wyostrza. – Rozcinają im nozdrza i policzki sztyletami, po czym mówią: „Wyświadczam w ten sposób przysługę twemu mężowi, uwalniając go z jarzma pożądania”.

Gdy Helen wybucha śmiechem, radosnym i okrutnym, myślę sobie w duchu: co za strata, że urodziła się dziewczyną i jako taka nie może wziąć udziału w wojnie ani folgować swemu radosnemu okrucieństwu jak pierwszy lepszy mężczyzna. Pomimo tematu wydaje się perwersyjnie niez mieszana, tylko spod wystrzępionego czepka wymknęło się jej kilka kosmyków czarnych włosów. Pulchna, ładniutka Helen.

– Wolalabym dać się pociąć, aniżeli zostać powieszoną – odpowiadam i rzucam znaczące spojrzenie w głąb wozu, gdzie starsze kobiety siedzą wprost na słomie, opierając się wzajemnie o siebie.

Miarowe kołysanie wprawiło je w sen – wszystkie z wyjątkiem macierzy, która siedzi sztywno wyprostowana w najdalszym kącie, tuż za woźnicą, i nie przestaje poruszać wargami.

– Nikt nikogo nie powiesi – mruczy Helen, unosząc oczy ku wieczornemu niebu barwy indygo. – Nikt nie powiesi mnie...

– Irlandki wieszają – zauważa ponuro Beldam West. Obydwie, Helen i ja, odwracamy ku niej głowy, ona zaś dodaje: – Te wlekące się w ogonie za wojskiem, za swymi mężami walczącymi po stronie króla. Okrągłogłowi zadzierzają im stryczki na szyi bez zastanowienia.

– To papistki. – Helen zbywa macierz, która się uśmiecha.

– A ty, moja droga, jesteś czarownicą. Na jedno wychodzi.

Milkniemy i odtąd tylko się przysłuchujemy skrzypieniu kół i kłaskaniu błota. Kiedy ostatecznie niebo się przejaśnia, a my skręcamy na północ w stronę Colchesteru, zachodzące słońce maluje na burcie wozu cień Hopkinsa, który jedzie wierzchem równoległe z nami – cień wyraźny tak, że nie brak na nim nawet gźów latających wokół pyska wierzchowca. Bess Clarke mruczy coś do siebie przez niespokojny sen.

O zmroku nasz orszak staje pod Dedhamem, gdzie dostajemy wodę i coś do jedzenia – w moim przypadku to pierwszy posiłek od ponad doby. Jest parno, jak zwykle o tej porze roku; w gasnącym blasku dnia trawa wydaje się szarozielona, zza drzew już wyziera rożek księżycy. Na wozie panuje duchota, przez co robimy się zgryźliwe – zresztą nie tylko przez to, chodzi też o fakt naszego uwięzienia i ciężkie przepocone suknie. Zaczyna Liz Godwin, która nad ostatnimi okruciami zastanawia się głośno, czyby nie powinna uciec, udając, że musi załatwić potrzebę, i przy tej okazji rzucając się biegiem na przełaj do lasu, gdzie pewnie udałoby się jej przeciąć więzy „ostrym kamieniem”. Na to Anne Leech prychna, że Liz naczytała się za dużo pamfletów, z kolei Margaret Moone otwarcie powątpiewa, czy Liz w ogóle umie czytać. Liz z godnością utrzymuje, że umie. Macierz stwierdza, że chętnie zobaczy, jak Liz wcieliła w życie swój plan – „naprawdę powinnaś spróbować” – bo w tej sytuacji przyda się nam wszystkim odrobina

śmiechu. Liz odparowuje, że stałyśmy się okrutne, a sfrustrowana Helen uświadamia ją, że „cały świat taki jest”. Następnie Liz Godwin usiłuje zamknąć nam usta, mówiąc, że lepiej byśmy już ścisnęły, skoro popadłyśmy w tarapaty właśnie przez to, że niektóre z nas gadają – i prowokują gadanie o sobie – zdecydowanie za dużo i za często jak na dobre chrześcijanki.

– Do diabła! – przeklina macierz. – I po co tak owijać w bawełnę? Mów, co ci leży na sercu. – Poprawia na sobie suknię i wypina prześmiewczo biust. – Liz i jej anse. Anse i preferanse... Gdzie twój mężulek, hm? Gdzie twój ukochany Thomas? Nadciąga od strony Manningtree z myślą, by ratować nas wszystkie jak nie przymierzając, Bevis z Hamptonu[62]?

W tym momencie Liz wybuchła płaczem, a my tylko patrzymy na siebie oczyma wielkimi jak spodki, gdyż żadna z nas nie jest w stanie wykrzesać z siebie energii, aby ją pocieszyć i udobruchać.

Mija parę minut i znów panuje jaki taki spokój, kiedy Helen nieoczekiwanie dopuszcza się kolejnej prowokacji.

– Właściwie – rzuca, opierając się plecami o drewnianą burtę wozu i szczerząc wszystkie zęby w uśmiechu samozadowolenia – winna wszystkiemu jest Bess Clarke. Skoro już o tym mowa.

Na dźwięk własnego imienia staruszka, hen w głębi wyblakłego umysłu, rozciąga wargi w nieobecny uśmiech.

– Powiedziałam mu, że obejrzymy łódki jutro.

Poirytowana Helen wyrzuca w górę spętane ręce.

– Bożeż! I do tego jeszcze brak jej piątej klepki!

Wtedy macierz nazywa Helen plugawą czeczotą i każe jej się zamknąć, Liz Godwin dalej ryczy ile sił w płucach, a Margaret Moone sykiem domaga się spokoju, pytając, co dobrego przyjdzie nam z kłótni.

– Słusznie prawi – popiera ją Hopkins, który niezauważenie podjechał na tyły wozu i uchyliwszy urękawiczoną dłońią płaty brezentu, od chwili przygląda się słownej utarczce. Przy ustach trzyma chusteczkę, ale czy z powodu kaszlu, czy ohydnej woni, jaką roztaczają nasze ciała i stroje, tego nie sposób stwierdzić.

Jak na zawołanie milkniemy, a on dalej na nas patrzy, jakbyśmy były okazami przyszpilonymi do sukna. Gdy odsłania twarz, wargi ma wygięte w tym swoim rozwścieczającym uśmiechu.

– Może byście zużyły energię, która ewidentnie was rozpiera, na modlitwę? – sugeruje drwiącym tonem. – Proście Boga o zbawienie waszych dusz, zamiast... – Strzela oczyma w stronę Liz Godwin. – Zamiast knuć, jak by się tu wybawić z opresji w efekcie niewydarzonych pomysłów.

Koń pod nim parska i kręci ogonem, my zaś wszystkie wbijamy spojrzenia w swe podolki niczym dzieci przyłapanie na kłamstwie.

– Nie mówiłam poważnie, panie – odzywa się cicho Liz, podciągając kolana pod brodę. – To była tylko próżna gadka.

– Miło mi to słyszeć – odpiera Hopkins, po czym zapewnia nas, że choć cierpienie na tym łożu padole przybliży człowieka do Stwórcy, on sam nie czerpałby najmniejszej przyjemności z przyglądania się, jak jesteśmy biczowane.

Cofa rękę i oddala się statecznie, już jako migotliwy cień, aby zawołać członków milicji i woźnicę. Siedzimy w milczeniu, gdy zaprzęgają konie i gdy ruszamy w dalszą drogę, za sobą zostawiając słońce schowane już niemal całkiem za horyzont.

– Oni truchleją – mamroce Bess Clarke, pocierając nos gruzłowatym paluchem – ogarniają ich męki i bóle, wiją się z bólu jak ta, która rodzi; jeden na drugiego patrzy

z osłupieniem, oblicza ich są w płomieniach[63].

Liz Godwin natychmiast zauważa, że to werset Księgi Izajasza, co chyba – przynajmniej ma taką nadzieję – rozwiewa wszelkie wątpliwości na temat jej umiejętności czytania.

[62] Bevis z Hamptonu (ang. *Bevis of Hampton*) – tytułowy bohater średniowiecznego angielskiego romansu opowiadającego przygody tej legendarnej postaci, która do wschodnich Słowian trafiła prawdopodobnie za serbskim pośrednictwem (w języku rosyjskim tytuł brzmi: *Повесть о Бове-королевиче*, po polsku natomiast: *Opowieść o królewiczu Bowie*).

[63] Biblia Tysiąclecia, Księga Izajasza 13,8.

Colchester

Colchester da się wcześniej wyczuć, aniżeli zobaczyć. Smród rynsztoka, duszący smog, piekielny zapach prochu i drapiąca w gardło woń skotłowanego czarnoziemiu – mieszanina tych zapachów unosi się w wilgotnym wieczornym powietrzu. Jako że nigdy wcześniej nie byłam w mieście, robię palcami szparę w brezencie i wyglądam na zewnątrz. Wóz jedzie po drodze przecinającej otwarty, skąpo porośnięty teren upstrzony głębokimi okopami, wysokimi wałami i ogrodzeniami ze spiczasto zakończonych sztchet, które na tle ciemniejszego nieba wydają się zębiskami rybożercy o wąskim pysku. Helen kręci się obok mnie i też wygląda. Choć raz – Bogu niech będą dzięki – niemieje. To, co widzimy, nazywa się umocnieniami – czytałam o nich, ale nigdy żadnych nie widziałam, i teraz myślę sobie, że nawet Jonasz w trzewiach wieloryba nie oglądał straszniejszego obrazu.

Chyba docieramy do bram, bo rozlega się żądanie dokumentów wyrażone służbistym głosem niedożywnego młodzika, który pilnuje wjazdu w imieniu... właśnie, kogo? Parlamentu czy króla? Wzdrygamy się i opatulamy ciaśniej chustami, jak każda umie najlepiej, kiedy strażnik odciąga brezent, żeby sprawdzić ludzki ładunek. W blasku uniesionej latarni sztormowej jego twarz jawi się nakrapiana jak indycze jajo.

– No, no... – Śmieje się, wypatrując sobie oczy za naszymi bladymi kształtami. – Mało je widać, ale czuć, że ho, ho!

Chociaż znaczna część z nas w ciągu ostatniej doby leżała rozdzielana na wznak w pozycji orła, poddając się na poły obcym rękóm uzbrojonym w igły, dopiero teraz czujemy prawdziwe upokorzenie: kiedy ten nieznajomy się na nas gapi, liczy, ile nas jest, i komentuje, jak bardzo woniejemy.

– Choć się zatai nienawiść podstępnie, to złość się wyda na zgromadzeniu[64]. – Z wysokości końskiego grzbietu Hopkins rzuca przysłowie ze śmiertelną powagą, za co szczerze go nienawidzę.

– Ano, będzie, jako mówicie, panie – potakuje jowialnie strażnik. Hopkins mówi jeszcze jakies inne, krótkie, oficjalne rzeczy, po czym strażnik woła: – Siódemka na zamek!

Słyszę zgrzyt otwieranej bramy. Najwyraźniej i tutaj sława poprzedza Łowcę Czarownic. Członkowie milicji muszą jechać przodem, aby torować mu drogę przez ciżbę rojącą się na głównej ulicy, gdzie schronienia szukają uciekinierzy z wiosek Esseksu – po tym jak stracili domy w wyniku podpalenia czy też przegnał ich głód albo stanęli oko w oko z jakimś innym nieszczęściem – unoszący twarze i ręce ku bogobojnemu mężowi odzianemu w nieskazitelny czarny aksamit i pracemu teraz przez ich ciała niczym przez ustępujące morze. Chłonę widoki całą sobą, muszę się napatrzeć na miasto. Kaleki snują się wzdłuż rynsztoka z żebraczymi miseczkami w dłoniach i z zawieszonymi na szyi tabliczkami: „Litości, umieram z głodu, niech Bóg błogosławi”. Inni, niewiele się od nich różniący, przed karczmami i zborami głoszą kazania grupkom słuchaczy podpierających ściany łuszczące się od obwieszczeń zapowiadających szczucie niedźwiedzia czy wychwalających zalety uryzolizy. Włóczęga trzyma na lince zawieszoną, na wpół łysą małpkę, która tańczy do zawodzących dźwięków piszczałki. Napawam oczy, równocześnie starając się wstrzymywać oddech. Me nozdrza atakuje przenikliwa octowa woń końskiego potu, gryzący zapach dymu z rozgrzanych żelaznych palenisk, szczyn, piwa i chorób, konsumowanych śledzi i gnijących ran. Kiedy wóz eskortowany przez żołnierzy mija ulicznego kaznodzieję, ów krzyczy:

– Zapłata za grzech jest śmierć![65]

Po brezentowej burcie spływa chluśnięta z otwartego okna zawartość czyjegoś nocnika.

Kobieta w dybach, z siwymi włosami sztywnymi od zaschniętej krwi. Miasto oznacza głód, ale też przyjemności. Widzę inne kobiety, kobiety, które biorę za ladacznice, bo noszą suknie z niegdyś jaskrawej tafty o wyciętych nisko dekoltach i włosy ułożone w wysokie koafiury z mnóstwem loczków, a na policzkach koła z różu. Niektóre wydają się wręcz śliczne, wsparte o framugi, objęte ramieniem mężczyzny. Nachodzi mnie myśl, że choć ich życie przepelnia grzech, wcale nie ponoszą kary – w przeciwieństwie do mnie. Chciałabym zamienić się z nimi na miejsca, mimo że samo to jest grzechem.

Wtem wszystko to znika. Pomiędzy mną a światem, który będzie dalej grzeszył, jak przypuszczam, bo grzeszył też wcześniej, zanim się o tym dowiedziałam, opada ciężka żelazna krata.

Wóz przeciska się przez mostek nad cuchnącą fosą i wjeżdża w paszczę kolejnej bramy, tym razem zamkowej. Muszę się wychylić, żeby zobaczyć krańce wysokaśnych kamiennych murów. Nigdy nie widziałam niczego wyższego, ich blanki zdają się zahaczać o brzuchy chmur, a latające w górze kruki sprawiają wrażenie kropek krążących hen na niebie. Wsiadamy w jakimś przedsionku, gdzie Hopkins nadzoruje zmianę naszych sznurowych pęt na kajdany. Z początku to wielka ulga móc znowu poruszyć ramionami i dłońmi, lecz bardzo szybko żelazny łańcuch zaczyna mi niemiłosiernie ciążyć, przyginając mnie do ziemi, jakbym niosła na barana wyjątkowo tłuste dziecko. Idziemy gęsiego krętymi korytarzami – potykające się dworki w łachmanach – a wokół otacza nas ten charakterystyczny męski zapach, mieszanina spalonego prochu i wyprawionej skóry, gdyż jak się okazuje, wyższe piętra zamku okupuje garnizon żołnierzy walczących po stronie parlamentu.

Docieramy do odnogi, przy której mieszczą się rządkiem cele. Więźniowie znają ciężki krok dozorczy jak niegrzeczne dzieci krok rodzonej matki. Gdy posuwa się wzdłuż lochów, powstają kolejno i dają znać o swej niedoli. Słychać krzyki, brzęk kajdan, szlochy, szczery śmiech z głębi trzewi – wszystko to zlane w jeden przeciągły lament, wyraz potrzeby i cierpienia. Odór tutaj jest porażający. Cuchną resztki pożywienia, cuchnie szlam i tocząca wszystko pleśń. Smród przywodzi mi na myśl Biblię, a raczej to, co w Biblii napisano o piekle, i myślę sobie, że nie o to chodziło Panu Bogu, kiedy ustalał, jak to będzie wyglądało – Stwórca z pewnością nie sądził, że człowiek wybierze najbardziej zapadające w pamięć fragmenty, najsmakowitsze opisy, po czym traktując je jak instrukcję, stworzy na ziemi mnóstwo miniaturowych piekieł nakrytych dachem ze strzechy i z łupku, by później objąć nad nimi panowanie i zamykać w nich innych ludzi. Ale z drugiej strony Bóg to Bóg, musiał więc doskonale zdawać sobie sprawę z tego, jak zachowa się człowiek, i albo miał to gdzieś, albo była to część Jego planu.

Więzień zajmujący ostatnią celę wyróżnia się wśród reszty milczeniem. Idąc na szarym końcu naszego smutnego pochodu, zaglądam przez kraty do środka i widzę wychudzonego mężczyznę, który leży na wąskiej pryczy. Na pierwszy rzut oka rozpoznaję w nim Kawalera, czyli jednego z żołnierzy króla, i zastanawiam się, jakim cudem został pojmany tu, w mieście opowiadającym się po stronie parlamentu. Areszt musiał nastąpić niedawno, mężczyzna wciąż ma na sobie własne ubranie: wysoki kapelusz i płaszcz z granatowego aksamitu, rozdarty na ramieniu, ale ze srebrzystą koronką przy mankietach, którego używa jak koca do nakrywania sobie nóg. Tłuste włosy ma rozpuszczone. Przechwyciwszy me spojrzenie zza krat, przechyla głowę i uśmiecha się lekko.

– Och – mówi głosem przypominającym kocie mruczenie. – Słyszałem, że byłyście bardzo niegrzeczne.

[64] Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 26,26.

[65] Biblia Tysiąclecia, List do Rzymian 6,23.

Lochy

Zamykają nas wszystkie w dwu wilgotnych ślepych izbach w lochach zamku. Przy czym „ślepa izba” nie oznacza tutaj pomieszczenia, w którym wysoko znajduje się szczelina wpuszczająca do środka kilka promieni porannego słońca czy parę nut dodającego otuchy słodkiego ptasiego śpiewu; nie chodzi też o odciętą kratami przestrzeń, w której można by doświadczać dotyku ożywczych podmuchów wiatru i plusku wiosennych deszczy; nie mówimy tym bardziej o nijakiej komnacie z widokiem na goły dziedziniec, gdzie spomiędzy płyt ku słońcu unoszą wiotkie główki stokrotki będące alegorią wątlej nadziei wbrew przeciwnościom losu. Ślepa izba znaczy dokładnie to i nic więcej: pozbawiona całkowicie okien. Każda mierzy jakieś dwadzieścia jardów na dwadzieścia i ma podłogę z nieociosanych desek wysypaną nie tak znów świeżą słomą. W dwóch z ośmiu kątów stoi po wiadrze na nieczystości. Żeby cokolwiek widzieć, musimy palić świece także za dnia, a za jeden łojowy ogarek dozorczy wołają aż dwa pensy – o tyle przyrasta każdorazowo nasz dług, skrzętnie wpisywany do dziennika więziennego i niewątpliwie wymagany później przy uwolnieniu. Czy też – jeśli dojdzie do egzekucji – przy oddaniu zwłok rodzinie, o ile jakaś się do nich przyzna.

Nie sposób określić, która może być godzina, chyba że kierując się przenoszonymi przez mury zamkowe odgłosami świadczącymi, że gdzieś ktoś wiedzie normalne życie. W wiecznym mroku nasze ciała zatracają unikalny charakter, tak że mam wrażenie, iż Rebecca przeistacza się w Helen, ta w Anne, ostatnia w Bess, a ta z kolei w Margaret – przy czym gubią się siwe włosy i potargane czepki, kształt łydki i ostrość obojczyka wystającego z przekrzywionego dekoltu. Śpimy na kupie, podrygując, jakbyśmy już dyndały na szubienicy. Macierz milczy, okrutnie przywrócona trzeźwości. Dozorca zjawia się raz, pewnie o poranku, by opróżnić cuchnące wiadro z nieczystościami, po czym wraca ponownie w późniejszym nieokreślonym czasie z czerstwym chlebem i wodą. Dzięki rytmowi jego wizyt obliczamy długość naszej niewoli. W pierwszym tygodniu marna więzienna strawa przyprawia nas o skręt kiszek, przez co obie izby przesiąkają smrodem rozwolnienia i robaków. Nawet zwierzęta pędzą godniejszy żywot. Dostają skrawki mięsa, kości do gryzienia. Po trzech dniach me zęby tęsknią za czymś, w czym mogłyby się zatopić.

Dozorca jest mężczyzną o lśniącej łysinie i długich fantazyjnych wąsach. Nazywa się Edmund Ferriter i dał się poznać jako ten, co umie wyciągnąć ze swych podopiecznych praktycznie wszystko, a to za sprawą niemal rozczulającej werwy, aliści nas, czarownic z Manningtree, się boi. Przynajmniej na początku. Z górnych pięter w dół po rozchwierutanych wschodkach kuśtyka szybko, na ile pozwalają mu rachityczne nogi (mym zdaniem spadek po dziecięcej krzywicy), żeby wytargać wiadro z nieczystościami albo zostawić posiłek, a przez cały ten czas porusza drżącymi wargami, mamrocąc Ojcze nasz, jakby to był talizman przeciwko naszej podziemnej mocy. Ale jak to bywa w przypadku zwierzęcia – powiedzmy sroki, która oswaja się z obecnością śpiącego psa – pewność siebie dozorczy wzrasta, aż Edmund nie śpieszy się z odejściem, rzuca nam ciekawskie spojrzenia, ba, pyta, czy możemy mu pokazać jakieś czary, jakieś sztuczki (a jeśli chodzi o Helen, kawałek więcej jej uroczych nóżek). Helen ulega i z figlarnym uśmieszkiem odsłania fragment brudnej łydki. Wkrótce z jej rąk spadają kajdany. I z rąk jej matki także – w zamian za parę przychylnych spojrzeń, za kilka dotknięć tych długich czarnych wąsów.

Mija tydzień, dalsze trzy dni i kolejne cztery, razem dwa tygodnie, aż przyjęty przez nas

system staje się zawodny, głównie dlatego, że dozorca odwiedza nas częściej, by robić maślane oczy do Helen, a także z tego powodu, że nie mając nic innego, o co mogłybyśmy się kłócić, wyrażamy każda odmienne zdanie na temat tego, który to dzień roku – i spór gotowy. Macierz się upiera, że co najwyżej jest majówka, podczas gdy Margaret Moone twierdzi, że bliżej do przesilenia letniego. Takie mamy rozrywki.

Ale nie tylko takie. Łapiemy sobie nawzajem wszy i ostrożnie karmimy nimi jakże drogie nam płomienie, patrząc, jak kurczą się i pękają. Urządzamy zawody, która ładniej przywoła wspomnienie nieba, leżąc promieniście na posłaniu ze słomy, z zetkniętymi swędzącymi głowami, i spoglądając w ociekające wodą sklepienie celi. Bess Clarke opowiada, jak pewnego złocistego letniego poranka zastała nieboskłon upstrzony obłoczkami, jak gdyby minionej nocy między aniołami doszło do kłótni i wrywane garściami ze skrzydeł piórka osiadły na firmamencie niczym na szkłe (Bess zbezdradniała do tego stopnia, że nie czuje już nienawiści – w przeciwieństwie do Helen, którą nienawiść przepęlnia, a ona sama ani myśli bawić się z nami w przywoływanie nieba). Ja pamiętam, jak morskie ptaki chmarami wzbijały się w zamglone powietrze wprost z powierzchni bladozielonych wód zatoki; widok piękny jak z obrazka. Anne Leech wspomina, że pewnej nocy wyziewy bijące od mokradeł uformowały pod księżycem coś na kształt lilijki, ona zaś wzięła to za isticie zły omen papieskiej supremacji.

Po dwóch tygodniach uświadamiam sobie, że te lochy bynajmniej nie przypominają piekła. Cierpienie nie ma tu nic wspólnego z pływaniem w płonącym morzu siarki, skądże znowu, nic równie obezwładniającego. Raczej sprowadza się ono do gromadzenia dokuczliwej mazi w nozdrzach, uszach i kanalikach łzowych, cuchnącej jak kundel włóczęgi i wywołującej irytujące swędzenie. W zakamarkach naszych ciał zbierają się przeróżne stworzenia i ich wydzieliny – wszy, myszy, szczury, szczurze pchły... Ciekawa jestem, jak mnie postrzega nieustraszony łądzień wyposażony w osiem karmazynowych odnóży i łapczywie szukający pożywienia wśród spękanego naskórka, aż natknie się na pęcherzyk między palcem wskazującym a kciukiem, skąd będzie mógł spić krew. Obserwuję go niemal z rozczuleniem, jak domowego ulubieńca. Czerwonatki... Utraciłyśmy prawa do własnej krwi, do własnych ciał. Czystość, skromność, wszystko to znajduje się poza naszym zasięgiem.

Dozorca informuje nas, że na górze zapanowała letnia gorączka, która powoli obejmuje także lochy. Ostatniej nocy zmarł koniokrad i kieszonkowiec, jeden i drugi z otwartymi oczyma, co stanowi zły omen, i z masą wrzodów na całym ciele.

– Wygląda na to, że Szatan was nie odstępuje.

W zawilgoconych murach słycać zawodzenie; przypuszczam, że w takich starych miejscach jak to żyją duchy, wlekące za sobą nadpleśniałe gronostaje, gdy snują się krętymi korytarzami, powiewając podartymi sztandarami w pozbawionym wszelkiego zapachu powietrzu czyścica. Strach nie ma do mnie dostępu. Nie jestem sama, wszystkie żyjemy tu pod bokiem duchów i pod bokiem Szatana. Bess Clarke prowadzi z nim rozmowy we śnie – a przynajmniej słyszę, jak głosem drżącym niczym opłatek mówi do kogoś:

– Są dla ciebie... Ciasteczka z rodzynkami, takie, jakie lubisz, mój drogi...

Wtedy wiem, że śni o czymś tak niewinnym jak wypieki, choć nie zawsze.

Staram się nie zamykać obojga oczu równocześnie. Mógłby tu być, tuż przy mnie, a ja niczego bym nawet nie zauważyła. Mogłybyśmy zapalić ogarek i zobaczyć go odpoczywającego w rogu, z jednym czerwonym aksamitnym pantoflem zsuniętym ze zgrabnej stopy, uśmiechniętego od ucha do ucha na myśl o swym dziele. Już kiedyś nie byłam pewna, w co wierzę, ale teraz wiem jeszcze mniej. Czyjaś ręka – nie mam pojęcia czyja – łąduje na mej piersi. Zimne palce muskają mój policzek. Pomimo mroku widzę, że macierz zwija się w kłębek, przytyka dłoń do swego boku, jakby chciała wydłubać kłujący ją tam grot elfiej strzały –

nieodłączne uczucie towarzyszące pustemu brzuchowi.

Zasypiam. Śnię, że jestem w lesie, chłonę lesistość całą sobą, a gdy przewracam się na wznak i otwieram oczy, widzę, że John Edes wpatruje się we mnie spojrzeniem migocącym od łez pełnych wyrzutu. Albo że leży trupem, a larwy i lśniące żuki kłębią się w jego pustych oczodołach. Śnię o diable, który spowija mnie woskowymi płatkami jakiegoś wielkiego kwiatu i każe mi się nie ruszać, bo w przeciwnym razie zostanę pojmana. Po przebudzeniu nigdy nie pamiętam, jak wyglądał ani przed kim się ukrywałam.

Helen wypruwa nić ze strzępiącego się rąbka gieźła, po czym bawimy się nią w kocią kołyskę. Reszta przygląda nam się w zachwycie, gdy nad skrzyżowanymi nogami wymieniamy kolejne figury: kołyska, diamenty, ryba, kozioł, dwie korony. Inne nasze rozrywki nie są całkowicie frywolne. Czując nieustanny głód i powoli tracąc zmysły, rozważamy, przez kogo tu trafiłyśmy. Niczym refren, niczym kominacja padają propozycje: Leah Miller, Prudence Hart, Priscilla Briggs, któreś z Hobdayów, Robert Taylor, doktor Croke...

– Niech ich wszystkich diabeł porwie – prycha Beldam West. – Niech idą do stu diabłów. Takie jest me życzenie, nawet jeśli ma mnie kosztować duszę.

Żadna z nas nie protestuje.

– Myślicie, że zetną nam głowy? – Margaret Moone przełyka ciężko, masując sobie łałok.

– Nic, tylko fanaberie ci w głowie – rzuca Helen z opuszczonymi kącikami ust popękany od wrzodów. – Nawet nad grobem. Nikt ci niczego nie zetnie, moja droga, za to obwiążą ci szyję stryczkiem jak trzykroć przekłębemu szczenięciu. – Charczy, przewraca roziskrzonymi czarnymi oczyma. Fanaberie to najgorsze, co kobieta może mieć.

– Boże, miej nas w swej opiece – skamle Margaret.

– Nie licz na to – odpowiada jej chór trzech głosów, aczkolwiek nie wiem, kto za nimi stoi, bo świeca znowu zgasła.

Anne Leech opowiada nam, że w czasach, gdy była jeszcze dziewczyną, w Ipswich spalono na stosie kobiety za uprawianie czarów.

– Doprowadziła męża do śmierci za sprawą ścisłego postu.

– Niewiasty pali się wyłącznie za zdradę – wyjaśnia macierz, czująca się ekspertką z powodu recydywy. – Taką jak zabicie króla czy męża. Bądź zwrócenie się do Szatana, aby to uczynił za nią.

– Przecież połowa kraju chciałaby widzieć króla martwego – zauważa ze zmarszczonym czołem Liz Godwin.

– Mogę to załatwić, jeśli tylko mnie stąd wypuszczą – rzuca macierz.

Jemy, śpimy, patrzymy, myślimy, cuchniemy – aczkolwiek wszystko z wyjątkiem ostatniego tylko ledwie, ledwie. Niemające końca uwięzienie sprawia, że umysł zaczyna... pływać. Jak to określić najlepiej? Czuję się tak, jakbym przestała być osobą. Zniknęło me podobieństwo do Boga czy Adama. Stanowię zbiór niszczących organów i buntowniczych impulsów, i kawałków wyschniętej skóry. Nie jestem istotą ludzką, nie zasługuję na własne miano. Nie ma też czegoś takiego jak życie, zostały po nim tylko słowa nadające doświadczeniu nazwę i wagę, teraz pozbawione znaczenia, stępiełe od mocowania się z wszechobecną ciemnością: dzień, noc, deszcz, w dół, w górę, chodzić, nic, nic. Rebecca się rozplywa. A ja rozkwitam. Me jestestwo, takie kruche i jak dotąd nieokreślone, wyslizguje się spod buta tyrana niczym tren; mój umysł, ostatnio zgoła szczątkowy, nie znajduje zastosowania dla konformizmu, z którego zostałam odarta. Nie. Nie mam zamiaru tu dalej przebywać – jeśliby dozorca zostawił drzwi szeroko otwarte, uciekłabym w okamgnieniu. Ale me położenie mi odpowiada, bardziej lub mniej. W innym życiu mogłabym zostać anachoretką lub męczenniczką. Mogłabym wzorem Szymona Stylity odgrodzić się od świata murem i zamieszkać na liczącym piętnaście stóp słupie.

Nareszcie przestało mi przeszkadzać, że jestem dziwna; cieszy mnie ta pustka, w której może się rozgościć Szatan. Na pewno dam się zapamiętać.

Mówię mało i dużo słucham. Nasłuchuję w trzydziestą szóstą noc naszej niewoli, po tym jak zdmuchnęliśmy drogocenną świecę i zległy na wspólnym szmacianym łożu. Margaret Moone chrapie. Bess Clarke gaworzy do siebie. Przez odgłosy, które wydają cierpiący na gorączkę więźniowie, przebija się jakiś dźwięk. Kroki, zgrzyt ostróg na kamieniu. Wzdrygam się, gdy oczy wyklują mi szpikulec światła z latarni uniesionej w uchylonych drzwiach.

– Rebecca West – mruczy Hopkins, bo sądząc po głosie, to musi być on, mimo że nie mogę dojrzeć jego twarzy. – Pójdiesz ze mną.

Kaplica

W pierwszej chwili nie wiem, czy mogę zaufać zwiotczającym mięśniom nóg, by poniosły mnie za próg celi. Tak się jednakowoż dzieje. Opuszczam celę, wspinam się po wschodach i idę korytarzem, powiekami chroniąc oczy przed rześnistym blaskiem latarni Łowcy Czarownic, niemal boskim po długim miesiącu spędzonym w oćmie. Mijani więźniowie z sąsiednich cel jęczą i rzucają się w malignie. Hopkins kroczy rażno, nawet nie sprawdzając, czy za nim podążam, ale nie odsuwa chusteczki od ust. Mnie smród dawno przestał przeszkadzać, choć musi być potworny. W końcu nieprzyjemne zapachy to moi starzy znajomi.

Prawie nie pamiętam zawiłości tego korytarza z dnia, w którym nas tu sprowadzono, toteż dziwię się, że tak szybko stajemy przed bramą. Tu Hopkins wyciąga ciężki pęk kluczy i zaczyna zdejmować mi kajdany, milczący i oficjalny. Aby mnie uwolnić, musi stanąć tuż obok, czuję więc dolatującą odeń woń letniego deszczu i pól, jest taka świeża. Pod czarnym płaszczem nosi teraz napierśnik i taszki z wypolerowanego metalu – czemu? Czyżby tak niebezpieczne stały się trakty, a może polowania na czarownice? – ale jego głowę zdobi ten sam kapelusz z szerokim rondem, te same sobole okalają jego szczupłą ptasią twarz.

– Trzymaj się mnie, Rebecca – instruuje mnie Hopkins.

Rozcieram zgrabiałe nadgarstki, zdumiona tym nagłym uwolnieniem z kajdan. Co za dziwne uczucie, me ręce wydają się tak lekkie, jakby miały wyskoczyć z przegubów i unieść się do sufitu. Hopkins zbliża się jeszcze bardziej, okrywa mnie ciężką peleryną z kapturem, wiąże mocno troczki pod brodą. W niemal pustych trzewiach czuję mieszaninę rodzącego się przerażenia i podniecenia.

– Nie idziemy daleko – dodaje Łowca Czarownic.

Dociera do mnie, że być może jestem zabierana dokądś, skąd już nie wrócę. Gdy więc Hopkins ujmuje mnie za ramię, nie ruszam się z miejsca.

– Odprowadzisz mnie z powrotem, panie? Macierz...

Spogląda na mnie z urazą.

– Odprowadzę.

Na zewnątrz panuje noc, czarna tak, że niemal granatowa. Blask księżycy srebrzy dachy domów stojących za zamkowymi murami. Wszystko jest takie nieskazitelne. I te gwiazdy! Na ich widok odbiera mi dech w piersi, zdążyłam niemal całkiem zapomnieć, jak wyglądają. Tymczasem tłoczą się na firmamencie jak zawsze, małe i duże, bledsze i jaśniejsze, obojętne na boże stworzenie w dole, wędrujące swymi stałymi ścieżkami. Przyglądający mi się Hopkins omal nie prychnie z rozbawieniem.

– Czyste piękno bywa jedynym wytłumaczeniem Stwórcy – stwierdza, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Przenoszę nań wzrok. Nadal na mnie patrzy. Nie sądziłam, że ktoś taki jak Hopkins potrafi wyrazić swą wiarę tak wyszukanyimi słowy.

– Zapomniałam o tym – mówię.

Pierwej nic nie robi, daje mi parę chwil sam na sam z gwiazdami, po czym dopiero stanowczo dotyka mego ramienia i prowadzi mnie od przysadzistej bryły zamku w stronę łukowato sklepionego przejścia w grubym murze. Stamtąd wychodzimy na wąską boczną uliczkę, wzdłuż której stoją chylące się ku ziemi domy i zabite deskami sklepiki. Wokół panuje kompletna cisza, musi być naprawdę późno. Albo bardzo wcześnie. Nigdzie żywej duszy, jeśli

nie liczyć dwóch strażników w błyszczących hełmach, którzy trzymając się w pewnej odległości, odeskortowali nas do bram. Przypuszczam, że ich obecność wynika z obawy Hopkinsa, iż Szatan mógłby mi użyczyć swych zębisk, którymi rozdarłabym mu gardło. Stawiam ostrożnie bose stopy na lepkim bruku. Woda wciąż kapie z rynien, gdzieś w pobliżu rżą cicho konie, śniąc swe zwierzęce sny w zaciszu stajni. Dolatuje mnie nawet ich zapach. Wonieją lepiej, godziewiej anizeli ja. Przy krańcu uliczki przycupnął niski kanciasty budynek z nierównego kamienia, w wychodzącej na północ ścianie tkwi jedno zwieńczone łukiem wysokie okno. Hopkins otwiera drzwi i wciąga mnie do środka. Kaplica. Była kaplica. Obecnie goła kamienna izba z pustym ołtarzem i zerwanymi draperiami, ze ścianami pokrytymi bluznierczymi arabeskami. Powietrze przesycone jest zastarzałą wonią moczu.

Hopkins zdejmując kapelusz i odkłada latarnię na ołtarz.

– Co ci wiadomo o świętej Helenie? – pyta, przysuwając sobie odwrócony do góry nogami zydeł i jakąś skrzynkę z rogu. – Usiądź – rozkazuje, obejmując gestem tę ostatnią.

Święci. A więc to test.

– Nic mi nie wiadomo o żadnej świętej Helenie, panie. W Piśmie nie ma o niej wzmianki, jeśli mnie pamięć nie zawodzi.

Posłusznie opadam na skrzynkę przy ołtarzu. W kaplicy ciągnie chłodem, a kamienne sklepienie posyła ku mnie echo mych słów: „Nic mi nie wiadomo o żadnej świętej Helenie, panie”. Uświadamiam sobie, że bezwiednie manipuluję przy nadgarstkach, tak przywykłam do obecności kajdan. Bez nich czuję się naga, zwłaszcza że wzrok Łowcy Czarownic spoczął na mej brudnej twarzy.

– Była matką cesarza, pierwszego cesarza, który wyparł się pogańskich wierzeń swych przodków i przyjął prawdziwą wiarę w jedyne Boga – wyjaśnia Hopkins ożywionym tonem, jakby o dziwo wcale nie uważał mnie za głupią. – Według niektórych kazała wznieść tę kaplicę. Pomyślałem, że może... może zechcesz się pomodlić, skoro już tu jesteś?

Kolejny test. Rozglądam się po chropawych ścianach i wzruszam ramionami.

– Żeby się modlić, niepotrzebna mi kaplica ani świątynia, panie – odpowiadam cierpko. – Bóg jest wszędzie.

Wargi Hopkinsa układają się w zwykły dlań grymas.

– Słusznie prawisz – stwierdza. – Może więc coś zjesz?

Wyciąga zza pazuchy pakunek owinięty szarym pergaminem i rozkłada go na ołtarzu. Mym oczom ukazuje się różowiotka szynka pokrojona w grube plastry i kawałek sera. Na sam widok i zapach do ust napływa mi ślinka, bez zastanowienia rzucam się na jadło, rozrywając je na kęsy gołymi rękoma. Muszę w tym momencie wyglądać jak wygłodniała wilczyca, ale nie przejmuję się tym. Hopkins obserwuje mnie obojętnie. Wodzi spojrzeniem za ruchliwymi palcami, których nie odrywam od ust. Aha, profanacja.

– Bałam się, że zabierasz mnie na proces, panie – mówię, przełknawszy.

– Na proces? Nie – zaprzecza. – Proces odbędzie się dopiero wtedy, gdy zbierze się sąd, a to nastąpi nie prędzej aniżeli latem.

Aresztowano nas pod koniec marca. Teraz musi się kończyć maj. Zatem lato tuż-tuż, a wraz z nim roki sądowe. Dopadają mnie mdłości, gdy uprzytamniam sobie, że to już tylko kwestia dni, ale Hopkins je hamuje, uściślając:

– Przyszłym latem.

Czyli przed nami nieco ponad dwanaście miesięcy.

– Przez cały ten czas będziemy przetrzymywane na zamku? – pytam z nutą oburzenia w głosie, chociaż bardzo się staram zachowywać powściągliwie i robić wrażenie posłusznej.

Hopkins zerka na mnie i kiwa głową. Następnie wyjmując z kieszeni oprawny w skórę

kajet i kładzie go na ołtarzu. A więc to tak. Osoby będące w prawie rozsądzić tę kwestię i przywrócić nas życiu mają inne priorytety. Czarownice z Manningtree są poniżej ich godności, a wraz z nimi także Matthew Hopkins, mało znaczący prowincjonalny dżentelmen. Widzę, jak go to uwiera.

Ocieram usta wierzchem dłoni.

– Rok to niesłychanie długo, panie. W lochach szaleje gorączka, a Bess Clarke już nie czuła się naj...

Uniesieniem ręki każe mi zamilknąć, jak czynił to niejednokrotnie wcześniej. Obleka twarz w uśmiech.

– Potraktuj to jak błogosławieństwo – sugeruje – albowiem trudy i cierpienia zbliżają nas do Boga i Jego nieskończonej łaski. Wolni od wszelkich pokus łatwiej pojmujemy swe grzechy i gotowi jesteśmy odbyć pokutę. Doprawdy – kontynuuje – nie sądzę, aby czyjkolwiek dusza na tym padole nie skorzystała z tak... intensywnego okresu refleksji. Pan zaś jest Duchem, a gdzie jest Duch Pański, tam wolność[66].

Przyglądam mu się, gdy mówi, ale za jego oczyma nie dostrzegam nikogo. Gdzie się ukrywa? Kim naprawdę jest Matthew Hopkins? Czy zrodziła go niewiasta? Jeśli tak, czy odwiedza swą matkę i daje jej się poznać? Co budzi jego śmiech? A może pewnej nocy zeszyły na ziemię anioły i nożami ze srebrzystego szkła wycięły jego kurczące się serce śmiertelnika, by je sobie zabrać?

– Tak – oświadczam. – Będę zaklinać Pana Boga.

Przyciska czubek pióra do kartki.

– No więc – zaczyna. – W domu twojej matki znajdował się kot. Wielki i rudy.

– Vinegar Tom. – Przed oczyma mam zmasakrowane ciało, wiotkie łapy, zakrwawione futro. Miałyśmy kiedyś kota. Kot w domu, zwinięty w kłębek przed kominkiem. Jakże nie doceniałam miłej zwykłości, tego całego bycia istotą ludzką.

– Vinegar Tom – powtarza Hopkins, notując to miano strasznie ścieśnionym charakterem pisma. Charakter pisma... Po raz pierwszy od wielu tygodni świadomie myślę o Johnie Edesie w jego eleganckim błękitnym dublecie i ze steraną skórzaną teczkę pod pachą. – Czy twa matka go ochrzciła? – dopytuje Hopkins. – Namaściła świętymi olejami?

– Nie sądzę, aby Vinegar Tom dał się czymkolwiek namaścić, panie.

– Skąd się u was wziął? – Hopkins dalej indaguje, z ustami zaciętymi w wąską linię, prostą jak trakt wiodący do Londynu.

Odpowiadam, że nie wiem. Że był z nami od kocięcia. Jak długo pamiętam. Pióro zamiera w dłoni Hopkinsa, który nagle podrywa na mnie spojrzenie.

– Jak długo pamiętasz? To by świadczyło o jego niezwyklej długowieczności.

– Ja... ja tylko tak się wyraziłam, panie. – Wzruszam ramionami. Brak mi sił na te gierki. – Uważasz go za diablika, panie, za chowańca, ja je nazywacie. Ale to był tylko kot. Łowny jak rzadko który. Lubił się wygrzewać na słońcu, jak wszystkie koty.

Hopkins porusza głową, jakby mówił: „Może tak... a może nie”, po czym przewraca kartkę i zaczyna czegoś szukać w sakwie. Tym razem prokuruje dwa osobliwe przedmioty i kładzie je obok siebie na ołtarzu, a konkretnie na zatłuszczonym pergaminie. To woskowe laleczki, ludziki wielkości dłoni, jeden ulepiony na podobieństwo niewiasty, drugi mężczyzny, oba w miniaturowych sukniach i kapeluszach, z rysami twarzy wydrapanymi sztyłem. Spod maleńkiego czepka niewieściej laleczki wystaje kępka żółtego końskiego włosia, a jej obwiązaną tasiemką talię przekłuwa igła do szycia. Hopkins nie spuszcza ze mnie wzroku, gdy je prezentuje.

– Poznajesz?

Odpowiadam, że nie poznaję. Ale w brzuchu mnie ścisną, bo te podobizny powstały nie

bez powodu – i niedaleko Manningtree, skoro Hopkins zechciał mi je pokazać.

– Według ciebie przypominają kogoś? – dąży.

Przyglądam się laleczkom ponownie, teraz zauważając obsceniczne uśmiechy ich bladych warg. W mych oczach przypominają Anglię – a zatem śmierć.

– Każdego i nikogo – mówię.

– Naprawdę? Nawet ta? – Unosi niewieścią postać urękawiczoną dłonią i podtyka mi ją pod nos, kciukiem bawiąc się przy tym szopą żółtych włosów.

– Judith jest ruda.

Uśmiech Hopkinsa się poszerza, a ja nie od razu rozumiem dlaczego. Aż dociera do mnie, że się wygadałam. Jego mina o tym świadczy, tak samo jak o tym, że jest w tej zabawie górą. Męska uprzejmość i plastry szynki sprawiły, że zapomniałam, iż jestem w gnieździe czarnych węży. W ramach kary szczypię się z całych sił we wrażliwe miejsce na przegubie. O uroku rzuconym na Judith usłyszałam od Johna Edesa tego samego wieczora, gdy rzekomo znalazła się pod jego wpływem. Edes, Stearne, Hopkins – kto jeszcze mógł wiedzieć? Nikt. A teraz wyznałam Hopkinsowi, że ja wiem. Ani odeń, ani od Stearne'a, to pewne, od kogóż więc? Niewiele trzeba, aby się domyślił, a to mu powie, że John się ze mną widział, co do tego zaś, co wtedy robił...

– Judith Moone? Nie. – Odkłada laleczkę obok jej równie sztywnego brata. – Nie. – Chwila milczenia. – Choć to ciekawe, że o niej wspomniałaś. Ale nie. Miałem na myśli Prudence Hart. Spodziewała się dziecka, kiedyś jeszcze była w Manningtree... – Przypomina sobie, aby ztrzeć z twarzy uśmiech, musi przecież udawać, że to nie sprawia mu nic a nic przyjemności. – Ale poroniła dwa tygodnie temu. To był chłopiec.

– Och, oby dobry Bóg pocieszył ją w jej stracie.

Hopkins wpatruje się z natężeniem w moją twarz bez wyrazu. Odpowiadam łagodnym, beznamiętnym spojrzeniem. Wreszcie on pierwszy zwilża wargi.

– Prudence Hart powiedziała, że od dawna miała w tobie wroga – podejmuje.

– To nieprawda, panie. – Tłumaczę mu, że chociażśmy się nie przyjaźniły, nigdy źle jej nie życzyłam.

Hopkins spuszcza głowę.

– Ale z pewnością pamiętasz, że była w jak najlepszym zdrowiu, gdyś wyjeżdżała z Manningtree. – Ciągłe to powtarza: „gdyś wyjeżdżała”, „kiedyś jeszcze była”, zupełnie jakbym postanowiła zamieszkać w lochach Colchesteru ze względu na tutejsze udogodnienia.

Ponownie wzruszam ramionami. Zaczyna mnie męczyć to odbijanie piłki i unikanie pułapek. Dłubię sobie w zębach, próbując wyciągnąć kawałek świńskiej żyłki, by pokazać, że mój rozmówca nie zasługuje nawet na pozory dobrego wiejskiego wychowania.

– Jeśli zmierzasz do tego, panie, że Prudence straciła dziecko z powodu klątwy, z całą pewnością nie ja ją rzuciłam. Więcicie nas od ponad miesiąca.

– Czarownica – uśmiecha się Hopkins – z łatwością może być w dwóch miejscach naraz dzięki cyrografowi zawartemu z Szatanem. Poza tym odległość nie gra roli w przypadku czarnej magii.

Co w takim razie mogłabym powiedzieć, aby oczyścić się z zarzutów? Czy on w ogóle słyszy, co wygaduje? Do tego taki wykształcony?

– Można by więc pomyśleć – wypalam niemądrze – że więzienie nas powinno przychodzić z większym trudem.

„Nas”. Dlaczego powiedziałam „nas”?

– Te podobizny znaleziono w domu Liz Godwin. W wiadrze na węgiel.

To oznacza, że Liz zajmowała się wyrobem woskowych laleczek i wbijaniem w nie igieł.

Robiła woskowe laleczki, wbijała w nie igły, a potem ukrywała na dnie wiadra z węglem. Jeżeli Hopkins nie mija się z prawdą, nie da się na to znaleźć niewinnego wytłumaczenia. Milczę więc rezolutnie. Zresztą nic, co mówię, nie ma znaczenia. Jestem jak ujadający piesek na krańcu linki. Obrzucam znów spojrzeniem podobizny z ich wydrapanymi sztydłem twarzyczkami, odziane w stroje z gałganków. Wydawałoby się, że przedmioty służące do czynienia zła powinny roztaczać groźniejszą aurę. Tak jak Hopkins.

Bierze głęboki, długi wdech.

– Spójrz na mnie – poleca.

Posłusznie unoszę oczy. Ścisza głos, niemal łagodnie, ujmując mnie za dłonie. Ciemna skóra jego rękawiczek jest w dotyku miękka, kosztowna. Uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie widziałam jego odkrytych palców.

– Jakikolwiek grzech ciąży na twym sumieniu, Rebecca, wystarczy, że go wyznasz, a Bóg ci przebaczy. Pragnę tobie pomóc, nie zaszkodzić. Jesteś niczym Daniel w jaskini lwów, twej duszy zagraża straszliwe niebezpieczeństwo...

Przełykam łzy – ich powodem jest frustracja, choć kto wie, czemu je przypisuje Hopkins.

– W obliczu zagrożenia duszy czy nie – oznajmiam – nie mogę powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

Hopkins wzdycha, wypuszczając powietrze wstrzymywane dotąd za maską spokoju, w którą oblekł swe oblicze. Uścisk jego palców się wzmacnia.

– Są czarownice, które ofiarują Szatanowi rodzone dzieci prosto z łona, wciąż wilgotne od własnych soków – dyszy. – Które skazują swe potomstwo na piekło, zanim nawet zdążyły je nazwać. Czy i do ciebie przychodzi, Rebecca? Czy twa matka przyprowadza ci go do łóżka? – Koniuszek jego języka drży w kąci ust. – Łajdaczysz się z nim?

Znowu jest – podniecenie. Błysk ekscytacji gnieźdzący się sekretnie w żrenicy jego oka. Cofam gwałtownie dłonie, a jego palce zaciskają się na powietrzu. Mając w pamięci męczyznę w czerni, o którym opowiadała mi macierz, myślę sobie, że nie bez kozery byłoby założenie, iż co do tego Hopkins akurat ma rację. Targa mną wewnętrzna pustka. Niewykluczone, że winne jej są pazury Szatana, który dawno temu mnie drasnął, aby zasiać we mnie zło. Od zawsze miewam grzeszne myśli. Od czasu do czasu grzeszę. Dotykam teraz dłonią rozpalonego policzka i uzmysławiam sobie, że wstrzymuję oddech...

– Anne West, twa matka – ciągnie Hopkins zduszonym głosem – przyznała się w obecności świadków do wywoływania burz z pomocą Szatana. Zostaniesz uznana za jej współniczkę... chyba że... – jego głos przechodzi w syk, który łatwiej przenika pajęczą sieć pęknięć na mej bolącej czaszce – ...chyba że do wszystkiego cię przymusiła.

No proszę. Oferta padła, warunki zostały wyłożone: me życie za życie macierzy. Hopkins nie mógłby się jaśniej wyrazić, nie narażając swej reputacji człowieka bogobojnego. Tak naprawdę pragnie podlanego łzami świadectwa niegdyś czystej dziewczicy, którą niecna matka uczyniła konkubiną Szatana. Któryż sąd nie uzaliłby się nad pierwszą z nich? Który nie skazałby drugiej?

– Nie wiem nic o Szatanie – słyszę swój głos – ani o czarach, ani o chowańcach.

Rozdrażniony Hopkins wykrzywia usta.

– Powiedz mi, Rebecca... Czy masz wciąż swój dziewiczy wianek?

Następuje coś, co mogę określić tylko jako rozdwojenie linii czasu; myśli biegną w mej głowie równolegle, zataczają kręgi, kłębią się i zapadają w siebie, coś jak stado szpaków kołujące na niebie i co rusz podrywające się od nowa, przy czym każdy z nich to ma jedna myśl – i nagle znów to czuje: wilgotną tkaninę lepiącą mi się do pleców, ciężar Johna na mnie, klucie jego brody w odsłoniętą szyję. Czerwienieję cała – to także czuję, tu i teraz, wewnątrz zrujnowanej

kaplicy, siedząc na skrzynce naprzeciw Hopkinsa, który nie przestaje mnie świdrować wzrokiem. Nie powinnam być zmuszona odpowiadać. Czy w ogóle ma prawo pytać mnie o coś takiego? W duchu niechętnie przyznaję: zapewne tak. Drżącym głosem krzywo przysięgam:

– Jestem panną i dziewicą.

Grzech rodzi grzech.

Hopkins pociąga nosem. Hopkins mięknie. Zatrząskuje kajet i chowa laleczki Liz Godwin do sakwy. Trafię z powrotem na zamek, do obszernego grobu, jakim stała się dla nas podwójna ceta. Mogę zapomnieć o świetle. Teraz, gdy mój los jest przesądzony, zdaję sobie sprawę, że uczyniłabym wszystko, aby móc tu zostać, na powierzchni, gdzie ludziom wolno poruszać rękami i patrzeć w gwiazdy, ilekroć najdzie ich ochota. Wszelki rozsądek niknie w czarnej studni rozpacz. Mogłabym to teraz zrobić, mogłabym się przyznać. Łatwo jest wypowiedzieć słowa, a przecież on oczekuje ode mnie wyłącznie słów, nic więcej. Spogląda na mnie wyczekująco; jedno uderzenie serca, drugie, trzecie, lecz nadal nic nie mówię. Podnosi się ze swego miejsca.

– Wybieram się do Aldeburgha – oznajmia, sięgając po latarnię.

– Do Aldeburgha – powtarzam bez powodu, jeśli nie liczyć pragnienia, by przedłużyć tę relatywną wolność.

– W rzeczy samej – potwierdza Hopkins. – Sługi Szatana, niepowściągane, pojawiają się wszędzie. Zaklinam cię, Rebecca – dodaje, ujmując mnie pod łokieć, kiedy wstaję – byś rozważyła to, co ode mnie usłyszałaś. Miej wzgląd na swą nieśmiertelną duszę. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Na zamek odprowadzają mnie strażnicy, którzy pierwaj zakładają mi kajdany. Wyraźnie się mnie boją, chowają twarze w kołnierzach, byle uniknąć złego oka, którym mogłabym ich obdarzyć, ale niepotrzebnie się kłopotają. Chmury rozproszyły się przed nadejściem świtu, wpijam się więc wzrokiem w blednące gwiazdy, zupełnie jak spragniony człowiek w strumień bijący ze źródła. Wszelkie myśli o Szatanie i Hopkinsie przegnał jaśniejący brzask, którego jestem tym bardziej świadoma, że przede mną kolejny dzień w ciemnościach.

[66] Biblia Tysiąclecia, 2 List do Koryntian 3,17.

Łowca Czarownic

Maj przechodzi w czerwiec, czerwiec w lipiec, ale trudno to komukolwiek stwierdzić. Deszcz pada nieustająco, uporczywie, spowijając wszystko sinym całunem, wybijając pogrzebowego marsza na dachach i polach, gdzie mężczyźni leżą porozrywani na kawałki. Siecze łąkę w Huntingdonie, kiedy w pewne mokre popołudnie Łowca Czarownic każe swym ludziom kopać w ziemi, dopóki nie odsłonią rozpadającej się słomianej podobizny człowieka. Wyciągnąwszy żelazny gwóźdź z tułowia figury, Hopkins doprowadza do cudownego ozdrowienia cierpiącej na konwulsje córki jednego z ziemian, po czym trzy kolejne niewiasty zostają zakute w kajdany. Na języki wszystkich trafia kobieta z Wickham Skeith, która trzyma tłustą pszczołę karmiącą się krwią z opuszki jej kciuka. Plotki zataczają coraz szersze kręgi. Zadawane są pytania. Co robił łaciaty kot na parapecie twego domu? Czemu twój groszek pnie się i kwitnie, mimo że w ogródkach sąsiadów cała roślinność leży zbita deszczem? Orszak Hopkinsa zastaje w Rattlesden żonę pastora wymykającą się przez okno i machającą nogami w powietrzu, co umożliwia poddanie jej inspekcji na miejscu w poszukiwaniu wiedźmich sutków. Matthew Hopkins, Naczelny Łowca Czarownic, staje się powszechnie znaną osobą. Na kobiety pada błąd strach; tylko co rozsądniejsze wiedzą, że swe obawy należy taić przed światem.

Magistraci, członkowie cechów i duchowni zapewniają Hopkinsa uniżenie o swej lojalności. Przyzywają go. Śląd doń listy, zaklinając, aby się pojawił w miejscowościach Shotley, Tattlingstone, Witham... nawet hen, w hrabstwie Northamptonshire. Oferują zapłatę. Nieprzesadną, by nie obrazić uczuć purytańskiego ascety, wystarczającą jednakowoż. Wystarczającą, aby niczego mu nie brakowało, gdy już podkuje wierzchowca i odda go pod opiekę stajennego, gdy zje suty posiłek i wetknie w lepką dłoń trzymającą szpilę parę szylingów. Nawet więcej aniżeli wystarczającą, bo opłaca mu się wieść całonocne obserwacje i odbywać niewygodne podróże zalanymi traktami. Oczywiście robiłby to też za darmo. Podtrzymałaby zbożne dzieło, nawet gdyby cała armia stała mu na drodze. Na szczęście nikt mu nie przeszkadza. Przynajmniej nikt, kto by się liczył.

Nie pora zwracać sobie głowy skromnością, gdy trzeba powstrzymać zastępy Szatana. Boży wojownicy nie mogą sobie pozwolić na zachowywanie dystansu, kiedy podejrzone wierzgają pod ukłuciami igieł. Coraz częściej bowiem się opierają, przez co trzeba je przyszpilać, zanim przystąpi się do klucia. Ciała. Niewieście ciała. Tyle niewieścich ciał. Są wśród nich chude i grube, stare i młode, żadne nie kryją się ze swą mięsistością. Przeróżne zakamarki, znamiona, ciemniejsze plamy na szyi, kurzajki i bąble, piersi poznaczone żyłkami niczym dojrzały ser pleśniowy. Hopkins przygląda się wszystkim z chłodnym dystansem medyka. Nic z tego nie wywołuje jego podniecenia, co osobiście uważa za interesujące. Składa to na karb nienaturalnych diabelskich sztuczek. A może boży wybrańcy są odporni na pokusy i nie grzeszą nawet myślą? Wyobraża sobie, że sięga ręką do obnażonej piersi albo wewnętrznej części uda, na co ledwie muśnięte opuszkami ciało marszczy się i z miejsca zetknięcia wyłazi tysiąc czarnych pajaków, strzepując z włochatych odnóży spitą posokę. Tak – to nie kobiety, ale worki pełne pajaków, tyle że w niewieściej powłoce. Tkanki wypełnione ohydztwem. Bożeż, jakie to okropne. Jakie to fascynujące. Hopkinsowi śnią się pieczary. Pości często i ściśle. Śni mu się Rebecca, doznaje wzrodu członka, ale nie chodzi o jej ciało, tylko o coś innego. Jej duszę? Dlaczegoś go porusza, ale dlaczego? Oczy wielkie jak u leśnego stworzenia. W pamięci ma wciąż jej dotyk,

doświadczony tam, w kaplicy. Ona nie jest taka jak reszta. Ocali ją. Zejdź mi z oczu, Szatanie[67].

A co w tym czasie porabia John Stearne? Wszystko, co każe mu Hopkins. W ich spółce stanowi to słabsze ogniwo; dobrucha magistratów, przywołuje do porządku konstablów, osładza łyżką miodu beczkę dziegciu, którą jest jego kostyczny przełożony. Wychyla aksamitne porto wciskane im w ręce dzbanami przez wdzięcznych bogobojnych mieszczan. Kupuje dublet z rozcinanymi rękawami, przez które wystaje musztardowy jedwab koszul. To nic, że wcześniej należał do nieboszczyka. Stearne'owi niegroźne klątwy, czuje silne powinowactwo z Duchem Świętym, emanuje radosną energią, a do działania napędza go pieniądz. W karczmie w Yarmouth nie wylewa za kołnierz i nie przestaje mówić o Agnes, swej drogiej Agnes, najsłodszej istocie z całego bożego stworzenia, którą teraz kocha dwakroć mocniej aniżeli wtedy, gdy ją poślubiał. Hopkins zna Księgę Przysłów na pamięć: szydercą jest wino, swarliwą sycera, każdy, kto tutaj błądzi, niemądry[68]. W duchu dodaje nie po chrześcijańsku: oby ci przyprowadziła rogi, oby zapraszała do waszego małżeńskiego łoża piekarczyka. Ale wtem przeraża go własna podłość i martwi się, że został skażony diabelnym piętmem jak ospą z zarażonego ciała, choć żadnej z czarownic nie dotknął inaczej jak wzrokiem. Znowu więc pości, tym razem przez trzy dni z rzędu, spożywając tylko chleb i wodę.

Trzydzieści sześć niewiast, wkrótce trzydzieści siedem i na dokładkę dwóch mężczyzn zapełnia zamkowe lochy. Niemal wszyscy to biedacy. Niektórzy włóczędzy, którym pozostaje posilać się mlekiem krów prosto z wymion na pastwiskach. Strawa – jej brak, jej potrzeba – niemal wyłącznie absorbuje ich myśli. Albowiem w Anglii panuje obecnie głód. Pola leżą odłogiem, gdyż ci, którzy powinni je uprawiać, uprawiają żołnierkę. Jeśli cudem coś wyrośnie, musi zgnić, ponieważ nie ma komu zbierać plonów. Zboże niebieszczaje od sporyszu, przez który ludzie szaleją, widzą rzeczy, których nie ma – na niebie, w oczach żon. Wcieleni do armii wieśniacy rozpędzają stada i plądrują spichrze powodowani urazą albo dla zabawy. Chrzcą konie. Gwałcą kobiety. Dzieci dostają bity za rzucenie psom kawałka sera, później za rzucenie psom czegokolwiek, a wreszcie za odmowę zjedzenia tychże psów, kiedy nie ma czego włożyć do garnka. Diabluki podkradają szynkę dochodzącą na parapecie i wyjadają ciasteczka stygnące w przeciagu. Nikt nie ma pewności kiedy, ale pewna granica została przekroczona. Można nasłuchiwać letniej burzy i usłyszeć drzwi zatraskujące się za plecami. Wszystko stanęło na głowie. Nawet gdyby śledzie i pstrągi powstały z wód i zaczęły latać jak ptaki, nikt by się nie zdziwił, bo niewątpliwie nadchodzi dzień Sądu Pańskiego, a jak wiadomo, w ten czas powstanie grad i ogień pomieszane z krwią[69], szarańcza zaś spadnie na ziemię, a oblicza ich jakby oblicza ludzi i przody tułowi jakby pancerze żelazne[70].

Naczelny Łowca Czarownic nie jest jedynym synem Anglii Wschodniej, który złapał w żagle magiczny wiatr i na jego skrzydłach dostał się do annałów roku Pańskiego 1644. Jest jeszcze bohater bitwy na Marston Moor, generał hrabiego Manchesteru, niejaki Oliver Cromwell[71]. Umiłowany przez niewiasty, ponieważ jak wiadomo, darzy miłością swą rodzicielkę. Tak samo jak Hopkins, twierdzi, że był w Cambridge (i w przeciwieństwie do tegoż nie mija się z prawdą). Tak samo jak Hopkins, byłby przystojny, jeśliby... Jego głęboko osadzone oczy spoglądają z wymiętych pamfletów w całym kraju. Ma niebrzydką, poważną twarz o mocnych, niewyrafinowanych rysach. Wydatny, stoicki nos niczym święta góra. Nasuwa mądrości z Księgi Przysłów: głęboką wodą plan w sercu człowieka[72] i tak dalej. Zresztą w kim innym mielibyśmy pokładać nasze nadzieje? Królowa z Medyceuszy zbiegła do Francji, a to wiele mówi. Bogobojni mieszkańcy Londynu odmawiają sobie wszystkiego, by wesprzeć parlament; mimo mieniącej się złotem skorupy pałacu Whitehall[73] przejeżdżają wozy wypełnione po brzegi metalem i materią. Ten, co nadszedł, dzieli i rządzi; obraca w ruinę

bezbożny Albion. Upalne lato przynosi amok i absmak.

We wrześniu Hopkins i Stearne, nasi dwaj wędrowni kaznodzieje, trafiają do Sudbury w hrabstwie Suffolk, gdzie miejscowa czarownica – pomiędzy innymi szelmostwami – posłała do sąsiadów swego chowańca pod postacią psa, aby kołysał kolebką z ich nowo narodzonym synem tak żarliwie, że niemowlę wypadło na kamienną podłogę i złamało sobie kark. Rzeczona staruszka, która może się pochwalić wystającymi przednimi zębami, jeśli niczym więcej, śmiało się przyznaje, że otrzymała kundla o piaskowej sierści od pewnego dżentelmena w eleganckim czarnym stroju z jedwabnymi wstawkami, który prosto z mostu kazał jej nazwać bestię imieniem Szatan. Wyposażonym w igły bogobojnym pomocnikom Hopkinsa nie udaje się uronić ani kropli krwi ze znamienia w lewej pasze niewiasty, która w trakcie procedury nakłuwania rzuca klątwy i przekleństwa na każdego, kto przestąpi próg jej sadyby. Wszyscy puszcza ją mimo uszu, ważniejszy bowiem jest zbożny cel i perspektywa łatwych dwudziestu szylingów. Atoli tego wieczora Hopkins zasiada ze Stearne'em do kolacji w wyjątkowo melancholijnym nastroju.

Dziabie widelcem porcję głowizny przed sobą. Rozmowa się nie klei, tylko z rzadka któryś rzuci jakieś słowo, ale w końcu schodzą na czarownice z Manningtree więzione w lochach colchesterskiego zamku.

– Cała nasza praca na nic, jeśli ich nie skażą – stwierdza Hopkins. – Na darmo całe nasze przedsięwzięcie...

Odruchowo się kuli, gdy ostatnie słowo opuszcza jego usta. Jest takie nie na miejscu, przywodzi na myśl księgi rachunkowe i drobiazgowo odważanie i odmierzanie. Atoli żadne inne nie przychodzi mu do głowy.

Stearne nie ma wątpliwości, że dojdzie do skazania. Wylicza na palcach powody: dwa przyznania się do winy, woskowe laleczki Liz Godwin i tyle nienaturalnych znamion na ich ciałach, że dałoby się z nich ugotować zupę.

– Poza tym – dodaje z nagłym uśmiechem – połowa przyzwoitych mieszkańców wsi ma coś do nich i z radością będzie zeznawać przeciwko nim.

Czubkiem widelca przesuwając w gęstym sosie kawałek chrząstki, Hopkins burczy, że nie pozwoli, aby uczyniono zeń narzędzie w rękach jakiejś małostkowej przekupki.

Stearne wzrusza ramionami, nie dbając wiele o to, w czyich rękach jest narzędziem, pod warunkiem że nie chodzi głodny.

– Co za różnica, skoro rezultat ten sam? – pyta. – Pozbędziemy się złoczyńców, a bogobojni mieszkańcy będą mogli...

– ...żyć spokojnie, nie obawiając się zakusów Szatana – dopowiada zaś Hopkins z westchnieniem. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Tak toczy się ich rozmowa. Jakby uważali się za bohaterów. Możliwe, że jeden z nich naprawdę tak o sobie myśli.

Stearne się uśmiecha.

– A nam nasze dzieło zostanie policzone.

Hopkins odchyła się na oparcie krzesła z wyrazem znużenia na twarzy.

– Księciu Powietrza nie brak sprytu – mówi cicho, pocierając powieki. – Sieje zamęt, wykorzystując do tego najmniejszych z marnych... z kiepskiego kamienia buduje swój ohydny pałac. Ta dziewczka – podnosi głos. – Rebecca West.

– Ta mała z wiecznie podkrążonymi oczyma i ładniutkimi... – Stearne ze stuknięciem odkłada widelec na talerz, by wykonać gniotący gest rękoma.

Hopkins to ignoruje.

– Muszę wyciągnąć z niej zeznanie.

Stearne również się odchyła na oparcie i zaczyna sobie dłubać sztyletem w łopatomatych

zębach.

– Takie zeznanie... przejaw skruchy... nastawiłoby do niej pozytywnie sędziów – stwierdza pomiędzy dziabnięciami. – Ale jej matka...

– Brat wyda brata na śmierć i ojciec swe dziecko; powstaną dzieci przeciw rodzicom i o śmierć ich przyprawia[74]. Tako rzecze ewangelista Marek. – Hopkins splata palce jak do modlitwy.

Śmiejąc się, Stearne żartuje, że dobry Bóg nie zna Ewangelii równie dobrze jak Łowca Czarownic. Hopkins przewierca wzrokiem na wylot bluźniercze czoło współnika. Pora zmienić temat. John Edes – czy udało się stwierdzić miejsce pobytu ich niegdysiejszego klerka? Stearne przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu fajki i kapciucha z tytoniem. Agnes słyszała od Bicksa, właściciela karczmy White Hart, że John posłał po swe rzeczy.

Hopkins mruga i czeka na dalsze wyjaśnienia. Wspólna praca ze Stearne'em bywa wyczerpującym zajęciem.

– I dokąd to – pyta po dłuższej chwili, gdy nie doczekał się rozwinięcia – John Edes kazał dostarczyć swój dobytek?

– A – Stearne'owi się beka – do Harwich.

Matthew Hopkins pozwala swym dłoniom opaść na stół, napięte wargi rozciąga w uśmiechu.

– Rozumiem. I dziękuję. – Bębni kciukiem o blat, wyglądając za okno na ołowiane niebo. – Edes dawał jej lekcje, wiesz. Rebecce.

– Sam bym nie pożałował jej lekcji czy dwu...

Gliniana fajka upada na podłogowe deski, gdy Stearne zwala się z krzesła na bok pod wpływem siły uderzenia. Chwilę później czubek Hopkinsowego buta trafia go w grdykę. Powalony zasłania głowę rękoma i skamle. Mimo szumu krwi w uszach słyszy Hopkinsa – „ty grzeszny, zwyrodniały, oślizgły worze sadła”. Czuje, jak ów wymierza mu kolejnego kopniaka, tym razem w brzuch, aż Stearne'owi dzwonią zęby i na języku czuje krew, w gardle zaś podnoszącą się żółć. Krtąń mu pulsuje, jeszcze chwila i nie zdoła wydusić z siebie słowa.

– Zmiłuj się, Matthew. Litości...

Nagle wszystko się kończy. Stearne, wciąż osłaniając głowę rękoma, pluje krwią na zakurzone deski i na rękaw dubletu (ten nowy, z musztardowymi wyłogami). Mrugając, popatruje na Hopkinsa ze zdumieniem, jakby dopiero teraz zrozumiał, czym jest prawdziwy ból.

Hopkins staje nad nim, wysoki i mroczny, drżący wciąż na całym ciele od siły własnego gniewu. Żrenice mu skarłały do kropek w czarnych tęczęwkach odcinających się od białek wybałuszonych oczu. „Dobrze – myśli. – Dobrze. Poczuj smak bólu, przekonaj się, co to cierpienie”. Wyrównuje oddech, odzyskuje panowanie nad sobą. Przypomina Stearne'owi, że w domu czeka nań Agnes. Że obaj są wojownikami Pana Boga. Wszystko to wyrzuca z siebie niechętnie, z urazą, jak źle potraktowane dziecko, które odwołuje się do autorytetu znieawidzonego ojca. Wie, że potrzebuje Stearne'a, potrzebuje jego zmiennego temperamentu. Zdaje sobie sprawę, że jeszcze nie pora zerwać ich spółkę.

Ale nie opuszcza go pewne odczucie. Jakby sam diabeł zaciskał dłoń na pniu jego mózgu, jakby szatańska pięść waliła go w żebra od wewnątrz. Ma przed oczyma swe członki, palce u nóg i rąk, które czernieją jak po odmrożeniu, jak przy trądzie. Jeśliby go podrapać, z sykiem dobyłby się z jego ciała dym albo ciernie, albo rogi. Uczucie jest nieznośne. Ma ochotę rzucić się samemu na pikę. Pragnie zachędożyć coś na śmierć, najlepiej świat. Widział raz Szatana, widział odcisk rozszczępionego kopytka gniotący drozdy na matczynym tureckim kobiercu... Jak to możliwe, że wszystko jest nie tak? Nie tak...

W progu pojawia się karczmarka zaalarmowana hałasami. Przykłada dłoń do ust. Bez

słowa przeprosin ani wyjaśnień Łowca Czarownic łapie swój kapelusz i płaszcz, przepycha się obok niej i czmycha.

[67] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Mateusza 16,23.

[68] Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 20,1.

[69] Biblia Tysiąclecia, Księga Objawienia 8,7.

[70] Tamże 9,7–9.

[71] Oliver Cromwell (1599–1658) – z wykształcenia prawnik, główna postać angielskiej wojny domowej, radykalny purytanin, dowódca sił parlamentu, który zwyciężywszy, proklamował Republikę Angielską. Prawnik Richarda Williamsa (siostrzeńca Thomasa Cromwella będącego prawą ręką Henryka VIII; Richard Williams przyjął nazwisko swego wuja).

[72] Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 20,5.

[73] Pałac Whitehall – rezydencja brytyjskich monarchów w latach 1530–1698.

[74] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Marka 13,12.

Samotnicy

Port w Harwich to miejsce, w którym Anglia pokazuje kuper kontynentowi. Statki przypluwają tu z rożka łądu zwanego Hoek van Holland, wioząc na pokładzie cienkie lny i flandryjskie koronki oraz ponoć także papistów. Jest wczesny wieczór, gdy Hopkins zostawia wierzchowca w stajni przy gospodzie, gdzie szczęśliwie nikt go nie rozpoznaje. Doprowadza się do porządku, zamawia szklanicę wybornego porto i w niknącym świetle dnia wybiera się spacerkiem na nabrzeże.

Przystań jest pełna słupów i karaweli ze zwiniętymi żaglami. W pobliżu kręci się paru marynarzy, jedni palą, drudzy grają w karty. Głównie są to Holendrzy. Nie interesuje ich odziany na czarno Łowca Czarownic, nawet gdy pada na kolana przy kei, żeby się modlić. Stoczyli własny bój o Boga w Niderlandach i dobrze wiedzą, jak człowiek może przez to zdziwaczeć; naoglądali się ojców rodzin, którzy wracali do domu na chwiejnych nogach, z siwymi brodami zachlapanymi krwią albo zgolonymi w imię dogmatów. Ten i ów spogląda na Hopkinsa ze współczuciem przy wypakowywaniu ostatnich skrzyń tego dnia, widząc w nim osobę pograżoną ewidentnie w duchowym kryzysie. Marynarze to wrażliwi ludzie. Mają świadomość, że takich najlepiej zostawić w spokoju.

Hopkins wpatruje się w spokojne sine morze, nasłuchuje plusku wody o deski pod zgiętymi kolanami. Nieprzestający padać deszcz – tutaj, nad samym morzem – wydaje się w pewnym sensie dostojny, mimo że tak zbędny. Przezeń świat wygląda jak mauzoleum.

Matthew Hopkins się modli:

– Boże Ojcze, prowadź mnie, bo zbłądziłem. Rozglądam się wokół i widzę tylko chaos, i pozwalam się sobie w nim pograć, pozwalam się sobie pogubić i zgrzeszyć, ale nie przestaję być Twym narzędziem. Prowadź mnie wedle Swej woli, użyj mnie do jej spełnienia, a potem powal mnie albo zabij, jeśli musisz. Bylebym mógł Ci służyć, zanim oddasz mnie na pożarcie Szatanowi.

Otwiera oczy i spoglądając ku spowitemu woskowemu całunem widnokręgowi, bada od wewnątrz swe ciało, wysublimowane i uszlachetnione przez głód i agrypnię. Takiego siebie lubi, wyostrzonego jak nóż odjęty od osełki, skrycie cierpiącego. I czyż to nie znak, że właśnie w tym momencie jego uszu dolatuje bicie kościelnych dzwonów gdzieś niedaleko, wzywające wiernych na wieczorną modlitwę? I czyż mógłby zareagować inaczej, aniżeli podążyć za tym łagodnym wezwaniem?

Trafia do niewielkiego kościółka, właściwie marynarskiej kaplicy. Pojedyncze wysokie okno przesłonięte przejrzystą szybą znad ołtarza rozjaśnia pełną kurzu komnatę pozbawioną wszelkich upiększeń, jeśli nie liczyć malunku na dalszej ścianie przedstawiającego stworzenie – i upadek – człowieka: odwzorowane w nienaturalnych proporcjach jelonki i lwy brykają na tle pokrytego liszajami Edenu, podczas gdy tłusty wąż owija się wokół talii Ewy, bladolicyj i różowopierśnej, która w chwili upadku nie traci nic ze swej beztroski, muskana licznymi złotymi palcami radosnego słońca. Hopkins zajmuje miejsce obok kolumny przy drzwiach i zdejmuje kapelusz. Ławki są puste, jeśli nie liczyć kilku robotników portowych o ogorzałych karkach, którzy nie przestają palić, nawet gdy na ambonę wychodzi znękany pastor i zaczyna kazanie (pozbawione ognia zarzuty pod adresem hierarchów, zdaniem Hopkinsa splagiatowane z pism Johna Bastwicka[75]). Drzwi za jego plecami otwierają się i zamykają, po czym spóźnialski zajmuje miejsce w ostatniej ławce. W niewyjaśniony sposób Hopkins ponad wszelką

wątpliwość wie, że jest to John Edes. Czeka tylko, aż kaznodzieja każe im pochylić głowy w milczącej modlitwie, aby wtedy zerknąć i to sprawdzić. Jego cierpliwość zostaje wynagrodzona. W ławce istotnie, przyciskając kapelusz do piersi, stoi John Edes. Hopkins nareszcie ma okazję dobrze mu się przyjrzeć. John wydaje się zgoła innym mężczyzną aniżeli ten, którego tamtego chłodnego marcowego wieczora wysłał z oberży Thorn Inn, aby ściągnął nakłuwaczki – ramiona ma teraz węższe i zgarbione, włosy krótko przycięte na modłę Okrągłogłowych. Hopkins zauważa nawet, że rudawą bródkę przenikają pasemka siwizny. Ale to z całą pewnością on, John Edes. Ostatni fragment układanki, kamień węgielny.

Zanim kazanie się skończy, słońce całkiem zachodzi, a deszczowe chmury – na wpeł wyżęte – zmieniają barwę na sinośliwkową. Hopkins kroczy śladem Johna wąskimi uliczkami Harwich, aż w pewnym momencie, gdy przechodzą pod łuszczącym się szyldem piwiarni, dostrzega swą szansę i wystąpiwszy do przodu, łapie za ramię swego byłego współnika. John okręca się na pięcie i na widok uśmiechniętego oblicza Hopkinsa robi głupią minę.

– Witaj! – wykrzykuje Hopkins z nieco fałszywą radością, nawet podszytą groźbą. – Toż to John Edes we własnej osobie! Nie sądziłem, że cię tu spotkam.

– Hopkins – odpowiada na powitanie John, wciąż bojąc się zaczerpnąć powietrza. Równocześnie strzela oczyma na boki, jakby szukając najbardziej obiecującej drogi ucieczki.

Hopkins wzmaga uścisk palców na ramieniu Johna.

– Kopę lat... Jak się miewasz, stary przyjacielu?

– Magistrat cię tu wezwał? Nie słyszałem nic o... – John nie kończy.

– Skądże, skądże. Niespodziewanie zboczyłem z trasy.

– Aha.

Hopkins wskazuje gestem obscurną piwiarnię pod szyldem Stingray[76] i nalega, aby wychylili szklanicę za Cromwella przez wzgląd na stare dobre czasy. John z początku protestuje, ale Hopkins nie odpuszcza i wkrótce niechętny Edes czuje, że jest popychany w stronę wejścia do przybytku.

Wnętrze stanowi ciasnawa izba z podłogą wysypaną trocinami. Panują w niej pustki, jeśli nie liczyć dwóch zakapturzonych mężczyzn, którzy konwersują przy kontuarze po francusku, oraz piwowara, drobnego człowiczka z rozbieganymi oczyma i kępkami siwych włosów wystających mu z nosa. Hopkins usadza Johna przy lepkiem od brudu narożnym stoliku z dala od drzwi. Edes wydaje się wciąż oszołomiony tym nieoczekiwanym spotkaniem z dawnym współnikiem. Porusza się wolno, z namysłem, jak żeglarz po rozchybotanym pokładzie statku, jakby i jemu świat nagle zaczął się jawić przekrzywiony. Moszczą się na swych miejscach. Piwowar podchodzi do nich nieproszony i przeciera mokrą szmatą blat między nimi. Równocześnie zerka na Hopkinsa, którego poprzedza reputacja. Hopkins znajduje jego zainteresowanie irytującym.

– Przynieś nam piwa – poleca tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I zostaw nas w spokoju.

Na blacie pojawiają się dwa kubki z piwem. John upija łyk. Gdy ociera usta wierzchem dłoni, mięsień na jego żuchwie dryga ze zdenerwowania. Hopkins przeczuwa, że Edes będzie łatwą ofiarą, jak wszyscy ugodowi ludzie. Nie jest w stanie znieść milczenia. Nawet teraz, w obliczu krótkiej ciszy, stara się ją czymś zapełnić.

– Trafiliście na łamy londyńskich gazet – odzywa się w końcu. – Ty i Stearne. Możecie sobie poczytywać za szczęście, że służycie bożej sprawie. Naczelný Łowca Czarownic... – Śmieje się nerwowo.

Hopkins rozciąga wargi w uśmiechu.

– Nieco za bardzo... ostentacyjny sobriquet, aniżeli bym sobie życzył, ale jeśli dzięki niemu lepiej wypełnię swe zadanie...

– I to jakie – bąka John, gładząc kciukiem ściankę kubka. – Zaiste musiałeś się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Hopkins zauważa, że Edes topnieje. Z każdą chwilą czuje się swobodniej. Ale wypił tylko parę łyków piwa, nie może więc o to chodzić. Czyżby czuł się samotny, tu, po drugiej stronie kanału? Po pewnym czasie John spogląda Hopkinsowi w twarz, błękitne oczy ma przygaszone, zmęczone.

– Matthew, ta sprawa w Manningtree... nie podobała mi się. Szatańskie sprawki dławily mnie – bezwiednie masuje sobie gardło – niczym dym sączący się z zamokłej podpałki. Byłem...

– Byłeś przestraszony – podsuwa Hopkins.

– Przestraszony. Tak. Ale...

Hopkins przygląda się Johnowi, gdy ten szuka słów. Taki duży, prawie mężczyzna, a trzeba go prowadzić za rączkę do właściwych konkluzji, podpowiadać określenia na jego własne przewiny.

– Te niewiasty... – Edes zaczyna ostrożnie. – Czeka je proces?

Hopkins kiwa głową. Wyjaśnia, że Anne West i Bess Clarke przyznały się do popełnienia najgorszych nikczemności i nie okazują skruchy. A Anne Leech i Margaret Moone miały konszachty z przeróżnymi diabelnymi siłami oraz tworzyły podobizny, które następnie przekłuwały igłami. Cały czas nie spuszcza z Johna oka, widzi, jak młodszy mężczyzna ledwie zauważalnie zaciska palce na kubku z piwem.

– Być może nigdy się nie dowiemy, jaką skalę przyjęły ich działania pod namowami Szatana. – Hopkins wzdycha.

– A co z... co z Rebeccą? – dopytuje John, tak jak przewidział Hopkins.

– Wypiera się wszystkiego.

John wypuszcza z płuc powietrze i kiwa głową uspokojony. Hopkins zezwala mu na tę chwilę wytchnienia, obserwuje tylko, jak młodzik bierze haust piwa do ust, po czym dopiero wyciąga zza pazuchy kapelusz. Kapelusz Johna, ten z kanciastą miedzianą sprzączką. Kładzie go na stole pomiędzy nimi. Edes wyraźnie sztywnieje.

– Ja... – mamroce. – To...

– Nie obciążaj swego sumienia krzywoprzysięstwem, wymyślając wymówkę – mówi Hopkins z uśmiechem. – Nie interesują mnie twe grzechy. Ale jeśli chodzi o Rebeccę West... – Kładzie odwrócone wnętrzem do góry dłonie na blacie, jakby chciał zaprezentować Johnowi dziewczkę tańczącą na jego ciemnych rękawiczkach. – Pan Bóg kazał mi się rozprawić z plagą czarownictwa... i przywrócić na jego łono stracone dusze. Rebecca West musi dać świadectwo. Tylko zeznanie ją ocali. Wiesz o tym.

– Co mam zrobić? – pyta John drżącymi wargami.

Hopkins odpowiada, że Edes będzie musiał stanąć przed sądem podczas letnich roków. Młodzik strzela oczyma we wszystkie kąty powalanej izby niczym zwierzę zagonione w pułapkę. Pyta, w jakim celu. Najbardziej zależy mu na ocaleniu własnej reputacji.

– Uczyłem ją liter, katechizmu, nigdy nawet nie wspomnieliśmy o czarownictwie ani o Szatanie... nigdy. – Robi, co może, aby doprowadzić do ładu swe oblicze, scalić dwie niedopasowane połowy: świadczące o panice czoło i flegmatyczne usta, jakoś je ze sobą pogodzić.

Hopkinsowi nie wolno było polować – pod pretekstem jego słabej konstytucji matka zabroniła mu wyprawiać się do lasu z braćmi. Teraz jednakowoż zdaje się czuć to, co oni musieli czuć podczas łowów – śmigające rude futro, ujadanie ogarów, zapach krwi.

– Sługi Szatana umieją się kryć ze swym złoczynstwem – mruczy Hopkins, pochylając się w przód. – Jeśli wrócisz pamięcią do czasu spędzonego z Rebeccą West, z pewnością przywołasz

przypadki, gdy wychodziła na jaw jej prawdziwa natura, subtelnie podstępna. Odkryta i odsłonięta przed oczyma[77], by tak rzec – dodaje.

John mruży powieki. Parska ponuro i prostuje się na całą swą wysokość. Potrząsając głową, powoli mówi:

– Naczelný Łowca Czarownic... Powiadasz, że nienawidzisz Szatana, ale w mej opinii niewiele się odeń różnisz. Zjawiasz się nocą w wysokim czarnym kapeluszu, rzucasz insynuacje. Wszystkie te dusze w twej władzy... widzisz w nich zabawki.

Wargi Hopkinsa drgają. Posunął się za daleko zbyt szybko, niepotrzebnie zakwestionował honor tego mężczyzny. Teraz będzie musiał trochę mu odpuścić, zanim znów skróci postronek.

– Szczęśliwy ten, kto w postanowieniach siebie samego nie potępia[78] – oznajmia, upijając łyk piwa.

Edes wybucha na to śmiechem.

– Ty wyglądasz na zaiste bardzo szczęśliwego.

– Rebecca West jest służebnicą Szatana – kontynuuje oschle Hopkins. – I to niezwykle przebiegłą. Na podobieństwo Salome ukształtowana przez swego pana, by przywozić mężczyzn do grzechu. Wiem o tym dobrze, John, ponieważ próbowała czarować i mnie, szczebiotała i prężyła się w tym samym czasie, gdym ją zaklinał, aby wyparła się Starego Zwodnika i poszukała odkupienia w Zbawicielu.

– Przestań – przerywa mu Edes, czerwieniejąc na twarzy. – To pomówienia...

– Nieprawda. – Dłoń Hopkinsa sztywnieje na krawędzi stołu. – Szatan zrobił użytek z jej ciała i zapłodnił plugastwem jej umysł. Wiesz o tym. Wiesz, że straszna z niej jawno grzesznica. Daj świadectwo, a uratujesz swą duszę.

John chwieje się w swym oporze. Szarpie się za włosy. Z oczu wyziera mu strach, obnaża na wpół białe duże zęby. Co do jawno grzesznictwa przynajmniej Hopkins się nie myli. John przestaje czuć się wybrańcem. Jego uczynek – i namiętność, która go poprzedzała – nie były w niczym wyjątkowe, nie były unikalne, nie ma więc co liczyć na przebaczenie. Popełnił grzech, prawdziwy grzech, pospolity i ohydny jak zepsuta baranina. Głajda. Ladacznica. Kurwa. Musi być sposób, aby zetrzeć z siebie ten brud. Aby się oczyścić. Uratować duszę...

– Skończy się – mówi z westchnieniem Hopkins, chwytając Edesa za nadgarstek – całe twe cierpienie. Pomóż mi, John. Pomóż mi zwalczyć tę zgniliznę. Wszyscy zaznamy spokoju. Nie rozumiesz? To musi się zacząć od nas. Musi się zacząć od mężczyzn. Nie na darmo dobry Bóg postawił nas nad nimi. Mamy nimi kierować, mamy je karmić. I karać.

Rozumie. Wstyd niewiele się różni od uroku. W umyśle Johna, skrytym pod zmarszczonym zaczerwienionym czołem, panuje tumult, pomieszanie. Spokój? Nade wszystko pragnie spokoju. Pragnie wyzbyć się winy i zaszyć gdzieś w kącie. Niech mu wszyscy dadzą spokój! Może gdy wypowie to na głos, uwierzy. To nie on, tylko ona, ona „szczebiotała i prężyła się w tym samym czasie, gdym ją zaklinał” – dokładnie tak jak powiedział Hopkins – ciało przyobleczone w grzech i krople deszczu, oczy i skóra – wymyślne zakłęcie niczym miękka czarna łakoc na jej języku...

– Przy bramie swego domu usiadła – zaczyna mówić cicho Hopkins z głową nisko zwieszoną nad kubkiem – odzywa się do tego, komu brak mądrości: przyjemna jest woda kradziona, chleb wzięty skrycie jest smaczny. Nie myśli się o tym, że tam bawią zmarli, jej zaproszeni w głębinach Szeolu[79].

John zaciska dłonie w pięści i przykłada je z całych sił do blatu, aż bieleją mu kostki.

– Uczynię to – rzuca ochryple, pośpiesznie. – Będę zeznawał.

Jakie to łatwe. Hopkins odchyła się na krześle i przyszpila złamanego mężczyznę, który całym sobą próbuje nie okazać, że został złamany. John wygląda tak, jakby całym sobą też

próbował się nie rozplakać. Oto znowu nachodzi Hopkinsa owo kotłujące się mroczne przepotężne uczucie. Tyle że tym razem jest przyjemne. Silne, lecz uległe niczym gładkie lśniące szkiełko na jego brzuchu. Otom ja, tryumfuje w duchu, syn pastora z Wenham Magna w hrabstwie Suffolk, a zarazem jakby Bóg. Uświadamia sobie, że właśnie po raz pierwszy zbluźnił.

Ramiona Edesa drżą, gdy wciąga głośno powietrze i powoli zaczyna się podnosić ze swego miejsca. Obaj mężczyźni patrzą sobie przez chwilę w oczy.

– W Biblii napisano, że cena za legnięcie z niezaślubioną dziewicą wynosi pięćdziesiąt syklów srebra[80] – mówi Edes z bladym ironicznym uśmiechem. Bierze ze stołu kapelusz i zaczyna obracać go w dłoniach. – Wygląda na to, że mnie przyjdzie zapłacić o wiele drożej.

– Nie namawiam cię do niczego droższego.

– W istocie – potwierdza John, cmokając. – Nie namawiasz. Łaskawca z ciebie.

– Pozwól, iż ci przypomnę – Hopkins nawet nie podnosi głosu, choć sangwinizm młodzika wprawia go w zdziwienie, ba, lekkie zdenerwowanie – że gra toczy się o jej duszę.

– Nie wydaje mi się, abyś to jej duszę miał na względzie, Matthew. – Edes dopija piwo.

Na obliczu Łowcy Czarownic materializuje się charakterystyczny dlań paskudny uśmiech.

– Wiesz, najdziwniejsze w sprawie – zauważa, pilnując się, aby ton jego głosu pozostał obojętny – jest to, że siedem niewiast ze wszech miar prostych, analfabetek zdolnych co najwyżej do najpośledniejszego zwierzęcego sprytu, osiągnęło tak wiele dzięki wzajemnym konszachtom. Zazwyczaj w podobnych przypadkach obecna jest nadrzędna męska postać, potrzebny jest jakiś magik czy czarownik, który pośredniczy między Szatanem a jego sługami, tak jak pastor stanowiący łącznik z Bogiem dla dobrych chrześcijan.

Obserwuje bacznie Johna, zwarty i gotowy. Nie musi wyrazić się jaśniej, ale chce. Edes może sobie być porywczym łotrem i przypochebcą, ale na pewno nie jest głupcem. A Hopkins pragnie, by ujrzał go w całej potędze. Pragnie się pokazać komuś, kto jest w stanie pojąć, na co go naprawdę stać.

John wkłada kapelusz na głowę zamaszystym ruchem. Śmieje się przy tym.

– Matthew – wydyma wargi: górną w desperacji, dolną zaś w gniewie – jesteś najbardziej wynaturzonym nikczemnikiem i łobuzem w całej Anglii. Nie mogę się doczekać chwili, gdy w londyńskiej gazecie przeczytam o twojej śmierci, co powie mi, że diabeł zaciągnął cię do piekła. Nie sądzę jednakowoż, aby było to piekło z twych wyobrażeń. Czeka cię coś znacznie gorszego.

To powiedziawszy, okręca się na pięcie i odchodzi.

– Poślę po ciebie, gdy nadejdzie pora! – woła za nim Hopkins.

Edes macha lekceważąco ręką nad głową, na znak, że usłyszał, po czym zatrząskuje drzwiami za swymi plecami. Pozostawiony sam sobie Hopkins sączy męty z dna kubka, aż wrząc w środku. Dwaj Francuzi zerkają nań milcząco przez ramię. Ciszę przerywa tylko stuk kropel deszczu o szyby, jęklivy pisk szmaty w ręku piwowara, który stara się doczyścić dzban.

– *Il a l'air solitaire* – spostrzega jeden z Francuzów, prowokując gardłowy śmiech kompana.

„Wygląda na samotnego”.

[75] John Bastwick (1593–1654) – angielski purytanin i autor kontrowersyjnych pism, przeciwnik liturgicznej reformy zaprowadzonej w Kościele anglikańskim przez Williama Lauda arcybiskupa Canterbury.

[76] *Stingray* (ang.) – płaszczka (rodzaj ryby).

[77] Aluzja do Listu do Hebrajczyków 4,13 (Biblia Tysiąclecia).

[78] Biblia Tysiąclecia, List do Rzymian 14,22.

[79] Biblia Tysiąclecia, Księga Przysłów 9,14–18.

[80] Aluzja do Księgi Powtórzonego Prawa 22,28–29 (Biblia Tysiąclecia).

1645

Zważcie, iż gdy którą z czarownic przyłapać ninie na łajdactwie abo kradzieży chociażby i w obrębie rodzinnej wsi, co zna ją jak zły szeląg, pierwsza będzie rwać włosy z głowy i załamywać ręce, biegnąc zasmucona, coby upewnić sędziego pokoju, coby wylewać przed nim swe żale; i zważcie na ich niemądrość, kiedy bowiem znajduje ujście ich prawdziwa natura i żywioł, kiedy pada na nie podejrzenie o okropny i godzien potępienia grzech czarownictwa, nawet nie mrugną okiem ani nie uronią jednej łzy.

Matthew Hopkins, *The Discovery of Witches*, 1647

Jest luty, gdy znowu ją widzi. Sroga zima odmawia odejścia, co rusz przypomina o sobie, grozi, że ponownie zasypie cały kraj. Ciemne chmury pęcznieją i łypią pożądlivym okiem na przekłete miasteczka i puste pola ze wznowionym poczuciem obowiązku wobec żalosego oszukaństwa. Przed nim i za nim – pasmo sukcesów. Świat leży u jego stóp. Atoli nie jest to tak miłe uczucie, jak by sobie życzył.

Widzi na niej przetarty na wylot więzienny habit, prostą tunikę z szarego samodziału. Bose stopy, włosy rozkocudane i w tłustych strąkach, twarz blada jak chrząstka przylegająca do kości. Jej marazm go szokuje. I kusi. Jest coś chłodnego, coś czystego w pustce jej ogromnych oczu. Hopkins wspomina obraz, który oglądał w Paryżu: Marii Panny spowitej w złotogłów, obejmującej dłonią własną pierś, alabastrową i idealnie jednolitą jak muszla. Ma w głowie sokoły, ich żywe piękno, ich delikatne, maleńkie pikające przestraszone serca.

Kadawer

Dozorca zdejmuje mi kajdany, po czym wychodzi. Rozglądam się wokół siebie, lecz nie widzę nic do siedzenia, nic, na czym można by zawiesić wzrok, nic wartego uwagi. Zdaje się, że jestem w jakimś składziku, w każdym razie ściany zastawione są skrzynkami i workami, z których zboże wysypujące się na brudną kamienną posadzkę przez otwory wygryzione przez szczury tworzy bezkształtną masę zmieszaną z kurzem. W powietrzu unosi się dziwny, nieprzyjemny zapach. Ma tolerancja na smród znacząco się zwiększyła w ostatnich miesiącach, ale ten odór ma wyjątkowo bogatą nutę cierpkości na krawędzi złamania słodyczą. Przede mną stoi Łowca Czarownic w swym wysokim kapeluszu i długim płaszczu. To, co zostawiłam za czterema ścianami celi, sprawia na mnie teraz nierealne wrażenie – jakby snu na jawie nabrzmiałego potencjałem groteski.

Nie rozplatając dłoni złożonych za plecami, Hopkins pyta mnie, jak się miewam. Jak gdyby był wieśniakiem, który mija żonę piwowara w drodze na targ. Cóż to za nowa gra? W pierwszym momencie myślę, że sprowadził mnie w to ustronne miejsce, aby mnie pozbawić życia. Albo przynajmniej skrzywdzić. Zdumiewające, że ta możliwość prawie nie wywołuje we mnie przerażenia, a raczej obojętną ciekawość. Po chwili nachodzi mnie myśl, że zamierza ze mną zlec, atoli zaraz sobie przypominam swe tłuste włosy i niemyte od dawna zakamarki ciała, zawszoną głowę i połamane paznokcie. Czyżby mężczyznom nie przeszkadzały takie rzeczy? Nie mam pojęcia. Dozorca wydaje się na nie nieczuły, gdy zabiera Helen na bok. Hopkins przede mną chrząka.

– Rebecca?

No tak. Świat, nawet nierealny, wymaga stosowania się do zasad. A ode mnie oczekuje się odpowiedzi – nawet na niemądre pytania. Mówię więc, że miewam się w miarę dobrze, chociaż zima trwa dłużej, aniżeliśmy sobie życzyły w modlitwach.

– Niech dozorca doniesie wam koców – radzi Hopkins, jakbyśmy same o tym nie pomyślały wcześniej.

Jak typowy mężczyzna, powiedziałaaby macierz. Tylko mężczyzna sugeruje najoczywistszą rzecz pod słońcem, jakby to było objawienie dla niewieściego pustego umysłu. Choć w rzeczywistości wszystkie najoczywistsze rzeczy pod słońcem są na głowie kobiet, w przeciwnym razie pozostałyby niezłaławione na wieczność.

– Nie stać nas, panie. Już za strawę jesteśmy mu winne więcej, aniżeli kiedykolwiek...

– Zapłacę – przerywa mi, sięgając dłonią do nosa, aby się podrapać. Nawet jego dobroć jest podszyta mściwością. Brzydką, kosztowną poplecznicką. Cóż jednakowoż zrobić, koce.

– Dziękuję, panie – mówię.

Z determinacją wbijam wzrok we własne brudne stopy, przesuając nimi po posadzce, gdyż z jakiegoś powodu jego spojrzenie jest gorsze aniżeli wszy. Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie, tamtej upalnej niedzieli dwie wiosny temu. Doskonale pamiętam, jak się wstydziłam ubłoconych butów i strzępiącego się gorsetu. Dziś to uczucie wydaje mi się zgoła frywolne.

Następnie Hopkins pyta, czy jemy dobrze.

Wzruszam ramionami. Do czego on zmierza? Do konwersacji ze mną, jak wszystko wskazuje. W porządku. Rewanżuję się pytaniem, czy parlament już zwyciężył. Dozorca nie chce nam powiedzieć. Nie jestem pewna, czy w ogóle jest świadom toczącej się wojny.

– Członkowie Przymierza[81] zajęli Newcastle, wkrótce będziemy znów mieli węgiel – odpowiada. – Królowa Maria zaś zbiegła do Francji z całą swą heretycką świtą.

– A król?

– Słyszy się, że chce pozostać w Anglii i stłumić rebelię.

– Bo opór jest jak grzech wróżbiarstwa[82] – wtrącam i nie mogąc się powstrzymać, rozciągam wargi w uśmiechu.

– A krnąbrność jak złość bałwochwalstwa[83] – dopowiada, a w jego głosie pobrzmiwają twardsze nutki. Cóż, tym razem dałam się podejść. Hopkins chce wiedzieć, czy rozważyłam to, o czym rozmawialiśmy ostatnio.

– Nic, tylko rozważam, panie. Niewiele więcej mamy do roboty. – Na tym chcę poprzestać, ale wbrew sobie mówię dalej: – Dochodzę do wniosku, że znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Gdy oskarżyć człowieka o morderstwo, powiedzmy, i gdy ów człowiek udowodni, że w momencie popełnienia zbrodni znajdował się w domu we własnym łóżku, jaki sędzia nie poweźmie konkluzji, że podejrzany nie mógł przyłożyć ręki do nienaturalnego zejścia?

Hopkins przechyla czarnowłosą głowę, lecz zachowuje milczenie.

– Skoro jednakowoż czarownica potrafi być w więcej aniżeli dwóch miejscach naraz, nie zdołam udowodnić swej niewinności w podobny sposób. Ani, obawiam się, w żaden inny. Mogę w nieskończoność powtarzać, że nie uprawiam czarów ani nie wchodzę w konszachty z Szatanem, a i tak nikt mi nie uwierzy. Lecz wystarczy, iż zeznam przeciwnie, a wszyscy dadzą mi wiarę.

Po jego minie widzę, że pierwszy raz jest świadkiem, jak niewiasta rozumuje i wywodzi coś logicznie. Przynajmniej niewiasta taka jak ja. Nagle wybucha śmiechem.

– Bystra z ciebie dziewczka – stwierdza i postępuje krok w mą stronę. – Wiesz, czemu tu jesteś? – Obejmuje gestem zawilgocone ściany. – Czemu ty, a nie Prudence Hart czy Leah Miller?

Robię krok do tyłu, kiedy on podchodzi jeszcze bliżej, i ze wszystkich sił staram się nie uciekać wzrokiem.

– Jestem tu, ponieważ macierz źle się prowadzi i ma długi język. A Prudence Hart i Leah Miller mają mężów, którzy potrafią je ochronić przed pomówieniami.

– Nie – zaprzecza łagodnie. Wręcz współczująco. – Jesteś tu, bo cuchniesz grzechem, Rebecca. Świeżym i ohydny grzechem. Diabeł naznaczył cię szkaradnie, tak że każdy, kto na ciebie spojrzy, to widzi. Patrząc na ciebie, nikt nie uwierzy, że pozostałaś czysta...

Unosi dłoń, jakby chciał dotknąć mego policzka, ale odsuwam się jeszcze o krok, bełkocąc:

– Nie, nie...

Znowu chrząka. Opuszcza rękę. Mówi, że złożył wizytę naszemu dawnemu przyjacielowi, Johnowi Edesowi, może go pamiętam? Rozchyła usta. Ma na czubku języka jedno pytanie, ale zadaje drugie.

– Kochasz Johna, Rebecca?

Nie chcę na nie odpowiadać, chcę je zmilczeć, lecz omal wbrew sobie mówię:

– Nie wiem. Kiedyś mi się wydawało, że tak.

– Będzie zeznawał na procesie. Przeciwno tobie.

Czuję w piersi dziwny ucisk. Proces – dotąd nie poświęciłam mu wiele myśli. Pojawia się na nim ci wszyscy, którym rzekomo wyrządziłam krzywdę. John Edes, jak się dowiedziałam przed chwilą. Bez wątplenia także Prudence Hart, Richard Edwards, Priscilla Briggs. Będę musiała spojrzeć im w oczy i wysłuchać, co mają o mnie do powiedzenia. Z pewnością z ich ust padną wyrzuty i słowa skargi. Nie potrafię rozwikłać, jak się tu w ogóle znalazłam, co kto komu

rzekł, co kto komu zrobił. Nie sposób przypisać czynom konsekwencji. Wiem tyle, że cierpię i że cierpienie jest wynikiem grzechu, zatem jak przypuszczam, zgrzeszyłam. Dopuściłam się grzechu z Johnem. Czy John też cierpi? Mam nadzieję, że tak – a więc chyba nigdy go tak naprawdę nie kochałam. Ten słodkawy zapach jest obezwładniający.

Hopkins wymawia me imię. Każe mi na siebie spojrzeć. Ponownie wzywa mnie, abym wszystko wyznała. Dokonaj spowiedzi albo pogódź się z wiecznym potępieniem.

– Dzień Sądu jest bliski, Rebecca, ale wciąż możesz stanąć po stronie prawych. Wciąż masz szansę na ocalenie. – Przemawia z nagłą troską, wyciągając ramię, jak gdyby chciał objąć me nieróżniące się wiele od zwłok ciało, a ja jestem wystarczająco zmęczona, aby w to uwierzyć, aby uwierzyć weń. Nie zdołam dłużej ustać sama, Matthew. Niech Pan mnie podtrzyma swą prawicą sprawiedliwą[84]. Ma na uwadze dobro mej duszy. A mimo to... jest we mnie moc, aby mu się oprzeć. Robi mi się słabo.

– Panie... – zaczynam i sięgam dłonią, żeby się wesprzeć o ścianę piwnicy, żeby nie stracić równowagi, lecz me palce bez pożytku osuwają się po gładkim zimnym murze. – Panie. Nie mogę wyznać grzechu, którego nie popełniłam. Jeśli przez to zawisnę, niech tak będzie. Pastor udzieli mi rozgrzeszenia za te uczynki, których się dopuściłam w swym krótkim życiu.

W gardle pali mnie żółć.

– Źle wyglądasz – stwierdza ze szlachetnym frasunkiem.

Niedopowiedzenie. To przez ten fetor. Zgnilizna, tłumaczę. I pytam, co to takiego, ten zapach.

– A, tak. To...

Hopkins wdaje się w wyjaśnienia. Słucham go tylko jednym uchem.

Eksperyment. Jak mi może wiadomo, zamorscy specjaliści zgadzają się z opinią żywioną przez naszych krajowych ekspertów w sprawie mocy, jaką mają czary, oraz w sprawie znaczenia, które niosą konszachty czarownic z diablikami, co szerzej przedstawia *Magia Adamica*[85]...

W tym momencie za moimi plecami rozlega się syk gasnącego płomienia latarni. Łowca Czarownic jakby nigdy nic wyrzuca z siebie dalekie słowa:

– Oczywiście jedni i drudzy prezentują także inne teorie, o których prawdziwości nie miałem jeszcze okazji się przekonać naocznie, jak na przykład ta... – Ruch w ciemnościach, szelest tkaniny – ...mówiąca, że czarownicę da się poznać, gdy za sprawą jej dotyku trup zacznie krwawić.

Natychmiast, choć w głowie mi się kręci, intuicyjnie wyczuwam, że w tej piwnicy znajduje się kadawer ukryty za drzwiami, przez które właśnie wychodzi Hopkins, mając zamiar zamknąć je za sobą. Okręcam się na pięcie i w ostatnim czerwonym błysku knota, zanim zaszuwa opadnie na swe miejsce, kątem oka dostrzegam lśnienie bieli w rogu, oczyma wyobraźni widzę kupę mięcha, tłuste splątane włosy... Opadam na klęczki przy drzwiach, zaklinam, aby okazał mi łaskę, zaczynam walić pięściami w grube deski skrzydła, kiedy w zamku rozlega się zgrzyt. Uderzam w płacz i nie przestaję zawodzić, dopóki w dziurce od klucza nie zniknie ostatnia drobina blasku, a jego kroki nie ścichną w oddali. Cisza. Szloch zamiera na mych ustach, gdyż nic więcej nim nie wskóram, zresztą tak niewiele ze mnie zostało, że nie powinnam trwonić nawet łez.

Pojmuję, co się dzieje. Paniczyk myśli, że jeśli sam nie jest w stanie mnie nastraszyć, uczyni to zmarły. I tutaj się myli. Miałam rodzeństwo, brata i siostrę, których porośnięte puszkami głowy wielkości jabłka byłam zmuszona ucałować, zanim oboje zostali pochowani, mimo że wciąż roztaczali woń wąpeli macierzy. Ocieram oczy skrawkiem gieżła, w duchu drwiąc z siebie, że chciałam wzruszyć Łowcę Czarownic kwileniem. Skoro pozostał niewzruszony, i ja taka będę. Przyciskam plecy do zimnego muru i przez mrok sięgam ku współwięźniowi. Moment

później trzymam już w ręku jego dłoń, wychudzoną i zimną.

Chyba tu zasypiam, w tej przesiąkniętej wilgocią piwnicy, gdyż śnię. We śnie widzę znów światło, blask, który pada na mnie z ukosa, rażący i we wszystkich odcieniach różu. Kiedy otwieram oczy, przekonuję się, że siedzę w zaopatrzonej w oparcie ławie, a w górze hen nad sobą mam sklepienie. Jestem w kościele pod wezwaniem Świętej Marii. Ogarnia mnie spokój. Powietrze przesycza słodki, cudny zapach kadzidła. Wstaję i ruszam nawą.

Widzę, że w zabitych deskami oknach wstawiono na powrót szyby – słońce przecieka przez bujne fałdy czerwonych i purpurowych szat świętych. Nie, nie świętych. Czarownic. W wysoko zwieńczonym oknie nawy głównej widnieje Bess Clarke ze sztuczną nogą w postaci kolumny ognia, który dobywa się spod jej nadpalonych spódnic, i z nożycami uniesionymi na podobieństwo miecza. Po obu jej bokach widzę macierz i Helen Clarke, każda ma na sobie suknię w kolorze rażącego karmazynu, na głowie zaś wianek z choiny. Beldam West nalewa wina z lśniącego dzbana. Liz Godwin trzyma w ręku woskową laleczkę, jakby to był pastor. Margaret Moone i Anne Leech dzierżą odpowiednio nóż i tasak. Spoglądają na mnie, takie zachwycające i przepelnione dobrocią; anioły o grubo ciosanych udach. Słoneczny blask pada na kamienną posadzkę przesączony przez ich barwne stroje, tworząc na całej powierzchni wrażenie kwiatnych grządek.

Ktoś odzywa się z pierwszej ławy, jakiś mężczyzna.

– Ach – mówi. – Nareszcie się przebudziłaś.

Na wprost ołtarza siedzą: Judith Moone, Kawaler z zamku w swym płaszczu ze srebrzystą koronką przy mankietach, nieszczęsny Vinegar Tom i Szatan we własnej osobie. Wyglądają na zgraną kompanię. Diabeł życzy mi dobrego dnia, a ja odwzajemniam jego pozdrowienie z uśmiechem i lekkim ukłonem. Czuję, że tak wypada. Zwracam się doń:

– Nie spodziewałam się zastać tu ciebie, panie.

Kwituję me słowa wybuchem śmiechu.

Przyglądam się pozostałym. Judith wydaje się taka sama jak wtedy, gdym widziała ją ostatnio – w białej sukni i czepku przystrojonym tasiemką, ze zbyt małym podbródkiem i wyszczerzonymi zębami. Vinegar Tom, któremu nic nie dolega, jakby nigdy nic pali długą kościaną fajkę, a na mój widok łaskawie pochyła futrzasty łepok. Nie zapominajmy o Kawalerze – ów z bladym obliczem i rozkocudanymi długimi włosami trzyma na kolanach królika o czerwonych oczkach, jaskrawych jak koraliki.

– Jesteście martwi? – pytam ich. I dodaję: – Ja jestem martwa?

Nie mogę wykluczyć takiej możliwości.

– Skądże – odpowiada Judith ze śmiechem. – I bacz na swe maniery.

– Ja jestem martwy – mówi Vinegar Tom, poruszając koniuszkiem przegowanego ogona, który owinał sobie wokół przednich łapek.

– I ja też, niestety – dodaje Kawaler z beztroskim uśmiechem.

– Tyle życia, co we mnie, zabiłoby każdego – stwierdza Szatan i puszcza oko.

– Przypuszczam, że wkrótce przyjdzie mi postanowić w tej materii. – Wzdycham.

– Decyzja już zapadła – informuje mnie Szatan. – A cieszenie się własnym towarzystwem nie przynosi wstydu.

– Tyle że nie wiem, co bym miała im powiedzieć... – zauważam.

– Wystarczy, że krzykniesz – rzecze diabeł.

Jego rada nie wydaje mi się specjalnie pomocna, aliści mimo to pochylam głowę z szacunkiem – w końcu mam do czynienia z Szatanem, któremu respekt należy się sam przez się. Kawaler gładzi kciukiem uszy królika.

– Widziałam wcześniej tego królika – zagajam.

Kawaler potakuje skinieniem.

– Widziałaś. A kiedy ujrzysz go ponownie, będzie pora, aby to zrobić. I wtedy zostaniesz przywrócona samej sobie. Nie obawiaj się ani nie wstydz. A teraz już idź.

Odwracam się, by ruszyć nawet do wyjścia. Sądzę, że tak właśnie powinnam się zachować. Zatrzymuję się jednakowoż i rzucam przez ramię:

– Piekła wcale nie ma, prawda? A może to jest piekło?

Szatan uśmiecha się wyrozumiale. Roztacza zapach cytryn.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, zwłaszcza z moich ust, ale pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć – stwierdza. – Ewa przekonała się o tym na własnej skórze. Ale, ale, Rebecca... Naprawdę powinnaś już iść.

Z tymi słowami czyni gest dłonią, a ja czuję, że padam i jestem niesiona wzdłuż nawy mocnym ciepłym podmuchem, który oswobodził me włosy spod czepka i otacza mnie całą, wirując wokół. Ciężkie drzwi kościoła stają otworem, a ja wylatuję w oślepiającą jasność, z euforią w sercu, lekka niczym iskra, aczkolwiek nie byłabym w stanie wyjaśnić, z jakiego powodu.

Budzi mnie zgrzyt klucza w zamku. To dozorca, który przyszedł po mnie, albowiem żyję. Podnoszę się, zmarznięta i obolała, albowiem żyję, i pozwalam mu spętać znów me dłonie kajdanami. W blasku latarni przyniesionej przez strażnika mogę nareszcie dojrzeć oblicze nocnego kompana – i tak jak przewidziałam, okazuje się nim Kawaler, aczkolwiek obecnie przypomina raczej pierwsze lepsze stworzenie z tych, które się czasem znajduje skute lodem na kość pod stogiem siana. Połowę jego opuchłej twarzy przesłaniają rozkocudane włosy, ale turkus nadal lśni na sztywnym, szerniałym palcu. Widzę, że dozorca również to dostrzega i już się zastanawia, ile na nim zarobi. Kamień zapewne należał niegdyś do wybranki Kawalera, może narzeczonej. Nagle sobie uświadamiam, że „kadawer” to takie ładne słowo.

Prowadzą mnie korytarzami, które rozgałęziają się w kolejne korytarze, aż wymuszony dziarski krok przypomina mi o uczuciu ciężkości w nogach. Mijamy wąskie okienka, stąd widzę, że bladoczerwone świtanie nadciąga zza starych kamiennych murów, niczym płomienne języki ognia muskając mą skórę. To ten rodzaj poranka, który może zapowiadać zarówno upał, jak i mroź. Niebawem będzie znów wiosna, a po niej lato i letnie roki sądowe. A ja żyję.

Śpią pokotem, płatanina sflaczałych nieodróżnialnych członków; dopóki mój wzrok przyzwyczaja się na powrót do mroku celi, dopóty dręczy mnie pytanie: czy mogłabym je wszystkie skazać na potępienie, byle ratować siebie, byle móc wyjść w tę przepiękną błękitno-złotą obietnicę ranka? Pierwsze wyodrębnione z ciemności rysy należą do macierzy. Jest przebudzona, patrzy prosto na mnie, kiedy wciąż stoję przy drzwiach. Ostrożnie się wyplątuje z objęć pozostałych i podnosi na nogi, by podejść do mnie i przygarnąć mą talię, i tak – ucałować w policzek, wcisnąć twarz w zagłębienie ramienia.

– Och, Becky – mruczy. – Och, Króliczku. Bałam się, że zabrali cię na dobre.

Wierzę, że tak myślała i że naprawdę czuła strach. Jak to mówią: lepiej późno niż wcale. Beldam się cofa o krok, aby mi się przyjrzeć, jednakowoż ze względu na egipskie ciemności nie widzi nic, ni hu-hu.

– Becky? – odzywa się niepewnie.

Dłonie, za które mnie trzyma, zaczynają drżeć.

– Dokąd cię zabrał? – pyta, mając na myśli dozorcę. – Wyrządził ci krzywdę?

Potrząsam głową. Co miałabym powiedzieć?

Prowadzi mnie w róg celi, gdzie kulimy się obok siebie w mdłym blasku kopcającego ogarka. Tamte wzdychają i kręcą się przez sen na niegodziwym słomianym łożu, aliści się nie budzą. Gładząc mnie po włosach, macierz ponownie mnie pyta, gdzie byłam. Odpieram, że

w piwnicy, głębiej pod ziemią. O kadawerze i tym, co mi się przyśniło, milczę.

– Z Hopkinsem? – dopytuje.

Potakuję skinieniem.

– Namawiał cię, abyś się przyznała?

Powtarzam ledwie zauważalny ruch. Macierz spogląda na mnie wyczekująco; z jej oczu wyczytuję pewność, że już to uczyniłam. Gotuję się z urazy, że może tak myśleć.

– Namawiał – potwierdzam. – Atoli tego nie zrobię.

Łapie mnie za ramiona, spogląda mi prosto w twarz i syczy, abym przestała być taką kretynką.

– Zrobisz! I to już, zanim one wstaną.

Protestuję, przypominam jej, że jest niewinna temu, o co ją oskarżają, i że musi trwać przy swej niewinności. Beldam pluje na to – dosłownie pluje na podłogę – i przyszpila mnie spojrzeniem, i pyta, czy nie widzę, że godniej jest być złoczyńczynią aniżeli ofiarą.

– A ma godność, matko? – Przypominam jej, że chce, abym skłamała, co jest ciężkim grzechem.

– Gówno tam! – parska. – Za młodaś, by przejmować się godnością. Godność to sprawa starszych wiekiem. Lepiej pomyśl o swym życiu.

Chwyta mnie za rękę, ścisną mocno i zapalczywie kiwa głową. Wszystko to dzieje się za szybko, aby można było ten przelotny moment uznać za chwilę czułości, która nas połączyła, jednakowoż to wszystko, co mamy i będziemy mieć. Odwzajemniam uścisk dłoni.

Nachylam się ku niej. Me czoło wilży jej pot.

– Chciałabym wiedzieć – mówię – jak Bess Clarke straciła nogę.

Macierz mruga, nie pojmując, o co mi chodzi, zaraz jednak spływa na nią zrozumienie. Nie będę przecież miała drugiej okazji, by ją o to zapytać, a skoro nie, nigdy się nie dowiem, jak doszło do kalectwa staruszki.

– Pies zeżarł – odpowiada Beldam. Pokazuje zęby w uśmiechu, łapie mnie za kark i składa siarczysty pocałunek na mym czole. – Żałuję, że nie powiedziałam ci wcześniej, Becky. – I dodaje: – Zrób to. Zrób to teraz.

Robię. Jest tak, jak uprzedzał Szatan – wystarczy, że krzyknę. Kiedy przybiega pomocnik dozorczy, zastaje mnie na klęczkach przy drzwiach, drącą paznokciami deski. Ranię się do krwi. Rzucam się i wyję na brudnej podłodze (zdumiewająco łatwo jest udawać atak, jak już człowiek zacznie; dalej toczy się to jakby z szalonego rozpędu, zupełnie jak wieprzek w ogniu turlający się w dół zbocza). Mówię pachołkowi, że ma natychmiast sprowadzić swego przełożonego, gdyż nie wytrzymam ani chwili dłużej w obecności wybranek Szatana, których tajone westchnienia właśnie mnie duszą i żgają, i że jeśli natychmiast nie zabierze mnie z tej celi, do południa będę martwa. Żądam, aby zaprowadzono mnie przed oblicze Hopkinsa, oblicze Łowcy Czarownic, i to zaraz. W tym czasie macierz siedzi w kącie celi, dokąd nie sięga wątyły płomyk świecy trzymanej przez pachołka, i rehocze jak wariatka (którą być może jest). Nie powiedziała tego, lecz ja wiem, że mnie kocha i że chce, abym miała udane życie.

Wreszcie tamte zaczynają się przebudzać i rozglądają się wokół zaspanym, nierozumiejącym wzrokiem. Tylko Helen Clarke zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, i kiedy dozorca z pomocnikiem biorą mnie pod pachy, aby mnie wywlec z celi na korytarz, spluwa mi pod nogi i grozi, że usmażę się w piekle, jeśli je zdradzę. Że me cierpienie nie będzie miało końca.

[81] Przymierze (ang. *National Covenant*) – zawarte w 1638 r. porozumienie tysięcy Szkotów wszystkich stanów, którzy poprzysięgli się przeciwstawić zmianom, jakie Karol I chciał zaprowadzić w Kościele Szkocji. Członkowie Przymierza (ang. *Covenanters*) to –

mówiąc najszerzej – kalwiniści należą do nurtu presbiteriańskiego.

[82] Biblia Tysiąclecia, 1 Księga Samuela 15,23.

[83] Tamże.

[84] Aluzja do Księgi Izajasza 41,10 (Biblia Tysiąclecia).

[85] *Magia Adamica* – właśc. *Magia Adamica: the Antiquitie of Magic*, dzieło Thomasa Vaughana (1621–1666), walijskiego duchownego, filozofa i alchemika, najszerzej znanego z pisanych po angielsku prac na temat magii.

Spowiedź

Widzę, że się mnie boi, teraz, gdy okazuję pokorę. Wcześniej nie czuł strachu. Czyżby się obawiał, że me posłuszeństwo jest wynikiem świadomej decyzji? Czyżby każde dygnięcie, każde „tak, panie” przypominało mu o tym, że nabrzmiałe czerwienią serce młodej niewiasty jest dzikie i wypaczone, nieżyczliwe rozsądkowi? Mężczyźni lubią utrzymywać kobiety w ryzach siłą. Mądra niewiasta potrafi sprawić, że mężczyzna zapomni o swej naturze, dzięki czemu oboje dobrze na tym wychodzą. Chyba że on obudzi się nagle pewnego ranka zlany zimnym potem i uprzytomni sobie prawdę na swój temat, która poczyni szkody na podobieństwo kuli przedzierającej się przez ciało. Nie. Pomimo wszystko wolę być kobietą. Pozwalamy się upadlać w oczach Boga i w oczach mężczyzny, ale za ich plecami to my śmiejemy się ostatnie.

Obecnie jestem więziona na górnej kondygnacji zamku, w izbie wyposażonej w toaletkę z wpuszczoną miednicą i w zakratowane okienko, me własne, przez które mogę patrzeć na niebo barwy cyny, szarobury mur i łąkę zielonej trawy. To właśnie dziś będę zeznawać. Wśród sędziów zasiadają: hrabia, baronet i rycerz. Matthew Hopkins przynosi mi czystą suknię i lustro – tak jakby to ostatnie stanowiło najzwyczajszą rzecz na świecie. Z trudem opanowuję ekscytację. Zwierciadło jest chyba tanie, bo wygląda nieszczerólnie – w jednym górnym rogu odznaczają się tłuste odciski palców – jednakowoż dla mnie i tak graniczy z magią. Słyszałam raz, że lustro jest niczym obraz malowany samym światłem, lecz mnie wydaje się rzeczywistsze – jest raczej jak drzwi, przez które da się przejść, by dołączyć do swej lustrzanej wersji, a można to uczynić równie łatwo, jak wypowiedzieć „dzień dobry” czy „niech Bóg błogosławi”. Po prawdzie to się cieszę, że nigdy nie miałam okazji przeglądać się w takim zwierciadle, bo w lochach musiałam wiele stracić na urodzie, a tak, skoro nie wiem, jak wyglądałam kiedyś, nie zoczę mej obecnej szpetoty. To zbliżam się do lśniącej tafli, to znów się od niej oddalam, zadzieram brodę, otwieram szeroko usta, poddaję inspekcji swe ziemiste lica, drobne ząbki. Jestem w pełni usatysfakcjonowana sobą, tą pierwszą Rebeccą. Czuję się nareszcie świeżo. Włosy mam przycięte do ramion i schowane pod nowym białym czepkiem. Szyję ukrytą pod kołnierzem sukni, którą uszyto z eleganckiej popielatej włóczki. Niewiniątko jak się patrzy.

Usadzona naprzeciw sędziów, jestem zadowolona z siebie znacznie mniej. Hrabia Warwick to wysoki ostronosy gaduła, odziany w strój z bufiastymi rękawami ze spranego złotego jedwabiu; na widok włosów obecnych tylko na potylicy można odnieść wrażenie, że przemieszcza się po tym łez padole z ferworem, który zdmuchnął mu je z czoła i ciemienia. Warwick posiada statki, afrykańskich niewolników i sporą część zatoki Massachusetts, aczkolwiek patrząc nań, gdy tak drapie się po wierzchu dłoni, nie potrafię sobie wystawić, jak jeden człowiek może tyle osiągnąć i pozostać tylko człowiekiem. Poza nim jest baronet Harbottle Grimston, zastępca lorda namiestnika hrabstwa Essex – z kolei jemu włosy spływają spod aksamitnego biretu falami na podobieństwo uszu spaniela. Wiem, że to właśnie on wydał nakaz aresztowania Bess Clarke, i nie podoba mi się sposób, w jaki się wysławia, klucząc ogródkami i rzucając aluzje; zupełnie jak Hopkins uważa się za niezwykle błyskotliwego, aliści w moim odczuciu daleko mu do Łowcy Czarownic, nawet gdy siedzi tam ponury, przypominając nadętą satynową ropuchę. Trzecim okazuje się rycerz Thomas Bowes o ładniutkiej, białej niczym przebiśnieg twarzy wystającej z okazałego koronkowego kołnierza. Wyraźnie poznać, że sir Thomas nie jest pewien, na ile onieśmielony powinien być człowiek jego pozycji w obecności hrabiego i baroneta, w efekcie czego waha się od „lekkonieśmielonego” do „szalenie

onieśmiałego” w takim tempie, że jeszcze chwila, a złamię sobie wiotką szyję w pół. Ranek wstał nijaki, wilgotny i mglisty, toteż żaden z nich nie chce tu tak naprawdę być i na domiar wysłuchiwać paplaniny jakiejś dziewczki w pożyczonym czepku.

Oto historia, którą opowiadam.

Mówię o pewnym wieczorze w ostatki, kiedy nie miała jeszcze siedemnastu wiosen i kiedy macierz kazała mi się uwinąć z pracą, gdyż chciała, abym jej towarzyszyła w odwiedzinach, które zamierzała złożyć przed zachodem słońca. Dwie niewiasty wędrują przez pola, moczając pantofle wieczorną rosą. Podczas tego spaceru Beldam przykazała mi ostro, abym nigdy nikomu się nie wygadała, co zobaczę i usłyszę, a ja solennie jej przyrzekłam, że nie pisnę słowem (na użytek mych słuchaczy spuszczałam oczy i przywołuję na lica rumieniec). Niezadługo dotarliśmy pod jakiś dom, nie wiem czyj, bom go nie widziała ani przedtem, ani zatem. W środku była już Bess Clarke i Liz Godwin (uwzględniłam, aby wymieniać wyłącznie te osoby, które same sięgnęły na siebie potępienie). Liz Godwin wyjęła skądś książeczkę w czerwonych okładkach, wszystkieśmy z niej odczytały modlitwę, aliści słów żadnych nie pomnę, na co zewsząd wyskoczyły diabliki przeróżnych kształtów, czyniąc wielki harmider niby dzwonienie muszelek zdobiących strój Mistrza Bezceremonii. Mówię, jak pełne diablików w postaci błękitnookich tygodniowych kocząt miała Bess swe spódnice, mówię, jak je całowała kolejno i zapewniała, że są dla niej jak rodzone dzieci, które dał jej najprzystojniejszy mężczyzna w całej Anglii. Widząc je, czułam się zgoła pod wpływem uroku. W pewnej chwili Bess zwróciła na mnie jedyne zdrowe oko i chudą skórzastą twarz, która niewiele się różniła od sakwy Matuzalema, i zapytała, czy zachowam dla siebie, com ujrzała, czy raczej wolę cierpieć katusze gorsze aniżeli piekielne. Mówię o tym, że następnie doszło do zawarcia paktu, padły też słowa wyparcia się Chrystusa naszego Pana i Jego boskiej miłości; o tym, jak mały czarny pies wskoczył mi na kolana i trzykroć mnie pocałował, a jego język był zimny jak lód (Hopkins w tym momencie wtrąca, że wedle zeznań czarownic dotyk Szatana jest zwykle nienaturalnie chłodny, dzięki czemu wiedzą, iż to właśnie ze swym panem mają do czynienia). Kiedy w końcu milknę, czekam na grom z jaśniejącego nieba, który przeszyje mnie niczym ognista lanca, albowiem kłamczynie ze mnie. Nic się jednakowoż nie dzieje.

Sędziowie słuchają z poważnymi minami. Najchmurniejsze jest oblicze baroneta, który jak sądzę, już wyrzuca sobie swój udział w tej godnej pożałowania sprawie. Ma wyraz twarzy człowieka, który po szaleńczej jeździe w burzy zsunął się z siodła – tylko po to, by wpaść w krowi placek.

– Rebecco – zwraca się bezpośrednio do mnie – tkwisz w niewoli od omal dwunastu miesięcy. Dlaczego właśnie teraz postanowiłaś dokonać spowiedzi?

Odpowiadam, że bardzo chciałam wszystko wyjawić zaraz po tym, jak trafiłam do lochu, aliści powstrzymywał mnie strach przed złamaniem obietnicy danej Bess Clarke, która nie mogłaby jaśniej nas przestrzec, iż jeśli któraś zdradzi naszą piekielną ligę, Szatan rozerwie ją na strzępy cęgami (to ostatnie wymyślam na poczekaniu, ujrawszy oczyma wyobraźni taką scenę). Dodaję, że gdy chociażby pomyślałam o zeznaniach, moimi członkami targały niewysłowione tortury, gorsze nawet od łamania kołem. Zaklinam się, że ilekroć spojrzałam po sobie, widziałam swe ciało stojące w płomieniach. Atoli teraz nareszcie te męki ustały, albowiem przebrzydłe czarownice trafiły pod sąd boży i ludzki, a ja mogę się uważać za najszczęśliwszą istotę na ziemi, bo jest mi dane wystąpić przed sędziowskim majestatem i oczyścić swe sumienie z zalegającego brudu.

– Rebecco – pyta hrabia – czy znasz Boże przykazania, moja droga?

– Wasza hrabiowska mość – odrzekam. – Znam przykazania. Znam alfabet. Umiem nawet czytać i trochę pisać.

Trzej wielmoże wymieniają spojrzenia. Są zdumieni.

– Patrzcie, jaki użytek zrobiła z zyskanej wiedzy – sapie sir Thomas Bowes, kręcąc głową.

– W rzeczy samej – potwierdza baronet i wzdycha. – Zła to wróżba dla tych, co promują zaprowadzenie piśmienności wśród niewiast.

Mają do mnie inne pytania. Czy Szatan mówi w moim rodzimym języku, a jeśli tak, to czy z jakimś akcentem? Czy potrafi przybrać jaki bądź kształt pośród wszystkich stworzeń i ludzi, tym samym okazując się nieostrożnym jako postać budząca zaufanie? Czy ja (nawet maska szlachectwa nie skryje przede mną głodu ich wzroku) odbywałam cielesne stosunki z Szatanem? Jaką formę przybierał, kiedyśmy spółkowali, mężczyzny czy bestii? (Kolejny głęboki rumieniec wstydu wypełza mi na policzki). Skończywszy, składają podziękowanie. Hrabia Warwick oznajmia, że będzie się modlił, aby dobry Bóg przebaczył mi ciężkie grzechy, a ja się zastanawiam, czy modlitwa hrabiego ma większą wagę w oczach Stwórcy aniżeli pierwszego lepszego śmiertelnika; czy Stwórca spełnia ją rychlej aniżeli inne. W całym swym życiu nie widziałam misterniejszej koronki aniżeli ta u kołnierza Warwicka, z różami wielkimi jak ma dłoń. Jeden taki piekielny kwiat musiał zabrać tydzień mozolnej pracy. A teraz ja, niegodna, zajmę miejsce w modlitwach tego człowieka. Ja, pstrocina kalająca lśniąca biel spódnic jego prawowitych córek.

– Dobrze ci poszło, Rebecco – mówi mi Hopkins, gdy stoimy pod drzwiami mej celi.

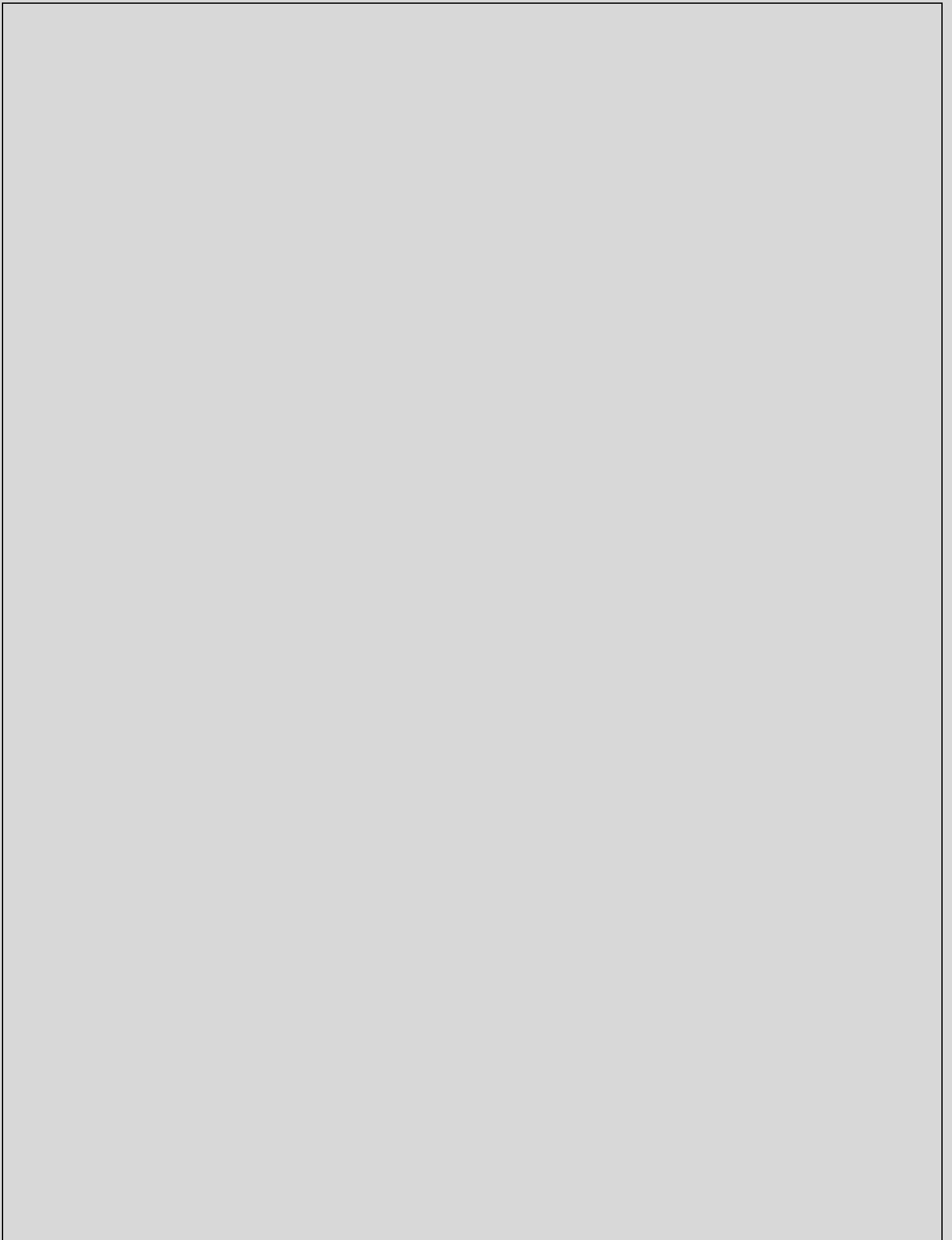
Widzę, że jest zdumiony i zarazem uszczęśliwiony moją spowiedzią. Palce zatknięte za pasek drgają mu w oczekiwaniu, kiedy nareszcie będzie mógł wszystko spisać. Większość tego, co wcześniej, przypominała tropienie dźwięków gwizdka we mgle, tymczasem oto stoję teraz przed nim, jak najbardziej rzeczywista, i oznajmiam wprost, że miał rację, że Szatan istotnie przyśniótł mi swym cielskiem i że pragnę ocalenia.

Nawet ja, która bardzo słabo znam mężczyzn, przypuszczam, iż Hopkins teraz się we mnie zakocha. Widzę w nim pierwsze przejawy, że sam jest już o tym przekonany. Kłania mi się niezgrabnie, nieokrzesanie wręcz, zupełnie jak pijak, który udaje, że jest trzeźwy. Dodaje, iż zobaczymy się dopiero na procesie, i wyraża nadzieję, że do tego czasu pozostanę w dobrym zdrowiu.

– Nie trwóż się, Rebecco – prosi, ujmując mnie za rękę. – Zaopiekuję się tobą. Po wszystkim znajdę dla ciebie miejsce, gdzie twa dusza zazna ukojenia i gdzie będziesz mogła kornie oddawać się nabożnej skrusze.

Składa pocałunek na grzbiecie mej dłoni. Wiem, że powinnam być dumna, ale nie jestem w obliczu tej niedbałej próby uwiedzenia. „Kornie oddawać się nabożnej skrusze” – też coś!

Czas mija. Przeważnie siedzę w celi, obserwując ciepłą się świat w dwudziestą pierwszą wiosnę mego życia. Sporadycznie wolno mi pospacerować po terenie zamku, pod strażą rzecz jasna; mogę wtedy nasłuchiwać klekotu wozów na podzamczu i nawoływań tamtejszych przekupek zachwalających świeże ostrygi. Mogę obserwować kruki, jak się wygrzewają w wyblakłych od słońca gniazdach uwitych w załomach muru. Czują się bezpiecznie, emanują pewnością siebie, przywdziane w czern i gotowe na Nowe Jeruzalem. Jestem tu, gdzie jestem, ponieważ ma pokora czyni wrażenie szczerzej, a me ciało nadaje się do dalszej pracy, silne i sprawne. Często myślę o macierzy i reszcie, mając nadzieję, że wszystkie się trzymają – z wyjątkiem Bess Clarke, która jest tak bardzo stara i którą Bóg powinien zabrać do siebie w łagodniejszy sposób aniżeli ten zaplanowany przez Hopkinsa i sędziów. Nocami leżę niewzruszona i miotając oczyma to w jedną, to w drugą stronę, wypatruję coraz to nowszych gwiazd w ogonie Hydry, a w głowie tłucze mi się bez ustanku ta natrętna myśl: żyjesz, przeżyjesz, czyż nie o to ci chodziło?



Proces

Podczas procesu w Chelmsfordzie tegoż 23 lipca 1645 roku sądzonych będzie piętnaście czarownic, a to tylko początek, gdyż dalsza omal setka trzymana jest w lochach hrabstw Essex i Suffolk. Niebo jest nieskończenie błękitne, bez jednej chmurki, nic dziwnego więc, że na plac przed budynkiem sądu wyległa gwarliwa ciżba. Ludzie, którzy zjawili się najwcześniej, dzięki czemu zdołali zaklepać sobie miejsca przy oknach, rozłożyli się tam z wiktuałami i napitkiem, by nie musieć się stamtąd ruszać przez cały boży dzień. Prędzej obszczają sobie własne buty, aniżeli utracą pożądaną przez wszystkich pozycję. Z ust do ust podawane są historie o licznych złoczynstwach czarownic, aliści też o niezawodnej i zgoła cudownej umiejętności Łowcy Czarownic do ich odkrywania. Tłum przejawia też umiarkowaną dozę cynizmu. Bardziej wyrafinowani mieszkańcy rejonów położonych głębiej na lądzie, w zachodnich partiach Esseksu zdominowanych przez łagodne złociste wzgórza, które da się przejść suchą nogą, szczerze obśmiewają swych sąsiadów z bagien i słonych rozlewisk, gdzie ludziska nie mają nic lepszego do roboty, aniżeli straszyć krowy i uczestniczyć w czarnych mszach, na które zawożą ich uraczone urokiem wierzchowce – nikt by się nie zdziwił, jeśliby ta bzduranina wynikała stąd, że któryś z wieśniaków dodał do potrawki nieco kołpaczka mierzwiowego. Ci mniej wyrafinowani, z odleglejszych rejonów, wyszorowani i wystrojeni jak do kościoła i tylko łypiący wkoło okiem, czy nie dobiera się do nich jakiś kieszonkowiec, ściągnęli tu, by poświadczyć słowa innych, wśród nich Mary Parsley i pastor Long, albo samemu zeznawać, jak William Rawbood i Richard Edwards.

Oskarżone tkwią w sądowej piwnicy, usadzone jedna obok drugiej na ławach i spętane w nadgarstkach i kostkach, za kratami. Tutaj, pod ziemią, powietrze jest chłodne i ma ziemisty zapach. Niewiasty są struchlałe ze strachu, milczące, aliści wiele z tych trzymanyh dotąd w lochach czuje ulgę na myśl, że oto nareszcie coś się dzieje. Niektóre nawet się łudzą – jakkolwiek spojrzeć, sędziowie to bywali mężczyźni, a mężczyźni bywali nie dbają o prowincjonalne przesady ani o lokalne niesnaski i plotki, jakie tego i owego chciałyby posłać na szafot. Tak przynajmniej wynika ze słów cicho wymienianych przez nie między sobą. Margaret Moone zalewa się płaczem, wielkie tłuste łzy toczą się po jej twarzy niczym drobne perły.

– No, no, już... Głowa do góry – zwraca się do niej przykuta tuż obok Helen Clarke.

Ta kojąca uwaga skłania Liz Godwin do rzucenia komentarza, iż Margaret uniosłaby może głowę, jeśliby nie ciążyły jej tak liczne podbródki, co z kolei wywołuje salwę śmiechu Beldam West, Anne Leech i Bess Clarke.

Powyżej Hopkins niespokojnie przemierza deski sali sądowej. Wcześniej był przy tym, jak zwożono kobiety całymi wozami. To był radosny poranek. Przyjechały tak brudne i tak chude z wycieńczenia, że z trudem dało się je od siebie odróżnić. Ot, zbieranina niemiłych dla oka postaci w lachmanach. Bardziej przypominają wyschnięte torebki nasienne aniżeli osoby, nędzne główki na łożkach, które wypycha ziemia, w każdej chwili mogące zostać porwane przez wiatr. Hopkins pamięta miana niektórych z nich, zwłaszcza te, które kojarzą mu się siernięźnie – jak Fogg[86], Greenleaf[87] czy ta matrona ze Stowmarket, która życzy sobie być nazywana nie inaczej aniżeli Dorothy Magicke; pamięta nawet niektóre twarze, lecz nie potrafi dopasować pierwszych do drugich ani na odwrót. Panuje ogromny upał. Hopkins poprawia na sobie kołnierz, odsuwa z czoła kapelus. Nadszedł dzień sądu. Ma nadzieję, że prezentuje się godnie z tej okazji.

Co właściwie uczynił? Za co może zostać pociągnięty do odpowiedzialności? Z pewnością nie za obowiązujące prawo, nie za nie. Zjawiał się wyłącznie tam, gdzie go zapraszali. Brał pieniądze wyłącznie od tych, którzy je oferowali. Dzielił się wiedzą. Jest prawdziwym sługą Pana. Prawdziwym sługą Pana. Prawdziwym sługą Pana[88]...

[86] Fogg – nazwisko być może wywodzące się ze środkowoangielskiego wyrazu *fogge*, który oznaczał otawę (pokos trawy wyrosłej powtórnie po skoszeniu), aczkolwiek pierwsze skojarzenie przychodzi na myśl wyraz *fog* (ang.) mgła.

[87] Greenleaf – *green* (ang.) zielony, *leaf* (ang.) liść.

[88] Aluzja do 2 Listu do Tymoteusza 2,24 (Biblia Tysiąclecia).

Ojcze nasz, który jesteś w niebie, niech się święci imię Twoje! Niech przyjdzie królestwo Twoje; niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i przebacz nam nasze winy... jak i...[89]

Widzicie nie może czarownica nie może tego powiedzieć czarownicy słowo boże utyka w gardle dobre słowo czemu jej oczy tak brzydko wyglądają jak coś zapieczone we własnej skórze na słońcu wyobraźcie sobie lizanie zepsutej – tam gdzie dojrzewa i spada ukradkiem – zepsutej w gębie...

Przebacz nam nasze winy, jak i...

To musi o czymś świadczyć w końcu to nic trudnego nawet dziecko to zna moja córka moja czteroletnia córka a odliczają na dłoniach w złotych pierścieniach, pstrykają palcami i zamieniają armadę w spienioną krew...

Ojcze nasz, który jesteś w niebie, niech się święci imię...

I dlaczegóż to kochana śpiewasz psalmy skoroś skazana na potępienie – tak jak nie sposób zignorować urodziwej twarzy oblicze naznaczone ostrym kopytkiem skraj wiadra na mleko tak i ciebie – wzięłabyś do ust – prawda bowiem taka lubi dziewczki i niewiasty. Szczerze. Są zanurzone w historiach, oraz fiołki – słodka pieśń życia...

Ojcze nasz, który jesteś w niebie, niech się święci imię Twoje! Niech przyjdzie królestwo Twoje – na wieki...

A naprawdę ubiegłej nocy było inaczej zdawała się chcieć śmieiej gorliwiej ostrzej co sobie myślała a niech mnie jeśli wiem nigdy – mówi że śniła o chodzeniu po białych niebiańskich ogrodach gdy natknęła się na harfę harfę na chmurze i pchnęła ją dziwne nagłe uczucie zniszczyć rzucić – z nieba jak jutrzienka – co było nie było znaczy to miano miano Lucyfer...

Baronet się pochyła, aby spojrzeć na Bess Clarke (która urodziła się w Clacton Port o tej samej godzinie, gdy Michał Anioł w Rzymie umierał, o czym oczywiście ona sama nie ma pojęcia).

– Nie potrafisz zmówić – szydzi głosem nabrzmiałym od niedowierzania – Modlitwy Pańskiej?

– Potrafię – zaprzecza słabo Bess, trzymając dłonie zaciśnięte na barierce przed sobą. – Znam ją na pamięć.

– Ale się jąkasz, robisz przerwy...

Czy nie czuła przerażenia, pyta ją hrabia Warwick, mając tyle diablików w fałdach spódnicy?

Bess uśmiecha się na to i odpowiada pytaniem:

– Czemuż miałabym się bać własnych dzieci?

Za zabicie złym okiem stada krów należącego do Richarda Edwardsa z Manningtree, wartych dziesięć funtów, Bess Clarke zostaje skazana na śmierć przez powieszenie.

Edwards domaga się pieniężnej rekompensaty za utracone bydło, kto jednakowoż miałby mu zapłacić? Bess Clarke nic przecież nie posiada.

– Czy ten głupiec sugeruje, abym zstąpił do Tartaru i tam poprosił Belzebuba o dziesięć funtów angielskich? – rzuca hrabia do baroneta, zasłaniając dłonią usta.

Helen Clarke utrzymuje, że jest przy nadziei. Baronet poprawia okular, spoglądając to w swe notatki, to na umorusaną dziewczkę stojącą przed nim na miejscu dla oskarżonych z tym jej hultajskim uśmiechem na twarzy i więziennym gieżłem spadającym z jednego ramienia.

– Jesteś zameżna, tak? – dopytuje. – Z niejakim Thomasem Clarkiem, który walczy po stronie parlamentu w ramach Związku Wschodnich Hrabstw?

Helen potakuje.

– Ja... to znaczy przebywałaś na zamku w Colchesterze z innymi oskarżonymi, tak? Przez ponad rok?

Baronet czuje się głęboko zażenowany. Wydaje się mieć nadzieję, że jeśli będzie podnosił i powtarzał rzekome fakty tonem rosnącego niedowierzania, ktoś prędzej czy później ruszy mu z odsieczą i wytknie ich rażącą niezgodność, o którą wszystko się rozbija.

Helen ponownie kiwa głową.

Baronet przywołuje swego człowieka i pyta, kto pilnuje lochów na zamku w Colchesterze oraz czy jest to szacowny człowiek (baronet bowiem zakłada, że wszyscy mężczyźni należący do niższych klas jakimś cudem się nawzajem znają; jego zdaniem musi być takie czy inne miejsce, w którym pobierają wspólnie nauki czy coś). Obydwaj konwersują przyciszonymi głosami przez dłuższą chwilę, po czym przywołany rozkłada bezradnie ręce. Baronet odprawia go z westchnieniem.

Sir Thomas Bowes unosi atlasowy palec – chyba zdoła, tak mu się przynajmniej wydaje, dotrzeć do sedna tej sprawy. W zamyśleniu przykładając opuszkę do warg, mówi powoli:

– Czyż Tomasz z Akwinu nie naucza, że potomstwo może być zrodzone z niewiasty i demona, gdy ów pierwaj pobierze nasienie od mężczyzny... i... – Nagle traci rezon. – Oczywiście musiałyby znaleźć sposób, by utrzymać nasienie w ciepłe podczas jego eterycznej wędrówki od mężczyzny do... – wskazuje naburmuszoną Helen – niewiasty.

Baronet i hrabia rzucają rycerzowi długie spojrzenie. Matthew Hopkins chrząka. Zaczyna wyjaśniać, że Tomasz z Akwinu istotnie tak naucza, aliści jako że nikt z ich grona nie jest teologiem sensu stricto, może lepiej nie wdawać się w demonologiczne dywagacje, które grożą im ugrzęźnięciem, tylko zamiast tego odesłać Helen Clarke do lochu celem przeprowadzenia ściślejszego dochodzenia i nie zaburzając dzięki temu porządku dnia, zająć się następną oskarżoną. Sędziowie skwapliwie się zgadzają, że istotnie tak będzie najlepiej, i już po chwili od strony tłumu za oknem słyszą drwiny i szyderstwa, kiedy dziewczka jest wiedziona z powrotem do lochu, tryumfalnie uśmiechnięta i obejmująca dłońmi napęczniały brzuch.

Helen Clarke przeforsowała przynajmniej czasowe odroczenie egzekucji.

W budynku sądu panuje duchota, spiekota na zewnątrz. Z rąk do rąk krążą dzbany z piwem, które chlusta na coraz czerwiejsze policzki. Rozlegają się okrzyki. Donośne tak, że oskarżone nie słyszą stawianych im zarzutów, sędziowie zaś nie wiedzą, czy kobiety przyznają się do winy, czy nie. Konkluzje są z jednej strony przesądzone, z drugiej – pozornie niemożliwe do osiągnięcia. Każdą z niewiast należy poczytać za współwinną zbrodni pozostałych. Margaret Moone nic, tylko szlocha, kiedy Abigail Hobbs opisuje detalicznie wiedźmie sutki, które odkryła u niej w dolnych rejonach. Thomas Hart unosi zaciśnięte w pięści skrwawione prześcieradło, na którym poroniła jego żona, jakby to był sztandar bitewny. Gdy Hopkins kładzie przed Liz Godwin woskowe laleczki znalezione w jej wiadrze na węgiel, w pierwszym odruchu odpowiada mu, iż ich nie poznaje. Hopkins wygina wargi w udawanym zdziwieniu i mówi:

– Doprawdy? Pochodzą z posesji twego męża, jakkolwiek na to spojrzeć.

Wtedy Liz potakuje: tak, tak, wie, na co patrzy, widziała je wcześniej, aliści to nie to, co myślisz, panie, to tylko niewinny środek na... Wyjaśnienia toną we łzach, kiedy Liz sobie uświadamia, że właśnie przepadła z kretesem (i że jej mąż, Edward Goodwin, nie pojawił się na procesie, ponieważ wie, co dlań dobre). Anne Leech zostaje oskarżona o rzucenie klątwy na niejaką Elizabeth Kirk, która odmówiła rozstania się na jej rzecz z bardzo przez nią pożądanym czepcem. Wspomniany czepiec ląduje na barierce za sprawą ojca Elizabeth, Roberta – biały z tasiecmkami w kolorze różu. Na jego widok Anne wybucha śmiechem, tłumacząc, że posądzenie o czarownictwo byłoby wystarczającą potwarzą, lecz sama sugestia, że mogłaby czymś równie ordynarnym chcieć przystroić głowę, jest dla niej nie do zniesienia (z całym szacunkiem dla

Elizabeth, niech Bóg ma w opiece jej duszę, której ów czepiec z pewnością pasował i dodawał urody). Robert Kirk wykrzykuje, że za to, co zrobiły, czarownice spłoną razem z Szatanem, i tak rozpacza po stracie najukochańszej córki, że trzeba go hamować i wyprowadzić zapłakanego z sali sądowej.

Za rzucenie uroku na wartą jeden funt mulicę będącą własnością Roberta Taylora z Manningtree, jak również za przyczynienie się do abortowania dziecka płci męskiej u Prudence Hart, Liz Godwin zostaje skazana na śmierć przez powieszenie.

Za doprowadzenie czarami do śmierci Elizabeth Kirk z Manningtree zarówno Anne Leech, jak i Margaret Moone zostają skazane na śmierć przez powieszenie.

Wreszcie na miejscu dla oskarżonych staje Beldam West, która zatopiła całą krypę i jej załogę z żadnego innego powodu aniżeli ten, że miała takie widzimisię. Z zimną krwią. Ku zabawie. Teraz Beldam wodzi wzrokiem po obecnych, zagląda we wszystkie podniecone i szydercze twarze, jakby chciała powiedzieć: tutaj też świetnie się bawię.

Jest w tej złoczyńcy pewna dostojność. Stoi za barierką, karmiąc się wyciem tłumu niczym Lilith, wyprostowana sztywno, jakby kij połknęła, nieodmiennie bez względu na to, ile czasu minie, ile loków szlachcianek z galerii się rozprostuje, kiedy tak zgrzane i upocone patrzą z wyżyn na tę potworzycę, na tę taką i owaką, na tę... Hekate. Nie odpowiada na żadne zadane jej pytanie, co tylko rozjusza zebranych, aliści ona nie słyszy ich pohukiwań – słyszy odgłos fal uderzających o brzeg. Rozmyśla o swej córce. O córce, którą te fale niosą hen.

Za sprawienie zatonięcia krypy Oliver wiozącej towar wartości trzydziestu pięciu funtów i spowodowanie śmierci wszystkich na pokładzie Beldam West zostaje skazana na śmierć przez powieszenie.

Gdy John Edes zajmuje miejsce na podwyższeniu dla świadków, pierwiej nie śmie unieść wzroku, aby przypadkiem nie zobaczyć mnie. A kiedy wreszcie spogląda w górę, i tak mnie nie widzi, bo stoję na szarym końcu przy drzwiach, za mrużącymi oczy i garbiącymi się skrybami. Omal zdążyłam zapomnieć, jaki jest. Nie podobają mi się jego krótko ścięte włosy, postarzają go, sprawiają, że wygląda podłej i bardziej jak reszta mężczyzn. Przypuszczam, iż to dobrze, że na jego widok nie czuję przyływu miłości. Nie był mi pisany. Po prostu nie był.

Mówi obojętnym głosem. Nie słyszę większości wypowiedzianych przezeń słów, ponieważ zagłusza je harmider czyniony przez gapiów, jestem jednakowoż w stanie scalić te fragmenty, które wychwytyję, w szpetną historię: poufałość, Szatan, ku rozrywce, siódmy rok, niejaki Thomas Hart z Lawfordu i jego brzemienna żona, roilo jej się, że Szatan jest równy Panu Bogu. Oskarża mnie o bluźnierstwo. Kiwa statecznie głową, poprawia mankiet, zamyśla się nad pytaniem zadany przez baroneta.

– Zległ z nią jak mężczyzna z niewiastą – odpowiada.

Tak, John... myślę. Zległeś ze mną jak mężczyzna z niewiastą. Nie spuszcza spojrzeń z jego ust, które poruszając się, mieszają mnie z błotem, i nie mogę się nadziwić, że raz po raz pewnego bładziły po mej skórze i czule wymawiały me imię. Nagle sobie uświadamiam, że on wierzy w to, co mówi. Zamienił się w swym umyśle na miejsca z Szatanem. W ten sposób jest mu łatwiej. Łatwiej wierzyć w utkane przez siebie nieprawdy. Człowiek ma tylko jedno ciało i bardzo często pragnie zapomnieć, gdzie ono było, co robiło, kogo kochało. Ja tego pragnę.

[89] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Mateusza 6,9–12.

Świadectwo Johna Edesa, klerka,

przed wspomnianym Sądem pod przysięgą dane w roku Pańskim 1645

Dawający świadectwo zeznał, iż Rebecca West wynurzyła się przed nim, jakoby circa siedmiu wiosen temu za poduszczeniem swej rodzicielki jęła paktować z Szatanem, którego się przed nią objawił kilkakrotnie pod różnaitą postacią, a to kochliwego młodzieńca, co pragnął, aby weszła z nim w zażyłość takż jak z innymi, co się przed nim rychlej pojawili, oraz prawił jej, iż jeśliby się zgodziła, toby dla niej uczynił wszystko, co by tylko chciała, w tem pomścił ją na jej wrogach, w zamian zażądał jednakowoż, coby się wyparła Pana Boga i zawierzyła jemu.

Egzekucja

Mimo że przez noc niebo zasnuło się nisko wiszącymi chmurami, nadal jest upalnie i duszno. Zbity, gęsty, lepki tłum przemieszcza się ulicami powoli od budynku sądu ku szafotowi. Słysząc wiwaty i bicie bębnow. Przekupki zachwalają gorące bułeczki i ostrygi, piwo się leje, muchy bzyczą ospale. W takie dni aż prosi się o burzę. Mam nadzieję, że jakaś nadejdzie. Chciałabym, żeby tę półrozumną mnogość nastraszyły błyskawice i pioruny. Patrząc na ich roześmiane twarze, mam ochotę napluć w każdą z osobna. Niemało osób przyszło z dziećmi, dźwigają je na ramionach, pozwalają im czepiać się spódnic. Sprawiedliwy się cieszy[90]...

Jak często w waszych głowach postaje przeklęta myśl podsunięta przez Szatana? Mnie się to zdarza, zwłaszcza gdy się nie pilnuję – wypełnia mnie okrucieństwo i bezbożność, pragnienie czynienia krzywdy tym, którzy mi ją pierwiej wyrządzili. Wstrętem napawają mnie ich oblicza, ich grymasy, ich donośność. Zalewa mnie nienawiść, która niczym fala obejmuje też postronnych, jeszcze niewinnych zła, lecz zdolnych do niego, jeśli okazja będzie im sprzyjać. Obrzydają mnie ich ciała. Ich skargi wydają się takie dziecinne. Czuję się nimi zbrukana na podobieństwo bielizniarki, której czystą i pachnącą zawartość nawiedziły brudne szare myszy. Dziś ta fala unosi się naprawdę wysoko, nienawidzę wszystkich: mężczyzn, kobiet i dzieci. Atoli stoję za plecami Hopkinsa u podstawy szafotu, składam potulnie dłonie, mając odpuszczone przez Boga, mając ułaskawienie parlamentu. Jestem wolną niewiastą – jakby w ogóle było coś takiego jak wolna niewiasta. Zerkając przez ramię, widzę spojrzenia najbliższej stojących, którzy pokazują mnie sobie ukradkiem palcami i szepcą coś za rękoma uniesionymi do ust. Przypuszczam, że będę się musiała do tego przyzwyczaić jako czarownica, która odbyła spowiedź.

Zwracam znów wzrok na szafot. Jak przebiegnie ta... egzekucja? Nie ma nikogo, kogo mogłabym o to zapytać. Nieznane mi kobiety jedna po drugiej są prowadzone na podest, odziane w bure więzienne suknie, z włosami w strąkach. Bess Clarke idzie na szarym końcu. Wspiąć się na podwyższenie musi pomóc starszce strażnik, który następnie kieruje ją pod wyznaczony dla niej stryczek, podczas gdy pozostałe skazane same ustawiają się na swych miejscach. Rozmawiają cicho między sobą, podają sobie ręce, odzywają się też do kata, jakby były jego znajomymi z dawien dawna, ale że muzyka wciąż gra, nie słyszę, co doń mówią, ich słowa bowiem zagłuszają dźwięki piszczałek. Może zapewniają go o swym przebaczeniu, a może wsuwają mu w dłoń monetę w zamian za sprawne powieszenie. Pewna słomianowłosa niewiasta o twarzy poznaczonej śladami po ospie zatacza się jakby pijana, co jest możliwe, gdyż skazanym daje się mocne piwo dla uspokojenia nerwów. Ich opanowanie zadziwia mnie. Przypuszczam jednakowoż, że w takiej sytuacji nie ma co panikować. A już na pewno nie przed czasem. Odejmując marne odzienie i brud na ich ciałach, równie dobrze mogłabym patrzeć na osiem gospodyń na targu, takie są zrównoważone. Dopiero gdy muzyka ustaje i zostaje odczytany wyrok, a pastor zbliża się do nich, aby im udzielić rozgrzeszenia, ich oblicza zastygają w masce strachu bądź przeciwnie, zdają się spływać w konfuzji. Kat zaczyna od tej stojącej najbardziej po lewej. Pyta ją o coś, lecz ona kręci siwą głową i spogląda w tłum, jakby kogoś w nim szukała. Kat sięga po kaptur, ona zaś krzyczy: „Chwała niech będzie Panu!”, zanim zdąży go jej założyć. Rozlegają się szyderstwa, z niektórych ust pada też „amen”. Następnie stryczek obejmuje szyję ukrytą pod kapturem i zacieśnia się na karku. Niewiasta po omacku pokonuje trzy wschodki

i słycać jęk sznura, gdy kat wykopuje je spod jej stóp.

– Ninie w imię Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła oddaję cię we władzę Szatanowi, mocy działania jego potęgi i siły.

Nie chcę patrzeć, jak się ciska i miota. Spoglądam na Bess, która stoi z zamkniętymi oczyma, podpierana przez strażnika od strony brakującej nogi, i wyrażam w duchu szczerą nadzieję, że staruszka nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie jest ani co się wokół niej dzieje. Hen, hen w głębi wyblakłego umysłu. Daj Bóg.

Kat podchodzi do następnej w szeregu. Jest to młode dziewczę, które z pewnością nigdy nawet nie było świadkiem egzekucji. Inne, zwłaszcza starsze wieśniaczki, musiały widzieć chociażby jedną, lecz do tej pory zdążyły zapomnieć. Czy te po prawej przyglądają się tym po lewej, kiedy się miotają i ciskają, czy obserwują je uważnie, aby pojąć, co przyjdzie przeżyć im samym za kilka chwil? A może wolą nie patrzeć, jak ja? Uświadamiam sobie, że mogłam znaleźć się wśród nich – iomal się nie znalazłam. Tę drugą w kolejności widziałam na sali sądowej, jest to żona pastora Wyatta, która teraz zawodzi jak kocię, a do niedawna mazała się na całego, odkąd umilkły piszczałki, przez co tylko twarz jej napuchła i poczerwieniała. Kat musi ją przytrzymać, bo opiera się i przed kapturem, i przed stryczkiem, rozkłada na boki patykowate ramiona i młóci nimi jak oszalała, by w końcu wyszeptać: „Przebacz mi, Boże, przebacz mi...”, po czym powtarzają się słowa: „Ninie w imię Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła oddaję cię we władzę Szatanowi, mocy działania jego potęgi i siły”. Co za bezgustowne przedstawienie, jeśliby ktoś mnie zapytał o zdanie.

Wolałabym, aby choć jedna wykrzyczała swą nienawiść, przeklęła gapiów w ich masie, wywarła na nich pomstę jak spadający meteor, rozrywając na członki i zmuszając do rozpierzchnięcia się w popłochu. Beldam by tak zrobiła. Beldam tak robi. Ale nie ma jej tu dzisiaj. Macierz zawiśnie w rodzinnej wsi, w Manningtree, ku przestrodze.

Plugastwo i ohyda wszędzie wokół, tuż nad głową sine niebo, które zdaje się przygniatać do ziemi, dławić, dusić... Obserwuję, jak lśniący owad wędruje po ramieniu Hopkinsa. Myślę: zabij go. Rozkaz skierowany w próżnię, do nikogo w szczególności, pojawił się z nagłą w mym umyśle i teraz rozpiera się w mych trzewiach niczym kopiące dziecko. Ramię Hopkinsa, oprócz owada, zdobią też kropelki deszczu, zlewające się w kształt bezanu niczym litery dające początek sekretnemu napisowi; co mniej nabożni prozaicznie wzdychają, że zanoszą się na deszcz, że przejechali taki kawał drogi, a tu będzie padać i ulewa zepsuje wszystko, w piwiarniach tłok, a do tego, pani, w dzisiejszych czasach trudno o służbę – ach, ten świat, myślę; jak w ogóle znosimy życie na nim?

– Radość w Panu jest mą ostoją! – woła następna, gdy wschodki wysuwają się spod jej stóp, ledwie dziewczynina, w której drobną szyję stryczek wrzyna się z trudem.

– Ninie w imię Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła oddaję cię we władzę Szatanowi, mocy działania jego potęgi i siły.

W oddali, za drżącym napiętym sznurem, majaczy wieża katedry.

– Już jest przy czwartej z ośmiu – komentuje gap – a pierwsza wciąż dycha.

Jego kompan tonem eksperta odpowiada, że skazane są za chude po miesiącach spędzonych w lochu o chlebie i wodzie, toteż brak im odpowiedniej wagi w stosunku do takiego długiego sznura.

– Zaiste marny to spektakl, sąsiedzie – potwierdza i kiwa głową, i pyta, czy imć Witboro ma w planach zobaczyć później walkę kogutów...

Hopkins kaszle. Odnoszę wrażenie, że cierpi przy tym, wykrzywia się bowiem okrutnie. Ukrywa się za chusteczką, po czym odsuwa ją od ust i ukradkiem bada wykwitłą na tkaninie różową plamę, zanim schowa kawałek materii do prawej kieszonki na piersi. Z jego oblicza bije

niepokój. Wraz z deszczem przyszedł chłód i kat już zbliża się do przedostatniej skazanej, tej stojącej przed Bess Clarke, muszę więc być gotowa, skrzyp, pac, chrup – „Ninie w imię Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła oddaję cię we władzę Szatanowi, mocy działania jego potęgi i siły”. Po ich spódnicach cieknie woda, ciekną siki... Wiszą niczym zgniłe owoce, wydrażone w środku, prawdziwe Drzewo Czarownic. Gdy Bess kiwa głową, stawiają ją na górnym wschodku. Niektórzy gapie zaczynają się już krzywić i odwracają spojrzenia. Bess jest najdrobniejsza i najbardziej krucha ze wszystkich skazanych, przyjdzie jej się długo dusić, „tak się nie godzi, cokolwiek uczyniła”, mówi ktoś za mymi plecami, nie imć Witboro, tylko ktoś inny, „i nieważne, czy była wybranką Szatana, czy...”.

Teraz. Robię to, co muszę zrobić. Nie wiem, co Bess Clarke słyszy i czuje w tym momencie – mam nadzieję, że nic nie słyszy i nic nie czuje; nie mam pojęcia, czy zdaje sobie sprawę, że Hopkins woła me imię, nie mam pojęcia, czy jej uszu dolatuje „Rebecca!” wypowiedziane tonem nagany, ani tym bardziej czy przez mgłę katarakty widzi biel mego czepka przemykającego pomiędzy skrzyżowanymi halabardami strażników, czy wyczuwa zamieszanie i kłopoty, które powodują, aczkolwiek tak naprawdę wyświadczam jej łaskę. Z mnogiej piersi tłumu wrywa się chóralne stęknienie, bicie bębnow zamiera, rozlega się jeden okrzyk i drugi, gdy w okamgnieniu mijam Hopkinsa i już jestem na szafocie, podskakuję i czepiam się jej... Pierwej obejmuję ją za kostki, ale kiedy to nie wystarcza, ocapiam starcze biodra, wdycham znajomą woń, ledwie co czując pod palcami, taka jest chuda, taka niematerialna jak wniebowstępny anioł, gdy przyciskam policzek do obwisłej skóry na jej brzuchu. Przydaję wagi jej bezważkości i ciągnę, ciągnę w dół – wciąż czując ciepło na twarzy, przekrzywienie czepka, wilgoć na przedzie sukni – umarła, nie wypowiedziawszy słowa, nie wydawszy żadnego dźwięku; ze złamanym karkiem, z bezwładnymi członkami wydaje się mniej opanowana aniżeli jeszcze przed chwilą.

Po wszystkim odcinają ich ciała ze sznura, znoszą z szafotu i odwożą celem pochówku w nieoznakowanym rowie, na kupie, jedna na drugiej. Podobnie jak spałyśmy w lochu. Tłoczący się motłoch szarpie je za włosy, odrywa z ich sukni fragmenty materii, w efekcie czego trafiają do grobu na wpół nagie. Kołnierz czarownicy jest wart więcej aniżeli czepek świeżo narodzonych bliźniąt, przynajmniej dla właściwego kupca, który zna moc amuletów.

[90] Biblia Tysiąclecia, Księga Psalmów 58,11.

1647

Prawdę wyznała o mężczyznach swego życia.

Chłód rosy.

Niejeden wziął jej prawość za brak obycia.

Chłód rosy.

Amy Key & Rebecca Perry, *Insect & Lilac*, 2019.

Przedwiedza

Sierpniowe popołudnie w miejscowym sklepiku. W skrzynkach leżą jabłka zielone i rumiane, śliwki zarówno jędrne, jak i dojrzałe, pięknie się prezentujące na tle czystego szarego papieru. Czerwona i czarna porzeczką, nakrapiane jajka z przyczepionymi do nich delikatnymi wilgotnymi piórkami puchu, wciąż ciepłe bochny, ciemny, aż bordowy rabarbar, a do tego pikle i dzemy. Zatem najgorsza wojna za nami, a klątwy czarownic spadły z dachów jak topniejący śnieg.

Mała Ruth Miller w schludnej czarnej sukieneczynie i wykrochmalonym fartuszką wspina się na czubki palców. Jej matka trzyma ją za prawą rączkę, a dziewczynka lewą sięga po lśniące jabłko na szczycie piramidy ułożonej uważnie przez Roberta Taylora, sklepikarza. Widzę, co zaraz nastąpi, zanim się to dzieje – zanim lśniące jabłko na samym szczycie zakołysze się i spadnie, by się leniwie potoczyć po deskach i zatrzymać przy mej stopie. Jasnozielone jabłko z niewielką kolistą plamką brązu tuż obok czarnego trzewika ze sprzączką. Schylam się, aby je podnieść. Ruth przygląda mi się badawczo z dłońmi złożonymi na fartuszką. Parę złocistych włosów sterczy jej spod koronkowego czepka. Uśmiecham się i podaję jej jabłko. Widzę to – drobną rączkę – widzę to, zanim się to stanie. Jest to dzień, w którym zabiję człowieka.

Ruth sięga po jabłko, lecz Leah Miller chwyta ją za ramiona i odciąga ode mnie, mówiąc „nie” głośno: „Nie, Ruth!”. Dziewczynka cofa rękę jak oparzona. Leah Miller rzuca mi pełne nienawiści spojrzenie i ciągnie dziecko w stronę wyjścia, odraza w niej jest tak silna, że zostawia swe masło i porzeczki. Przywykłam już do takich niemiłych incydentów. Ponieważ właściciel sklepiku znajduje się na zapleczu, wsuwam do kieszeni jabłko i porzeczki, a co tam. Grzech rodzi grzech.

Wracając do oberży Thorn Inn w Mistlej, muszę przejść przez błonia. To tutaj, pod starym dębem, w takie samo popołudnie dwie wiosny temu zawisła Beldam West. Ona, Liz Godwin, Margaret Moone i Anne Leech, wszystkie razem, stadko kaczek dziwaczek. Nigdy nie udało mi się ustalić, co spotkało Helen Clarke i jej dziecko, rzekome nasienie Szatana. Nie byłam obecna przy egzekucji, która miała miejsce podczas okresu mej głębokiej melancholii, kiedy to Hopkins uznał, że najlepiej będzie, jeśli nie opuścę swej izby. Większość mieszkańców Manningtree jednakowoż wyległa na błonia. Jak przypuszczam, w pewnych kręgach nadal wspomina się tamto wydarzenie – nasz własny szafot, na którym w dodatku szyję dały niewiasty – lecz nikt nie jest tak nieczuły, aby mówić o tym przy mnie. Nie wiem zatem, jak wszystko przebiegło. Ale tak to sobie wyobrażam.

Pałace popołudnie, zmierzające do chłodniejszego wieczora, który nieco ostudzi powietrze. Wzniciam lekki wietrzyk, by poruszył liśćmi starego dębu. Prokuruję odpływ dla lepszego widoku – czynię jeden z tych dni, gdy rzeka się cofa i połączenie mułu odbijają niebo. Beldam West stoi na szafocie, ma stryczek okręcony wokół szyi i patrzy na północ. Nie szuka mej twarzy pośród zebranych na błoniach sąsiadów. Wie, że nie przyjdę, wie, że nie chciałabym tego oglądać. Spogląda w dół wąskiej uliczki, ku migocącym równinom i ukwieconym łąkom, i w myślach biegnie przez to pluszczące, błyszczące pole ognia, na przełaj przez łagodne wzgórza za nim, a stamtąd – kto to może powiedzieć? – do piekła, jeśli tego właśnie sobie życzy. Może faktycznie była czarownicą i tam czułaby się najlepiej? Teraz już nigdy nie dowiem się tego na pewno.

Zgromadzeni na błoniach stoją milczący, poważni, okazując jej szacunek i nie umiejac

rozsądzić we własnych sercach, czy to, czego zaraz będą świadkami, dzieje się słusznie, czy nie. Czasami Beldam mówi i robi różne rzeczy, za mą sprawą mamroce przekleństwa, mam jednakowoż pełną świadomość, że to, co powiedziała i uczyniła w rzeczywistości, było po stokroć lepsze, gdyż nie zaszczyciła pastora ani słowem, kiedy dawał jej rozgrzeszenie, Hopkinsowi natomiast obiecała ponownie, że udławi się własną krwią. Na tym me wyobrażenie się kończy, ani myślę tego ciągnąć. Nie wiem też, gdzie została pochowana – ani ona, ani Margaret, Anne i Liz. Aliści bez wątpienia jest to hałaśliwy grób, z którego wystrzela w górę wiele ohydnych jaskrawych, zadzierzystych kwiatów karmionych ich swarliwymi szkieletami. Chciałabym móc opowiedzieć wam więcej o macierzy. Czy też mieć o niej szerszą wiedzę, którą mogłabym zachować w całości dla siebie. Urodziła się w Clacton nad morzem w roku Pańskim 1600, miała jedną córkę, była przyczyną licznych utrapień, zmarła.

Co do mnie zaś... Jestem Rebecca West, sierota, która przyznała się do grzechu czarownictwa. Idę brzegiem rzeki Stour pośród kołyszącej się krwawnicy, ze skradzionym jabłkiem w kieszeni. Zanim zabiję człowieka, zabiję ptaka – na kolację.

Skrucha

Oberża Thorn Inn jest obecnie nie tyle gościńcem, ile duchem gościńca. Kto chciałby topić swe smutki kondygnację poniżej skradającej się czarownicy czy pod nieufnym okiem jej bogobojnego stróża? Biedny Matthew, biedna Rebecca, wyrzuceni na ten sam brzeg, z którego zaczęli swą wędrówkę, krusi i nijacy jak kawałki drewna wyniesione przez fale na piasek. Główna izba na dole ziele pustkami, kubki i naczynia pokrywa kurz.

Dotrzymał obietnicy danej mi w Colchesterze i zaopiekował się mną. Sprowadził mnie do oberży Thorn Inn w charakterze posługaczki, lecz musiało minąć wiele czasu, zanim przypomniałam sobie, jak być użyteczną. Miesiącami polegiwałam w swej izdebce na piętrze, przy zaciągniętych kotarach w wiecznym mroku, rojąc, że jestem znowu w lochach zamku, że otaczają mnie ciepłe ciała tamtych – macierzy, przyjaciółek w biedzie. Zaciskałam ciasno oczy i łudziłam się, że gdy je otworzę, zobaczę blask ogarka i kajdany. Że Helen Clarke będzie jak zawsze rozdrapywać pryszcz, który zrobił jej się na górnej wardze. Nadaremno. Łóżko było za miękkie. Z początku Hopkins zachodził czasem do mnie i przysunawszy sobie bliżej krzesło, siedział i czytał na głos Pismo, nigdy jednakowoż nie poważył się odciągnąć kotar ani spojrzeć na mnie. Jego słowa przenikały zasłony baldachimu i dudniąc, wdzierały się impertynencko i władczo w me sny na jawie, w których byłam znów w celi, miałam wszy i cierpiałam na skręt kiszek. Czytywał Księgę Hioba i Księgę Rodzaju. Daniel w jaskini lwów, jakżeby inaczej. „Mój Bóg posłał swego anioła i on zamknął paszczę lwom”[91]. To tam umarłam, bom musiała. A później niezwykle powoli wynurzyłam się z powrotem.

Przyszło mi się od nowa uczyć, jak być. Odkryłam, czym jest dla mnie Manningtree, odkąd jasne punkty odniesienia, według których wiodłam swe życie, nagle zmieniły położenie bądź zostały całkiem zdmuchnięte. Macierz nie żyła. John Edes wyjechał i jak powiadali, zaciągnął się do Armii Nowego Wzoru. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić w czerwonym mundurze tej formacji, bo w czerwonym nie było mu do twarzy. Z łatwością jednakowoż przedstawiałam sobie, jak zabija człowieka czy sam ginie zabity. Zwłaszcza ta ostatnia myśl okazała się miła dla mego ducha – ma mściwość już dawno przestała mnie dziwić. Judith Moone zniknęła ze wsi mniej więcej wtedy, gdy nas pojmano; niewątpliwie dała nogę, obawiając się o własne życie. Widzicie? Wszyscy oprócz mnie obrali drogę tchórza. Może zatem w istocie jestem nieodrodną córką swej matki? W domostwie Hopkinsa zamieszkali: Priscilla Briggs, obecnie wdowa, którą najął na gospodynię (i która miała dobre powody mnie nienawidzić), oraz para dzieci – Samuel Tapp i Verity Cate. Zdaniem tej trójki byłam impostorką, gorzej nawet – trucizną. Żmiją, którą pan domu wpuścił za drzwi przez źle pojętą wrażliwość. Ale przynajmniej wszyscy troje się mnie bali, co oznaczało, że swą nienawiść okazywali, rzucając mi kose spojrzenia i obgadując mnie za plecami, ja jednakowoż ucierpiałam już od plotek bardziej aniżeli jakakolwiek inna kobieta. W nosie miałam plotki.

Co do Hopkinsa, pojawiał się i znikał. Tak to działało: dostawał list od mieszkańców jakiejś wsi czy osady, na którą spadły nieszczęścia, ale nikt nie umiał się doszukać ni wzoru w nich, ni rady na nie; czytał mi wyimki listu, przy czym wzdychał i kręcił głową nad okrutnym traktowaniem przez Szatana niewinnych Anglików (jakby określenie „niewinny Anglik” nie było oksymoronem). Same obscena. Dzieci wyrzygujące szydła, wszeteczeństwo na ulicach, smukli mężczyźni tańczący na dachach w blasku pełni księżyca. Rajcy gwarantowali nałożenie specjalnego podatku na mieszkańców, aby było z czego łożyć na jego utrzymanie, jeśliby tylko

przyjechał. „Błagamy, przybądź waść, przybądź i poradź, co począć, kogo winić. Snadź masła niepodobna ukręcić”. I Hopkins wzywał Johna Stearne’a, wzywał Priscillę Briggs i ruszał z nimi w drogę. Słynny mąż, wojownik Boży. Zgoła prorok Nowego Jeruzalem, które majaczyło już za ścianą zimnej mgły jutra. Kraju, w którym dobrzy i prawi śpiewają psalmy w każdym domu, a każda niewiasta zna swoje miejsce, które jest pode mężczyzną, coby byli jednym ciałem[92]. A ziści się to już pojutrze. Popojutrze.

Ilekcioć wyjeżdżał, czułam względne zadowolenie. Dużo czytałam. Aliści chyba nie powinnam. Hopkins był bogobojny, lecz nie można powiedzieć tego samego o jego bibliotece. Odkładałam tam szmatkę do kurzów i przenosiłam się w dziwny zakątek niebios, po którym oprowadzał mnie nieznamy przewodnik. Tak dowiedziałam się o doktorze nazwiskiem Dee, który za pomocą polerowanego kamienia i starożytnego alfabetu komunikował się z aniołami. Dowiedziałam się o tamtym wyjątkowym cudzie, trzech płonących słońcach, które ukazały się nad Londynem 19 listopada 1644 roku, to jest w dzień urodzin króla Karola, i co astrolog William Lilly uznał za szczególnie zły omen dla naszego niejaśnie pana. Dowiedziałam się, że niegdyś było wielu bogów, a nawet boginek i bogiń, i że niektórzy z nich mieli rogi, ale pod takim czy innym przebraniem chadzali między ówczesnymi śmiertelnikami, a także mieszały z nimi potomstwo. Wiem, iż te opowieści przez większość osób uważane są za zwykle heretyckie przesądne bajania, ale według mnie niewiele się różnią od współczesnej gadki o Szatanie, który staje w progu ubogiej wdowy w stroju domokrażcy i pokazuje jej trefne towary. Innymi słowy, dowiedziałam się, że świat pełen jest dziwów. Nie będę udawać, że wszystkie ogarniam rozumem.

Pod nieobecność Hopkinsa oddawaliśmy się swym zajęciom, spożywali proste posiłki przy kuchennym stole i wcześniej kładli się spać, po czym ja przynajmniej, leżąc w ciemnościach, nasłuchiwałam, czy z dziedzińca nie dobiega stukot podków, czy Łowca Czarownic nie zeskakuje z siodła swego ogromnego czarnego wierzchowca, by zaraz skryć się we wnętrzu, zmarznięty i podekscytowany po długiej podróży; czy nie woła, abym przysłała ze swej izdebki i rozsznurowała mu buty, podczas gdy on będzie opowiadał mi o staruszku zatapiającym łodzie jednym kłaśnięciem bądź o kobiecie na usługach Szatana, odkąd ów powiedział jej, że trzyma w garści dusze trojga jej przedwcześnie zmarłych dzieci i że wymiędli je jak len, chyba że mu się odda cała. Widziałam, że Hopkins czerpie ze swych działań przyjemność równą tej, którą ma dobra gospodyni po porządkach. Przepadał za bałaganem, cieszył się, gdy pokazano mu brud, kołtun, coś obrzydliwego do uprzątnięcia. Aldeburgh, Ipswich, Northampton – pozbywał się zgnilizny, szorował, zostawiał za sobą mieszkańców czystych i pachnących jak dzieci gotowe rano udać się na nauki. Ojciec nasz, który jesteś w Mistle.

Przebywając pod dachem oberży Thorn Inn, napawał się mym posłuszeństwem. Pościliśmy razem – trzy dni, cztery, siedem, spożywając tylko suchy chleb razowy i wodę, czasem odrobinę ciepłego mleka. Po tym jak wracał do domu z ogarem (świeżo nabytym – John Stearne nazywał to „pańską pozą”) i zastawał mnie na kolanach przy myciu podłogi, zdawał się zdziwiony mym widokiem i zniecierliwiał mnie do mej izby, abym błagała Pana Boga o przebaczenie licznych grzechów. Zamykał za mną drzwi na klucz. Cokolwiek jadłam, cokolwiek nosiłam, należało doń i przez to – co uświadomiłam sobie pewnego dnia, wynosząc na zewnątrz wiadro z brudami – było okupione krwią. Nie pozwalał mi się wypuszczać do wsi, nie lubił nawet, gdy spacerowałam skrajem lasu, którego zmieniające się kolory mogłam podziwiać przez okno mej izdebki na piętrze. Wyczuwałam jego niepewność. Rozchwianie jego intencji. Widział we mnie skrzyżowanie ulubieńca z więźniem, nigdy nie przestał myśleć o mnie jako o czarownicy. Trzymanej przezeń na uboczu, w mrocznej zalanej deszczem sadybie nad rozpadliskiem. Pod pewnymi względami byliśmy jak małżeństwo. Dzięki Verity Cate

usłyszałam, że co bardziej romantycznie usposobieni wieśniacy prorokowali uświęcenie naszej dziwnej unii – ich zdaniem Hopkins miał wkrótce rozciągnąć nade mną mężowską opiekę, po tym jak pierwiej uratował mnie z jaskini lwów. Nie wątpię, że była też inna, mniej zbożna wersja. Wyobrażam ją sobie podawaną z ust Mojżesza Stepkina czy Richarda Edwardsa: „Nie ma słodszej towarzyski łożnicy aniżeli ta, której posmakował Szatan, starczy spytać naszego drogiego Matthew”. Mógłby mnie zakosztować jak owocu zakazanego. Widziałam to po jego oczach, po układzie ust, gdy przynosiłam mu porto i siadałam do cerowania, a on czytał mi na głos Ewangelię. Czasami myślałam, iżby to wreszcie zrobił, o ileż wszystko byłoby wtedy łatwiejsze. Jakkolwiek spojrzeć, nierządnicą ma przynajmniej przypisane swe miejsce.

Tak upłynął rok, półtora, świat zmienił się pod jego stopami, atoli on tego nie zauważył, albowiem wzrok miał zwrócony ku niebu. Zaczęło się od Bury St. Edmunds, dokąd pojechał rozpedzić sabat rzekomych czarownic. Tamtejszy kaznodzieja przemówił przeciwko niemu, powiadają, tak że musiał się stamtąd zabierać, ledwie się pojawił, takie były zwarzone nastroje miejscowych. Gdzieś indziej, po tym, jak przegonił lokalnego pastora, ludzie jęli się burzyć, niektórzy nawet twierdzili, że Łowca Czarownic się pomylił, że sam pewnie został zwiedziony na manowce przez Szatana. Bo widzicie, na tym polega praca Łowcy Czarownic – ilekroć go wzywają, dawno już postanowili, kogo chcą się pozbyć, a gdy zmienia zdanie po fackie, winę zwalają na Łowcę Czarownic. Każdy prorok prędzej czy później staje się pariasem.

Znaleźli się również londyńczycy, którzy mówili i pisali o Naczelnym Łowcy Czarownic, jak się przedstawiał. Ktoś doszedł do wniosku, że Hopkins i jemu podobni podsycają przesady panujące wśród prostych ludzi, którzy czują przed Łowcami Czarownic – albowiem Hopkins miał naśladowców – większy respekt aniżeli przed Chrystusem, Bogiem czy Ewangelią. Inni utrzymywali, że wynalazki Hopkinsa, takie jak prowadzenie wkoło czy nakłuwanie, zbytnio są zbliżone do bezprawnych tortur i jako takie powinny być zakazane, a w ogóle cała ta nasiąknięta krwią afera zanadto trąci francuszczyzną. Albo co gorsza, hiszpańszczyzną. Później zaś, podczas roków w Norfolku, paru oświeconych mężczyzn zaniósł swe obiekcje przed sąd, który miał zdecydować o losie kilku niewiast postawionych w stan oskarżenia przez Hopkinsa. Niewiasty puszczono wolno. Publiczne upokorzenie. I tak, namaszczony przez Boga czy nie, Hopkins zaprzestał wykonywania swych obowiązków. Uczynił to przed tym nawet, zanim wiatr jął wiać w przeciwną stronę, wrócił do Mistley z ostatnią pękata sakiewką srebra i uznał, iż odtąd będzie zwykłym ziemianinem. Ma dość bogactw, aby żyć dobrze, tyle że mężczyzna taki jak Hopkins nie wie, co oznacza dobre życie. Ani nawet – jak żyć.

Jest więc obrażony na cały świat. Ma dwadzieścia sześć wiosen i nikogo, kto by go kochał. Nie można też zapominać o kwestii jego zdrowia, ewidentne są uń bowiem skłonności do gwałtownych ataków kaszlu. Gdy nie wypłuka płuc, dyszy i sapie. Nie da się wykluczyć, że zbyt wiele spędził czasu w wołających o pomstę chałupach oraz wśród miazmatów w lochach; nie da się wykluczyć, że klątwy rzucone nań przez mieszkanki Esseksu wreszcie się zmateriałyzywały w postaci bezdenne go mroku, który opadł mu na pierś i teraz wyciska zeń życie; nie da się nawet wykluczyć, że to zwykła febra, którą roznosi mgła znad moczarów. Cokolwiek mówić, Hopkins podupada na zdrowiu, i to szybko. Zamyka się w swej izbie z fajką na tytoń, którego palenie zalecił mu medyk, zapewniając, iż dobrze robi na osłabione płuca. Oddaje się pisaniu.

Co sprowadza nas z powrotem do sierpniowego popołudnia.

[91] Biblia Tysiąclecia, Księga Daniela 6,23.

[92] Aluzja do Listu do Efezjan 5,31 (Biblia Tysiąclecia).

Księga

Siedzę na wschodku tylnych drzwi. Z tego miejsca mam dobry widok na wzgórze, czyste granatowe niebo poprzecinane delikatnymi żyłkami gasnącego blasku dnia. Trochę mi zimno, w kuchni jednakowoż buzuje ogień, który grzeje mi plecy, poza tym miło mi się tu siedzi. Skręciłam kark kogutowi na kolację Hopkinsa. Teraz obskubuję go z piór. Mam garście pełne białego puchu. Jestem spokojna. Słucham ptasich treli, słodkich i smutnych, jakby żałobnych przez wzgląd na tłustego koguta na mym podołku. Suka Hopkinsa wałkoni się pod płotem, wężąc w powietrzu. Może tak jak ja czuje już pierwsze oznaki zimy, która tutaj, pod dachem oberży Thorn Inn, będzie długa i nudna, bez choćby przerwy na radosne obchody Bożego Narodzenia, które by złagodziły ponury czas, albowiem mój pan jest purytaninem, a purytanie uważają za bluźnierstwo świętowanie w imię Jezusa Chrystusa. Atoli daleka jestem od uzalania się na nudę.

Wiem, że ktoś wszedł do kuchni, ponieważ pies odwraca łeb, by spojrzeć w stronę otwartych drzwi, w których progu siedzę. To Hopkins mnie szuka. Stoi obok stołu niczym Łazarz w swym tużurze i adamaszkowym birecie, z ciemnymi kręgami pod oczyma. W jednej dłoni gniecie poplamioną chusteczkę – przy pracy znajduję je porzucone w całym domu, czerwono-białe, wykończone koronką, przypominające poturbowane pisklęta. W drugiej trzyma książkę.

– Rebecca – mówi. – Chcę ci coś pokazać.

Zamierzam odłożyć na bok koguta i opłukać ręce w wiadrze, ale Hopkins do mnie podchodzi.

– Ładny wieczór – zauważa, patrząc na siny opar unoszący się nad polami, głosem cichym i obarczonym wiedzą. Kiedy pierś podnosi mu się i opada, z głębi jego gardła dobywa się wilgotny terkot westchnienia.

Ponieważ znajduje się tak blisko mnie, zamieram ze zwiotczalym kogutem na podołku. Milczę. Muska opuszkami mój kark tuż pod czepkiem, okręca na palcach krótkie kosmyki, których nie udało mi się spać razem z resztą. Czuję ten dotyk całą sobą, chłodny, nienawykły, czuły. Jego dotyk. Zapewne nazywa niebo firmamentem. Palce przemykają, by spocząć na mym ramieniu, potem na policzku, aż w końcu jestem zmuszona wesprzeć głowę o jego nogę. Chwila jest z całą pewnością nabrzmiała... ale czym? Ktoś, kto by patrzył na nas z boku, mógłby pomyśleć, że czulimy się do siebie.

– Co powiesz na to, abyśmy zażyli powietrza po kolacji? – proponuje Hopkins. – Przespacerowali się nad rzeką? To by mi dobrze zrobiło.

Nie poznaję go. Mimo to przystaję na propozycję.

– Jak sobie życzysz, panie.

– Świetnie – odpowiada i odsuwa się ode mnie. – A teraz chodź.

Strząsam śmiecie z fartucha i podążam za Hopkinsem do kuchennego stołu.

– Otrzymałem to dziś z drukarni w Londynie – oznajmia. – Pomyślałem, że chciałabys zobaczyć.

Prezentuje cienki wolumin zgrabnie oprawiony w czarną skórę cielęcą. Zwilża kciuk i przerzucając okładkę, otwiera na stronie tytułowej: *The Discovery of Witches: In Answer to severall queries, lately Delivered to the Judges of Assize for the County of Norfolk. And now published by Matthew Hopkins, Witch-finder, for the Benefit of the whole Kingdom*[93] (z

dopiskiem pod spodem: „Księga Wyjścia 22,17: Nie pozwolisz żyć czarownicy”). Mam przed sobą ni mniej, ni więcej, tylko jego rozprawę napisaną we własnej obronie. W tej samej chwili pojmuję, iż Hopkins zrozumiał, że szczytowy okres ma dawno za sobą. Jest zdania, że niebawem umrze. Czuję, że na mnie patrzy, że się uśmiecha. Wybrańcy Boży witają śmierć jak zbawienie.

– A wszystko zaczęło się od ciebie, Rebecca – rzuca. – Wszystko zaczęło się... – przewraca stronę tytułową i wskazuje palcem na frontyspis – ...tutaj.

Spoglądam na grawiurę, która przedstawia staruszkę Bess Clarke i macierz, dwie niewiasty zgarbione na krzesłach. Wokół nich taniec odprawia zespół dziwnych stworzeń: czarny królik, jakiś biały stwór będący na poły krową i na poły psem z długim zakręconym ogonem, a także jakowaś maskarna bestia o twarzy dziecka. Kobiety zaś żywo gestykują, nazywając poszczególne istoty: Neues, Holt, Grizzel, Greedigut, Peck in the Crown, Jarmara, Sacke i Sugar, Vinegar Tom[94]. Ukradł imię Vinegar Toma. Centralną część grawiury zajmuje nie kto inny jak Łowca Czarownic z obliczem o wyrazie znużonej, lecz niezłomnej szlachetności, w swym słynnym wysokim czarnym kapeluszu i lśniących ostrogach, nie do pomylenia z jakąkolwiek inną osobą, trzymający jedną rękę przyciśniętą do piersi gestem przerażenia podszytego stanowczością. Nie wiem, jak zareagować. Próżność bijąca z ryciny jest godna śmiechu, zwłaszcza gdy pomyślę, że Hopkins, chcąc wypaść tak, a nie inaczej, musiał pierwiej wyjaśnić artyście, któremu przyszło stworzyć to dzieło w jakiejś londyńskiej oficynie, jak dokładnie ma być ubrany. „Noszę wysoki czarny kapelusz – napisał bądź powiedział. – Buty z cholewami za kolana. I mam kręcone włosy”. Wodzę wzrokiem od wizerunku Naczelnego Łowcy Czarownic do chudego, wycieńczonego mężczyzny chwiejącego się na nogach przy kuchennym stole, w nieświeżym tużurze i z bańkami krwi na ustach. Nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Mądrze byłoby powiedzieć to, co chce usłyszeć, po raz pierwszy od roku jednakowoż nie mam pojęcia, co by to miało być. Decyduję się więc uderzyć w sentymentalną nutę.

– Śniło mi się raz, że pocałowałaś mnie w szyję, panie.

Przygląda mi się ciekawie, a ja się cieszę, że powiedziałam właśnie to, ponieważ teraz piłka jest po drugiej stronie i to on nie wie, jak zareagować.

– Doprawdy – mówi po dłuższej chwili.

Słowo to może wyrażać zarówno naganę, jak i zainteresowanie, a gdy nadać mu określony ton, w ogóle nie determinuje nastawienia mówiącego. Podczas gdy stoimy twarzą w twarz, w piecu trzaskają płomienie. Suka się pojawia, by zaskomleć i trącić nosem skraj odzienia swego pana. Wytrzebiona ogarczyca trzymana w domu ponoć odstrasza duchy.

Przenoszę spojrzenie na grawiurę. W jednym rogu czarny królik, Sacke i Sugar.

– Macierz czasem nazywała mnie swym Króliczkiem – mówię, sama nie wiem dlaczego. Jest w nim coś, co skłania do zwierzeń. Mnie przynajmniej. Złamany pozna złamanego. Zresztą komu innemu poza sobą miałabym mówić pewne rzeczy?

– Twa matka była przeklęta i najlepiej zrobisz, jeśli o niej zapomnisz. – Zatrząskuje okładki księgi.

– Również jesteś sierotą, panie? – pytam.

Zerka na mnie, jakbym sama była zjawą.

– Nie – odpiera wolno. Po czym dodaje: – Ma rodzicielka była niezwykle cnotliwą niewiastą. Niderlandką.

Była... Niczego więcej się nie dowiem, ponieważ zagania mnie z powrotem do pracy, porywa księgę z blatu i oddala się korytarzem w stronę swej izby, nadal chwiejnie.

Kończę obskubywać koguta, płuczę go w środku, nadziewam, krępię nogi kawałkiem sznurka. Później siadam znów na najwyższym wschodku, by obserwować, jak gaśnie dzień, swym zwyczajem w kompletnym bezruchu. Suka podchodzi do mnie i składa mi pysk na

kolanach.

– Tak – mruczę do niej cicho. – Tak, biedactwo. Twój pan umiera, a ty zostaniesz sama na świecie.

Oczy ma kaprawe i smutne. Takie jak zawsze. Nie znam ogarzycy, która by nie miała żalostnej miny. Tej Hopkins nigdy nawet nie nadał imienia. To jego suka.

„Moja suka”, tak ją zawsze woła.

[93] *The Discovery of Witches...* (ang.) – Odkrywanie czarownic: odpowiedź na kilka pytań ostatnio przedłożona sędziom hrabstwa Norfolk i teraz opublikowana przez Matthew Hopkinsa, Łowcę Czarownic, na użytek całego królestwa.

[94] Imiona zaczerpnięte z autentycznej grawiury, na której wyróżniono następujące chowańce: 1/ Ilemauzar, 2/ Pyewackett, 3/ Pecke in the Crowne, 4/ Griezzell Greedigutt oraz Holt, Jarmara, Sacke & Sugar, Newes i Vinegar Tom.

Suchoty

Na polecenie Priscilli Briggs pukam do drzwi Hopkinsa. Odpowiada mi cisza. Wołam go po imieniu. Nadal nic. Aliści jak mawiała macierz, mężczyzna w każdym wieku potrafi się dąsać, jeśli tylko nadarzy się okazja.

– Kolacja, panie – oznajmiam i pukam ponownie.

W dalszym ciągu żadnej reakcji. Naciskam więc ostrożnie klamkę. Drzwi okazują się otwarte.

Wnętrze izby wypełnia szare wieczorne światło, które sączy się przez na wpół zasłonięte okno. Ogień w kominku zdążył zgasnąć. Sprzęty przypominają własne cienie, niewyraźne jak kość w wodzie: biurko, gzyms kominka, książki ułożone w stos na dywanie i leżąca na drewnianej ławie niewyraźna postać... tak, mężczyzny... z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękoma, odwróconymi dłońmi do góry. Ciszę zakłóca jedynie słabe gruchanie gołębi, które zagnieździły się w kominie. Znów wołam go po imieniu. Jest bezwładny, z głową odchyłoną do tyłu, jakby unosił się w stężonym mroku.

– Panie? Matthew?

Ani drgnie.

Na przedzie jego nocnej koszuli widnieje ciemna plama. Omal nie wrywa mi się krzyk, ponieważ wygląda jak krew. Sama nie wiem kiedy opadam na kolana przy ławie i chwytam go oburącz za ramiona. Czuję, że przez suknię przesącza się wilgoć. W nozdrza uderza mnie zapach. To nie krew – to wino. Butelka potoczyła się pod ławę, trącając lekko opróżniony kubek. Musiał mu się wysunąć z dłoni. Ciemna plama rozszerza się na róże zdobiące skraj tureckiego dywanu. Czy on nie żyje? Dziwne uczucie znaleźć człowieka nieżywego. Wraca mi na pamięć tamto ładne słowo: kadawer. Ujmuję butelkę i właśnie przymierzam się do wstania, gdy nagle coś słyszę. Jakby drapanie. Dochodzi skądś z tej izby. Jak kiedyś dostrzegam Go tylko kątem oka – ponury złoty błysk niczym klejnotu odkładanego prędko do kieszeni złodzieja. Wrażenie ciepłego oddechu na mej szyi. Mimowolnie mówię:

– Dziękuję. Nie sądziłam, że to...

Nagle wrzeszczę, wrzeszczę na cały głos, gdy lepka dłoń obejmuje mnie za nadgarstek.

W półmroku Hopkins na wpół otwiera oczy. Chce coś powiedzieć, lecz niczego nie artykułuje wyraźnie przez krew zalewającą mu krtań. Czerwień pryska z jego ust i zachlapuje mu przód koszuli, gdy dopada go kolejny atak kaszlu. Podciągam go za ramiona do pozycji siedzącej, aby łatwiej mu się oddychało, i rożkiem fartucha ocieram pajęczynę różowej śliny, którą toczy z ust. Wydaje się taki lekki. Ostatnio taka lekka w mych ramionach była Bess Clarke.

– Coś ty zrobiła? – Priscilla Briggs staje w drzwiach izby. Pewnie usłyszała mój wrzask. Prawą dłonią, zaczerwienioną od prania na tarze, zasłania usta.

– Nic! – odkrzykuję, zastanawiając się, czy słyszała, jak z Nim rozmawiam. – Nic – powtarzam i staram się wziąć w garść. – Matthew zachorzał. Trzeba natychmiast sprowadzić medyka. Nie jest w stanie oddychać...

Gdy odchylam do tyłu głowę Hopkinsowi, ze świstem nabiera do płuc zastałego powietrza i jakby się uspokaja. Rozluźnia uścisk palców na mym nadgarstku, lecz nadal ma szeroko rozwarte oczy o gorączkowym spojrzeniu, które wbija w mą twarz tuż nad jego. Priscilla biegnie po Samuela, zostawiając nas znów samych. Klęcząc nadal obok ławy, podtrzymuję Hopkinsa w dogodnej pozycji, dzięki której z trudem, bo z trudem, ale oddycha. Wygląda na

zdziwionego. Być może dziwuje się mej pomocy, a może śmierć sama w sobie to dziw, gdy wyrasta znieczeka u ramienia człowieka jak ponure ptaszydło. Czuję drżenie jego ciała, odgarniam mu włosy ze zroszonego potem czoła. Chyba powinnam wyrzec jakieś słowa ukojenia albo zaśpiewać psalm, stwierdzam jednakowoż, że jestem odarta z czułości. Przykładam więc usta do jego ucha i pytam – jak on kiedyś zapytał mnie:

– Powiedz mi, Matthew... Czy masz wciąż swój dziewiczy wianek?

Toczy oczyma w mą stronę, gdy się odeń odrywam, i tylko świszczy, na co się uśmiecham.

– Bo ja nie – dodaje. – Postarał się o to twój bogobojny przyjaciel John Edes. Choć coś mi mówi, że o tym wiedziałeś. Domyślam się, jakie to przykre odmawiać sobie ziemskich przyjemności w przekonaniu, że inni też to robią, i nagle odkryć, że kompani przez cały czas tylko udawali. No ale Bóg zna prawdę o sercu każdego człowieka. Wie, jakie kierują nim intencje.

Okrutne? Tak. Atoli jeśli nie teraz, to kiedy? Druga taka okazja może się już nie nadarzyć.

Hopkins rozdrzyna nozdrza, a w kątku jego ust pojawia się kolejna krwawa bańka. Ścieram ją rąbką fartucha. Dopiero teraz spostrzegam na podłodze jego księgę, *Discovery of Witches*, ze śliczną nowiutką okładką z cielejącej skórki splamioną portem.

– Przeczytam twą książczynę – obiecuję. – Przeczytam ją, jak już umrzesz. Boisz się piekła?

Za odpowiedź muszą mi wystarczyć nagłe konwulsje i bulgot krwi w jego gardle. Ogarnia mnie nagła czułość. Nie doń, lecz do wszystkich innych ludzi. Cały ten strach i konfuzja, świat piętrzący swoje przerażenie i piękno wysoko na naszych złamanych plecach. Nie wybaczam mu, ale go obejmuję. Mówię, że mym zdaniem nie idziemy ani do piekła, ani do nieba, tylko zagłębiamy się w nicłość. I że nicłość nie jest taka zła. Wiem, bo doświadczyłam jej wcześniej.

Doktor Croke płucze ręce i nakrywa nagą pierś Hopkinsa – mokrą i drżącą w migotliwym blasku palącego się tataraku, i jak się okazuje, bezwłosą, co stwierdzam ze zdziwieniem. Medyk zmył zaschniętą krew z ust pacjenta, który od chwili oddycha już lżej, aliści nadal z wyraźnym wysiłkiem, wydając przy tym odgłosy piłowania.

– Będziesz go doglądać, Rebecca? – pyta mnie doktor Croke. – Niemądrze by było wpuszczać tu pochód ludzi. Przypadłość twego pana jest zaraźliwa. Zatem – grozi mi palcem – żadnych gości.

Jak gdyby w Manningtree ostał się ktokolwiek, kto by chciał złożyć wizytę na tym cmentarzysku... Kiwam jednakowoż głową. Medyk najwidoczniej uważa mnie za najłatwiej zastępowalną członkinię domostwa, skoro porucza mi opiekę nad chorym – i słusznie czyni. Zatrząskuje skórzany kuferek i wstaje, zamiatając połami.

Odprowadzam go na korytarz i na dół, do głównej izby.

– Och! – wyrzuca z siebie, porwawszy zakurzoną butelkę z na wpół opustoszałej półki za kontuarem. – Claret. Czy mogę?

Kołysze butelką w rękę z urwisowskim uśmiechem na twarzy. Zatem plotki nie kłamią.

Wzruszam ramionami, co poczytuje za wystarczające przyzwolenie, bo schyla się po dwa kubki.

– Co mam robić? – pytam go, kiedy wprawnie je wyciera koronkowym mankietem.

Teraz to on wzrusza ramionami. Rozlewa wino do kubków.

– Suchoty są bardzo zaawansowane. – Wzdycha, stukając paznokciami w szyjkę butelki. – Tak naprawdę niewiele pozostało. Chyba że masz pod ręką jakowegoś króla, który by użyczył dotyku swych dłoni? Choć po namyśle, jeśli by tak było, poradziłyby ci go wydać ludziom

parlamentu. – Wybucho śmiechem i upija łyk. – Podzielilibyśmy się nagrodą. – Zęby ma drobne i brązowe jak żołądziej. Gapię się nań pustym wzrokiem, aż mu się to znudzi i łaskawie potraktuje me pytanie poważnie. – Cóż – zaczyna ponownie. – Podawaj mu grzane wino trzykroć w ciągu dnia. Pilnuj, by w kominku ogień nigdy nie gasł. Ocieraj mu usta z krwi. I... hm... módl się, jak sądzę. Zostały mu dni albo... Moc Pana jest wielka, a Jego łaska nieskończona.

Opadam na zydel przy stoliku, a on stawia przede mną kubek, sam zaś wraca do kontuaru, aby dalej go podpierać. Siedzę z dłońmi złożonymi na podołku i czuję na sobie wzrok medyka. Upiwszy następny łyk, pyta:

– Została ci jakaś rodzina w okolicy?

Potrząsam głową.

– Rozumiem. – Teraz kołysz kubkiem, namyślając się nad czymś. – Twoje położenie jest... no cóż. Może powinnaś rozważyć, jakie masz alternatywy w odniesieniu do... zatrudnienia. Na wypadek jeśliby twój obecny pan... na wypadek jeśliby...

– Umarł – podpowiadam, na co doktor Croke uśmiecha się z wdzięcznością. – Nie wydaje mi się, żeby we wsi znalazł się ktoś, kto by mnie przyjął pod swój dach, biorąc pod uwagę, że... że jestem...

– Czarownicą – rewanżuje mi się.

Kiwam głową. Zamierałam powiedzieć „przestępczynią”, ale co za różnica.

– Poza tym nie mam w ogóle pieniędzy. Dlatego... – Pociągam łyk wina. Jest dymne i lekko cierpkie, czuję, jak garbuje mi język.

Doktor Croke pociera skrzydełko nosa i poprawia na sobie dublet.

– Co innego, jeślibyś – prostuje się, chrząka – jeślibyś wyszła za męża.

– Reputacja czarownicy raczej wyklucza szczęśliwe zamążpójście, tak samo jak intratne zatrudnienie.

– Mogłabyś wyjść za mnie, Rebecca.

Mało co, a bym się udławiła. Ile on właściwie wypił? Doktor Croke, roztaczający woń końskich szczyń, ze swym skórzanym kuferkiem i z płaszczem w kolorze ciemnej purpury z karmazynowym zdobieniem (które może by pasowało Łowcy Czarownic, ale na pewno nie medykowi). Uniósłszy spojrzenie na jego twarz, widzę, że mówi absolutnie poważnie, nawet z żarliwością. Przyglądam mu się uważniej. Z brzuszkim, lecz nadal krzepki. Pod sześćdziesiątkę. Z oczu dobrze mu patrzy. Rumiane oblicze wieńczy strzecha siwych włosów. Czarownica i rekuant – świat bez wątpienia widział dziwniejsze rzeczy. Niektóre z nich przytrafiły się nawet mnie.

Medyk głądka ponownie i zasypuje mnie słowami, które tworzą stertę u mych stóp ze skromności zwróconych ku sobie palcami: oczywiście jestem w takim wieku że mógłbym być twym ojcem ale po tym jak Margaret odeszła Bóg nie pobłogosławił nas przychówkiem rozumiesz rzecz jasna powinności małżeńskie nie oczekiwałbym od ciebie dopóki lecz wciąż jesteś młoda naturalnie nic bym nie oczekiwał może jednakowoż byś zachciała mogłabyś zachcieć ale powodzi mi się dobrze duży dom prawość moralna wiara nie wiem co mówią ale to nie moja praca znaczy ja... Przerwywam mu uniesieniem dłoni. Oświadczam, że z całym szacunkiem, lecz muszę odmówić. Czemu odmawiam? Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód aniżeli ten, że nie chcę zań wychodzić. I to będzie musiało wystarczyć, ponieważ kłamka zapadła. Ot tak – trzask – jedna wersja przyszłości połknięta jak ćma, który zanadto zbliżyła się do płomienia.

– Och – mamroce, garbi się i drapie palcem pod rondem kapelusza. W mych oczach wcale nie wygląda na podłamanego.

– Aliści może... może Priscilla Briggs by chciała? – sugeruję. – Przecież jest wdową.

Zerka na mnie spod oka, nadyma wargi.

– Priscilla Briggs? Hmm... – Dopija claret i rusza w stronę drzwi prowadzących na dziedziniec stajenny. – Priscilla Briggs... Los ją ciężko doświadczył, oj, ciężko.

Powtarza „ciężko, oj, ciężko” jeszcze kilka razy, jakby tylko w ten sposób był w stanie usprawiedliwić swą chęć ożenku z nią: na dobre by się obróciło, jeśliby pechowa nędzarka przeszła na jego utrzymanie, zamiast pobierać wdowią rentę od społeczności wsi także niemającej lekko. Sama jestem zdania, że powinien to zrobić, jeśli taką ma ochotę. Zdumiewa mnie przy tej okazji, że bynajmniej nie życzę Priscilli źle.

Otwieram przed nim drzwi i skłaniam głowę.

– Czekają cię jeszcze jakieś wizyty, panie?

– Priscilla Briggs – mówi, gładząc się po brodzie. Potakuję skinieniem. – Nie, nie mam dziś więcej pacjentów. – Spacerkiem kieruje się na wskroś placu do miejsca, w którym czeka nań jego srokata konik. – A co? – Wybuchą śmiechem i posyła mi figlarne spojrzenie spod wrót stajni. – Chyba nie zamierzasz rzucać żadnych uroków tej nocy, co?

Przebiera palcami.

Myślę, że jest bardzo pijany. Uśmiecham się wbrew sobie.

– Skądże znowu, panie.

– Świetnie-ee, doskonale-ee – kończy każde słowo czkawką. Wdrapuje się niezgrabnie na konika i rozsiada z kuferkiem na udach. – Uważaj na siebie, Rebecco – rzuca, chwytając lejce i spoglądając zamglonym wzrokiem w stronę drzwi, w których stoję.

– Będę uważać – zapewniam i dygam.

– Ja nie żartuję! – Pięta dźga konika w bok. – Masz na siebie uważać!

Stojąc w progu, odprowadzam spojrzeniem biały zad konika i rozmachany ogon, które znikają za węglem, i myślę sobie, że papiści nie mogą być tacy źli, jak twierdzą ludzie. Doktor Croke na przykład jest kiepskim lekarzem, ale dobrym człowiekiem. A przynajmniej w miarę dobrym. Oddycham głęboko, z wdzięcznością, rześkim nocnym powietrzem, po czym wracam do środka i rygluję za sobą drzwi. Odnajduję prawie pełną wciąż butelkę clareta w głównej izbie. Nie ma jeszcze północy. Wszyscy pod dachem śpią. Ja jednakowoż jestem dziwnie ożywiona.

Zabieram wino i wracam na swój wschodek kuchenny, owinąwszy się po drodze tylko chustą. Alkohol chyba uderzył mi już do głowy, bo siadając, myślę sobie niemalże na głos: dobry wschodek, spolegliwy wschodek. Obok siebie stawiam zapaloną świeczkę. Spędzam tam sporo czasu, popijając. Do samotnego płomienia zlatują się miriady ciem i komarnic. Obserwuję ich złotobrazowe ciała, myśląc, że przypominają kawałki ożywionego brudu. I wtedy go dostrzegam. Biały królik, właściwie tylko jego mgnienie, z rubinowymi oczyma i ostro zakończonymi uszkami. Zgina skoki na skraju blasku świecy, po czym też mnie spostrzega i szybko kicając, zmyka w przeciwną stronę. Rubinowe oczy i ostro zakończone uszka. Wzruwam chodaki i wstaję, aby za nim pójść.

Jestem już w połowie wzgórza pnącego się na tyłach oberży Thorn Inn, gdy nagle się zastanawiam, co ja właściwie robię. Rosa chlaszcze mnie po kostkach, atoli wspinam się coraz wyżej, trącając nogę butelką. Dotarłszy na szczyt, zatrzymuję się i okręcam wkoło własnej osi. Panują ciemności, na niebie księżyc, lecz poprzesywany włócznie chmur niczym Najświętsze Serce Jezusa. Z miejsca, w którym stoję, rozciąga się widok na całe Mistle – i na Manningtree także, przycupnięte w zakolu rzeki. Tuż nad powierzchnią wody śmiga łańcuch światełek. Dolatują mnie dźwięki: stukot siekiery o pień, śmiech dziecka, szczekanie psa, szczekanie drugiego psa w odpowiedzi. Widzę ogniki płomieni hen w stoczni, czuję w powietrzu miłość. Jakie to straszne, jakie to piękne, ci wszyscy ludzie śpiący, śniący i spólkujący w swych łóżkach, zaślubiający, umierający i wywieszający pranie do suszenia. W całej Anglii pełno takich

miasteczek, wsi i osad, które splądrowano i spalono do gołej ziemi. Praczki. Księgi. Jestem pijana, myślę. Przypomina mi się, co mam jeszcze do zrobienia, co muszę jeszcze zrobić.

Przestępczyni

Stoję w nogach łóżka swego pana i przyglądam się jego śpiącej twarzy. Matthew Hopkins, Naczelnny Łowca Czarownic. Matthew. Zastanawiam się, czy miał – lub czy ma – rodzeństwo. Czy jego bracia także otrzymali na chrzcie imiona po apostołach. Łowca Czarownic rozumie się samo przez się, jak przypuszczam dlatego, że nie ma co komplikować sprawy dodatkowo zawiłą terminologią. Łowca Czarownic – ten, który odławia czarownice. Zważcie, że w swym mniemaniu tylko to czyni, odławia je. Co dzieje się z nimi po odłowieniu, spoczywa na kimś innym, tak sugeruje tytuł. Częstka „naczelnny” dołączyła doń nie mam pojęcia kiedy ani za czyją sprawą. Zapewne Hopkinsa, który nadał ją sobie niczym farbowane piórko do kapelusza. Naczelnny, czyli wysuwający się na pierwszy plan? Czy naczelnny, czyli sprawujący władzę zwierzchnią? Trudno powiedzieć. Nigdy wcześniej nie pomyślałam, aby o to zapytać.

W mą szesnastą wiosnę spłonęło przychacie Glascocków. Do rana ulewny deszcz ugasił pożar, aliści pamiętam jak dziś wygląd ruiny, strzechę zapadniętą na nadgryzionych płomieniami, wciąż dymiących belkach. Takie samo wrażenie sprawia na mnie teraz oblicze Hopkinsa, jego „przystojne, jeśliby” rysy miękkie i w zaniku, jakby ktoś mu wygotował kości pod rozpaloną skórą. Rozkładałam tę twarz na czynniki pierwsze. Sporządzam spis z natury. Broda mu urosła i przez nią nabrał wilczego wyglądu, atoli nie zdrowego basiora, tylko zabiedzonego i zastraszonego pośledniego samca, który się nażarł tojadu. Hopkins ma rozbiegany wzrok pod zamkniętymi powiekami, długie i gęste rzęsy jak u małego chłopca. Pierwszy raz je zauważam. Czarne włosy rozkładają się wachlarzem na poduszce.

Dalej: ciało. Piers, bezwłosa i wypukła, drży pod przykryciem niczym wyprawiona skóra bębna. Dłonie, smukłe i delikatne, spoczywają splecione na mostku, każdy palec zakończony długim ułamanym paznokciem, ze śladami krwi pod spodem. Jego krwi. Rozważam, czyby mu ich nie przyciąć, nie opiłować. Powinnam doprowadzić go do porządku przed tym, co ma nadejść? Rozchylone usta. Chrapliwy oddech. Zasłony baldachim z purpurowego adamaszku. Sen możnych musi mieć odpowiednią oprawę.

Ledwie, ledwie uchyla oczy.

– Rebecca? – pyta (w każdym razie brzmi to trochę jak „Rebecca?”).

– Tak, to ja.

Pyta, czy medyk już poszedł. Słuchanie jego głosu przyprawia mnie o ból.

– Tak – potwierdzam. – Zagrzałam dla ciebie trochę wina, panie... – Zbliżam się do wezglowia, a on odwraca głowę w mą stronę. Chcę mu pomóc usiąść, on jednakowoż się broni. – Doktor Croke wyraźnie mi kazał...

Przerywa mi sapaniem.

– Bez znaczenia – wydusza z siebie.

– No już, już – rzekę łagodnie, uważając za obsceniczne, że nadskakuję mu jak rodzona matka, aczkolwiek i tak spulchniam jego poduszki i układam go na nich prościej, po czym chlupię mu odrobiną grzanego wina w usta. – Doktor Croke powiedział, że twój stan może się jeszcze poprawić, jeśli tylko nie będziesz się nadwężał – szczebioczę jak przyglupia. – „Moc Pana jest wielka”, powiedział.

Hopkins przełyka wino i artykułuje następne słowa, jedno i drugie czyniąc z wysiłkiem.

– Doktor Croke to imbecyl.

– Ano, skoro poprosił mnie o rękę. – Chyba wino rozwiązało mi język, lecz rzecz jest

zbyt wydumana, zbyt śmieszna, by się nad nią rozwodzić. Hopkins przewraca oczyma w mą stronę, próbując nadać swemu obliczu jakowyś wyraz. Wybucham śmiechem. – Odmówiłam.

Obserwuje mnie z ciekawością, gdy unoszę kubek do ust, potem stęka i odchyła głowę na poduszki.

– Może... – mruczy wyraźniej dzięki winu, które rozluźniło jego ściśnięte gardło – ...może nie czuje się za dobrze. W powietrzu chłód. Noce coraz dłuższe.

– Niewykluczone, że masz rację, panie.

– Poczytaj mi – prosi, walcząc z kaszlem. – Jana. Ewangelię Jana.

Leżąca przy łóżku Biblia ma sterany, popękany grzbiet.

– Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było słowo[95]...

Panuje cisza (jeśli nie liczyć jego wytężonego oddechu), dopóki nie dotrę do wersetu dwudziestego dziewiątego, w którym Jan – widząc nadchodzącego ku niemu Pana Jezusa – pokazuje mu Baranka Bożego, co to gładzi grzech świata. Wtedy bowiem urywam. Hopkins odwraca się do mnie. Oczy ma wilgotne. Wyciąga rękę, aby ująć mą dłoń. Nasze palce splatają się na kartach Pisma Świętego.

– Nigdy... nigdy należycie ci nie podziękowałam, Rebecca – odzywa się. – Za twą pomoc w... w rozprawieniu się z ciemnością. – Blade wargi wygina w niemal czułym uśmiechu. Mówi szczerze, z głębi serca, o ile je w ogóle posiada. – Słowa prawdy, które wypowiedziałas, były niczym błyskawica z niebios przecinająca mrok. Wyposażyłaś mnie w hełm i miecz[96].

Palce mu drżą.

– Kłamałam – rzucam. – A ty o tym wiedziałas.

Zamiera. Z jego gardła dobywa się rżenie.

– W imię większego dobra – tłumaczy. – Wola boska...

Nie kończy. Nawet on ma powyżej uszu woli boskiej, tego frazesu, którym wszyscy wycierają sobie gębę. Jak niby mielibyśmy ją znać? Skąd mielibyśmy wiedzieć, że jesteśmy w jej posiadaniu? Czy długo jeszcze będziemy sobie robić krzywdę, zanim w końcu zrozumiemy, jak bardzo się mylimy?

Czuję, że zaciskam szczęki tak mocno, aż mnie bołą.

– Zmusiłaś mnie do grzechu.

Teraz naprawdę przewraca oczyma, po czym ucieka wzrokiem.

– Sama zgrzeszyłaś.

Potrząsam głową. Głos mi drży, kiedy mówię:

– Nie taka jest twa doktryna. Przecież wierzysz, że sami z siebie nic czynić nie możemy[97]. Są potępieni i są zbawieni, a zbawieni dosięgają nieba po trupach potępionych. W to wierzysz, prawda? I uważasz... – mój głos jest pełen nienawiści, co zdumiewa nawet mnie samą – ...i uważasz się za nieskazitelnego?

– Ten świat jest zbrukany – bąka. – Czarny od brudu grzechów. Brudu takiego jak...

– Jak ja? – Wybucham śmiechem. – Tak. Takiego brudu, którym lubisz się bawić. Do którego się zbliżasz na odległość wężu. Którego dotykasz i umywasz ręce...

Choć wiem, że to dziecinne, robię to i tak: wrywam dłoń z jego uścisku i zatraskuję Biblię na jego chudych palcach. Wydaje z siebie okrzyk bólu i chyba w tej samej chwili opada go zrozumienie, gdyż próbuje odrzucić przykrycie i opuścić łóżko. Boi się. Boi się, albowiem – skoro zbawieni są poza wszelkim podejrzeniem – potępieni nie mają nic do stracenia, o czym on wie. I tak, rzucam nią, rzucam Biblią, ponieważ mam ją w ręku, ponieważ jest ciężka i ponieważ mogę go trafić między łopatki, gdy gramoli się ciężko na nogi. Upada do przodu, na ścianę, po czym osuwa się po niej na podłogę z przykryciem omotanym wokół kostek, klejącym się od potu jego choróbka. Dopadam go, czarne rogate uczucie prędko się zmienia w rozgrzane do białości,

oślepiąco białe, wyraźne tak jak biały koń stojący na polu złotogłowi – ten obraz, biały koń na polu złotogłowi, upewnia mnie w mych zamiarach. Hopkins sięga rękoma do mego gardła, mych piersi i dłoni, ale ja coś w nich trzymam, tak, poduszkę, nakrywam nią twarz Hopkinsa, czuję, jak walczy, walczy i miota się pode mną, pod nami – pod moimi udami – słabe, wiotczące ciało, życie niczym promień światła połknięty przez chmurę. Teraz jest już słaby jak niemowlę – i umiera. Ja jestem silna. Jestem też pijana. To pomaga. Wreszcie koniec. Hopkins przestaje się ruszać.

Następne, co wiem, to że kulę się przy serwantce, mając za plecami ścianę, a głowę na kolanach, i sapię, sapię prosto w pomięty fartuch. Wypuszczam powietrze i chwytam je łąpczywie; Matthew Hopkins nie oddycha. Nie oddycha. „Uważaj na siebie, Rebecca”. Widzę jego bezwładne nagie stopy, niewielką kępkę sztywnych włosów na paluchu. Nieruchomy. Już nigdy ani drgnie. Nie zadzwięczy ostrogą. Muszę nie tylko oddychać, muszę pomyśleć. I zbiec, nie zapominajmy o ucieczce. Kto jest w domu i co mógł usłyszeć? Skóra na gardle mnie piecze, pod opuszkami czuję pajęczynę zadrapań... Tłucz i szarp czarownicę, dopóki nie upuścisz jej krwi. Dostyc tego! Jestem sama w izbie. Ja to uczyniłam, nie On. Myśl, dziewczyno! Nikt inny ci nie pomoże.

Pierwej odejmuję poduszkę od jego twarzy. Nie patrzę nań. Najważniejsze to nań nie patrzeć. Na spodniej stronie poduszki widzę krew. Kładę ją na łóżku zakrwawioną powłóczką do dołu i spulchniam, grzeczna dziewczynka. Będę miała kłopot z dźwignieniem go, z przeniesieniem na łóżko, z ułożeniem w odprężonej pozie, żeby wyglądało, że odszedł we śnie. Nie. To by za długo trwało. Biblia wraca na swe miejsce przy łóżku, przy wtórze krótkiej modlitwy dziękczynnej do świętego Jana. Zabierz klucz z szuflady, gdzie go trzyma. Trzymał. To jedyny klucz i teraz należy do mnie. Powstań, morderczyni. Rozterka pierwsza – czy zamknąć izbę Hopkinsa na klucz od zewnątrz? Musieliby wyważyć drzwi bądź przynajmniej otworzyć zamek wytrychem, co kupiłoby mi czas, zanimby go odkryli. Z drugiej strony natychmiast podniosłyby się podejrzenia. Drzwi zamknięte na klucz, w środku kompletna cisza, żadnej reakcji na wołanie. Postanawiam nie zawracać sobie głowy. Zbiegam na dół w samych pończochach, starannie omijam butelkę wciąż się walającą obok drewnianej ławy i sterty książek na podłodze. Skradam się do biurka. Tam trzyma pieniądze. Biorę je, aksamitny mieszek pełen monet, co najmniej dwanaście funtów, nie mam czasu na liczenie, ale oceniam zawartość na oko, wystarczy mi, wystarczy i może nawet coś zostanie po tym, jak spłacę Richarda Edwardsa, który stracił swe stado. Zabieram księgę Hopkinsa, starą pelerynę i sznuruję trzewiki. Żeby tylko wciąż było na tyle wcześnie, iż nikt mnie nie zoczy. Rozterka druga – co innego pomysła o mym zniknięciu jak nie to, że przyłożyłam rękę do zgonu swego pana? Dostrzegam ironię, która polega na tym, że odsłoniłam się w sytuacji, w której najbardziej chciałabym pozostać ukryta. Może jeśli będę miała szczęście, uznają, że Szatan – używszy mnie jako narzędzia swej pomsty – rozprawił się także ze mną. Może jeśli będę miała szczęście, doktor Croke okaże się tak dobrym człowiekiem, za jakiego go uważam, i zaświadczy na moją korzyść. Tak rozmyślając, przemykam mrocznymi pustymi uliczkami Manningtree, nie napotykając ni żywej duszy. Nikt też nie widzi mnie, Bogu niech będą dzięki.

Mijam karczmę White Hart i keję, po czym ruszam brzegiem wijącej się rzeki Stour. Chryste, niech to przeklęte miejsce o mnie zapomni. Niech pozwoli mi odejść. Niebo lekko się przejaśnia, dzięki czemu widzę delikatne zmarszczki na powierzchni wody majaczącej za zwieńczonym złocistymi kolbami wysokim tatarakiem, w którym szlamiki, kuropatwy i gęsi urządzają swe konwentykle. Muszę uważać, gdzie stąпам, ponieważ grunt jest podmokły, miejscami bagnisty. Całe ciało mam zmęczone, nie daję sobie jednakowoż forów. Umysł mi wiruje jak moneta postawiona na krawędzi i wprawiona w ruch. W blednym blasku księżycy

majaczy przysadzista wieża kościoła w Dedhamie.

O świtaniu, w rzadziejącym mroku, wędruję główną ulicą Dedhamu, gdzie domy są okazalsze, bardziej cofnięte od bruku, porośnięte urokliwie bluszczem. Sklepy wciąż są zamknięte, aliści udaje mi się zaczepić woźnicę, który kieruje się do Ipswich, i zabieram się z nim pomiędzy skrzynkami. Siedzę sztywno wyprostowana i nerwowo miętoszę w dłoniach aksamitny mieszek Hopkinsa, dopóki miarowe kołysanie wozu jadącego po grząskim gruncie nie wprawi mnie w sen. Woźnica nie folguje sobie, nie zadaje pytań, a gdy docieramy na miejsce, budzi mnie delikatnie. Choć leżę na lewym boku nakryta peleryną, obawiam się, że mógł dojrzeć krwawe krechy na mej szyi. Nie przyjmuje ode mnie zapłaty, co biorę za wskazówkę, że wyglądam albo bardzo źle, albo bardzo dobrze.

Na tłocznych ulicach Ipswich trzymam się z dala od ludzi, nasłuchuję jednakowoż, czy nie padnie jego miano – Łowca Czarownic. Nie pada. Najwyraźniej nikt nie podniósł alarmu po moim zniknięciu. Warzywa, owoce i świeżo ścięte kwiaty wydzielają mieszaninę zapachów, która unosi się nad rozstłonecznionym targiem. Wszędzie uśmiechnięte twarze. Wyobrażam sobie, jak popołudniowe światło – bo jest już środek dnia – wlewa się przez okno do izby Hopkinsa i zaczyna złocić jego bezwładne, nieodkryte dotąd stopy i zszarzałe, także nadal nieodkryte policzki. Pozłotkę we włosach. Spływa na mnie spokój. Może nawet staje się nazbyt śmiała, bo przystanąwszy przy kramie łachmaniarza, kupuję odeń obcisły szkarłatny gorset sukni zdobiony czarną tasiemką i zamieniam przypadkowe nakrycie głowy na chustę z białej koronki w rozmarynowy wzór (rozmaryn jest symbolem pamięci). Już nie wyglądam jak Rebecca West, a może właśnie wyglądam jak Rebecca West po raz pierwszy w życiu. Ale i tak nadaję sobie nowe nazwisko – odtąd nazywam się Rebecca Waters.

Kupuję również kilka ostryg, garść borówek i kubek piwa, po czym siadam nad brzegiem rzeki, gdzie urządzam małą ucztę. Gdy wybucham głośnym śmiechem, wspomniawszy, jak cisnęłam weń Biblią, przechodzące mimo mnie dwie kobiety z koszykami rzucają mi zdziwione spojrzenia. A to było niechcący. Mogę tak to pamiętać, że rzuciłam Pismem Świętym niechcący, jeśli tylko zechcę. Biorąc przykład z Johna Edesa, który też zapamiętał mnie, jak chciał.

[95] Biblia Tysiąclecia, Ewangelia Jana 1,1.

[96] Aluzja do Listu do Efezjan 6,17 (Biblia Tysiąclecia).

[97] Aluzja do Ewangelii Jana 5,30 (Biblia Tysiąclecia).

Londyn

W Ipswich przesiadam się na inny wóz, którym pokonuję osiemdziesiąt parę mil dzielących mnie od Londynu, gdzie jednakowoż ani myślę zabawić dłużej, ponieważ byłoby to nierozsądne. Oglądam jednak katedrę Świętego Pawła, która nie dość, że okazuje się zapyziała, to jeszcze jest pełna włóczęgów śpiących na kupie w jej pasażach. Idę też na Most Londyński, skąd obserwuję, jak łodzie próbują pod nim przepłynąć przy wysokiej fali zupełnie jak chrząki w strumieniu, najwyraźniej urządzając sobie przy tym zawody, co mnie osobiście wydaje się ogromnie niebezpieczne. Niemądre z kolei jest to, że w całym mieście mają tylko jeden most dla wszystkich ludzi. Widzę wielu biedaków i wielu bogaczy, lecz nie boję się ani tych pierwszych, ani drugich, ponieważ za młodu trafiłam do lochu w samym gieźle na grzbiecie i zaryzykowałam okłamanie w żywe oczy hrabiego Warwick, co czyni chyba ze mnie kobietę światową.

Podsluchuję urywki rozmów, żale czeladników (a jest ich mnóstwo, zarówno czeladników, jak i żalów, które wylewają), wieszczona kaznodziei i przechwałki o męskiej sile, padające z ust tego akurat młodziana w cudnym cytrynowym płaszczu, który mijają mnie na ulicy, ani razu jednak mej uwagi nie zwracają wieści o rodzinnych stronach czy o Łowcy Czarownic. Ludzie gadają o Cromwellu, Pymie[98], pułkowniku Rainsborough[99] i wielu innych osobach, które powinny być znane Rebecce Waters, światowej niewieście i obywatelce Republiki Angielskiej. Pierwszy raz w życiu czuję czar pieniędzy. Z jedenastoma funtami ciężącymi mi na biodrze niczym świńskie serce mogę mieć wszystko, czego tylko zapragnę, a pragnę: kandyzowanych jabłek, fioletochorówek wstążki i malusich stokrotek z jedwabiu, które chcę sobie przyszyć do czepca, gdy tylko się go dorobię; na straganie pod katedrą zakupuję zbiorek poezji, bo spodobała mi się w nim marmurkowa wyklejka. Zaprawdę pieniądze oznaczają wolność, a jeśli ktoś mówi wam inaczej, od dawna ma jednego i drugiego pod dostatkiem.

Odbijam na południe od rzeki. Statki cumujące w Deptfordzie przekraczają wielkością wszystkie, jakie do tej pory widziałam; pomalowane na czarno i złożone na wręgach i stewach, z drżącymi na wietrze banderami ledwie widocznymi przez smolny dym i huczące płomienie doków wraz z Bóg jeden wie jakimi jeszcze portowymi wyziewami. Ohydztwa. Cudeńka. Ich dziobnice górują nade mną, nad przystanią, niczym masywne brzuchy smoków, porośnięte pąklami, zwieńczone galionami w postaci pięknych kobiet z długimi niebieskimi włosami. Zachwygam się każdym z nich – Diamond, Antelope, Laurel – calutkim od dziobu do rufy, od bocianiego gniazda do stępki. Przeciskam się przez tłum niezauważona, słysząc dochodzące zewsząd obce języki, francuski i niderlandzki, i jeszcze inne, których nie umiałabym nazwać, nawet jeśliby przypalano mi stopy.

Na jeden z wielkich galeonów prowadzą mężczyzn w kajdanach. Przystaję, aby popatrzeć, gdyż wiem, że z Afryki do Nowego Świata sprowadza się ludzi o czarnej skórze – ci tutaj wszelako nie różnią się niczym od mieszkańców Esseksu czy Londynu albo w ogóle Anglików, o ile mi wiadomo, aczkolwiek są może brudniejsi (choć nie tak znów bardzo). Długie rozkucudane włosy zwisają im aż za ramiona, większość odziana jest tylko od pasa w dół, aliści niektórzy mają na sobie koszule, i to z kosztowniejszej tkaniny, tyle że poplamione i porwane. Ma ciekawość wpada w oko dwóm mężczyznom popalającym fajki przed jakimś składem, bo jeden z nich ze śmiechem rzuca: „Kawalerzy, ludzie króla, królewscy”, a ten drugi śmieje się nawet głośniej, gdy się wzdrygam i oddalam pośpiesznie. Woła jeszcze za mną, że to żołnierze

królewskiej armii, których nasz parlament wysłała do pracy na plantacjach trzciny cukrowej na Barbadosie, sprzedaje ich. Rzy z szeroko otwartymi ustami, pokazując mi drobne poślizgi zęby jak u psa. Czuję się niepewnie, jakbym zobaczyła coś, czego nie powinnam była zobaczyć, ani psich zębów, ani ludzi w kajdanach; wszystko jednak jest na widoku w ruchliwym porcie, żaden obraz nie przykuwa niczyjej uwagi na dłużej, nawet ta żałobna procesja. Z drugiej strony cieszę się z tego doświadczenia, gdyż tylko wzmacnia mą rezolucję, aby opuścić Anglię, w której chrześcijanie sprzedają chrześcijan innym chrześcijanom.

Nie mając pojęcia, po czym poznać trzeźwego kapitana ani ile wynosi uczciwa opłata za podróż, podążam śladem purytanów, którym jak sądzę, nie brakuje rozeznania w obu tych sprawach. Mam z kogo wybierać, albowiem wokół roi się od postaci w znajomych borych strojach: stroskani asceci ciągną za sobą swe żony, te zaś wleką synów i córki – i tak przeciskają się przez barwny tłum z bagażami wetkniętymi pod pachy, obładowani kociołkami i kołowrotkami, zmierzając do Bostonu, Maine, Virginii, zatoki Massachusetts – do prawdziwego Nowego Jeruzalem prosto z tego, które niedawno ogłoszono w Londynie, lecz które zdążyło zawieść ich bogobojne oczekiwania. Za ocean wyrusza tyle statków, że zwyczajnie musi tam czekać raj. Może Rockport[100] to mało prawdopodobna nazwa dla edenu, lecz właśnie tam decyduję się udać z tej tylko przyczyny, że podoba mi się jej prostota. Wiem, czym jest skała, wiem, czym jest port, zatem nie spodziewam się zastać na miejscu żadnych niespodzianek. Zaiste żadnych, bo Rockport znajduje się na terenie hrabstwa... Essex. Przez moment, stojąc na trapie, wyobrażam sobie, że po ośmiu tygodniach rejsu trafię do amerykańskiego wcielenia Manningtree, które pieczołowita boska ręka odtworzyła po drugiej stronie wielkiej wody. Ten sam zardzewiały dzwon portowy, te same szare łabędzie kołujące nad zatoką, te same zapadające się strzechy i krzywe kominy. Nie Bóg jednakowoż ochrzcił tę część Nowego Świata hrabstwem Essex – tylko człowiek. Albo ludzie. Po to, przypuszczam, by poczuć się jak w domu, aczkolwiek składy i stajnie podpalają Agawamowie zamiast współbraci chrześcijan.

Kapitanem Myrmidona okazuje się przystojny Szkot imieniem Scanlan. Ma ogorzałą twarz i tak jasnobłękitne oczy, iż można by pomyśleć, że nabrały takiego odcienia wskutek ciągłej obserwacji nieba i morza. Dłuższą chwilę przygląda się memu czerwonemu gorsetowi i kwituje go śmiechem, co sprawia, że ogarnia mnie skrępowanie, które jednakowoż zaraz przechodzi w przerażenie, gdy liczy sobie za zaokrętownie i wyżywienie aż cztery funty, co było całym majątkiem macierzy w Manningtree, wraz z jej domem i wszystkimi sprzętami w środku. Mimo to uiszcza należność. W odpowiedzi słyszę, że jeśli ktoś mi się naprzykrzał, mam od razu doń przyjść, i odbieram odeń ukłon dżentelmena, co tylko świadczy o tym, iż nim na pewno nie jest.

Kiedy wypływamy z portu i dostajemy się w nurt Tamizy, na pokładzie panuje srogie zamieszanie. Wkrótce Deptford zamienia się w niewyraźną smugę kolorów i szarości w oddali, a chylące się ku zachodowi słońce oświetla pałac w Greenwich, wydobywając zeń blask podobny do tego, jaki bije od anioła. Dalej rozciągają się ku południu zielone wzgórza Kentu niknące w szarówce, a pod nimi angielski Szeol, kraina zmarłych. Im ciemniej się robi, tym bardziej pustoszeje pokład. Purytanie schodzą podeń, by znaleźć swe koje, ja jednakowoż zostaję na powietrzu, rozkoszując się powiewami wiatru i widokiem coraz szerzej rozpościerającej się wody i coraz cieńszych brzegów. W górze, w chmurach, klóca się mewy, a ja mówię do nich w myślach: „Zegnajcie, wcale nie będę za wami tęsknić”. Na dziobie okrętu stoi jeszcze jedna samotna kobieta, która także wydaje się żegnać w duchu. Jest niska i drobna, ma na sobie suknię z szarej wełny. Jej rude włosy są odkryte i artystycznie ułożone w burzę loków, które między innymi zasłaniają jej uszy. Ruda niewiasta... dopiero po chwili uzmysławiam sobie, na kogo patrzę. Toż to Judith, Judith Moone, nie do pomylenia z nikim innym, a to za sprawą tego jej

zadartego ostrego noska. Choć uważam to za niemożliwe, bezwiednie, mimowolnie wymawiam jej imię. Odwraca się i spogląda na mą twarz, oczy jej się rozszerzają, obraca się ponownie, zadziera spódnice i czym prędzej odchodzi kawałek dalej, niczym przyłapaną na gorącym uczynku. Wołam ją znów i postępuję parę kroków za nią. Trwa to przez dłuższą chwilę, Judith umyka przede mną po pokładzie, a ja depczę jej po piętach, czemu przyglądają się zdumieni marynarze, aż w końcu przystają, rozkładam ręce i wykrzykuję pytanie, dokąd to zamierza uciec na tej łajbie, gdzie nie mogłabym za nią podążyć. Zatrzymuje się, okręca na pięcie i zwięża oczy w szparki. Zbliży się do mnie zamaszystym krokiem, chwyta me ramię i ciągnie mnie pod reling.

– Sądziłam, że nie żyjesz – oznajmia, na co dygam przesadnie i odpowiadam, że mnie również niezmiernie miło ją widzieć. Mięknie w oczach, zwalnia uścisk i lustruje mnie wzrokiem z góry na dół. – Wybacz – rzuca niechętnie. – Ale jak... nie potrafię... co tu robisz?

Widzę, że naprawdę miała mnie za zmarłą, może nadal ma, taka wydaje się wstrząśnięta mym nagłym pojawieniem się obok niej.

Mierzę ją spojrzeniem od stóp do głów. Prezentuje się dość żałośnie, tym żałośniej, że nosi radośniejsze ślady: liliową chustę omotaną wokół brudnej szyi, dwa kółka różu na policzkach, zielone pończochy zwisające jej u kostek. Cztery wiosny minęły, odkąd widziałyśmy się ostatnio – cztery wiosny, odkąd opuściła Manningtree. Coś mi mówi, że nie był to dla niej dobry czas. Może nie tak okropny jak w mym przypadku, ale... cierpienie to cierpienie.

– Opuściłam Manningtree – tylko na tyle potrafię się zdobyć. – Przed tygodniem.

– A reszta? – pyta, uciekając spojrzeniem zwilgotniałych nagle oczu.

Przez „resztę” ma na myśli swą matkę. Wie, co uczyniła, lecz nie ma pojęcia, jakie były tego konsekwencje. Uzmysławiam sobie, że powiedzenie jej prawdy będzie mi musiało wystarczyć za całą pomstę. Kręcę więc głową, co ona tłumaczy sobie na: „Nie żyje”.

– Cóż – dodaję ze słabym uśmiechem. – Oprócz Helen. Nie mam pojęcia, co się z nią stało. Ale nie byliśmy jeszcze pod pokładem, niewykluczone więc...

Kiepski żart. Chyba nie powinno się żartować w obecności osoby, która właśnie się dowiedziała, że jest sierotą. Judith szarzeje na twarzy, odwraca się gwałtownie i zwiesiwszy głowę, opiera się o reling. Z wahaniem dotykam opuszkami koniuszków jej palców. Nie cofa ręki, stoimy tak więc w milczeniu przez parę chwil. Wiatr w tym czasie szarpie żaglami.

– Myślałam... – zaczyna i zaraz wzdycha, ociera oczy rożkiem chusty. – Słyszałam, że w Manningtree na szafot trafiły cztery, ale nikt nie znał ich nazwisk. Poprosiłam nawet pewnego mężczyznę, aby przeczytał mi gazetę. Tam też ich nie podali. Ale i tak wiedziałam. I wiesz – wspiera brodę na dłoni i wpatruje się w wodę za burtą – nie zdawałam sobie sprawy, jaka zabawna była Margaret, dopóki nie trafiłam w towarzystwo mężczyzn. O, ci dopiero byli zabawni. Celowo lub nie. Uśmialiśmy się za wszystkie czasy, jeśli nawet nic więcej. To niemała rzecz.

Mężczyzna? No dobrze. Rozglądam się wokół.

– Podróżujesz sama? – pytam.

Kiwa głową, pociąga nosem. Rzuca mi krzywy uśmiech.

– Ano. I to nieco dalej aniżeli do Ipswich.

...obok siebie na łóżku w samych gieźlach...

Przysuwam się bliżej, żeby nikt nas nie podsłuchał.

– Dokąd się udałaś?

– Do Londynu. Zaczepiłam się w paru teatrach. Zawsze w chórze. W *Tymonie Ateńczyku* nosiłam wianek z kwiatów – dodaje, przelotnie zadzierając z dumą brodę. – Ale potem parlament kazał zamknąć teatry... – Później została kimś innym, dopowiadam sobie. Judith się prostuje i ciałniej okrywa ramiona cienką chustą, ponieważ na otwartych wodach powietrze jest jeszcze

bardziej kąsające. – Nie gniewasz się na mnie?

– Nie. – Zastanawiam się przez chwilę. – Gniewałam się na siebie, że nie poszłam w twe ślady rychlej.

– Och... – Wyciąga dłoń, aby dotknąć mego gardła i zadrapań na nim.

Odruchowo ją odtrącam i bez namysłu się rewanżuję stwierdzeniem:

– Co ci się stało w twarz?

Judith uśmiecha się od ucha do ucha.

– Spójrz na nas tylko. Jesteśmy wobec siebie niegrzeczne, ale gdzie? Na wielkim statku!

– Jeśliby ktoś nas zobaczył...

Ujmuje mnie pod ramię i tak kroczymy w stronę forkasztelu, z mewami krążącymi w górze ponad naszymi pustymi starymi głowami. Cieszę się, że odnalazłam przyjaciółkę. Szczególnie taką, z którą umiemy się śmiać ze śmierci, mimo że próbowała nas osaczyć, co omal jej się udało.

[98] Pym – właśc. John Pym (1584–1643), purytanin sprzeciwiający się polityce Jakuba I i Karola I, przyczynił się do zwycięstw sił parlamentu w pierwszej fazie wojny domowej.

[99] Pułkownik Rainsborough – właśc. Thomas Rainsborough (1610–1648), ważna postać angielskiej wojny domowej.

[100] Rockport – nadmorskie miasto w USA, w stanie Massachusetts, do którego europejscy osadnicy zaczęli przybywać w połowie XVII w. (dosł. *rock* znaczy skała).

Szatan

Pod pokładem dzielę koję z Judith i mam okazję nawet bardziej docenić obecność przyjaciółki, ponieważ panuje ogromny ziąb, a nam wolno rozpalić co najwyżej ogienek wielkości płomyka latarni. Do tego jest mi straszno, a przynajmniej niewyraźnie z powodu zawiesiny zapachów i szeptów nieznanym, jak również jękliwego skrzypienia desek i lin. Do czegoś takiego trzeba przywyknąć. Leżymy zwrócone do siebie twarzą i ścisłym głosem rozmawiamy o tym, co porabialiśmy – i o tym, co nam uczyniono.

Judith nie zabawiła długo w oberży Thorn Inn. Już w kolejną noc po tym, jak tam trafiła, gdy we wsi wszczął się tumult związany z aresztowaniem Bess Clarke, zapakowała dwa srebrne świeczniki Hopkinsa za pazuchę i wymknęła się tylnymi drzwiami, które gospodarz zapomniał zamknąć na klucz (w tamtym czasie nie dość doceniając spryt ubogiej wiejskiej dziewczuchy). Przecięła dolinę Dedham, tak jak ja, i śpiąc po drodze w krzakach, dotarła aż do Sudbury, skąd pewien woźnica zabrał ją do Brentfordu, a stamtąd jeszcze inny do Londynu, a przynajmniej do Poplar. Wygląda na to, że ostatnimi czasy nie ma w Anglii wozu, którym by nie uciekała jakaś młódka.

Dowiaduję się, że znalazła pracę w domostwie niejakiej pani Pearson, która to praca – jak słusznie zakładam – nie była na jej siły. Słyszę też, że piła za dużo, a przynajmniej zbyt mocne trunki. Była krótko i nieszczęśliwie zamężna z pewnym bogobojnym piwowarem nazwiskiem Dalton, który co rusz narzucał domownikom ścisły post pod pozorem „immanentnej natury dnia świętego”. W końcu znalazł szybszy i skuteczniejszy sposób na zjednanie z Bogiem, rzucając się z mostu pewnej nocy i pozostawiając Judith bez złamanego pensa przy duszy. Ma przyjaciółka wyjawia mi, że miała z mężem dziecko, chłopca, który zmarł. Opowiada o teatrach i lupanarach, a także miejscach będących jednym i drugim na zmianę, gdzie hrabiowie zadawali się z kieszonkowcami, a marynarze pili podejrzany kordiał, podobny do mleka z czarnymi nasionami, po którym żrenice nabierały niewiarygodnej wielkości równej marynarskim czynom przytaczanym w opowieściach. Zdradza, że była w pałacu Whitehall, gdzie szklane kopuły zięją dziurami, nie chroniąc wnętrza przed deszczem, i gdzie można zobaczyć królewskie koszule, istotnie doskonałej jakości. Wielbłąda nie widziała, ponieważ do tej pory wszystkie trzymane tam zwierzęta zdążyły zdechnąć, aczkolwiek było jej dane przyjrzeć się rysunkowi takiego stwora.

Zatem teraz nazywa się Judith Dalton, a ja jestem Rebecca Waters, tyle że nie wiem, co mogłabym jej opowiedzieć w rewanżu. Mówię o tym, jak po mnie przyszli do naszego domu na wzgórzu Lawford, gdzie pod kuchennym oknem rósł krzak dzikiej róży, i jak szalenie dumny był z siebie konstabl, kiedy zabił nam kota. Oznajmiam, że nie ma już krzyża targowego na swym miejscu, że został tylko postument. Że okna w kościele pod wezwaniem Świętej Marii pozostają zabite deskami. Że Prudence Hart poroniła, z czego bardzo się cieszy. Że John Edes... że John i ja... Mówię, cośmy zrobili w lesie i jak ode mnie uciekł, że zaciągnął się do Armii Nowego Wzoru („I dobrze – odpowiada. – Mam nadzieję, że pudel księcia Ruperta wyżre mu tę zadufaną twarz, a potem ją wysra w jakimś dole”). Opowiadam o Hopkinsie. Że zmarł – choć nie precyzuję, jak do tego doszło. Nie wspominam też o tym, że widziałam Szatana. Zapewniam za to, że Margaret Moone mówiła o niej często i dobrze, gdyż kłamstwo przychodzi mi ostatnio z łatwością, a poza tym to konkretne nie wydaje mi się szczególnie dużym grzechem.

Rozmawiamy, dopóki niewiasta na sąsiedniej koi nie przewróci się na bok i nie obruszy na nas, byśmy skończyły z tą paplaniną, bo nie może zmrużyć oka. Judith mamroce, że

niewyspana współpasażerka to „stara torba o cerze jak zsiadłe mleko”, lecz przysuwa się, aby życzyć mi dobrej nocy, i składa pocałunek na moim czole, następnie zaś odwraca się do mnie plecami, a twarzą do grodzi. Tam gdzie nie sięga cienkie prześcieradło, widzę, jak drobne kostki jej stosu pacierzowego naprężają piegowatą skórę. Liczę te piegi – jeden dwa trzynaście dwadzieścia – raz po raz, ale nawet to nie pozwala mi zasnąć. Leżąc bezsenne, w mdłym świetle latarni obserwuję jej nierówne chybotanie, słucham chrapania współpasażerów i zastanawiam się, jak głęboka jest woda pod stępką i co za dziwne stworzenia w niej żyją. Jeśli już nic innego, ta ostatnia myśl stawia mi włosy dęba na głowie, skoro jak wiem, napisano, że nadejdzie dzień, kiedy rozżęsknione rozbujane morze zagrozi całemu temu nędzemu światu i pochłonie wszystkich ludzi. Wciąż chyba jesteśmy blisko angielskiego wybrzeża, lecz ja sobie wyobrażam odwieczny słony mrok, przez który wiją się węże i na którego dnie leżą kości wszystkich żyjących kiedykolwiek ludzi – bez różnicy, jakie ciało nosili i jaką wiarę wyznawali. Ostrożnie, aby nie zbudzić Judith, wyplątuję się spod przykrycia i przerzucam nogi za krawędź koi. Biorę po omacku pelerynę i kieruję się do drabiny, lawirując pomiędzy śpiącymi pasażerami i ich rozrzuconym bagażem. Patelnie, dulcimery i wrzeciona – smętne podsumowanie życia zagubionych.

Ledwie wychynę na pokład, owiewa mnie chłodne czyste powietrze, a morze nagle znów jawi mi się czymś pozytywnym. Wysoko nad pomarszczoną powierzchnią wody wisi omal idealnie okrągły księżyc, otaczają go gwiazdy tak gęste, że wydają się białym albedo. W dole rozpościera się Atlantyk.

Nie stoję długo przy relingu sterburty, gdy u mego boku wyrasta kapitan Scanlan, który uchyla kapelusza ze słowami:

– Co za spokój. Módlmy się, aby to się nie zmieniło.

Myślę sobie, że ma minę ojca spoglądającego z dumą na śpiące dziecko.

– Powinam się raczej modlić, abys ty, panie, razem ze swymi ludźmi zdołał nas przeprowadzić przez szkwały, jeśli się zerwą.

Śmieje się na to, jak Szkot.

– Żeglowałaś już wcześniej...? – zawiesza głos.

– Rebecca. Rebecca Waters – odpowiadam po chwili dłuższej, aniżeli bym sobie życzyła. – Nie, to mój pierwszy raz.

Kiwa głową i spogląda znów w fale.

– Zatem uczynię wszystko, abys pokochała morze, Rebecco. Na całym świecie nie ma nic, co by się mogło z nim równać.

„Na całym świecie nie ma nic, co by się mogło z nim równać”? Litości. Wypróbowane słowa, którymi raczył niejedną młodkę przede mną.

– Miałabym zostać żeglarką w Nowym Świecie? – rzucam. Mam świadomość, że go kokietuję. Zaiste nieprzewidywalną postać z tej Rebekki Waters.

– Czemu nie? W Nowym Świecie wszystko jest możliwe. W dodatku masz odpowiednie nazwisko[101]... Żeglarza, wielorybniczka, a może – odwraca się do mnie z chciwym uśmiechem, w którym błyska coś złotego: złoty ząb w jego ustach – może żona żeglarza?

Ściska mnie w dołku, bo tym była macierz. Żoną żeglarza – aczkolwiek nigdy nie myślałam o niej w ten sposób, nigdy nie pytałam, jak ani gdzie poznała mego ojca, a jej męża, niech Bóg ma go w swej opiece. Spoglądam na kapitana, przystojnego i ogorzałego, z grubym karkiem i złotym zębem, i wesołym usposobieniem, i myślę: tak, już rozumiem. To było jakoś tak. Trzymam w garści kołnierz peleryny i uśmiechając się znad dłoni, mówię:

– Powiadają, że wszyscy żeglarze są poślubieni morzu.

Potrafię sobie wyobrazić tę samą kwestię w ustach Beldam West. Niedaleko gnije jabłko

od jabłoni. Tak też powiadają. Drzewo Czarownic...

Scanlan wybucha ponownie śmiechem. Wesolek zeń. Roześmiany mężczyzna to chyba lepsze aniżeli mężczyzna, który uśmiecha się chyłkiem.

– Prawdę rzeczesz. Może więc kochanka żeglarza?

Cmokam.

– Myślę, że śmiało mogę mierzyć wyżej, mój panie.

Uśmiecha się i spuszcza głowę, tak by jego uśmiech, złoty ząb i wszystko inne było widoczne spod wywiniętego randa kapelusza – co wydaje mi się starannie wychoreografowaną pozą. Kosmyk włosów siekający mu brodę to tylko fartowny dodatek.

– Też tak uważam, Rebecco – stwierdza i życzy mi dobrej nocy, po czym zawraca do forkasztelu.

Idąc, pogwizduje – i bardzo dobrze, bo czy otwarcie roześmiany, czy skrycie uśmiechnięty, żaden mężczyzna, który gwizdże, nie ma u mnie szans.

Jeszcze przez jakiś stoję sam na sam z księżycem i gwiazdami, kojona delikatnym kołysaniem statku i widokiem fal obnażających grzbiety, ilekroć złapią i odbiją blask ciał niebieskich. Obserwuję, jak się wypłaszczają i znów wzbierają, rozpryskują i pienią – najwyraźniej w tych ciemnościach skąpanych srebrem świetnie się bawią. A fale będące w dobrym nastroju obchodzą się łaskawie z naszym statkiem. W końcu odwracam się, by ruszyć pod podkład, i wtedy kątem oka wychwytyuję jakiś kształt na dziobie, mroczną męską postać spowitą długim płaszczem jak u prezbitera i w wysoko sklepionym kapeluszu. Ogląda się przez ramię i rzuca mi uśmiech. Podmuchy szarpią połami jego płaszcza, harcuja w mych włosach; te same, które wieją nad wszystkimi morzami. Rozpuszczam swe włosy, dlań to robię. Nagle pojmuję, że wcale nie patrzę na mężczyznę w czerni, tylko na siebie samą, rozdawczynię śmierci, z białym czepkiem zgniecionym w pięści, z włosami rozwianymi na podobieństwo róży wiatrów mórz i oceanów wszelakich.

[101] Waters – angielskie nazwisko, którego historia sięga czasów Anglosasów, a więc V–VI w. (wywodzi się od rzeczownika *water*, oznaczającego wodę).

Posłowie

John Stearne i Matthew Hopkins, samozwańczy Łowca Czarownic, działając na terenie krain geograficzno-historycznych East Anglia[102] i Home Counties[103] w połowie piątej dekady XVII wieku, przyłożyli rękę do skazania na śmierć za czarownictwo 150–300 osób obu płci (Stearne w swojej książce opublikowanej w 1648 roku, zatytułowanej *Confirmation and Discovery of Witchcraft* [Potwierdzenie i odkrywanie czarownictwa], mówi o 200 osobach). Tak zwany obłęd na punkcie czarów za angielskiej wojny domowej to okres wzmożonych prześladowań, które historycy tłumaczą całą gamą społecznych, religijnych, gospodarczych i lokalnych czynników, takich jak: próżnia powstała po zdyskredytowaniu władzy królewskiej i szerzący się głód będący wynikiem wojny (która również zakłócała normalne funkcjonowanie sądów); silny antykatolicyzm; rosnący radykalizm purytanów na południu Anglii; powstanie klasy kupców i zmiana nastawienia w stosunku do biedy i włóczęgostwa (wiera w Opatrzność Bożą przekreśla ludzkie odruchy wobec bliźniego w potrzebie – nie ma czegoś takiego jak pech, jest tylko gniew Boży). W tak delikatnym kontekście trudno o ocenę, jaki udział w tych polowaniach na czarownice miała osobista charyzma Hopkinsa oraz jego niewątpliwa wrogość wobec kobiet uznanych za wiedźmy. Nie sposób także się wypowiadać na temat motywów kierujących tym człowiekiem.

Matthew Hopkins, syn pastora, urodził się około 1620 roku w Wenham Magna w hrabstwie Suffolk, a w roku 1647 zmarł na gruźlicę w Mistley w hrabstwie Essex. Sprzeczne relacje z epoki na temat tego, kim był i skąd pochodził, dodatkowo zagmatwane przez późniejsze domysły oraz próby demonizowania jego postaci na modłę gotycką, wskazują, że Hopkins w najlepszym razie kompulsywnie zmyślał, a w najgorszym kłamał z premedytacją. Pewne jest to, że umarł młodo. Mógł być tchórzliwym oportunistą, ale mógł też szczerze wierzyć w sprawę, której się poświęcił, hołdując purytańskiemu dogmatowi o potępieniu i skłonności do dosłownej interpretacji Biblii, która domagała się eksterminacji czarownic. Tego tak naprawdę nigdy się nie dowiemy. Ja jednak, rozważając różne możliwości, doskonale się bawiłam i tego samego życzę czytelnikom. W rzeczywistości interesowały mnie prześladowane, nie prześladowca. Relacje z procesów czarownic w Esseksie stanowią bezcenny – a przy tym głęboko poruszający, jak sądzę – wgląd w obawy, nadzieje, pragnienia i trudy życia kobiet, które egzystowały na skraju społeczności i które poza tym wyjątkiem nie zapisały się w historii w żaden sposób bądź zostały wymazane z jej kart jako ofiary. Ufam, że oddałam sprawiedliwość ich charakterowi, poczuciu humoru i dumie, które nawet po 400 latach emanują z archiwów opisujących ich życie i śmierć.

Wszystkie sceny sądowe zaczerpnęłam ze źródeł z epoki dotyczących aktu oskarżenia czarownic z Manningtree oraz spowiedzi Rebekki West, opublikowanej po raz pierwszy w 1645 roku, a obecnie dostępnej w internecie. Pozwoliłam sobie tylko na lekkie uwspółcześnienie stylu i pewne skróty. Linię czasową dopasowałam do potrzeb fabuły, a niektóre postacie przeplancowałam (Margaret i Judith Moone mieszkały w Thorpe-le-Soken, nie w Manningtree) lub nadałam im większą rolę (John Edes, Priscilla Briggs, Prudence Hart, pastor Long), inne zaś wymyśliłam (Thomas Briggs, Leah Miller, doktor Croke). Postawiłam sobie jednak za cel, aby jak najbardziej trzymać się faktów, takich, jakie znamy z historii – w formie niewątpliwie nie tak znów lekko skandalizowanej – jeśli chodzi o Rebeckę West, o której wiemy tylko tyle, że była „młodą dziewczyną, córką Anne West”, oraz o jej współniczki, które – z wyjątkiem Bess (Elizabeth) Clarke zmarłej w Chelmsfordzie – wszystkie zostały powieszane w Manningtree w 1645 roku. Sama Rebecca znika z zapisków mniej więcej w tym samym czasie.

Polowania na czarownice – z którymi wiązały się okrutne tortury i egzekucje tysięcy osób

obu płci w całej Europie XVI i XVII wieku – bynajmniej nie przeszły do historii wszędzie na świecie. Był to nasz towar eksportowy. Ostatnio rzekome czarownice są mordowane przez ISIS (Państwo Islamskie), a także w krajach takich jak Tanzania, Indie i inne mierzące się z brutalnym dziedzictwem kolonializmu. Każdemu, kto chciałby się dowiedzieć więcej o polowaniach na czarownice jako o ciągle aktualnym fenomenie społecznym i gospodarczym, polecam prace Silvii Federici. Jestem także dłużniczką historyków, wśród których znaleźli się między innymi: Keith Thomas, James Sharpe, Diane Purkiss, Malcolm Gaskill oraz Stacy Schiff.

[102] East Anglia – Anglia Wschodnia; obejmuje hrabstwa Norfolk i Suffolk.

[103] Home Counties – hrabstwa otaczające Londyn, głównie Buckinghamshire, Surrey, Berkshire, Essex, Hertfordshire i Kent, ale też Bedfordshire, Cambridgeshire, Hampshire, Middlesex, Oxfordshire i Sussex.

Podziękowania

W pierwszej kolejności pragnę podziękować mojej agentce Zoe Ross oraz mojej redaktorce Ka Bradley – ich kreatywne podejście i uwagi przyczyniły się do ostatecznego kształtu niniejszej powieści. Ostatnie stadia pracy nad manuskrytem przebiegały już podczas pandemii COVID-19 w 2020 roku, tym bardziej więc jestem wdzięczna wszystkim w wydawnictwie Granta Books za ich starania zwieńczone wydaniem mojej książki w tych bezprecedensowych okolicznościach – z licznego zespołu na szczególne wyróżnienie zasługują: Christine Lo, Mandy Woods, Sam Fulton, Sarah Wasley oraz Jo Walker, autorka pięknej okładki tego wydania.

Mogłam ukończyć tę powieść wyłącznie dzięki temu, że po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu osiągnęłam stan stosunkowego finansowego bezpieczeństwa. Pragnę podziękować Society of Authors za skromny grant przyznany mi w trakcie pracy nad książką oraz Ledbury Poetry Festival za nagrodzenie mnie (a konkretnie mojego zbiorku wierszy zatytułowanego *Fondue*) Forte Prize for Best Second Collection – choć zabrzmiałoby to trywialnie, nagroda ta zmieniła moje życie. Podziękowania niechaj przyjmą także Luke Constable i Michael Williams za to, że w niezbyt efektowny sposób, ale jednak przyznali mi tak niezbędną swobodę w korporacji.

Jestem wielką szczęściarą, ponieważ mam w swoim życiu mnóstwo osób, których przyjaźń i działania mnie wspierają. Kate Duckney, Amy Key, Jessica St. James, Rebecca Tamás, Eli Goldstone, Sophie Collins, Rebecca Perry, Alex McDonald, Richard Scott, Jane Yeh, Helen Charman, Bryony White, Martha Sprackland, George Vaisey, Mark Abirached oraz Louis Doyle – darzę was wieczną miłością i nieprzemijającą wdzięcznością, tak samo jak moją logiczną rodzinę w składzie: Katrina Buchanan, Robert Herzog i Kezia Herzog.

Na koniec chcę podziękować mojej od dawna cierpiącej Pannie – Edwardowi Caddy'emu – mojej babci Sheili Blakemore oraz mojemu ojcu Paulowi Blakemore'owi (pierwszemu i najlepszemu czytelnikowi, a także honorowej wiedźmie z Manningtree).

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa 1643 1. Matka 2. Starucha 3. Panna 4. Dyskurs 5. Chłopiec 6. Wróżenie 7. Katechizm 8. Ogień 9. Maleficium 10. Kazanie 11. Inkub 12. Msza 1644 13. Włóczęstwo 14. Zeznania 15. Spółkowanie 16. Pojmanie 17. Sabat 18. Obrazoburstwo 19. Podejrzone 20. Colchester 21. Lochy 22. Kaplica 23. Łowca Czarownic 24. Samotnicy 1645 25. Kadawer 26. Spowiedź 27. Proces 28. Egzekucja 1647 29. Przedwiedza 30. Skrucha 31. Księga 32. Suchoty 33. Przestępczyni 34. Londyn 35. Szatan Posłowie Podziękowania Karta redakcyjna

TYTUŁ ORYGINAŁU:

he Manningtree Witches

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Ilustracja na okładce: ©

THE MANNINGTREE WITCHES

Copyright © 2021 by A.K. Blakemore

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova

Copyright © 2021 by A.K. Blakemore

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-8321-138-1

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

